

NOWA POWIEŚĆ AUTORKI
SMAŻONYCH ZIELONYCH POMIDORÓW

FANNIE FLAGG

Babska Stacja



FANNIE
FLAGG
Babska Stacja

TLUMACZENIE
DOROTA DZIEWOŃSKA


OTWARTE
KRAKÓW 2015

Dla Sama Vaughana

*Gdyby kilka lat temu ktoś mi powiedział, że będę tu dzisiaj z wami, nie
uwierzyłabym za nic w świecie.*

A oto jestem!

Pani Earle'owa Poole, młodsza

Pulaski, Wisconsin, 28 czerwca 2010

PROLOG
POCZĄTEK

Wilno, Polska
1 kwietnia 1909

W roku 1908 Stanisław Ludwik Jurdabralinski, wysoki, chudy czternastolatek, miał przed sobą niepewną przyszłość. Ciężko było żyć w Polsce pod rosyjskim zaborem, gdzie prześladowanie polskich patriotów przybierało różne formy i często kończyło się ich śmiercią. Mężczyzn i chłopców zaciągano do carskiej armii, a aby złamać ducha polskości, katolików i księży wtrącano do więzień za wrogą postawę wobec caratu. Zamykano kościoły. Ojciec i trzech stryjowie Stanisława znaleźli się na zesłaniu za głośne wyrażanie poglądów.

Za namową starszego brata Wincentego, który opuścił Polskę pięć lat wcześniej, Stanisław przybył do Nowego Jorku. Całym jego dobytkiem były źle dopasowany wełniany garnitur, który miał na sobie, fotografia matki i sióstr oraz obietnica pracy. Z pomocą polskiego dokera, z którym zaprzyjaźnił się na statku, udało mu się dostać do pociągu towarowego.

Pięć dni później Stanisław stanął na progu domu swojego brata w Chicago pełen nadziei, gotów rozpocząć nowe życie. Słyszał, że w Ameryce, jeżeli człowiek ciężko pracuje, wszystko jest możliwe.

NIEZWYKŁY TYDZIEŃ

Point Clear, Alabama

poniedziałek, 6 czerwca 2005

24°C, słonecznie

Pani Earle'owa Poole młodsza, lepiej znana przyjaciółom i rodzinie jako Sookie, jechała do domu ze sklepu ogrodniczego drogą numer 98, wioząc ogromną torbę ziaren słonecznika i równie wielką torbę karmy dla ptaków, oraz coś, czego podczas cotygodniowych wizyt w tym sklepie w ciągu ostatnich piętnastu lat nigdy wcześniej nie kupiła, a mianowicie dziewięciokilogramowy worek mieszanki dla ptaków firmy Pretty Boy. Jak już mówiła panu Nadleshaftowi, martwiła się, że mniejsze ptaszki nie dostają wystarczająco dużo pożywienia. Ostatnio co rano, kiedy tylko napełniła karmniki, natychmiast zlatywały się większe, silniejsze modrosójki błękitne, które odganiały od pokarmu mniejszych od siebie konkurentów.

Zauważyła, że modrosójki zawsze najpierw zjadają słonecznik, dlatego zaplanowała, że następnym razem do karmników z tyłu domu nasypie samych ziaren słonecznika, a kiedy sójki zajmą się jedzeniem, szybko obiegnie dom i do karmników z frontu nasypie mieszanki dla ptaków. W ten sposób biedne zięby i sikorki też będą mogły się poczęstować.

*

Gdy przejeżdżała przez most nad zatoką Mobile, podniosła wzrok na duże białe pierzaste chmury, pod którymi nisko nad wodą leciał długi klucz pelikanów.

Zatoka lśniła w jasnym słońcu już nakrapiana czerwonymi, białymi i niebieskimi żaglowcami, które wypływały z miasta na cały dzień. Kilku wędkarzy łowiących przy moście pomachało do niej, gdy ich mijała, a ona z uśmiechem odpowiedziała im tym samym. Była już prawie po drugiej stronie, gdy nagle ogarnęło ją trudne do sprecyzowania, tak rzadko przez nią doznawane poczucie satysfakcji. Nie bez powodu.

Wbrew wszelkim przewidywaniom właśnie udało jej się przeżyć ślub ostatniej z córek. Wydała już za mąż wszystkie trzy: Dee Dee, Ce Ce i Le Le. Teraz ich jedynym dzieckiem „na wydaniu” był 25-letni syn Carter mieszkający w Atlancie. Ale to już inna biedaczka (Panie,

zlituj się nad nią), matka panny młodej, będzie planowała tę radosną ceremonię. Na ślubie Cartera ona i Earle będą musieli tylko się pojawić i ładnie uśmiechać. A dzisiaj, poza wstąpieniem do banku i kupieniem paru kotletów wieprzowych na obiad, nie miała nic do roboty. Poczucie ulgi niemal przyprawiało ją o zawrót głowy.

Oczywiście Sookie ogromnie kochała, wręcz ubóstwiała swoje córki, ale konieczność zorganizowania trzech wesel w ciągu niecałych dwóch lat oznaczała uciążliwą, niekończącą się pracę na całodobowym etacie. Organizowanie wieczorów panieńskich, wybieranie wzorów, zakupy, przymiarki, wypisywanie zaproszeń, spotkania z restauratorami, planowanie usadzenia gości, zamawianie kwiatów i tak dalej – to wszystko spadło na jej głowę. Do tego doszło jeszcze uzgadnianie różnych rzeczy z przyjezdnymi weselnikami i z rodzicami panów młodych, ustalanie, gdzie kogo umieścić, no i histeria przedślubna panien młodych, co całkowicie wykończyło biedną Sookie.

Zresztą, nic dziwnego. Licząc z ostatnim ślubem Dee Dee, właściwie odbyły się cztery duże wesela, co oznaczało zakup materiałów i szycie czterech różnych sukienek dla matki panny młodej (nie można wystąpić dwa razy w tej samej) w niecałe dwa lata.

Dee Dee wyszła za mąż i szybko się rozwiodła. Kiedy wreszcie po kilku tygodniach udało się zwrócić wszystkie prezenty ślubne, Dee Dee zmieniła zdanie i po raz drugi poślubiła tego samego mężczyznę. Jej drugie wesele nie było już tak wystawne jak pierwsze, ale ani na jotę mniej stresujące.

Kiedy ona i Earle brali ślub w 1968 roku, była to typowa kościelna ceremonia: biała suknia ślubna, drużny w jednakowych pastelowych sukienkach i butach, druźbowie, osoba podająca obrączki, przyjęcie weselne, pożegnanie gości i tyle. Ale teraz wszyscy musieli mieć coś w rodzaju imprezy tematycznej.

Dee Dee chciała mieć ślub w stylu starego Południa, jak z *Przeminęło z wiatrem*: z suknią Scarlett O'Hary, taką z bufiastym dołem i spódnicą na kole, tak że w ostatniej chwili okazało się, że trzeba ją wieźć do kościoła małym vanem przeprowadzkowym, w którym mogła jechać na stojąco.

Le Le i jej narzeczony zapragnęli ślubu wyłącznie w kolorach bieli i czerwieni, wliczając w to zaproszenia, jedzenie, napoje i wszystkie dekoracje, dla uczczenia drużyny futbolowej Uniwersytetu Alabamy.

Z kolei Ce Ce, bliźniaczka Le Le, ostatnia z wychodzących za mąż, niosła przez środek kościoła swoją perską kotkę Peek-a-Boo zamiast bukietu, a owczarek niemiecki pana młodego, przyodziany w smoking, pełnił funkcję drużby. A jakby tego było mało, czyjś zółw podawał obrączki. Całe to przedsięwzięcie wlokło się niemiłosiernie. Trudno przecież

ponaglać żółwia.

*

Gdy tak o tym teraz myślała, Sookie doszła do wniosku, że powinna była zareagować, kiedy Ce Ce i James poprosili wszystkich przyjaciół o przybycie wraz ze swoimi zwierzątkami. Nie chciała jednak łamać danej sobie obietnicy, że nie będzie do niczego zmuszać swoich dzieci. W każdym razie wymiana całej wykładziny w sali bankietowej Grand Hotelu miała ich kosztować fortunę. No cóż. Już i tak po wszystkim. Na szczęście ma to za sobą, a jak się zdaje, zdążyła w ostatniej chwili.

Dwa dni temu, kiedy Ce Ce wyjechała w podróż poślubną, Sookie przeżyła załamanie nerwowe. Nie potrafiła opanować gwałtownego szlochu. Nie wiedziała, czy to syndrom pustego gniazda czy zwykłe wyczerpanie. Wiedziała tylko, że jest zmęczona. Na przyjęciu zdarzyło jej się przedstawić jakiegoś mężczyznę jego własnej żonie. I to dwukrotnie.

Prawdę mówiąc, choć ze smutkiem zegnała Ce Ce i Jamesa, w duchu już się nie mogła doczekać chwili, gdy wróci do domu, zdejmie z siebie ubranie i zagrzebie się w łóżku na jakieś pięć lat, ale nawet to musiało poczekać. W ostatniej chwili bowiem rodzice Jamesa i jego siostra z mężem postanowili zostać jeszcze jeden dzień, więc musiała szybko zorganizować dla nich „pożegnalny” posiłek.

Racja, nie było to nic wyszukanego: margarity kokosowe Earle’a, krakersy, serek twarogowy i salsa paprykowa, krewetki i kaszka kukurydziana, placuszki krabowe z sałatką coleslaw i auszpick pomidorowy. Ale mimo wszystko kosztowało to nieco wysiłku.

*

Kiedy wjechała do niewielkiego miasteczka Point Clear i minęła księgarnię, przyszło jej do głowy, że może jutro zajrzy tu i kupi sobie jakąś dobrą książkę. Dotąd nie miała czasu na czytanie czegokolwiek poza horoskopem, biuletynem stowarzyszenia studentek Kappa i raz na jakiś czas pisma „Ptaki i Rośliny”. Nie wiedziałyby nawet, gdyby kraj był w stanie wojny. Teraz jednak będzie mogła znowu przeczytać całą książkę.

Nagle naszła ją ochota, by zatańczyć twista – tu i teraz, na przednim siedzeniu samochodu – a to tylko jej przypomniało, ile już czasu minęło, odkąd ona i Earle nauczyli się nowego tańca. Pewnie już nawet nie pamięta najprostszych kroków.

Jedynym, co naprawdę pozostało na jej głowie, była jej osiemdziesięcioośmioletnia matka, cudowna pani Lenore Simmons Krackenberry, która stanowczo odmawiała przeprowadzki do

uroczego domu opieki po drugiej stronie miasteczka. A gdyby się na to zgodziła, wszystkim byłoby dużo łatwiej. Samo utrzymywanie domu matki stanowiło duży wydatek, nie wspominając o rocznym ubezpieczeniu. Od czasu huraganu ceny ubezpieczeń domów nad zatoką Mobile wystrzeliły w kosmos. Lenore jednak uparła się, że nigdy nie wyprowadzi się z domu, co oznajmiła, dramatycznie gestykulując: „Póki mnie nie wyniosą nogami do przodu”.

Sookie nie wyobrażała sobie matki opuszczającej jakiegokolwiek miejsce nogami do przodu. Jak daleko ona i jej brat Buck sięgali pamięcią, Lenore – kobieta o postawnej, imponującej sylwetce, która nosiła mnóstwo drobnych broszek i długie, zwiewne szaliczki, a srebrne włosy zaczesywała do tyłu, układając je w sztywno polakierowane fale – wychodziła zawsze *piersią* do przodu. Buck powiedział kiedyś, że wygląda jak figurka umieszczana na masce samochodu, i od tej pory między sobą nazywali ją Skrzydlata Nike. A Skrzydlata Nike nie mogła tak zwyczajnie wyjść; ona sunęła z fasonem, ciągnąc za sobą smugę drogich perfum. Nigdy nie była cicha, w żadnym sensie tego słowa – gdy się zbliżała, to niczym konia paradnego prezentowanego na Paradzie Róż słychać ją było już na kilometr, gdyż podzwaniała licznymi bransoletkami, obręczami i koralikami, którymi lubiła się obwieszać. Do tych dźwięków dochodził głos, który w szczególny sposób zwiastował jej nadejście. Bowiem Lenore miała głos donośny, dudniący, ponadto podczas swojej edukacji na pensji dla panien w Judson College przeszła kurs ekspresji. Ku utrapieniu całej rodziny nauczyciel zachęcił ją do wykorzystywania zdobytych tam umiejętności.

W ostatnim czasie, z powodu pewnych niedawnych zdarzeń, wśród których znalazło się podpalenie przez nią własnej kuchni, trzeba było zatrudnić dla Lenore opiekunkę, która z nią zamieszkała. Chociaż Earle jako wzięty dentysta miał wielu pacjentów, nie można powiedzieć, żeby byli zamożni, a już na pewno nie w obecnej sytuacji, gdy wydali tyle pieniędzy na wykształcenie dzieci, śluby, hipotekę Lenore, a teraz jeszcze tę opiekunkę. Biedny Earle chyba przez to będzie musiał pracować do dziewięćdziesiątki, ale opiekunka była naprawdę konieczna.

Lenore, która była nie tylko hałaśliwa, ale też lubiła wyrażać swoje zdanie i robiła to zawsze, gdy tylko napatoczył się jej jakiś słuchacz, nagle zaczęła wydzwaniać do zupełnie obcych osób, i to z daleka. W ubiegłym roku zadzwoniła do Rzymu do papieża i samo to połączenie kosztowało ich ponad trzysta dolarów. Gdy Lenore zobaczyła rachunek, wpadła w szal i stwierdziła, że nie powinna w ogóle płacić, bo całe połączenie spędziła na oczekiwaniu. Spróbowały to powiedzieć firmie telefonicznej. Zresztą nie było w tym żadnej logiki. Kiedy Sookie spytała ją, dlaczego zadzwoniła do papieża, skoro jest zagorzałą

metodystką w szóstym pokoleniu, Lenore zastanowiła się chwilę i odpowiedziała:

– Tak tylko... pogadać.

– Pogadać?

– Tak. Powinnaś mieć szersze horyzonty. Na pewno można się dogadać z katolikami. Nie musisz zaraz za takiego wychodzić za mąż, ale przyjacielska pogawędka nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

Bywały też inne incydenty. Na spotkaniu Izby Handlowej Lenore nazwała burmistrza jajogłowym farbowanym lisem i koniokrądem i wszczęto wobec niej sprawę o zniesławienie. Sookie zamartwiała się okrutnie, ale Lenore nie traciła rezonu.

– Muszą udowodnić, że to, co mówiłam, jest nieprawdą. Żadna ława przysięgłych przy zdrowych zmysłach nie ośmieli się mnie skazać!

W końcu sędzia oddał pozew, ale i tak cała ta sytuacja była żenująca. Przez cały ubiegły rok Sookie musiała unikać burmistrza i jego żony, a w takim małym miasteczku było to niemal niemożliwe. Spotykali się wszędzie.

Od czasu tamtej sprawy trzy razy zmieniali opiekunki. Dwie zrezygnowały, a jedna odeszła w środku nocy z jednym z dużych pierścionków Lenore i z mrożonym indykiem. Teraz, po wielu miesiącach poszukiwań, Sookie miała wrażenie, że wreszcie znalazła idealną osobę: przemiłą starszą kobietę z Filipin o imieniu Angel, która odnosiła się do Lenore z niezwykłą cierpliwością i wyrozumiałością, mimo iż ta uparcie nazywała ją Conchitą, jako że przypominała jej Meksykankę pracującą u niej w latach czterdziestych w Teksasie, gdzie stacjonował wówczas ojciec Sookie.

Na szczęście teraz, kiedy Lenore znajdowała się pod opieką Angel, Sookie mogła wziąć udział w spotkaniu stowarzyszenia studentek Kappa w Dallas, gdzie miała się też zobaczyć z Deną Nordstrom, współlokatorką z okresu studiów. Regularnie rozmawiały ze sobą przez telefon, ale nie widziały się już bardzo długo, i Sookie nie mogła się tego spotkania doczekać.

*

Czekając na zmianę świateł, opuściła osłonę przeciwsłoneczną, żeby się przejrzeć w lusterku. Dobry Boże, to był błąd. Przypuszczalnie po pięćdziesiątce nikt nie wygląda dobrze w jaskrawym słońcu, ale nawet przy takim zastrzeżeniu, Sookie doszła do wniosku, że strasznie się zaniedbała. Od ponad trzech lat nie była u okulisty, a najwyraźniej potrzebowała już nowych okularów.

W ubiegłym miesiącu w kościele omal nie spaliła się ze wstydu. Miała przeczytać: „Jestem

naczyniem miłości Bożej”, a powiedziała: „Jestem wyczynem miłości Bożej”. Earle twierdził, że nikt tego nie zauważył, ale ona wiedziała swoje.

Znowu spojrzała w lusterko. O Boże, nic dziwnego, że wygląda tak okropnie. Wybiegła rano z domu bez żadnego makijażu. Teraz musiała wrócić i się umalować, zanim załatwi resztę spraw. Zawsze starała się wyglądać tak, żeby nikogo nie odstraszać. Na szczęście nie była tak próżna jak jej matka, bo chyba w ogóle nie wychodziłaby z domu. Dla Lenore wygląd był wszystkim. Szczególnie dumna była z tego, co nazywała stopami Simmonsów i z niewielkiego, lekko zadartego noska. Sookie odziedziczyła dłuższy nos ojca, a Buckowi – jakżeby inaczej – trafił się ten ładny. Ale co tam. Ona przynajmniej ma stopy Simmonsów.

*

Gdy tylko światło zmieniło się na zielone, obok przemknęła Netta Vep w swoim ogromnym fordzie fairlane z 1989, zapewne w drodze do Costco. Zdążyła jeszcze zatrąbić na powitanie. Sookie także uderzyła w klakson. Kochana rozsądna Netta. Sookie za nią przepadała. Obie były spod znaku Lwa.

Dom Netty znajdował się pomiędzy ich domem a domem Lenore. Biedaczka utknęła pośrodku – z jednej strony wszystkie dzieci i zwierzęta Poole’ów, a z drugiej Lenore wydzwanająca do niej w dzień i w nocy – ale nigdy się nie skarżyła. Do licha, jestem wdową. Na jaką inną rozrywkę mogę liczyć? – mawiała.

*

Sookie chyba nie powinna się dziwić, że tematem przewodnim na ślubie Ce Ce było hasło „Zwierzęta też ludzie”. W którymś momencie w ich domu mieszkało jedenaście zwierzątek, w tym aligator, który wyszedł z zatoki i wgramolił się na schody tarasu, trzy koty i cztery psy, wśród nich ukochany dog niemiecki Earle’a zwany Maluszek mimo gabarytów małego konia.

Wszystkie te psy, koty i chomiki – i jeden ślepy szop – były do zaakceptowania, ale w kwestii aligatora Sookie wyznaczyła nieprzekraczalną granicę: musiał pozostać w piwnicy. Ona też kochała zwierzęta, ale jeżeli człowiek boi się wstać w nocy i pójść do łazienki, to trzeba tupnąć nogą, mimo obawy, że coś ci ją odgryzie.

Najtrudniejsze w trzymaniu zwierząt było to, że tak szybko odchodziły. Dwa lata temu zdechł Pan Henry, który mieszkał z nimi osiemnaście lat, i od tej pory Sookie nie była w stanie spojrzeć na rudego kota, nie uroniwszy choćby łzy. Po śmierci Pana Henry’ego powiedziała Earle’owi, że koniec ze zwierzętami. Nie chciała się narażać na kolejne ciosy.

*

Przejeżdżając przez miasteczko, pomachała do Doris, sprzedającej pomidory na rogu, i zaczęła zjeżdżać w dół w kierunku swojego domu nad zatoką.

Wzdłuż drogi po obu stronach rosły dostojne dęby jeszcze sprzed wojny domowej. Po prawej stały stare drewniane domy zbudowane na ogół przez mieszkańców Mobile z przeznaczeniem na letni wypoczynek. Sookie pomyślała, że gdyby dostawała centa za każdym razem, kiedy przez te wszystkie lata tędy przejeżdżała, byłaby już milionerką.

Miała osiem lat, kiedy jej ojciec sprowadził tutaj z Selmy rodzinę na lato. Przyjechali do Point Clear w ciepły, przyjemny wieczór, gdy w powietrzu unosił się zapach fuksji i wisterii.

Wciąż pamiętała tę chwilę, kiedy schodzili ze wzgórza i zobaczyli światła Mobile połyskujące z drugiej strony jeziora niczym drogocenny naszyjnik. Jakby znaleźli się w krainie wróżek. Mech hiszpański zwisający z gałęzi miał w blasku księżyca barwę srebra i rozsiewał po asfalcie tańczące cienie. A łodzie do połowu krewetek w zatoce, z migoczącymi zielonymi światełkami, wyglądały jak wystrojone na Boże Narodzenie. Dla Sookie Point Clear zawsze było miejscem magicznym.

*

Skreśliła mniej więcej półtora kilometra za Grand Hotelem i jechała jeszcze kawałek podjazdem wysypanym kruszonymi muszlami, aż w końcu zaparkowała samochód pod zadaszeniem. Dom Netty był prawie taki sam jak ich, lecz jej podwórko dużo ładniejsze. Sookie postanowiła sobie w myślach, że jak tylko trochę odpocznie, zajmie się ogrodem. Krzaki azalii były w pożałowania godnym stanie, a hortensje niemal całkiem zdziczały.

Ich dom, jak większość domów przy tej drodze, był drewniany, biały z ciemnozielonymi okiennicami. Domy nad zatoką powstawały jeszcze przed erą klimatyzacji. Pośrodku zawsze znajdował się szeroki hol, przez który przechodziło się na duży osłonięty taras z widokiem na zatokę. Wszystkie też miały spore drewniane molo zakończone blaszaną wiatą z miejscami do siedzenia. Kiedy dzieci były małe, ona i Earle siadywali tam niemal co wieczór i oglądali zachód słońca, słuchając kościelnych dzwonów, których dźwięk niósł się po całej zatoce. Nie robili tego od lat. Tak bardzo jej brakowało tego, by znowu pobyć sam na sam z Earle'em.

Wyjęła torby z nasionami z samochodu i wniosła je do niewielkiej szklarni, którą zbudował dla niej Earle. Trzymała tam zapasy dla ptaków. Kilka minut później, gdy już weszła do domu, nagle uderzyła ją panująca wewnątrz cisza. Wprost nienaturalna cisza. Stała w miejscu i słyszała jedynie tykanie kuchennego zegara oraz krzyki mew nad zatoką.

Dziwnie było nie słyszeć trzaskania drzwi ani tupotu na schodach. Jak przyjemnie napawać się ciszą i spokojem i nie musieć znosić głośnej muzyki dobiegającej z góry. Tak przyjemnie, że Sookie postanowiła zrobić sobie herbatę, by przez kilka minut posiedzieć i odpocząć przed ponownym wyjściem.

Właśnie otwierała szafkę, kiedy zadzwonił telefon. W tym pustym domu jego dźwięk zabrzmiał niczym alarm przeciwpożarowy. Podniosła słuchawkę i spojrzała na numer dzwoniącego. Rozmowa międzymiastowa, ale skąd dokładnie – tego nie potrafiła rozpoznać po kierunkowym. Nie odebrała więc. Była zbyt zmęczona, by rozmawiać z kimś, z kim nie musi. W ostatnich dniach uśmiechała się tak często i gawędziła z tyloma ludźmi, że wciąż bolały ją mięśnie twarzy.

Wyjęła filiżankę z wodą z mikrofalówki, chwyciła torebkę z herbatą i wyszła na taras. Usiadła na dużym białym krześle z wikliny. Woda w zatoce była spokojna, gładka niczym szklana tafla, bez najmniejszej zmarszczki.

Zauważyła, że gardenie jeszcze kwitną, i pomyślała, że mogłaby ściąć kilka kwiatów i umieścić je w salonie w szklanej misie. Zawsze wypełniały dom takim słodkim zapachem. Wciągnęła świeże powietrze i już miała się napić herbaty, kiedy znowu odezwał się telefon. No nie, to na pewno pomyłka albo jakiś telemarketer i jeśli się go zignoruje, będzie tak dzwonić do końca dnia. Wstała, wróciła do kuchni i podniosła słuchawkę. Usłyszała głos matki.

- Sookie, przyjdź tu zaraz.
- Mamo, czy coś się stało?
- Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.
- Ojej, mamo, czy to nie może poczekać? Właśnie weszłam do domu.
- Nie, nie może.
- No dobrze, już idę.

Odkładając słuchawkę, nie wiedziała, co myśleć. Ten szczególny ton w głosie matki zawsze wywoływał u Sookie niepokój. Czyżby Lenore dowiedziała się o jej rozmowie z kobietą z domu opieki? Był to tylko jeden telefon, a właściwie pytanie o cenę. Ale jeżeli ktoś poinformował o tym Lenore, będzie wściekła.

Kilka minut później Sookie maszerowała do matki. Opiekunka, która ścinała kwiaty przed domem, podniosła głowę i powiedziała:

– O, dzień dobry, pani Poole. – Po czym dodała ze współczującym uśmiechem: – Niech panią Bóg ma w opiece.

– Dziękuję, Angel – odparła Sookie.

„O Boże... chyba jest gorzej, niż myślałam”. Sookie weszła do domu i krzyknęła:

– Mamo!

– Jestem tutaj!

– To znaczy gdzie?

– W salonie.

Weszła i zobaczyła matkę siedzącą przy dużym rokokowym stole z dwunastoma krzesłami z okresu królowej Anny. Na stole stało duże skórzane pudełko wyłożone aksamitem, w którym mieścił się zestaw sreber stołowych Franciszek I. Obok pudełka leżała duża Biblia rodziny Simmonsów.

– Co się dzieje?

– Usiądź.

Sookie siadła i czekała na to, co miało nastąpić. Lenore spojrzała na nią i powiedziała:

– Sookie, wezwałam cię tu dzisiaj, bo nie jestem do końca przekonana, czy w pełni doceniasz to, co dostaniesz po mojej śmierci. Jako moja jedyna córka odziedziczysz cały zestaw sreber rodzinnych Simmonsów... i nim opuszczę ten ziemski padół, chcę, żebyś przysięgła mi na Biblię, że nigdy pod żadnym pozorem nie rozdzielisz tego zestawu.

Sookie poczuła ogromną ulgę, że nie chodzi o telefon do domu opieki, i odparła:

– Ojej, mamo... naprawdę doceniam... ale czemu nie przekazesz tego Bunny? Ona i Buck dużo częściej przyjmują gości niż ja.

– Co? Bunny? – Lenore aż zabrakło tchu i dłonią chwyciła za perły na szyi. – Zostawić to Bunny? Oj, Sookie – westchnęła zawiedziona. – Masz pojęcie, ile poświęceń kosztowało utrzymanie tego w rodzinie? – Sookie słyszała tę historię już tysiące razy, ale Lenore uwielbiała ją powtarzać, ubarwiając dramatycznymi gestami. – Babcia Simmons mówiła, że był taki moment podczas wojny, kiedy jedyną rzeczą, która mogła uratować całą rodzinę przed głodem, były te srebra. I wiesz, co zrobiła?

– Nie, mamo. Co?

– Wybrała głód, ot co! Zdarzało się, jak mówiła, że mieli do jedzenia tylko małą garstkę orzeszków. W dodatku musieli zakopywać te srebra co noc w innym miejscu, żeby Jankesi ich nie znaleźli, ale udało jej się je uratować! A ty teraz tak po prostu mówisz: „Och, daj to Bunny”? Ona nie jest z Simmonsów... i nawet nie z Alabamy! Może lepiej od razu poderżnij mi gardło i wyrzuć to wszystko?

– O Boże... Dobrze.... Przepraszam, mamo. Ja tylko... no, jeśli chcesz, żebym to wzięła, to dziękuję. Sookie oczywiście nie chciała ranić uczuć matki, ale naprawdę nie bardzo wiedziała,

co zrobić ze srebrami. Nie znała nikogo, kto w obecnych czasach używałby widelczyka do pikli albo łyżeczki do grejpfruta. Poza tym prawdziwego srebra nie można wkładać do zmywarki. Każdą sztukę trzeba myć ręcznie. A ona nie miała ochoty czyścić sreber przez cały dzień. Każdy ze sztuców miał na trzonku dwadzieścia osiem ozdobnych owoców, a trzeba było jeszcze polerować serwis do kawy, serwis do herbaty i dwa zestawy świeczników.

Sookie zdawała sobie sprawę, że powinno jej bardziej zależeć na tych srebrach. W końcu przebyły daleką drogę z Anglii i były w rodzinie od kilku pokoleń. Ale nie była aż tak ortodoksyjna jak jej matka. Skrzydlata Nike padłaby trupem, gdyby wiedziała, że jej córka czasami używa papierowych talerzy i plastikowych sztuców i nienawidzi polerowania sreber.

Lenore uwielbiała czyścić srebra. Raz w miesiącu siadywała w białych rękawiczkach przy stole w jadalni i rozkładała cały zestaw przed sobą.

– Nic mnie tak nie odpręża jak czyszczenie sreber – mawiała.

No cóż. Już za późno. Kości zostały rzucone. Sookie już się w to umiała. Przysięgła na Biblię, że nie tylko nie rozdzieli zestawu, ale też osobiście będzie go regularnie polerować.

– Nie dopuść do najmniejszego zmatowienia – zastrzegła Lenore.

Co Sookie mogła zrobić? To, że była córką Lenore, oznaczało, że przysła na świat z wyznaczonymi powinnościami. Po pierwsze, z dumą podtrzymywać rodzinne tradycje rodu Simmonsów, który według Lenore sięgał korzeniami aż piętnastowiecznej Anglii. Po drugie, bronić rodzinnych sreber.

To był piękny ciepły dzień. Po wyjściu od matki Sookie zdjęła buty i wracała do domu boso brzegiem zatoki. Podczas spaceru myślała o tym, ileż to razy jej rodzina przemierzała drogę między tymi dwoma domami. Zdawało jej się, że zaledwie wczoraj dzieci przez cały dzień biegały do babci i z powrotem.

Czas jest czymś niepojętym. Tak niedawno dzieci były małe i Sookie zachwycała się ich maleńkimi śladami pozostawianymi na piasku. Tamte dni minęły już bezpowrotnie. Dzieci dorosły i żadne z nich nie miało stóp Simmonsów. Biedactwa. Troje miało uszy Poole'ów. Ale to już inna historia.

*

Kilka minut później, gdy już nałożyła na twarz nieco makijażu, wróciła do miasta i ustawiła się w kolejce samochodów do banku z okienkiem dla kierowców. Musiała pokryć kolejne nieprzewidziane wydatki Lenore. Mniej więcej dziesięć lat temu Lenore nagle zaczęła wypisywać czek bez pokrycia, w ogóle nie myśląc o konsekwencjach.

– Nie znoszę zwracać sobie głowy liczbami – powiedziała.

Teraz więc cała poczta Lenore, łącznie z rachunkami, była dostarczana Sookie. Samo przeglądanie listów było zajęciem na prawie cały etat. Lenore z zapalem pisywała do różnych redakcji. Jej ostatnia propozycja zniesienia prawa głosu dla osób poniżej pięćdziesiątego piątego roku życia opublikowana w jednym z czasopism zaowocowała ponad setką listów, na które Sookie musiała odpowiedzieć. Lenore nigdy nie sprawdzała swojej poczty.

– Powiedz mi tylko, czy jest tam coś ważnego – mawiała.

Zamawiała prawie wszystko, co zobaczyła w telewizji, a Sookie musiała to odsyłać z powrotem. Po co kobiecie po osiemdziesiątce przyrząd do ćwiczenia mięśni ud?

Lenore była jej matką i Sookie ją kochała, ale na Boga, jakaż ona była uciążliwa. Kiedy Earle kupił gabinet dentystyczny i sprowadzili się do Point Clear na dobre, Lenore uparła się, że przed przeprowadzką muszą przenieść szczątki pradziadka Simmonsa z cmentarza w Selmie na cmentarz wojskowy w Point Clear.

– Chybabym umarła, gdybym nie mogła odwiedzać grobu dziadka Simmonsa. Był generałem, Sookie!

I oczywiście to Sookie musiała się zmagać ze wszystkimi biurokratycznymi procedurami, by to zorganizować. Po wielu tygodniach starań i przekonywania pracowników cmentarza, po podpisaniu setek papierów, błagała ich już tylko o to, żeby łaskawie pozwolili jej wykopać cokolwiek – psa, kota czy konia – i wysłać do Point Clear. Tak bardzo miała już tego dość, że była gotowa zgodzić się na wszystko.

Samochód przed nią przesunął się o jedno miejsce, a ona za nim. Znowu spojrzała na swoje odbicie w lusterku. Z makijażem wyglądała nieco lepiej, ale oczywiście zapomniała założyć kolczyki. Naprawdę aż dziw brał, że jeszcze nie zwariowała, mając na głowie te wszystkie wesela i do tego matkę.

Zawsze była wrażliwa i miała skłonność do omdleń w momentach silnego napięcia. A trwanie w ciągłej niepewności, co jej mama jeszcze wymyśli, było bardzo stresujące. Lenore zjawiała się na ślubie Ce Ce w ogromnym żółtym kapeluszu zwieńczonym kłatką z parą żywych papużek nierozłączek. Bóg jeden wie, skąd to wytrzasnęła.

Na szczęście wszystkie dzieci Sookie były grzeczne, bo kiedy dorastały, dawała im bardzo dużo swobody. Chciała, by miały beztroskie dzieciństwo. Jej takie nie było, gdyż Lenore wciąż ją do czegoś zmuszała. Sookie zawsze była nieśmiała. Nigdy nie chciała należeć do Panien Azaliowych*, cheerleaderek ani innych podobnych organizacji. Nie miała jednak wyboru. Lenore rządziła twardą ręką.

– Jesteś to winna Simmonsom, Sookie. Musisz nadawać ton w towarzystwie.

No cóż... To z pewnością się nie udało. Sookie zdawała sobie sprawę, że jest dla matki

rozczarowaniem, ale co mogła na to poradzić? Nie wiedziała dlaczego, ale w szkole, choćby się bardzo starała, nigdy nie miała lepszych ocen niż dostateczne, podczas gdy Buck zbierał same piątki. Nawet lekcje baletu, na które posyłała ją Lenore, były całkowitym nieporozumieniem.

W końcu Sookie dotarła do okienka i podała kasjerce odliczoną kwotę. Nagle się zorientowała, że jej prawe oko wykonuje dziwny tik, który widocznie jest skutkiem stresu po weselu. Jak to dobrze, że Earle w końcu podniósł tego żółwia i podał go Jamesowi, bo inaczej pewnie jeszcze do tej pory by stamtąd nie wyszli. Dziewczyna w okienku wysunęła szufladę z dowodem wpłaty i powiedziała do mikrofonu:

- Dziękuję, pani Poole, życzę miłego dnia.
- O dziękuję, Susie. Tobie również.
- Proszę pozdrowić mamę.
- Dziękuję, pozdrowię.

Z banku Sookie podjechała do sklepu, by kupić kilka kotletów wieprzowych. Po namyśle wzięła też puszkę krojonych ananasów. Earle powiedział, że ma dla niej dużą niespodziankę, więc postanowiła nieco urozmaicić smak mięsa.

*

Stała w kolejce dla osób, które mają w koszykach „mniej niż sześć sztuk”, gdy ktoś zawołał ją po imieniu. To była Janice, ładna blondynka, jedna z druhen Ce Ce. Wybiegła z działu warzywnego, wciąż ściskając główkę sałaty, i serdecznie objęła Sookie.

– Dzień dobry, pani Poole, jak się cieszę, że panią widzę! Co słyhać? Na pewno jest pani zmęczona całym tym zamieszaniem, ale musiałam pani powiedzieć, że to był jeden z najpiękniejszych ślubów, jakie widziałam. Wspaniale się bawiłam, naprawdę. Ce Ce i Peek-a-Boo wyglądali tak pięknie, gdy szli do ołtarza... i zawsze wspaniale jest widzieć pani mamę. Ona się w ogóle nie zmienia. Wciąż jest taka elegancka... i zabawna. Szkoda, że nie siedziała pani przy naszym stoliku... wszyscy aż zwijaliśmy się ze śmiechu, takie ma poczucie humoru. I ten kapelusz z żywymi ptakami! Skąd ona bierze takie pomysły?

– Nie mam pojęcia – odparła Sookie.

– Cóż to za niezwykła osoba. I jak to miło z jej strony, że zabrała ze sobą tę Meksykankę, która się nią opiekuje. – Sookie przesunęła się w stronę kasy, a Janice wraz z nią. – Ojej, pani Poole, właśnie miałam pani wysłać liścik z przeprosinami za okropne zachowanie Dzwoneczka. Nie wiem, co w niego wstąpiło. Normalnie kocha koty na zabój.

– Nie martw się o to, kochana... w końcu pies zawsze pozostanie psem.

Janice przez chwilę się zastanawiała, po czym rzekła:

– Tak, chyba ma pani rację. Chyba nic na to nie poradzą, prawda? – Zaraz potem się zasmuciła. – A jak pani się trzyma? Musi być pani smutno, skoro wszystkie dzieci wyjechały... Ale na szczęście ma pani jeszcze mamę, która dotrzymuje pani towarzystwa. A założę się, że przy niej nie można się nudzić.

– O tak, to prawda.

Wreszcie Sookie dotarła do kasy i Janice powiedziała:

– No to ja już pójdę. Do widzenia, pani Poole, miło było panią spotkać. Proszę pozdrowić ode mnie mamę.

– Pozdrowię.

Gdy wyszła ze sklepu, zauważyła, że damy z Elks Club urządziły wyprzedaż wypieków, więc podeszła zobaczyć, co mają w ofercie. Dot Yeager, siedząca za stołem, zapytała z dumą:

– Czyż wszystkie nie wyglądają wspaniale?

– O tak, wyglądają.

– Pani matka tak pięknie się prezentowała wczoraj w kościele w tej niebieskiej sukni do srebrzystych włosów. Chciałabym móc nosić ten odcień błękitu, ale ja wyglądam w tym kolorze strasznie blado. Sprawdziłam, jakim jestem typem kolorystycznym. Ja to jesień, a Lenore to na pewno wiosna, czyż nie?

– Tak, chyba tak.

Sookie stała niezdecydowana, czy wziąć ciasto cytrynowe czy z orzechami pekanowymi, gdy nagle zjawiła się przy niej jej przyjaciółka Marvaleen.

– O cześć, Marvaleen. Jak myślisz, co będzie lepsze do kotletów wieprzowych? Pekanowe czy cytrynowe?

– Ja wybrałabym limonkowe z bitą śmietaną, ale to dlatego, że za nim przepadam.

Sookie kupiła ciasto limonkowe.

Ucieszyła się ze spotkania z Marvaleen, która wydawała się teraz dużo spokojniejsza niż ostatnio. Marvaleen niedawno się rozwiodła i przez jakiś czas ciężko to przeżywała. Odkąd zaczęła jeździć do Mobile na sesje z trenerką rozwoju osobistego o imieniu Edna Yorba Zorbra, przy każdym spotkaniu chciała opowiadać ze szczegółami, co właśnie zaleciła jej Edna Yorba Zorbra.

Kilka miesięcy temu Sookie natknęła się na Marvaleen w sklepie. Spieszyła się wtedy, więc próbowała jej umknąć, ale Marvaleen ją dostrzegła i dopadła w dziale mrożonek.

– Sookie, czy ty prowadzisz dziennik?

– Co?

– Robisz zapiski? Notujesz coś?

– Tak, robię notatki. Muszę, inaczej o wszystkim zapomnę. Cztery razy byłam w sklepie, zanim sobie przypomniałam o parmezie.

– Nie, nie o to mi chodzi. Myślałam o poważnych zapiskach. O zapisywaniu swoich myśli i przeżyć. Edna Yorba Zorbra mówi, że to podstawa zachowania zdrowia psychicznego. Nie uwierzyłabyś, jak to odmieniło moje życie. Nigdy bym się nie rozwiodła z Ralphem, gdybym nie zaczęła prowadzić dziennika. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak bardzo go nienawidzę, póki nie zobaczyłam tego zapisanego czarno na białym. Ojej, musisz zacząć pisać dziennik, Sookie! Ja nie miałam pojęcia, kim jestem, póki nie zaczęłam.

Cóż... zapewne to się sprawdzało w wypadku Marvaleen, ale Sookie nie potrafiła sobie wyobrazić niczego gorszego od zapisywania najskrytszych uczuć i myśli. Zresztą ona już dobrze wiedziała, kim jest, tak jak niestety wiedzieli to też wszyscy w promieniu niemal tysiąca kilometrów.

W drodze do domu Sookie przejeżdżała obok cmentarza. Oczywiście przed wejściem stał samochód Lenore. W każdy poniedziałek zanosila kwiaty na grób dziadka Simmonsa. Przy okazji oglądała cały teren i obdzwaniała wszystkich, których rodzinne groby wyglądały na zaniedbane lub kwiaty na nich już zwiędły, i pouczała ich na temat szacunku dla zmarłych. Większość ludzi szła w życiu naprzód i nie interesowali ich ci, którzy odeszli dawno temu. Ale nie Lenore. Ta kobieta miała obsesję na punkcie swoich przodków.

Matka Lenore zmarła podczas porodu i dziewczynkę wychowywała babcia. To mogło tłumaczyć, dlaczego Lenore była taka a nie inna, i skąd u niej ta skłonność do życia nie dość, że przeszłością, to jeszcze odległą przeszłością. Prababcia Sookie urodziła się w okresie wojny domowej i jej wspomnienia dotyczące tamtych czasów były żywe i pełne goryczy. Dziadek Lenore zaś od wczesnego dzieciństwa przy każdej okazji wpajał wnuczce, że aby przetrwać w tym świecie, musi być silna i dumna. Południe zostało skąpane we krwi i, owszem, pokonane, lecz nigdy się nie ugięło. Stracili wszystko oprócz dumy i dobrego imienia.

W wieku siedemnastu lat Lenore rozpoczęła naukę w Judson College, gdzie została przewodniczącą stowarzyszenia studentek Kappa Kappa Gamma, a także dostąpiła zaszczytu wygłaszania mowy pożegnalnej w imieniu swojego roku. Tam właśnie poznała ojca Sookie Altona Cartera Krackenberry'ego. Był kadetem w pobliskiej akademii wojskowej. Od pierwszej chwili, gdy ujrzał ją w rzędzie osób witających gości, był zaślepiony miłością do niej aż do końca życia.

Podczas drugiej wojny światowej ojciec Sookie dowodził jednostką wojskową w Brownsville w stanie Teksas. Ale w domu zawsze rządziła Lenore. Mąż rozpieszczał ją okropnie i spełniał niemal wszystkie jej zachcianki. Choćby zachowywała się w najbardziej zwariowany sposób, on tylko patrzył na nią z podziwem i wykrzykiwał do dzieci: „Spójrzcie na nią, czyż nie jest wspaniała?!”. Do dnia swojej śmierci powtarzał, że Lenore była najpiękniejszą dziewczyną na balu oficerskim, a ona z zapalem to potwierdzała. I to wiele razy.

*

Kiedy Sookie dotarła do domu i wypakowała zakupy, wyszła na werandę, by poczytać gazetę. Peek-a-Boo od razu wskoczyła jej na kolana. W głowie Sookie zapaliła się czerwona lampka. Opieka nad kotką do powrotu Ce Ce z podróży poślubnej była prawdziwą przyjemnością, ale Sookie nie chciała się do niej przywiązywać, więc delikatnie zdjęła ją z kolan i postawiła na podłodze. Kot jednak wskoczył z powrotem. Sookie westchnęła.

– Oj, Peek-a-Boo, kochana... nie chcę cię polubić. Uciekaj. – I znowu ją odepchnęła. Kotka jednak natychmiast wróciła. Biedactwo najwyraźniej potrzebowało czułości, więc wbrew wszelkiemu rozsądkowi Sookie zaczęła ją głaskać. Po chwili Peek-a-Boo mruzczała głośno i łaśnia się do nóg Sookie, patrząc na nią szczęśliwym, zadowolonym wzrokiem. – No dobrze, niech ci będzie... Tęsknisz za mamą, tak? Ale ona wróci, nie martw się. Dać ci coś do gryzienia? O to ci chodzi? Chcesz się pobawić?

O Boże! Miała tego kota dopiero od dwóch dni, a już przemawiała do niego jak do dziecka. Ale co na to poradzić? Nie mogła biedaczki po prostu ignorować... Zwłaszcza że to takie słodkie maleństwo.

Kiedy Earle wrócił z pracy, Peek-a-Boo radośnie gonila za swoją myszą na sznurku, który Sookie przeciągała po całym domu.

– Cześć, kochanie. Co dziś porabiałaś?

Sookie od lat czekała, by móc powiedzieć:

– Nic. Absolutnie nic.

*

Tej nocy Earle mocno spał, tak samo jak Peek-a-Boo, która teraz leżała skulona w kłębek obok Sookie, lecz sama Sookie jak zwykle nie mogła zasnąć. Wielką niespodzianką Earle'a było to, że zamierzał ją zabrać w drugą podróż poślubną. Bardzo ją to ucieszyło. Chciałaby spędzać z nim każdą wolną chwilę, póki jeszcze może. Nie wiedziała przecież, ile czasu jej

zostało.

To było przekleństwo Simmonsów. Gdy osiągnęli pewien wiek, niektórych z nich (na przykład ciocię Lily i wujka Baby'ego) trzeba było przekazać do domu opieki psychiatrycznej Przyjemny Zakątek. Lekarz powiedział: „Kiedy pięćdziesięcioośmioletni mężczyzna idzie do miasta ubrany w strój młodej kowbojki z falbaniastą spódnicą, już pora”, a po nieszczęsnym incydencie cioci Lily z gazeciarzem, było jasne, że i ona musi się tam znaleźć. W przypadku Lenore jednak sprawa nie była tak oczywista. Gdy Sookie wezwała doktora Childressa z Selmy, by się poradzić w sprawie wybryków matki, ten westchnął tylko i powiedział:

– Sookie, kochana, znam twoją mamę od dawien dawna, i problem z nią zawsze polegał na tym, że ciężko jest stwierdzić, co w jej zachowaniu jest „uroczym ekscentryzmem”, a co prawdziwym wariactwem. Wiem, że to nie jest oficjalna diagnoza, ale wszyscy Simmonsowie, których znałem, mieli jakąś klepkę poluzowaną pod sufitem.

Doktor Childress był ich lekarzem rodzinnym od wielu lat i Sookie żałowała, że nie powiedział jej tego przed tym, a nie po tym, jak urodziła czworo dzieci. Kto wie, jakie szalone geny mogła im przekazać? Jako drugie pokolenie dzieci mogły być bezpieczne, ale ona była genetyczną bombą zegarową, która może wybuchnąć w każdym momencie. Żyła w ciągłym strachu, że któregoś dnia wprawi swojego męża i dzieci w zażenowanie, gdy na jednym z wesel ktoś wskaże na nią i powie: „Ta kobieta w rogu, która mówi sama do siebie i zabija wyimaginowane muchy, to matka panny młodej”.

Gdy próbowała powiedzieć Earle'owi, że martwi ją przekleństwo Simmonsów, zawsze ją zbywał.

– Daj spokój, nie wygłupiaj się. Nie postradasz zmysłów. Jesteś tak samo zdrowa na umyśle jak ja.

Miała nadzieję, że Earle się nie myli. Ale kilka tygodni temu wybrała się do Mobile na przymiarkę sukni, po czym okazało się, że suknię zostawiła w domu. Na szczęście wszyscy w jej otoczeniu uważali, że w jej wieku to całkiem normalne, i nie doszukiwali się w tym oznak przekleństwa Simmonsów. Ona jednak nie była tego taka pewna, więc napisała list do rodziny i umieściła go w skrytce depozytowej w banku, tak na wszelki wypadek.

Chciałaby jeszcze, żeby Carter się niedługo ożenił. Zawsze cieszył się powodzeniem. Kilka jego dawnych dziewczyn nadal do niej czasem dzwoniło i pytało, co u niego, więc Sookie wciąż miała nadzieję. Któregoś dnia powiedział jej:

– Mamo, chcę się ożenić, tylko jeszcze nie znalazłem nikogo i coś się na to nie zanoszi.

– Ojej, rozumiem, ale wierz mi, pewnego dnia spotkasz tę jedyną i wtedy będziesz wiedział, że to jest ta.

– Skąd?

– Po prostu to poznasz, zobaczysz.

Sookie wiedziała, że to była głupia odpowiedź, ale tak było z nią, mniej więcej. Znała Earle'a Poole'a juniora od szkoły średniej, ale dopiero wiele lat później zrozumiała, że to on jest tym właściwym. Oczywiście jej życie nie zawsze było usłane różami, ale czyje było? Nawet gdyby śmierć przyszła jutro, to i tak miała za co dziękować. Przede wszystkim za Earle'a.

Wszystkie jej dzieci na ogół były źródłem wielkiej radości. Bliźniaczki Ce Ce i Le Le nigdy nie sprawiały jej żadnych kłopotów. Były zawsze zadowolone, pewnie dlatego, że miały siebie nawzajem. Odkąd zaczęły mówić, wciąż ze sobą trajkotały. Jakby żyły we własnym, odrębnym świecie; Sookie aż się dziwiła, że tak dobrze się rozumieją. Gdzieś czytała, że czasem bliźnięta nie chcą się tak samo ubierać, lecz w przypadku jej córek tak nie było. One uwielbiały wyglądać jednakowo, musiały nawet mieć identyczne piżamy i bieliznę. Nawet mówiły to samo. Jedna zaczynała zdanie, a druga kończyła.

Wychowywanie Cartera nie było trudne. Był jak jej brat Buck. Wystarczyło dać mu piłkę do zabawy i już był zadowolony. Sookie najbardziej martwiła się o Dee Dee. Nigdy nie należała do wesołków, a okres dorastania przeżyła szczególnie boleśnie. Zawsze była dość pulchna i w przeciwieństwie do bliźniaczek, które odziedziczyły po Lenore idealną cerę, przez całą szkołę średnią dokuczał jej okropny trądzik. Każdy kolejny pryszcz wywoływał nowy wybuch hysterii. Prawie codziennie po powrocie ze szkoły Dee Dee biegła od razu do swojego pokoju i zapłakana rzucała się na łóżko, bo jakiś chłopak się do niej nie odezwał, nie zaproszono jej na jakąś imprezę albo stało się coś równie tragicznego. Sookie siedziała z nią godzinami, trzymając ją za rękę, gdy Dee Dee zrozpaczona narzekała na to, jakie życie jest beznadziejne.

– Oj, mam – szlochała. – Nie masz pojęcia, jak to jest być mną. Wszyscy dokoła ciągle mi mówią, jakie słodkie i kochane są bliźniaczki. Całe życie wszyscy się nimi zachwycają, a mnie w ogóle nie zauważają. – I wtedy, obowiązkowo, zawodziła: – Oj, mam... czemu musiałaś urodzić bliźniaczki? Czemu nie mogłaś mieć *jednego* dziecka jak normalny człowiek?

Sookie próbowała się tłumaczyć.

– Przepraszam, kochanie. To nie było planowane. Po prostu się zdarzyło. Dla mnie to też była niespodzianka. To pierwsze bliźniaki z każdej strony rodziny. Zwyczajny fuks.

– No to mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa. Zrujnowałaś mi całe życie! Zawsze już będę jakimś paskudnym tłustym pulpetem z okropną cerą i nikt mnie nie zechce. – Jęczała tak bez

końca. Sookie starała się poświęcać Dee Dee szczególną uwagę i okazywać jej wiele cierpliwości, bo niestety to, co mówiła, było prawdą. Gdziekolwiek dziewczęta poszły, zwłaszcza gdy były młodsze, wszyscy skupiali uwagę na bliźniaczkach, a biedna Dee Dee stała z boku i słuchała tych ochów i achów wyrażających szczere zachwyty. Sookie pękało serce, kiedy widziała, jak Dee Dee cierpi. I dobrze ją rozumiała. Dorastając obok Lenore, sama zawsze się czuła jak szary wróbelek podskakujący niezdarnie w cieniu olbrzymiego kolorowego pawia.

* Panny Azaliowe (Azalea Trail Maidens) – grupa dziewcząt z Mobile, symbol południowej gościnności. W charakterystycznych barwnych sukniach są obecnie ozdobą różnych imprez. Powstanie grupy łączy się z zachęcaniem mieszkańców do uprawiania azalii (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

WTOREK

7 czerwca 2005

Następnego dnia Sookie obudziła się wcześniej gotowa rozwiązać problem z ptakami. Ledwie za Earle'em zamknęły się drzwi, w kuchni zadzwonił telefon. Kto może dzwonić o tej porze – zastanawiała się. Na pewno nie Lenore, bo była w drodze na hydroterapię w ośrodku dla seniorów. O Boże, niech to nie będzie Dee Dee z wiadomością, że sprowadza się z powrotem do domu. Sookie wiedziała, że Dee Dee znowu ma problemy w małżeństwie, a dzisiejszy horoskop ostrzegał, by „spodziewać się niespodziewanego”. Spojrzała na telefon z niepokojem i przeczytała numer na wyświetlaczu. To nie Dee Dee. Ten sam kierunkowy co wczoraj, pewnie ten sam telemarketer, więc nie odebrała. Nie miała teraz czasu na żadne rozmowy. Musiała się skupić na swoim planie karmienia ptaków, który nie był najprostszy w realizacji. Widziała już, jak te modrosójki potrafiły poradzić sobie z całym ziarnem w ciągu kilku minut, musiała więc działać bardzo szybko.

Opłukała naczynia ze śniadania i włożyła je do zmywarki, ale ten, kto dzwonił, nie dawał za wygraną, co stawało się już denerwujące. Kiedyś mieli automatyczną sekretarkę, ale Lenore traktowała ją jak mikrofon, do którego może mówić na każdy temat i o każdej porze, i nagrywała im piętnasto-, a nawet dwudziestominutowe wiadomości, czasem w środku nocy, więc musieli się tego urządzenia pozbyć.

Kiedy wyszła z kuchni, zaczęła rozważać, czy nasypać ziaren słonecznika od frontu czy z tyłu domu. Gdyby nasypała słonecznik od frontu, ktoś przejeżdżający ulicą mógłby ją zauważyć i zatrzymać się, żeby porozmawiać, a ona nie miała nawet sekundy do stracenia. Powodzenie całego przedsięwzięcia zależało od tego, jak długo modrosójki błękitne będą jadły ziarna, zanim odkryją pożywienie w drugim karmniku, i jak szybko uda jej się przebiec z jednego miejsca w drugie.

Jakie obuwie włożyć? Spojrzała na stopy i uznała, że nie powinna robić tego w klapkach, bo to zbyt niebezpieczne. Podeszła do szafy, lecz nie znalazła tam niczego odpowiedniego – niemal wszystkie jej buty miały niewielki obcas.

Ruszyła korytarzem do pokoju bliźniaczek i zaczęła grzebać w pudle z ich starymi butami.

Znalazła parę znoszonych różowych tenisówek z pomponami. Niestety były o dwa rozmiary za duże, ale i tak lepsze to niż bieganie w klapkach i skręcenie kostki.

Włożyła je i zawiązała jak najmocniej się dało, po czym poszła do szklarni, gdzie napełniła ziarnami dwa duże ceramiczne pojemniki w kropki: jeden słonecznikiem, a drugi mieszanką karmy dla ptaków. Wyszła i postawiła ten z mieszanymi ziarnami przy bocznej ścianie domu, by pochwycić go, gdy będzie biegła z tyłu na front. Następnie wróciła do szklarni, wzięła pojemnik ze słonecznikiem, nabrała w płuca powietrza i pobiegła na tył domu, gdzie w piorunującym tempie napełniła karmniki.

Kiedy skończyła, rzuciła pojemnik na ziemię i ruszyła biegiem przed dom. Po drodze chwyciła przygotowany wcześniej zapas mieszanki. Dobiegała właśnie do frontowej ściany, gdy wdepnęła w dziurę w ziemi i spadł jej z nogi lewy but. Nie mogła się zatrzymać, więc biegła dalej bez niego.

I oczywiście właśnie wtedy, kiedy wybiegła na podwórze od frontu, ulicą musiał przejeżdżać nowy pastor metodystów z żoną. Zobaczyli Sookie w jednym różowym bucie z pomponem, jak podskakując na jednej nodze, wsypywała ziarno z dużego kropkowanego pojemnika do karmnika dla ptaków. Zwolnili, gdyż zamierzali uprzejmie ją pozdrowić, ale na szczęście dla Sookie zmienili zdanie i szybko odjechali. Pochodzili ze Szkocji i nie wiedzieli, czy bieganie w jednym różowym bucie z pomponem i rozrzucanie ziaren z pojemnika w kropki ścisłanego pod pachą jest jakimś południowym rytuałem, ale nie mieli odwagi zapytać.

Netta Vep siedziała w szlafroku na ganku z boku domu i popijała poranną kawę, kiedy nagle zobaczyła Sookie z nakrapianym zasobnikiem, pędzącą przez podwórze niczym wicher i rozsypującą ziarno na wszystkie strony. „Co też, u diabła, ona wyprawia?” – pomyślała. Netta w całym swoim życiu nigdy nie widziała, by ktoś się tak spieszył z karmieniem ptaków.

Kiedy Sookie napełniła już wszystkie karmniki, wbiegła do domu i stanęła przy oknie w salonie. Chciała zobaczyć, czy małe ptaszki przylecą się pożywić. Czekiła, lecz nic się nie działo. Gdzie one są? Nigdzie w zasięgu wzroku nie było ani jednego ptaka. Pobiegła więc do okna w kuchni i zobaczyła modrosójki błękitne radośnie pożerające wszystkie ziarna słonecznika, podczas gdy jak zwykle mniejsze ptaszki trzepotały skrzydełkami w krzakach poniżej. No nie! Te maleństwa nie wiedzą, że od frontu czeka na nie pożywienie! O Boże, tego nie uwzględniła w swoich planach. Teraz nie wiedziała, co począć. Wybiegła na taras z tyłu i zaczęła machać rękami i krzyczeć na cały głos:

– Lećcie przed dom, ptaszki! Lećcie naokoło! Szybko, pośpieszcie się!

Ale jak tu się porozumieć z ptakami? To było takie frustrujące. Teraz nie dość, że małe

ptaszki nie dostały nic do jedzenia, to jeszcze te ziarna słonecznika jakby znęciły wszystkie modrosójki błękitne z całej okolicy i z każdą minutą zlatywało się ich coraz więcej.

Netta obserwowała ze swojego tarasu, jak jej sąsiadka podskakuje i wymachuje rękami niczym oszalała, i nie wiedziała, co o tym myśleć. Z pewnością było to dziwaczne zachowanie. Miała tylko nadzieję, że biedna Sookie nie zwariowała, chociaż w przypadku Simmonsów wszystko było możliwe.

Po chwili Sookie podbiegła znowu do okna w salonie, żeby sprawdzić, czy od frontu nie ma małych ptaszków. Tym razem zobaczyła przed domem całe stado dużych modrosójek, które łąpczywie zżerały ptasią karmę. Tego już było za wiele. Jedyne, co przyszło jej do głowy, to złapać stary kij baseballowy Cartera, wybiec i spróbować przegnać nim modrosójki. Nie chciała jednak, by ktoś powiadomił towarzystwo opieki nad zwierzętami o jej okrucieństwie, zwłaszcza że sama zasiadała w zarządzie tej organizacji. Jakby tego było mało, telefon znowu dzwonił jak oszalały. Ktokolwiek to był, musiał ją mieć wprowadzoną do systemu ponownego wybierania numeru. Poczuli się jak w pułapce pomiędzy modrosójkami błękitnymi a natarczywym telefonem, aż rozbolała ją głowa, więc w końcu podniosła słuchawkę.

– Halo!

Ktoś po przeciwnej stronie wydawał się zaskoczony tym, że się odezwała, i odezwał się dopiero po chwili wahania:

– O, dzień dobry! Mmm... z kim rozmawiam?

– A z kim chciał pan się połączyć? – zapytała Sookie, patrząc na kolejne trzy modrosójki lądujące w karmniku.

– Chciałbym się skontaktować z panią Earle’ową Poole młodszą.

– To ja. – Ledwie to powiedziała, zdała sobie sprawę, że to był błąd. Trzeba było udawać, że tylko tu sprząta, i powiedzieć, że pani Poole nie ma w domu. Teraz nie było już odwrotu. Gdy tak stała, obserwując, jak coraz więcej modrosójek zlatuje się do karmnika dla małych ptaszków, nagle przyszło jej do głowy, że w szafie jest stara wiatrówka Cartera, z której mogłaby oddać kilka strzałów, stojąc na tarasie i nie ryzykując, że ktoś ją zauważy.

Głos w słuchawce zadawał kolejne pytanie:

– Czy wcześniej nazywała się pani Sarah Jane Krackenberry?

– Tak, tak się nazywałam. – Strzelanie do niewinnych ptaszków nie było czymś, co przyszłoby jej łatwo, ale te sójki doprowadzały ją do szału, Denerwowało ją to, jak pomiały wszystkimi słabszymi.

– Czy pani matka nazywa się Simmons, drugie imię Marion, pierwsze imię Lenore?

– Zgadza się.

– Czy pani rodzina mieszkała w Brownsville w stanie Teksas w latach 1942–1945?

– Tak...

– Czy aktualny adres pocztowy pani Lenore Simmons Krackenberry to 526 Bay Street, Point Clear, Alabama?

– Tak, wszystkie jej listy i rachunki są przysyłane do mnie. – Sookie cały czas myślała o tym, czy powinna sięgnąć po starą wiatrówkę Cartera i próbować przegonić modrosójki, lecz w końcu uznała, że lepiej nie. Gdyby przypadkiem którąś raniła, nigdy by sobie tego nie darowała.

– Czy kod pocztowy to 36564?

Peek-a-Boo zaczęła się ocierać o jej nogi. Wtedy nagle naszła ją myśl: Może Peek-a-Boo chciałaby zjeść dużą tłustą modrosójkę błękitną na śniadanie? Gdyby tak wypuścić kota na podwórko... Z drugiej strony, gdyby kotka wybiegła i coś by jej się stało, Ce Ce by się załamała.

– Tak, tak. Zgadza się. Proszę mi wybaczyć. Jestem trochę rozkojarzona. Mam mały problem z ptakami. – Usiadła i ze słuchawką przy uchu zawiązała sznurowadło różowej tenisówki. Czowała tępy ból w prawej kostce. No nie. Już w chwili, kiedy wpadła w tę dziurę, wiedziała, że coś sobie naciągnęła. Miała tylko nadzieję, że kostka nie jest zwichnięta. Powinna jak najszybciej przyłożyć do niej lód, zanim spuchnie, ale najpierw musiała pozbyć się rozmówcy, oczywiście w uprzejmy sposób. – Przepraszam bardzo, ale chyba skręciłam sobie kostkę, więc muszę się rozłączyć.

– Rozumiem... mmm... pani Poole, jeszcze jedno... Czy będzie pani w domu jutro pomiędzy dziesiątą rano a dwunastą w południe?

– Słucham?

– Czy będzie pani jutro pod tym adresem?

– Chyba tak. Możliwe, że później pojedę do biura podróży. A czemu pan pyta?

– Wysyłamy list do pani Lenore Simmons Krackenberry i musimy się upewnić, czy będzie pani w domu, żeby potwierdzić odbiór.

Nagle przyszło jej do głowy, że ta rozmowa jest naprawdę dziwaczna. Po co temu mężczyźnie wiedzieć, gdzie ona będzie jutro i o której godzinie? Zaczęła coś podejrzewać. Może to jakiś zбочeniec albo włamywacz. Szybko więc powiedziała:

– Tak, będę w domu razem z mężem policjantem. Czy mogę zapytać, skąd pan dzwoni?

– Z Teksasu.

– Z Teksasu? A z jakiej miejscowości w Teksasie?

– Jestem w okolicach Austin.

– Austin w Teksasie?

– Tak. I, pani Poole, proszę pamiętać: list powinien przyjść na pani adres jutro między dziesiątą a dwunastą.

Teraz Sookie już w ogóle nie wiedziała, co myśleć. Po co ktoś z Teksasu wysyłałby list do Lenore?

– Czy to przesyłka z Sieci Zakupów Gem? Czy oni są w Teksasie? Może Lenore zamówiła nowe broszki? Mam nadzieję, że nie. Ma ich już ponad sto.

– Nie.

– Może od pani Barbary Bush? Moja matka uważa, że mają wiele wspólnego, i ciągle pisze do tej biednej kobiety i zaprasza ją z wizytą. Mówiłam jej: „Mamo, Barbara Bush jest zbyt zajęta, żeby przyjechać taki kawał tylko po to, żeby zjeść z tobą lunch”.

– Nie, to nie jest od pani Barbary Bush.

– Aha... no to może rachunek telefoniczny? Czy dzwoniła do kogoś i znowu prosiła o rozmowę na koszt odbiorcy? Jeśli tak, to z góry przepraszam. Mamy cudowną opiekunkę, która jej pilnuje, ale widocznie spuściła ją z oczu na kilka minut. W każdym razie bardzo przepraszam i proszę przekazać tej osobie, ktokolwiek to jest, że oczywiście zwrócimy wszystkie koszty.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem mężczyzna powiedział:

– Pani Poole, mamy list polecony, który wysyłamy w trybie z dnia na dzień i ja tylko muszę potwierdzić, że jutro będzie pod tym adresem ktoś, kto jest upoważniony do pokwitowania odbioru.

Serce Sookie zamarło. List polecony! Tylko nie to! To zawsze oznacza coś sądowego. Sookie aż się skrzywiła, zadając to straszliwe pytanie:

– Czy mówiąc „wysyłamy”, ma pan na myśli kancelarię prawną?

– Przepraszam, pani Poole, ale nie wolno mi udzielać takich informacji przez telefon.

O Boże, to musi być coś poważnego, skoro ten człowiek nie może nawet o tym rozmawiać.

– Przepraszam... Jak pan ma na imię?

– Harold.

– Proszę posłuchać, panie Haroldzie. Czy chodzi o jakiś list do redakcji? Mama ogląda wiadomości i tak się tym przejmuje, że potem się wymądrza na różne tematy. Ale niech mi

pan wierzy, nawet jeśli moja matka powypisywała masę gróźb pod adresem rządu albo powiedziała coś głupiego, to wcale nie znaczy, że jest niebezpieczna. Mogę pana zapewnić, że to całkiem nieszkodliwa starsza pani. No, nieszkodliwa w tym sensie, że nie jest uzbrojona i w ogóle... Po prostu nie wszystko z nią w porządku... rozumie mnie pan. To taka cecha rodzinna. Żeby to zrozumieć, trzeba znać Simmonsów. Wszyscy jesteśmy trochę... nie z tego świata. Nie ma pan pojęcia, ile kłopotów mamy z tą kobietą. Ma prawie osiemdziesiąt dziewięć lat i nie chce zamieszkać w domu opieki, nie zgadza się na wannę otwieraną z boku, a ja umieram ze strachu, że się kiedyś przewróci i złamie sobie staw biodrowy. – Westchnęła ciężko. – Przepraszam, że tak się uniosłam. To dlatego, że mój biedny mąż i ja dopiero co urządziliśmy cztery wesela, a do tego małe ptaszki nie chcą lecieć do karmnika od frontu. Mam już dość tych modrosójek i kolejna sprawa sądowa naprawdę nie byłaby mi na rękę. Moje nerwy już i bez tego są na wykończeniu. Nie może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

– Przykro mi. Nie jestem upoważniony do udzielania jakichkolwiek informacji przez telefon.

– Proszę, panie Haroldzie, niech pan nie każe się prosić. Nie zna mnie pan, ale naprawdę potrafię w jednej chwili stracić nad sobą panowanie. To właśnie to przekleństwo Simmonsów. Dopadło wuja z dnia na dzień. Jednego dnia prezes dużego banku, a już następnego wypłata koszyki w Przyjemnym Zakątku. A ciocia Lily czuła się świetnie i nagle, zupełnie bez powodu, strzeliła do gazeciarza. Dzięki Bogu nie trafiła, bo siedziałyby w więzieniu, a nie tam, gdzie jest teraz.

– Jak już mówiłem, pani Poole, jutro rano przyjdzie list.

– Oj, panie Haroldzie, nie może pan go otworzyć i mi odczytać? Nie muszę znać wszystkich szczegółów, tylko kwotę, której dotyczy pozew. Właśnie wykorzystaliśmy prawie wszystko, co mieliśmy na emeryturę, żeby spłacić dom dla naszej córki Le Le i jej męża. Jest całkiem w porządku, ale zarabia na życie graniem na cytrze.

– Hmm...

– No właśnie... my powiedzieliśmy to samo. Ale ona go kocha, więc co można poradzić? No, w każdym razie, jesteśmy zadłużeni po uszy. Nie może mi pan chociaż powiedzieć, o jaką kwotę chodzi, żebym mogła się przygotować? Nikomu nie powiem. Obiecuję.

– Przykro mi, ale nie mam prawa tego zrobić. Miałem za zadanie tylko potwierdzić aktualny adres i wysłać przesyłkę, to wszystko. To nawet nie jest mój wydział. Jestem tu tylko na zastępstwie.

– Aha, rozumiem. No to może pan chociaż rzuci okiem i powie mi, czy to więcej niż sto tysięcy dolarów?

Usłyszała jego ściszony głos – wyraźnie zakrył słuchawkę dłonią:

– Pani Poole, ja i moja żona właśnie wydaliśmy córkę za mąż, więc wiem, przez co pani przeszła. Niech się pani nie martwi, to nie pozew sądowy.

– Nie? Dzięki Bogu! Niech pana Bóg błogosławi. Nie wiem dlaczego, ale jeśli chodzi o mamę, zawsze zakładam, że to złe wieści, a tu patrzcie państwo, może nawet jakaś dobra wiadomość, mam rację?

Nie odpowiedział, więc Sookie nagle się rozpogodziła.

– Zaraz, niech pan poczeka. Może wygrała jakiś konkurs? Czy dzwoni pan z Publishers Clearing House? Czy mam ją tu jutro przyprowadzić wystrojoną, umalowaną i tak dalej? Muszę wiedzieć, bo będzie chciała iść do fryzjera. Będą robić zdjęcia? Będą dziennikarze?

– Nie.

– Oj... no tak... a nie może mi pan chociaż dać jakiejś podpowiedzi, czego się mogę spodziewać?

Po drugiej stronie zapadła cisza. Po dość długim milczeniu Harold rzekł:

– Pani Poole, mogę jedynie powiedzieć, że... jest pani kimś innym, niż pani myśli. – Po tych słowach szybko się rozłączył.

Sookie siedziała nieruchomo, wsłuchując się w te ostatnie słowa, które wciąż brzmiały jej w uszach. Teraz ktoś zaczął dobijać się do drzwi kuchennych. Sookie podniosła się i poczuła gwałtowny ból w kostce. Pokuśtykała jednak korytarzem i otworzyła drzwi. Stała w nich Netta w szlafroku i dziwnie się jej przyglądała.

– Cześć, kochana. Wszystko w porządku? Widziałam, jak biegałaś po podwórku, jakby coś się stało. Próbowałam dzwonić, ale telefon cały czas był zajęty. Zostawiłaś na zewnątrz jeden but. – Podła jej tenisówkę.

– Dziękuję ci, Netto.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, dobrze. Chciałam wypróbować nową metodę karmienia ptaków i wtedy zadzwonił facet w sprawie jakiegoś listu poleconego do Lenore. I chyba skręciłam sobie kostkę. Wejdz.

– Nie, nie mogę, jestem jeszcze w szlafroku. Wracam do siebie, ale gdybyś mnie potrzebowała, dzwoń.

*

Kilka sekund po wyjściu Netty Sookie wyjrzała przez okno, żeby sprawdzić, jak wygląda sytuacja z ptakami. Ku jej rozpaczy całe podwórze było teraz niebieskie od modrosójek. To

wyglądało tak, jakby prowadziła rezerwat modrosójki błękitnej. Tak bardzo pochłonęła ją rozmowa telefoniczna, że nawet nie zauważyła, czy małe ptaszki w ogóle zdołały się pożywić. A niech to! Będzie musiała jutro znowu spróbować.

Pokuśtykała do kuchni, owinęła kilka kostek lodu papierowym ręcznikiem i przyłożyła sobie do nogi. Gdy tak siedziała z Peek-a-Boo na kolanach, nie mogła przestać myśleć o tej rozmowie i o tym, co powiedział ten mężczyzna: „Jest pani kimś innym, niż pani myśli”. Nagle ją olśniło. To musiał być jakiś świadek Jehowy albo członek innej grupy religijnej. Oni zawsze roznosili ulotki z pytaniem „Czy wiesz, kim jesteś?” albo „Czy wiesz, kto jest twoim ojcem?”. Teraz poczuła się jak idiotka. Jakaż była głupia, że podała mu te wszystkie informacje o swojej rodzinie.

Z drugiej strony, znając swoją matkę, Sookie miała prawo podejrzewać, że to ktoś z firmy prowadzącej poszukiwania genealogiczne. Oni również używali w ogłoszeniach haseł typu: „Kim jesteś?” albo „Czy jesteś tym, kim myślisz?”

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że to Lenore znowu bada dzieje rodu Simmonsów. „Wiem, że jesteśmy spokrewnieni z rodziną królewską. Czuję to w kościach” – mawiała. Jak daleko Sookie sięgała pamięcią, matka wiecznie do tego wracała, lecz do tej pory niczego nie znalazła. Teraz udzieliło się to Dee Dee, która nawet zawiesiła herb rodowy nad kominkiem w swoim mieszkaniu.

W miarę jak czas mijał, Sookie powoli zaczęła się odprężyć i zapominać o odbytej rozmowie telefonicznej, wciąż jednak czuła pewien niepokój. To przez to słowo „polecony”. Nie lubiła dzwonić do Earle’a do pracy, lecz mimo wszystko wybrała jego numer. Zgłosiła się recepcjonistka.

– Gabinet doktora Poole’a, w czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, Sherry, to ja. Czy możesz poprosić mojego męża? Muszę mu zadać krótkie pytanie.

– Oczywiście. Proszę poczekać, zadzwonię do niego. A jak tam pani mama?

– Dobrze, dziękuję.

– To świetnie.

Niedługo potem odezwał się Earle.

– Cześć, coś się stało?

– Nie, wszystko w porządku. Ale muszę cię o coś zapytać.

– Kochanie, jestem w trakcie leczenia kanałowego.

– Wiem, wiem... to tylko minutka. Przed chwilą dzwonił jakiś facet z Teksasu

i powiedział, że wysłała list polecony do Lenore. Czy powinnam się martwić? Powiedział, że nie jest prawnikiem.

– No to nie.

– A jak myślisz, co to może być?

– Ojej, nie wiem. Pewnie jakaś oferta, propozycja sprzedaży albo zaproszenie do wstąpienia do jakiegoś klubu.

– Czyli nie powinnam się martwić?

– Nie, zapomnij o tym.

– Ale to list polecony.

– No to nie odbieraj.

– A to nie jest wbrew prawu?

– Nie. Powiedz Pete’owi, że tego nie chcesz. I tyle. Naprawdę muszę już kończyć. Zobaczymy się w domu.

– Earle, a może... nie otworzę drzwi.

– Dobrze.

– Ale wtedy chyba zostawi awizo i będzie próbował jeszcze raz to doręczyć?

– Złotko, rób, co chcesz. Nie otwieraj albo odbierz, a potem wyrzuć. To na pewno jakieś zawracanie głowy.

– Czyli mam się nie martwić?

– Tak.

– I nie muszę tego odebrać.

– Nie musisz. Zapomnij już o tym. Muszę iść. Kocham cię.

Sookie odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się. Earle zawsze potrafił poprawić jej humor. Nawet kostka zdawała się mniej boleć.

ŚRODA

8 czerwca 2005

Po przebudzeniu Sookie zaczęła planować sobie dzień. Postanowiła, że teraz nieco zmodyfikuje wczorajszy plan żywieniowy dla ptaków i wsypie ziarna słonecznika do co drugiego karmnika. Miała nadzieję, że drobne ptaszki zorientują się i zjedzą trochę swojej karmy, podczas gdy sójki będą się zajmowały słonecznikiem. Potem, po nakarmieniu ptaków, miała zamiar pojechać do biura podróży, żeby się dowiedzieć o wycieczki i rejsy statkiem. Drugi miesiąc miodowy. Cudownie! Buck ciągle jeździł z żoną na różne rejsy, więc poprzedniego dnia wieczorem zadzwoniła do bratowej do Karoliny Północnej z prośbą o radę. Bunny powiedziała jej, że teraz Praga jest „nowym Paryżem”, ale Sookie nie widziała jeszcze „starego” Paryża. Właściwie to do tej pory nigdzie nie wyjeżdżała, nie licząc wyjazdu do szkoły i wypraw do sklepu i z powrotem, więc gdziekolwiek Earle zechce jechać, ona i tak będzie zadowolona. Dziesięć po ósmej napełniła wszystkie karmniki i właśnie stała za domem w różowych tenisówkach, ukryta za drzewem, skąd przez lornetkę obserwowała ptaki, kiedy nagle ktoś klepnął ją w ramię. Podskoczyła jak oparzona. Był to Pete, listonosz.

– O Boże, Pete, ale mnie wystraszyłeś! – jęknęła.

Pete, wysoki chudy mężczyzna w szarych szortach, powiedział:

– Przepraszam. Pukałem do frontowych drzwi, ale nie otwierałaś. – Sięgnął do swojej torby. – Mam dla ciebie list polecony, ale najpierw muszę cię zapytać, czy jesteś pani Earle’owa Poole młodsza?

Sookie westchnęła. Pete przynosił jej pocztę od trzydziestu lat.

– Nie, jestem królową Rumunii. Pewnie, że to ja. Przecież wiesz, kim jestem.

Pete bardzo poważnie traktował swoją pracę.

– Tak, wiem, kim jesteś, ale to pismo urzędowe i muszę zapytać. Czy masz pełnomocnictwa, żeby podpisać odbiór w imieniu pani Krackenberry?

– Tak. Ale dlaczego przyszedłeś tak wcześnie? Zazwyczaj zaczynasz roznosić pocztę od drugiej strony molo.

– Racja, ale pomyślałem, że ten list może być ważny, i dlatego najpierw przyszedłem do ciebie. Musisz tylko podpisać, o tutaj.

– Ojej, Pete. Przykro mi, że zadałeś sobie tyle trudu, ale ja nie chcę tego podpisać.

Listonosz był kompletnie zbity z tropu.

– Ale... to list polecony.

– Wiem, ale Earle mówił, że nie muszę go odbierać, jeżeli nie chcę.

– No... niby... hmmm... Jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło... no więc chyba wypiszę pierwsze awizo i spróbuję przyjść jutro.

– Ale jutro też nie będę go chciała.

– Ale ja mam obowiązek podjąć trzy próby doręczenia listu.

– Pete, ja tego nie chcę. Nawet nie wiem, od kogo to jest.

– Hmm... to twoja decyzja. Ale chyba szkoda... ktoś na pewno zadał sobie dużo trudu i poniósł koszty, żebyś na pewno to dostała. I może to ważne... wygląda jak jakaś dokumentacja medyczna.

– Pete! Naprawdę nie chcę nic o tym wiedzieć. Teraz mam na głowie planowanie wakacji. Wiesz, że Earle i ja nie byliśmy nigdzie sami od 1970 roku? A czemu myślisz, że to dokumenty medyczne?

– Nadawcą jest Teksaski Urząd do spraw Zdrowia, więc uznałem, że to musi mieć coś wspólnego z informacjami medycznymi.

– Teksaski Urząd do spraw Zdrowia? A czego oni mogą chcieć?

– Nie wiem – odparł Pete, oglądając dużą kopertę. – Może ktoś kiedyś chorował w Teksasie albo był tam w szpitalu z jakiegoś powodu?

– Nie. Urodziłam się w Teksasie, ale...

– A widzisz. Może to jakiś zaległy rachunek za pobyt w szpitalu albo coś takiego.

– Nie wyobrażam sobie, żeby rachunek mógł być aż tak zaległy. Znałeś mojego tatę. Zawsze płacił rachunki na czas.

– Racja. Może to jakiś zwrot?

– Pięćdziesiąt dziewięć lat później? Nie sądzę.

– No to, jeśli jesteś pewna, że tego nie chcesz, zostawię ci awizo i przyjdę później.

– Dobrze. Dziękuję, Pete. Przepraszam.

Jak tylko Pete odszedł, Sookie wyjrzała na podwórze. Znowu było pełne modrosójek. W zasięgu wzroku ani jednego małego ptaszka. Jej plan najwyraźniej zawiódł – nie tylko niczego nie poprawiła, ale też możliwe, że pogorszyła sprawę. Nie mogłaby mieć pretensji do

tych małych ptaszków, gdyby się stąd wyniosły i nigdy nie wróciły. A było to tym smutniejsze, że to były jej pupilki, a nawet o tym nie wiedziały.

*

Później, gdy już siedziała w wannie, próbowała wyrzucić ten list z pamięci. Na próżno. Nie byłoby jej tak trudno, gdyby nie to, że Pete pomachał jej nim przed nosem i zdradził, kto jest nadawcą. Nie dawało jej to spokoju. I pomyśleć, że tego dnia miała zamiar tylko odpoczywać i zapomnieć o wszystkich problemach. Wiedziała, że ten list ma coś wspólnego z matką, ale co? Nie miała pojęcia. Czy Lenore chorowała albo była w szpitalu, kiedy mieszkała w Teksasie? Nigdy o tym nie opowiadała. Czyżby było coś, co jej matka przed nią ukrywa? Wszyscy zawsze mówili, że wygląda tak młodo i ładnie jak na swój wiek. Może zrobiła sobie w Teksasie lifting twarzy? Albo potrafiła kogoś i ta osoba trafiła do szpitala? Lenore była okropnym kierowcą i już niemal każdy w Point Clear miał okazję doświadczyć tego na własnej skórze. A może miała tam jakiś atak psychiczny, jak ciocia Lily, i trafiła do zakładu zamkniętego? Czy Lenore mogła przebywać w szpitalu psychiatrycznym? O Boże!

Nim się ubrała i umalowała, przeanalizowała w myślach wszystkie najczarniejsze scenariusze, jakie podsuwała jej wyobraźnia. Sama nie wiedziała, w jaki sposób znalazła się na poczcie z awizem w ręce, by odebrać list, z którym już po chwili wracała do domu. Nie zajrzała nawet do księgarni ani biura podróży. Przez całą drogę zerkała na kopertę leżącą na siedzeniu obok. Oczywiście, widniała na niej duża pieczęć Teksaskiego Urzędu do spraw Zdrowia i odcisk stempla z wielkim czarnym napisem: INFORMACJE POUFNE.

Earle wrócił do domu o piątej.

– Cześć, kochanie, już jestem!

– Cześć – powiedziała, i nie pozwalając mu nawet usiąść, dodała: – Earle, wiem, że to głupie, ale cały dzień z tym na ciebie czekałam. Możesz usiąść przy mnie, kiedy będę otwierała ten list?

– Jaki list?

– Ten polecony.

– Aha. Myślałem, że nie chciałaś go przyjąć.

– No tak... próbowałam... ale jakoś... Chciałam, żebyś tu był.

Uśmiechnął się do niej.

– No dobrze. Tylko zrobię sobie drinka i już do ciebie wracam.

Usiadła na sofie w salonie i czekała cierpliwie, aż mąż wróci i usiądzie na wprost niej.

– No to teraz otwieraj i zobaczymy, co tam mamy.

Sookie zaczerpnęła tchu, rozdarła kopertę i przeczytała list.

Do wiadomości: Pani Lenore Simmons Krackenberry

Do rąk: Pani Earle'owa Poole młodsza

526 Bay Street

Point Clear, AL 36564

Do naszego urzędu dotarły załączone dokumenty i w związku ze złożoną prośbą przesyłamy je na Pani aktualny adres.

H. Wilson

Załączona koperta miała znaczek pocztowy z Matamoros w Meksyku i była zaadresowana nierównym pismem przypominającym dziecięce kulfony. Sookie przeczytała znajdujący się wewnątrz list napisany tym samym charakterem pisma.

20 maja 2005

Droga Pani Krackenberry,

dzień dobry. Jestem córką Conchity Alvarez, która pracowała dla Pani w Brownsville w stanie Teksas podczas wojny. Z przykrością muszę poinformować, że Mama zmarła wiosną ubiegłego roku w wieku 85 lat. Przeglądając jej rzeczy, znaleźliśmy te dokumenty, które przechowywała dla Pani. Wyglądają na ważne i może będą Pani potrzebne. Nie wiem, gdzie Pani mieszka, więc wysyłam je z powrotem do urzędu, który je wydał, żeby oni je Pani przesłali. Moja Mama bardzo Panią lubiła. Mówiła, że jest Pani bardzo piękna.

Z poważaniem

Veronica Gonzales

– Ojej – westchnęła Sookie.

– Co?

– Kobieta, która pracowała dla mojej mamy w Teksasie, zmarła i jej córka znalazła jakieś stare papiery, które postanowiła zwrócić. To miło z jej strony.

– Jakie papiery?

– Nie wiem jeszcze. Zaraz zobaczę. – Sięgnęła po kolejny załączony dokument.

Gdy się ocknęła, leżała na podłodze, a Earle stał nad nią i wachlował ją gazetą.

– Już dobrze, kochanie... zemdląłeś. Odpręż się, oddychaj. Nic nie mów.

Na podłodze obok niej leżał list, który przed chwilą przeczytała.

8 października 1952

Szanowna Pani Krackenberry,

z powodu niedawnego zniesienia pewnych ograniczeń w Ustawie o ochronie informacji zdrowotnych o dzieciach i w odpowiedzi na Pani podanie z 6 stycznia 1949 roku obecnie możemy ujawnić fotokopię oryginalnego aktu urodzenia Pani córki, łącznie z wszystkimi informacjami zdrowotnymi o matce biologicznej, jakimi dysponujemy, do chwili adopcji z Teksaskiego Domu Dziecka. Mamy nadzieję, że te informacje pomogą Pani i pracownikom służby zdrowia w określeniu ryzyka zachorowań na choroby dziedziczne córki.

W razie jakichkolwiek pytań jesteśmy do dyspozycji.

Z poważaniem

Cathy Quijano

Dyrektor Urzędu do spraw Zdrowia

Załączniki:

Akt urodzenia

Dokumentacja medyczna

Dokumenty adopcyjne

Kilka minut później Earle pomógł Sookie położyć się na sofie i przyniósł jej wilgotny ręcznik. Leżała tak, usiłując zrozumieć, co przed chwilą przeczytała. Pamiętała jedynie słowo „adopcja”.

Earle wrócił z papierową torebką, do której kazał jej oddychać, i z kieliszkiem brandy.

– Proszę, kochanie, napij się trochę. – Z wyraźnym zatroskaniem poklepywał ją po dłoni.

– Czytałeś?

Skinął głową.

– Tak. Trzeba czasu, żeby się oswoić z taką wiadomością.

– Ale... co to znaczy?

Podniósł list i przeczytał jeszcze raz.

– No cóż... to znaczy to, co tu mówią. Najwyraźniej zostałeś adoptowany z... o, tutaj...

Teksaskiego Domu Dziecka... 31 lipca 1945 roku.

– Ale, Earle, to niemożliwe. To musi być jakaś pomyłka.

Earle spojrział ponownie na papiery i pokręcił głową.

– Nie, złotko... Nie sądzę. To wygląda na poważny dokument urzędowy, wszystkie informacje chyba się zgadzają.

– Ale to musi być pomyłka. Ja na pewno nie jestem adoptowana. Mam stopy Simmonsów i nos taty.

– Może jednak nie.

– Czemu? Co jeszcze tam piszą? Nie rozumiem.

– Kochana... oddychaj, a ja spojrzę na to jeszcze raz. – Siedział obok niej, czytając dokumenty, podczas gdy Sookie oddychała w papierową torbę. Nie podobał jej się wyraz jego twarzy.

– No i...? – zapytała między jednym a drugim wdechem.

Popatrzył na nią.

– Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć? To bardzo dużo informacji jak na jeden dzień.

– Tak, jestem pewna.

– Nie przeczytam ci już nic więcej, póki nie obiecasz, że się nie zdenerwujesz i znowu nie zemdlejesz.

– Obiecuję.

– A więc... twoja dokumentacja medyczna wygląda dobrze. Byłaś bardzo zdrowym dzieckiem.

– Co jeszcze?

Podniósł akt urodzenia.

– Z tego, co tu widać, wynika, że twoja matka nazywała się Fritzi Willinka... i na nazwisko miała... chyba Juraablalinskie. Jakoś tak.

– Co?

Wymówił to jeszcze raz.

– Dobry Boże! A cóż to za nazwisko?

– Mmm... zaraz. Jest... narodowość matki... polska.

– Co?

– Była Polką.

– Polką? Nawet nie znam żadnego Polaka.

– Poczekaj... tu jest... miejsce urodzenia matki... Pulaski, Wisconsin... 9 listopada 1918.

Religia matki: katolicka.

– Co? O mój Boże. A co tam jest o ojcu?

Earle zajrzał znów do dokumentu i powiedział cicho:

– Hmm... tutaj jest wzmianka „ojciec nieznany”.

– Nieznany? Jak może być nieznany? Co to znaczy?

– Nie jestem pewien. To może znaczyć wiele rzeczy. Może ona nie chciała podać albo... nie wiem.

Wtedy Sookie zawołała:

– O mój Boże, Earle... Jestem nieślubnym dzieckiem! Jestem Polką, katoliczką, i to z nieprawego łoża!

– Spokojnie... uspokój się. Tego nie wiemy. Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

– Ależ, Earle! Jeśli się ma męża, to on raczej nie jest nieznany, prawda? Czy ona chociaż dała mi jakieś imię?

– Moment... tak... tutaj. Po urodzeniu nazywałaś się Ginger Jaberwisnske, czy jak się to wymawia... urodziłaś się 14 października 1944 roku o godzinie 13.08, waga: 3900 gramów.

Sookie powoli podciągnęła się, by usiąść, i powiedziała:

– Earle, to się nie zgadza.

– Co?

– 1944 rok.

– Tak tutaj podają. 14 października 1944. Patrz... o tutaj... czarno na białym.

Sookie opadła na sofę porażona tą wiadomością.

– Earle, czy ty wiesz, co to znaczy?! O Boże! Mam sześćdziesiąt lat! Jestem starsza od ciebie! O Boże!

– To nic, kochanie, uspokój się, przecież to nic wielkiego.

– Nic wielkiego?! Nic wielkiego? Kłudzisz się spać, myśląc, że masz pięćdziesiąt dziewięć lat, a następnego dnia dowiadujesz się, że masz sześćdziesiąt! – Sookie czuła, jak krew powoli odpływa jej z twarzy. Earle zdążył ją złapać, zanim spadła z sofy i znowu uderzyła o podłogę.

Kilka minut później, kiedy już doszła do siebie i napiła się brandy, Sookie, która prawie nigdy w życiu nie przeklinała, spojrzała na Earle'a i powiedziała:

– I kim, do jasnej cholery, są ci Jerkalawinski?!

WŁAŚNIE, KIM ONI SĄ?!

Pulaski, Wisconsin

Stanisław Ludwik Jurdabralinski przybył do Chicago 5 stycznia 1909 roku. W pierwszych latach pobytu w Ameryce nosił beczki w miejscowym browarze, a w nocy uczył się angielskiego. Jakiś czas później dostał lepszą pracę przy budowie kolei biegnącej z Green Bay w stanie Wisconsin przez niewielkie miasteczko o nazwie Pulaski.

W tamtych czasach miejscowość ta była małą osadą polskich imigrantów, których przyciągał sprytny niemiecki właściciel ziemski. Kupiwszy ten teren, rozprowadzał broszury po okolicach zamieszkałych w głównej mierze przez Polaków w Chicago, Milwaukee i Pensylwanii w regionach górniczych, licząc na to, że sprzeda działki tym, którzy marzyli o stworzeniu w Ameryce „małej Polski” z polskimi kościołami i szkołami. Dla zachęty nawet nazwał miejscowość od nazwiska Kazimierza Pułaskiego, polskiego szlachcica, który walczył po stronie amerykańskich patriotów w wojnie o niepodległość. Kiedy pierwsi nowi właściciele ziem przybyli do osady, odkryli, że te kościoły i szkoły, o których była mowa w broszurze, dopiero trzeba zbudować, wzięli się więc do pracy i zagospodarowali teren.

W roku 1916 Stanisław Jurdabralinski przybył do Pulaskiego w grupie robotników kładących w okolicy tory kolejowe. Podczas pobytu w osadzie żywił się u sympatycznej polskiej pary, która miała osiemnastoletnią rudowłosą córkę. Po kilku tygodniach, kiedy budowa torów przesunęła się dalej, Stanisław nie odszedł wraz z innymi. Pozostał i osiedlił się w Pulaskim wraz ze świeżo poślubioną żoną Linką Marie.

Stanisław, który nigdy nie bał się ciężkiej pracy i chciał zarobić jak najwięcej, w dzień pracował w tartaku, a w nocy w fabryce puszek. Co niedziela po kościele uczył się, żeby uzyskać amerykańskie obywatelstwo. Siadywał w dzielonym z żoną maleńkim wynajętym pokoiku nad piekarnią Glinskiego i czytał Konstytucję i Deklarację Niepodległości. Chwilami się przy tym ożywiał i czytał na głos:

– Linko, posłuchaj tego: „życie, wolność i dążenie do szczęścia”. Wyobrażasz sobie, nasz kraj chce, żebyśmy byli szczęśliwi! I będziesz, zobaczysz. Jak tylko się dorobię, kupię ci futro.

Linka roześmiała się.

– Najpierw musimy kupić dom.

– A jak już będę miał obywatelstwo, będę mógł mówić, co zechcę, i nikt mnie nie aresztuje, i kupię dom, i nikt nigdy mi go nie odbierze.

Gdy tak perorował, Linka poprawiała jego angielszczyznę.

– Dobrze, zapamiętam... I mogę założyć własny biznes jak pan Sowinski. Oj, pomyśl tylko, Linko, od tej pory nasze dzieci będą Amerykanami. I nasze wnuki i ich dzieci.

Linka, od dwóch miesięcy w ciąży z ich pierwszym dzieckiem, powiedziała tylko:

– Ojej, Stanisławie... uspokój się i wracaj do nauki.

*

Kiedy nadszedł ten dzień, w którym w Green Bay odbywała się ceremonia przyznawania obywatelstwa USA, Stanisław wprost pękał z dumy. Zaraz po złożeniu przysięgi chwycił żonę za rękę i pobiegł z nią do budynku urzędu, żeby złożyć podanie o amerykański paszport.

– Po co ci paszport już teraz? Jeszcze długo nigdzie nie pojedziemy – powiedziała Linka, z trudem dotrzymując mu kroku.

– Wiem, ale kiedy pojedę do Polski, chcę, żeby wszyscy widzieli, jak długo jestem amerykańskim obywatelem.

Wkrótce potem otrzymał pocztą paszport z fotografią, na której uśmiechał się promiennie. Chodził po wszystkich znajomych i chwalił się nim przed każdym, kogo spotkał. Z przejęciem pokazywał rubrykę podającą wzrost i pytał: „Wiesz, kto jeszcze miał metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu? Abraham Lincoln”.

Kilka tygodni później Linka urodziła pierwsze dziecko, dziewczynkę z czarnymi kręconymi włoskami, której nadali imiona Fritzi Willinka Jurdabralinski. Od razu stała się dumą swojego ojca. Linka nie była zachwycona, gdy czasami po pracy wyjmował małą z łóżeczka i zabierał ze sobą do baru, żeby się nią pochwalić.

Dwa lata później przyszedł na świat ich syn, którego nazwali Wincenty Stanisław Zdzisław Jurdabralinski, a po roku Linka powiła bliźniaczki. Jedna z nich urodziła się kilka sekund przed północą 31 maja, a druga trzydzieści sekund później, 1 czerwca, więc pierwszą nazwali Gertrude May, a drugą Tula June. Po dwóch kolejnych latach w rodzinie pojawiła się najmłodsza córka, Sophie Marie.

Bliźniaczki i ich młodsza siostra miały rude włosy po matce, a Wincenty, którego nazywali Wink, był krępkim blondynem. Stanisław był dumny ze wszystkich dzieci, lecz

jego oczkiem w głowie pozostawała pierworodna Fritzi. Gdy miała pięć lat, sadzał ją sobie na ramiona i paradował z nią po głównej ulicy, pokazując wszystkim prawo własności działki, którą kupił za ciężko zarobione pieniądze.

– Patrz – mawiał. – Właściciel: Stanisław Jurdabralinski, dwa akry ziemi. No więc mam swoją ziemię... I co ty na to?

Ludzie w miasteczku lubili Stanisława. Był porządnym człowiekiem, zawsze skorym do pomocy, a przy tym pełnym pogody ducha.

Kilka lat później, dzięki pożyczce z banku i pomocy przyjaciół, zbudował piętrowy dom z cegły z dużą kuchnią i długim, przestronnym tarasem od frontu. Niedługo potem Linka, która była wspaniałą kucharką, zaczęła sprzedawać polskie wypieki i wędliny do stołówek i na duże uroczystości kościelne. Jednocześnie zajmowała się wychowywaniem dzieci. A nie było to łatwe. Zwłaszcza nad najstarszą, Fritzi, trudno było zapanować. Zawsze w ruchu, zawsze gdzieś biegła, podskakiwała, grała z chłopcami w piłkę, łąziła po drzewach, skakała z wysokich drabin, nigdy nie przepuściła okazji, by się popisać. Ojciec jednak widział w niej prawdziwego aniołka. Śmiał się, kiedy Linka opowiadała mu, jak Fritzi spędziła dzień. Nawet gdy zakonnice wezwały ich na rozmowę o tym, że Fritzi wdaje się na boisku w bójkę ze starszymi chłopcami, Stanisław jako dobry katolik wysłuchał ich co prawda, kiwając głową z powagą, lecz w żaden sposób nie skarcił córki. Co z tego, że była trochę niesforna? Miał przecucie, że ta dziewczynka któregoś dnia wszystkich zadziwi. Wiedział, że Linka liczy na to, iż jedna z dziewcząt zostanie zakonnicą, ale Stanisław był przekonany, że nie będzie to Fritzi.

TYMCZASEM ZNOWU W POINT CLEAR

Earle wciąż siedział z Sookie i starał się ją uspokoić, lecz nie bardzo mu się to udawało.

– Och, Earle... moje życie się skończyło. Nigdy już nie będę tą samą osobą.

– Kochanie...

– Nie jestem tym, kim myślałam, że jestem... i nigdy już nie będę.

– Wiem, że to ogromny szok. Dla mnie też. Ale spróbujmy spojrzeć na to z jaśniejszej strony.

– Z jakiej jaśniejszej strony?

– Na przykład czy chociaż trochę nie cieszy cię, że nie jesteś z Simmonsów?

– Nie, ani trochę! Jak byłam z Simmonsów, to przynajmniej wiedziałam, kim jestem i czym mam się przejmować. A teraz nie wiem, kim jestem, ani o co mam się martwić. Czuję się, jakbym została porwana przez UFO. – Nagle zabrakło jej tchu i położyła sobie rękę na piersiach. – O Boże... Umrę, nie wiedząc, kim jestem!

– Sookie, uspokój się. To nie zawał. Nic ci nie jest.

– Nie, Earle, właśnie, że coś mi jest... Jestem obca we własnym domu!

Earle znów kazał jej przez kilka minut oddychać do papierowej torby, przez co uspokoiła się trochę, lecz serce ciągle jej kołatało i wciąż kręciło jej się w głowie. Nagle chwyciła go za rękę.

– Oj, Earle, teraz, jak już wiesz, że ja to nie ja, czy przestaniesz mnie kochać?

– Nie! Jesteś moją żoną i kocham cię. Nadal będziesz tą samą cudowną osobą co zawsze. Nic się nie zmieniło.

– Jak możesz tak mówić? Wszystko się zmieniło. Jestem zupełnie kim innym, niż byłam jeszcze kilka minut temu.

– Nie, nie jesteś.

– Właśnie, że jestem! Wczoraj byłam metodystką z Południa o angielskich korzeniach, a dzisiaj jestem polską katoliczką, której ojciec jest nieznan.

– Kochanie, zastanów się. Gdybyś się o tym nie dowiedziała, czy nadal byłabyś tą samą

osobą?

– Ale się dowiedziałam... i teraz wiem, że ja to nie ja. Jak mogę znowu być tym samym człowiekiem? Przede wszystkim nigdy nie byłam sobą. I nie rozumiem, czemu ty przyjmujesz to tak spokojnie. Przez tyle lat byłeś moim mężem, a nawet nie wiesz, kim jestem ani kim byli moi rodzice.

– Ależ, moja droga, to nie ma znaczenia. To ciebie kocham, a nie twoich rodziców.

– Ale... co z dziećmi? Może jestem córką przestępcy albo seryjnego zabójcy. Tego nie wiesz. – Earle się roześmiał. – To nie jest śmieszne, Earle. Możesz się śmiać, ale to ja jestem tą z genami dwóch całkiem obcych osób. Wiem coś o DNA i to akurat ma znaczenie.

– Oj, złotko...

– Nie, naprawdę, jak byś ty się czuł, gdybyś nie wiedział, kim jesteś?

– Ale... przecież wiesz. Tutaj jest napisane, że jesteś córką Fritzi... nie mogę wymówić nazwiska... ale to była twoja matka.

– Tak, ale ja jej nie znam. Nie rozpoznałabym jej, gdybym na nią wpadła na ulicy. To mogłaby być na przykład Doris, która sprzedaje pomidory!

*

W końcu Earle'owi udało się zmusić Sookie do zjedzenia odrobiny gorącej zupy z tostem, choć przy tym posiłku cały czas szlochała i głośno wydmuchiwała nos.

– Nie mogę uwierzyć, że nie jestem z Simmonsów. Nic dziwnego, że nigdy nie byłam ładna.

– Sookie... jesteś bardzo ładna.

– Nie tak jak Lenore...

– Nie, inaczej... ale tak samo ładna, jeśli nie ładniejsza. Nie wiem, dlaczego nigdy mi nie wierzyłaś.

Ale Sookie go nie słuchała.

– Nie jestem nawet Krackenberry. Nic dziwnego, że nigdy nie byłam taka mądra jak Buck.

– Sookie, kochanie, przecież jesteś mądra.

– Nie, nie jestem. Oblewałam algebrę trzy lata z rzędu. Co to za mądrość?

Po kolacji Sookie długo jeszcze nie kładła się spać. Próbowwała czytać gazety, ale nie mogła się wyzbyć wrażenia, że oto nagle znalazła się w serialu *Strefa mroku* i doświadcza czegoś, co nie ma racjonalnego wyjaśnienia. To wszystko wydawało się takie nierealne.

Wiedziała, że niemowlę o dziwnym nazwisku wymienione w akcie urodzenia miało być nią, wciąż jednak nie mogła w to uwierzyć. Earle czuł się okropnie, cały czas wchodził i wychodził, pytał, jak jej pomóc, lecz ona niczego nie chciała.

Okolo trzeciej trzydzieści Earle wszedł do pokoju i zmusił ją, by się położyła. Jednak nawet gdy już zgasił światło, jej myśli wciąż galopowały z zawrotną prędkością. Powiadają, że w chwili śmierci całe życie przesuwa się człowiekowi przed oczami. Sookie podejrzewała, że właśnie to dzieje się teraz z nią. Jak tylko trochę się uspokoiła i miała wrażenie, że niedługo zaśnie, zaraz zjawiał się kolejny obraz, przypominający jej o tych wszystkich rzeczach, które robiła, pragnąc zadowolić matkę, starając się być taka, jaką według Lenore powinna być przedstawicielka rodu Simmonsów. Jej włosy zawsze były ciemnorude i proste i co rano, gdy Lenore próbowała je układać, patrzyła na nie z rozczarowaniem i wzdychała, mówiąc: „Ani trochę się nie kręca”. Przypomniały jej się te wszystkie godziny, które spędziła u fryzjera, robiąc okropnie śmierdzące trwałe i paląc sobie włosy, tak że powstawał z nich jeden wielki czerwony kłęb, byle tylko udobruchać matkę i nie dać się znowu obciąć na pazia. Przez całe życie miała na głowie albo rude afro, albo proste włosy obcięte na pazia.

Lenore też nie podobały się te włosy i przynajmniej raz w tygodniu, patrząc na nie, mówiła coś w rodzaju: „Oczywiście ja w twoim wieku miałam jaśniejszy odcień. Nie wiem, dlaczego twoje włosy tak ściemniały. Jako dziecko byłaś truskawkową blondynką”.

Sookie nawet próbowała farbować się na truskawkowy blond, ale uzyskała jedynie paskudny odcień różowego. Na początku szkoły średniej chodziła z różowymi włosami, na długo przed tym, zanim stało się to modne. I po co?

Nie, to musi być jakiś okropny sen, z którego obudzi się jutro rano i wszystko wróci do normy. To *nie może* być prawdą.

ŻYCIE TOCZY SIĘ DALEJ

Pulaski, Wisconsin

1928

Po pierwszej wojnie światowej sielskie życie amerykańskich miasteczek zaczęło się zmieniać, a sprawcą tego był człowiek, który nazywał się Henry Ford. Kiedy skonstruował samochód o nazwie Ford Model T, cała Ameryka wsiadła na cztery kółka i w miarę jak przybywało dobrych dróg i ulepszone były automobile, ludzie, którzy nigdy nie podróżowali dalej niż za opłotki własnej miejscowości, zaczęli się masowo przemieszczać. Nie nadążano z budową dróg, a przejażdżki samochodowe nagle stały się najnowszym krzykiem mody. Amerykanie byli potomkami pionierów, z wrodzoną żądzą przygód, i wkrótce zaczęli podróżować po całym kraju. Gdyby mogli zbudować drogi przez ocean, jeździliby pewnie aż do Europy.

W całym kraju zaczęły wyrastać nowe firmy świadczące usługi dla podróżnych: zajazdy, kempingi, hotele, motele i restauracje.

W 1920 roku na terenie Ameryki było piętnaście tysięcy stacji benzynowych, a w 1933 ich liczba wynosiła już sto siedemdziesiąt tysięcy.

Jasne było, że samochody to przyszłość, a co może być lepszym biznesem niż stacja benzynowa? Kompanie naftowe sprzedawały licencje franczyzowe na prawo i lewo. A Stanisław Jurdabralinski akurat dysponował działką, która idealnie nadawała się do tego celu. Tak więc zainwestował swoje oszczędności i kolejną pożyczkę z banku, by po ukończeniu dwutygodniowego kursu zarządzania stacją benzynową otrzymać uniform firmy Phillips 66 wraz z kapeluszem i czarną skórzaną muszką pod szyję i niedługo potem otworzyć w mieście Pulaski nowiusienką całodobową stację paliw.

W końcu Stanisław doczekał się własnej rodzinnej firmy, lecz kiedy przyszło do nadania jej nazwy, uznał, że Jurdabralinski Phillips 66 będzie za długie, więc nazwał ją Wink's Phillips 66 od imienia syna, który któregoś dnia miał przejąć po nim interes.

Pierwszego wieczora po otwarciu, kiedy nad stacją zaświeciła podświetlona szklana kula, cała rodzina długo jeszcze nie kładła się spać, obserwując jej blask w ciemnościach. Tatko, który

teraz miał sypiać na kanapie na tyłach stacji, włączał i wyłączał neonowy napis CZYNNIE CAŁĄ DOBĘ na frontowych drzwiach, by powiedzieć żonie i dzieciom dobranoc.

Od tej chwili ich życie koncentrowało się wokół stacji benzynowej przy domu. Radosne trąbienie samochodów osobowych i ciężarowych wjeżdżających na stację w dzień i w nocy oznaczało, że Tatko jest zajęty i że to dobrze. Wink i dziewczynki dorastali pośród zapachu benzyny, bawiąc się kołpakami, węzami do pompowania kół, starymi świecami zapłonowymi, oponami. Dla nich była to wspaniała rozrywka. Kiedy Fritzi miała jedenaście lat, a Wink dziewięć, umieli już wymienić koło, zatankować benzynę i wydać resztę przy kasie. Wkrótce Jurdabralińscy byli nazywani po prostu rodziną ze stacji benzynowej. W każdym miasteczku taka była. Albo miała się pojawić.

*

W 1936 roku, po tym, jak kilka lat wcześniej w kraj uderzył Wielki Kryzys, biznes podupadł, lecz Jurdabralińscy radzili sobie lepiej niż większość Amerykanów dzięki mleku i serom z sąsiednich gospodarstw oraz jajkom od kur, które Linka, zwana przez wszystkich pieszczotliwie Munia, hodowała na podwórku. A dzięki Winkowi, który wyrósł na dużego, silnego mężczyznę z zamiłowaniem do polowania i łowienia ryb, na stole zawsze było coś do jedzenia.

Stanisław zdobył kontrakt z samorządem lokalnym na serwis i zaopatrzenie w benzynę wszystkich pojazdów hrabstwa – wozów straży pożarnej, policji, pługów śnieżnych i wszystkich autobusów szkolnych – dlatego w tym trudnym czasie, kiedy stacje w całym kraju upadały, Wink's Phillipps 66 zdołała przetrwać.

Latem 1937 roku życie w domu Jurdabralińskich nie odzwierciedlało depresyjnych nastrojów panujących w kraju. Munia grała w Czwartkowej Żeńskiej Orkiestrze Akordeonowej, której próby odbywały się w salonie cztery razy w tygodniu. Młodsze dziewczęta wszystkie należały do szkolnej orkiestry, więc one także uczestniczyły w próbach, a oprócz tego niemal codziennie po południu dzieci Jurdabralińskich spotykały się z przyjaciółmi na obszernym poddaszu na drugim piętrze, gdzie w rogu stał duży gramofon. Tam słuchali muzyki i tańczyli albo grali w ping-ponga.

Fritzi i jej siostry były już w takim wieku, że wokół stacji kręciło się coraz więcej chłopców, którzy albo wysiadali na werandzie piętrowego ceglanego budynku obok, albo podchodzili bliżej przed dom.

Nawet Wink, chociaż nie udzielał się towarzysko, bo zawsze po szkole pomagał ojcu na stacji, miał swoje grono wielbicielek. Przyjeżdżały stłoczone w jednym samochodzie

i z chichotem przyglądały się, jak je obsługuje: myje szyby, pompuje opony, sprawdza poziom oleju, płynu w chłodnicy i naładowanie akumulatora. Zwykle wystarczyło im pieniędzy na parę litrów paliwa za kilkanaście centów, a czasem tylko na połowę tego. Jedną z dziewcząt, Angie Broukowski, młodsza od Winka, bywała na stacji częściej niż inni. Pożyczała samochód od ojca i przyjeżdżała z koleżankami nawet wtedy, gdy nie miała pieniędzy. Tatko mawiał, że opony pana Broukowskiego są sprawdzane najskrupulatniej w całym stanie Wisconsin.

Jednak w domu Jurdabralińskich największym magnesem przyciągającym zarówno chłopców, jak i dziewczęta była Fritzi. Właśnie skończyła szkołę średnią, a w ostatniej klasie została okrzyknięta najlepszą tancerką i sportsmenką, najsympatyczniejszą i najdowcipniejszą uczennicą – krótko mówiąc, dziewczyną z największymi szansami na sukces. Fritzi była zdecydowanie wyróżniającą się osobowością spośród uczniów szkoły średniej w Pulaskim. Tatko był z niej dumny, lecz Munia obawiała się, że jeśli Fritzi nie zwolni na chwilę, nigdy nie znajdzie sobie męża. Kiedy nie pływała, grała w kręgle lub jeździła na łyżwach albo biegała po ulicy, żeby zobaczyć, jak szybko jeżdżą niektóre samochody, a jeśli nie robiła tego wszystkiego, wówczas paliła papierosy. Munia znalazła w jej szufladzie do połowy wypaloną paczkę chesterfieldów. I jak zwykle, kiedy Tatko usłyszał, do czego zdolna jest jego córka, tylko wzruszył ramionami.

– To nowoczesna dziewczyna. One wszystkie palą.

Munia miała nadzieję, że jesienią, gdy Fritzi zacznie pracować w fabryce puszek, ustatkuje się i założy rodzinę z którymś z miejscowych chłopców, tak że nie trzeba będzie się o nią dłużej martwić. Już odmówiła nowennę i modliła się o to do Świętego Judy.

I CO TERAZ?

Point Clear, Alabama
czwartek, 9 czerwca 2005

Następnego dnia Earle przyniósł jej śniadanie do łóżka, usiadł obok i powiedział:

– Kochanie, czy chcesz, żebym odwołał pacjentów i zostałem dzisiaj z tobą w domu? Myślę, że nie powinnaś być teraz sama.

– Nie. Idź do pracy. Muszę to przemyśleć i postanowić, co dalej.

– Dobrze, jak chcesz... ale zadzwoń i daj mi znać, jak sobie radzisz.

Gdy wyszedł, Sookie zasnęła i spała jeszcze godzinę, lecz po przebudzeniu była tak załamana, że nie mogła wstać. Zadzwoiła do Netty, by jej powiedzieć, że ma grype, i poprosić o nakarmienie ptaków. Całe rano leżała w łóżku i płakała. Wiedziała, że musi o tym z kimś porozmawiać – z kimś, kto na pewno nie powie Lenore – więc w końcu zadzwoiła do swojej dawnej współlokatorki Dena Nordstrom. Dena odebrała od razu.

– Cześć Dena, tu Sookie.

– Sookie! Cześć...

– Dobrze, że jesteś w domu. Stało się coś strasznego.

– Jak to, coś z Earle'em?

– Nie.

– Z dziećmi?

– Nie.

– Twoja matka?

– Nie. Chodzi o mnie!

– Och, kochana, co się dzieje? Jesteś chora?

– Nie. – Pociągnęła nosem. – Jestem Polką!

– Co?

– Oj, to długa historia... ale... och, Dena... zadzwoił ktoś z Teksasu i powiedział, że nie jestem tym, kim myślę, że jestem, a ja wtedy myślałam, że wiem, kim jestem. Ale wczoraj

dostałam list i dowiedziałam się, że jestem adoptowana... że Lenore nie jest moją prawdziwą matką, a tatuś nie jest moim prawdziwym tatusiem. Ale to nie wszystko... jestem o rok starsza, niż myślałam. Nawet nie jestem spod znaku Lwa. Wyobrażasz sobie? Całe życie czytałam zły horoskop!

– Zaraz, zaraz... jesteś pewna?

– Tak, jestem pewna. Październik to Waga.

– Nie, nie... w sprawie tej adopcji.

– Tak, to wszystko jest na piśmie. Mam to przed sobą. Piszą tu, że 31 lipca 1945 pan Alton Krackenberry z żoną adoptowali dziewczynkę o imieniu Ginger... Jurdberlnske czy jakoś tak. No w każdym razie... to ja. Albo ktoś, kim miałam być. No i... moja matka urodziła się w Wisconsin, do tego pewnie jestem katoliczką. Wiesz, jak szybko oni chrzczą dzieci.

– O rany... ale historia... a co na to Lenore?

– Nie powiedziałam jej.

– Aha... a mówiłaś już dzieciom?

– Nie, ty jesteś oprócz Earle'a pierwszą osobą, która o tym wie. Jako żona psychiatry na pewno mnie rozumiesz. Czuję się taka zagubiona, zdradzona. Lenore wiedziała, że nie jestem jej prawdziwą córką, a zmuszała mnie do tych wszystkich rzeczy... i to bez podstaw. Zawsze czułam się przy niej gorsza, bo nie byłam taka jak ona! A teraz, dzięki niej, od szesnastego roku życia jestem członkinią Cór Konfederacji, a nawet nie pochodzę z Południa. Jestem Jankeską. W dodatku... Dena... to jest najgorsze – szłochała. – Nawet nie jestem Kappa!

– Co ty gadasz. Oczywiście, że jesteś Kappa.

– Nie, jestem oszustką. Nie mogę jechać na spotkanie Kappy. Będę musiała zrezygnować. Zostałam przyjęta tylko ze względu na Lenore. Muszę zwrócić swój znaczek i w ogóle...

– Oj, nie wygłupiaj się, Sookie, jesteś Kappa, bo wszyscy cię lubili. Pamiętasz, że przechodziłam z tobą przez rekrutację?

Sookie nie słuchała tych argumentów, tylko dalej biadoliła.

– O mój Boże. Nawet debiutowałam w klubie rekreacyjnym w Selmie, udając kogoś innego. Mówiłam Lenore, że nie chcę tego debiutu, ale ona się uparła i pozwoliła mi zrobić z siebie idiotkę. Co teraz sobie ludzie pomyślą, jak się dowiedzą, że nie jestem ani Krackenberry, ani Simmons... że jestem nieślubną jankeską polską sierotą?

– Czekaj. Dlaczego myślisz, że jesteś nieślubnym dzieckiem?

– Bo na moim akcie urodzenia jest informacja: ojciec nieznany.

– Sookie, dzisiaj już ludzie nie zwracają uwagi na takie rzeczy.

– Ale ja zwracam uwagę. Będę się czuła jak uzurpatorka, jak jakaś karierowiczka, która sięga po coś, co jej się nie należy. Oj, umarłabym ze wstydu. Patrząc na siebie w lustro i widząc, jak się czerwienię.

– Ale dlaczego, Sookie? Przecież nie zrobiłaś nic złego. Czego ty się wstydzisz?

– Znasz mnie. Zawsze się szczyliłam tym, że jestem uczciwa, mówię prawdę, a tu nagle się dowiaduję, że jestem oszustką... że całe moje życie było jednym wielkim kłamstwem. Nie będę mogła już chodzić z podniesioną głową. Na pewno potrzebuję jakiejś terapii. Pewnie mam teraz załamanie nerwowe. Czy Gerry jest w domu? Może przysłałby mi jakieś pigułki. Ile by to kosztowało?

– Oj, Sookie, to nie jest żadne załamanie nerwowe. Doznałaś szoku. To wszystko. Ja też jestem w szoku. To zrozumiałe, że jesteś przejęta. To znaczy... o mój Boże... kto by nie był? A co na to Earle?

– Och, stara się mnie pocieszać, ale wiesz co... powiem ci, kto najbardziej się przejmie tą wiadomością: Dee Dee. Zawsze biega na cmentarz nosić kwiaty na grób pradziadka Simmonsa i nagle się dowie, że to ktoś zupełnie obcy. O Boże! Nic dziwnego, że nie mam nosa Lenore. Nie mam też nosa tatusia. Mam zupełnie obcy nos. Nie wiem, dlaczego myślałam, że jestem podobna do ojca. Wczoraj oglądałam stare zdjęcia i naprawdę ani trochę nie przypominam żadnego z nich. Nie odziedziczyłam stóp Simmonsów. Mam stopy Jaberwisnskich!

– No i co teraz zrobisz?

– Nie wiem. Nic już nie wiem. Czuję się, jakbym straciła grunt pod nogami. Co mogę zrobić w tym wieku? Powinnam się o tym dowiedzieć, kiedy miałam sześć, a nie sześćdziesiąt lat. Ci wszyscy Polacy, z którymi jestem spokrewniona, pewnie już teraz nie żyją. Jak można było nazwać dziecko Ginger? Mieliśmy golden retrievera o imieniu Ginger. Tak czy siak, to wszystko mnie przerasta.

– Wiem, wiem. Ale zawsze mówiłaś, że nie chcesz być taka jak twoja matka, no i okazuje się, że naprawdę nie jesteś. To w jakiś sposób dobra wiadomość, nie?

– Earle też tak mówi. I może to prawda, ale teraz czuję się, jakby rozjechał mnie pociąg. Czemu nie mogę być o rok młodsza? Wczoraj miałam dopiero pięćdziesiąt dziewięć lat, a dzisiaj już mam sześćdziesiąt, i to skończone! To dlatego wyglądam tak staro. Bo jestem stara! Jestem najstarszą żyjącą sierotą na świecie! Jakie to żałosne. Jakbym szła po molo, nie zauważyła, że się kończy, i spadła.

– Sookie, chcesz, żebym do ciebie przyjechała? Jeśli tak, to tylko powiedz. Przyjadę.

– To bardzo miłe, ale nie, nikt nic nie może zrobić. Będę musiała sama się z tym uporać.

- No dobrze, ale tymczasem nie zrób nic głupiego.
- Przecież muszę jeszcze ożenić i urządzić Cartera, zanim zrobię coś głupiego.
- Sookie, kochana, bardzo trudno samemu poradzić sobie z czymś takim. Może powinnaś poszukać jakiegoś specjalisty, żeby pomógł ci przez to przejść.
- No, ty masz szczęście, bo wysłałaś za psychiatrę. A ja za dentystę.
- Chcesz, żebym poprosiła Gerry’ego, żeby ci kogoś znalazł?
- Nie. To nie jest coś, o czym mogłabym rozmawiać z kimś obcym.
- Ale Sookie... właśnie o to chodzi.
- Cóż, pomyślę o tym, ale teraz nie chcę nikomu mówić, oprócz ciebie.
- Dobrze, ale zadzwonisz i powiesz mi, co się dzieje. Obiecujesz?
- Obiecuję.

Po odłożeniu słuchawki Dena zastanawiała się, czy po prostu nie wsiąść w najbliższy samolot do Alabamy, ale Sookie twierdziła, że chce sama sobie z tym poradzić, i może miała rację. Dena znała Lenore i zawsze była pod jej dużym wrażeniem, ale też w pewien sposób współczuła Sookie. Zdawała sobie sprawę, że wiadomość o adopcji będzie dla niej trudna do zaakceptowania. Niezależnie od tego, jak wiele razy Dena powtarzała jej, że jest wspaniałą kobietą, Sookie nigdy w to nie wierzyła. Była jedną z najsympatyczniejszych i najbardziej lubianych dziewcząt w kampusie, ale zupełnie tego nie dostrzegała. Wszyscy zdawali się kochać Sookie oprócz niej samej.

*

Po rozmowie z Deną Sookie przypomniała sobie o nakarmieniu Peek-a-Boo, więc wstała z łóżka i zeszła na dół. Otwierając puszkę tuńczyka, myślała o tym, co radziła jej Dena. Prawdopodobnie miała rację, ale w Point Clear był tylko jeden psychiatra, i to taki, który najwyraźniej nigdy wcześniej nie prowadził praktyki w małym miasteczku. Otworzył gabinet przy samym salonie piękności, tak że nie dało się tam wejść ani wyjść z zachowaniem choćby minimum dyskrecji. Nie mogła do niego iść, bo nie minęłoby pięć minut, a wiedziałoby o tym całe miasto.

Nawet Mobile nie było wystarczająco daleko, gdyż znajomości Lenore sięgały aż tam. W tym czy innym momencie Skrzydlata Nike była przewodniczącą niemal każdego komitetu, jaki tylko istniał, a do tego była urodzoną organizatorką zrzeszeń i klubów. Jeśli nie istniał taki klub, który by jej odpowiadał, zakładała go i zawsze była wybierana na prezeskę. Netta kiedyś zauważyła: „Lenore jest naprawdę dobra w zarządzaniu, więc czemu nie?”. Oczywiście miała

rację. Lenore miała dowodzenie innymi we krwi.

Przez resztę dnia Sookie co chwila spoglądała w lustro. Wiedziała, że z zewnątrz wygląda tak samo. Że rusza się i mówi jak dawniej. Nie umiała jednak stwierdzić, kim, a raczej jaka jest wewnątrz.

W końcu zadzwoniła do Earle'a. Odebrał natychmiast.

– Earle, dzwoni mi w uszach. Czy to znaczy, że będę miała wylew? Bo coś mi się zdaje, że tak.

– Nie, kochanie, to tylko stres.

– Może, ale serce mi tak galopuje... może to jakiś atak. Powinnam wezwać karetkę?

– Nie, nic ci nie jest. Tylko oddychaj głęboko. Słuchaj, mój ostatni pacjent odwołał wizytę, przyjadę, jak tylko będę mógł.

Oczywiście ucieszyła się, gdy zobaczyła go w drzwiach. Później zrobiła jeszcze kolację, ale cały czas czuła się skołowana. Earle jej nie odstępował.

Kiedy się już położyli, próbowała zasnąć, lecz przez całą noc tylko obracała się z boku na bok. Nawet Peek-a-Boo miała już tego dość i przeniosła się na tę połowę łóżka, na której spał Earle. Sookie jednak nic nie mogła na to poradzić. Nie potrafiła myśleć o niczym innym, tylko o osobie, którą kiedyś była... o kobiecie z lustra.

W końcu Earle się obrócił i powiedział:

– Kochanie, jest już czwarta dwadzieścia. Zamknij oczy i postaraj się trochę przespać.

– Wiem, wiem, ale, Earle, jesteś pewien, że to nie zawał? Cały czas słyszę, jak łomocze mi serce. Czujesz? Może powinnam jechać na pogotowie?

Earle położył jej rękę na sercu, a potem poklepał ją po dłoni.

– Nie, skarbie, to tylko niepokój. Spróbuj się przespać, a poczujesz się lepiej. Obiecuję.

Miał rację. Po kilku minutach serce się uspokoiło. Jak to dobrze, że wyszła za mąż za Earle'a. Był dla niej źródłem siły i prawdziwą opoką w dobrych i złych chwilach. Ale dla Lenore to było za mało.

Oceny Sookie na świadectwie ukończenia szkoły średniej nie były tak dobre, by dostać się do najlepszej uczelni, jak tego chciała Lenore. Ta jednak się nie zrażała. W ostatniej chwili poruszyła swoje kontakty wśród przyjaciółek ze stowarzyszenia studentek Kappa i dwa tygodnie później Sookie została wysłana na Southern Methodist University w Dallas z zestawem nowych ubrań i karteczką w kieszeni:

Sookie, kochanie!

Jeśli nie możesz być mądra, bądź pewna siebie. Mężczyźni kochają wesole,

towarzyskie dziewczęta, więc bywaj na imprezach i spotykaj się z chłopcami. Po prostu randkuj, randkuj, randkuj!

Kochająca Mama

Jak tylko znalazła się na SMU, przystąpiła do rekrutacji do stowarzyszenia i dzięki temu, że była córką Lenore, dostała się od razu. Zgodnie z instrukcjami matki uczestniczyła niemal we wszystkim, co działo się w kampusie. Bóg jeden wie, że spotykała się z chłopcami rano, w południe i wieczorem. Na drugim roku czuła, że brak jej już sił, by cały czas zabiegać o popularność. Na domiar złego na najładniejszą studentkę wybrano Denę Nordstrom. Lenore skwitowała to, mówiąc z westchnieniem: „Oj, Sookie, czemu nie możesz być jak Dena? Zobaczysz, że ta dziewczyna daleko zajdzie”. Tak jak Lenore przewidziała, Dena szybko skończyła studia i została jedną z pierwszych prezenterek telewizyjnych, podczas gdy Sookie wciąż z trudem zdobywała zaliczenia.

W Boże Narodzenie na ostatnim roku studiów przyjechała do domu znerwicowana i kompletnie wyczerpana. A dwa tygodnie później, kiedy poinformowała rodziców, że chce poślubić Earle’a Poole’a juniora z Selmy, Lenore wpadła w szal.

Poole’owie byli bardzo sympatyczną rodziną. Ojciec Earle’a był lekarzem. Niestety jednak wszyscy mężczyźni w tej rodzinie mieli odstające uszy.

– Jeśli już nie zależy ci na mnie, to pomyśl o swojej przyszłości. – Lenore szlochała, wymachując chusteczką. – Takie uszy może i uchodzą u chłopców, ale na Boga, Sookie, pomyśl o dziewczynkach! Czegóż takiego nie da się ukryć! Całe życie czekałam na wnuczki, żebym je mogła ubierać i kazać je portretować, a już na pewno nie będę chciała uszu Poole’ów na portrecie! – Rzuciła się na sofę i rozłożyła ramiona, zawodząc: – Nie rozumiem cię. Z twoim pochodzeniem mogłabyś wyjść za każdego, kogo byś tylko zechciała. Sprzedałam własną duszę, żeby cię wprowadzić do Kappy, byś mogła poznać najprzystojniejszych chłopców z najlepszych rodzin, a ty mi tak odpłacasz? Wychodząc za Earle’a Poole’a juniora? Jakiegoś studenta stomatologii z odstającymi uszami? Kogoś, z kim chodziłaś do szkoły? Po co twój ojciec i ja zawracaliśmy sobie głowę i wydawaliśmy te wszystkie pieniądze na twój debiut w kręgach towarzyskich i na studia? Kiedy pomyślę o tych wszystkich zmarnowanych znajomościach... no nie, nie zniosę tego. Mam ochotę zerwać ze ściany miecz dziadka Simmonsa i wbić go sobie w pierś! – Zazwyczaj w tym momencie Sookie ustępowała, ale może dlatego, że była chora i nadal miała gorączkę, po raz pierwszy w życiu zaczęła bronić swojego zdania:

– Mamo, wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale nie mogłabym wyjść za każdego, kogo

bym zechciała. Nie sądzisz, że próbowałam znaleźć kogoś, kogo ty byś akceptowała? Spotykałam się z każdym, kto tylko mnie zaprosił. Miewałam po sześć randek dziennie. Wiesz, jak trudno jest być pewną siebie sześć razy dziennie? Nie jestem taka ładna jak ty. Chłopcy nie zakochują się we mnie tak jak w tobie. Nie mam już na to sił. Earle kocha mnie taką, jaka jestem, i owszem, nie jesteśmy idealni. On ma odstające uszy, a ja nie jestem mądra ani piękna. Jeśli nie możesz tego znieść, przyniosę ci ten miecz i możesz z nim zrobić, co chcesz. Ale ja i tak poślubię Earle'a Poole'a juniora.

Lenore wprost oniemiała z wrażenia. Nagła demonstracja siły córki wprowadziła ją w takie osłupienie, że przez dłuższą chwilę wpatrywała się w nią w milczeniu. Potem usiadła prosto i powiedziała:

– No to widzę, że z każdym dniem coraz bardziej upodabniasz się do ojca. – Pociągnęła nosem z rozpaczą. – Ten upór na pewno nie jest cechą rodziny z mojej strony. Skoro nie chcesz posłuchać głosu rozsądku, to ja już nic nie mogę zrobić, ale jak urodzisz jakiegoś potworka, nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Sookie wyszła za Earle'a, lecz nawet wtedy Lenore nie przestała utyskiwać. Kiedy urodziła się Dee Dee, ich pierwsza córka, Sookie akurat wieziono korytarzem, gdy Lenore, stojąc za szybą sali noworodków, krzyknęła na całe gardło:

– O mój Boże, Alton, ona ma uszy Poole'ów! Wiedziałam! Wiedziałam, że tak będzie!

Pech chciał, że Poole'owie, którzy byli wtedy w poczekalni za rogiem, też to słyszeli. Od tej pory uroczystości rodzinne już nigdy nie przebiegały w miłej atmosferze.

Kiedy powiedziała matce, że znowu spodziewa się dziecka, reakcja Lenore była daleka od entuzjazmu.

– O nie. – Westchnęła. – Cóż, miejmy nadzieję i módlmy się, żeby to był chłopiec.

Osiem miesięcy później, kiedy wieziono Sookie z porodówki, wyczerpaną i oszołomioną tym, że urodziła nie jedno, lecz dwoje dzieci, i to znowu dziewczynki, Lenore podeszła do wózka i szepnęła jej do ucha:

– Nie chcę, żebyś się martwiła. Rozejrzałam się trochę i okazuje się, że moja przyjaciółka Pearl Jeff zna wspaniałego chirurga plastycznego w Nowym Orleanie. Mówi, że to bardzo prosty zabieg i nikt nie zauważy różnicy.

Boże... Gdyby Earle się nie wtrącił i jej nie powstrzymał, możliwe, że pozwoliłaby Lenore poddać dzieci operacji plastycznej!

Co do Earle'a, kochał się w Sookie już w podstawówce i nawet trochę się spotykali w szkole średniej, ale wiedział, że jego skromna osoba oczekiwań jej matki nigdy nie spełni. Kiedy więc Sookie wyjechała na studia, w zasadzie zrezygnował.

Ale w to Boże Narodzenie w 1966 roku, kiedy usłyszał, że wróciła do domu na święta i leży chora w łóżku, wykrzesał z siebie całą odwagę i poszedł ją odwiedzić. Lenore otworzyła mu drzwi i niechętnie wpuściła go do środka.

– Ale nie zasiedź się, Earle, ona musi odpoczywać.

– Dobrze, proszę pani.

Sookie leżała w łóżku podparta poduchami, cały dzień na przemian przysypiając i budząc się, gdy nagle usłyszała pukanie do drzwi. Chwilę później stał w nich Earle Poole junior w niebieskim garniturze, z bukietem kwiatów i bombonierką pod pachą.

– Cześć, Sookie – powiedział. – Usłyszałem, że przyjechałaś, i wpadłem cię zobaczyć.

Na jego widok Sookie nagle się rozplakała. Wyglądał tak niezdarnie z muszką pod szyją i źle przystrzyżonymi włosami. Zawsze lubiła Earle'a, ale dopiero w tym momencie zaczęła go kochać.

POINT CLEAR, ALABAMA

piątek, 10 czerwca 2005

Następnego dnia rano, gdy Sookie karmiła Peek-a-Boo, zadzwonił telefon. Omal nie podskoczyła pod sam sufit. Spojrzała na numer, żeby sprawdzić, czy to nie Lenore. Gdyby tak było, nie odebrałaby, ale zobaczyła, że dzwoni Ce Ce, która wyjechała w podróż poślubną do Callaway Gardens w Pine Mountains w stanie Georgia.

– Cześć, kochanie – powiedziała tak pogodnym tonem, na jaki tylko było ją stać.

– Cześć, mamó, co słychać?

– Wszystko w porządku.

– Dzwonię, żeby powiedzieć, że dotarliśmy szczęśliwie i jest tu cudownie. A jak się miewa tata?

– Świetnie.

– Czy Peek-a-Boo nie sprawia wam kłopotów?

– Nie, wcale. Jest tu ze mną, je śniadanie i dobrze się razem bawimy.

– No to świetnie. Pa, mamó. Pozdrów tatę.

– Dobrze. Kochamy cię. Baw się dobrze, do zobaczenia po powrocie.

Kiedy odłożyła słuchawkę, zdała sobie sprawę, że w pewnym momencie będzie musiała powiedzieć dzieciom, że ich babcia właściwie nie jest ich babcią. Ale to na pewno nie jest informacja, którą przekazuje się komuś, kto jest w podróży poślubnej.

Po południu wzięła lornetkę na górę i czekała, aż zobaczy Lenore idącą na koniec mołu z wózkiem do podawania potraw. Jak zwykle o tej porze Lenore zamierzała popijać koktajle z przyjaciółkami z Klubu Zachodzącego Słońca. Wtedy Sookie zadzwoniła do Angel i powiedziała, że właśnie dopadła ją straszna grypa, która zdaniem lekarza jest bardzo zaraźliwa, a dla starszych osób może być wręcz śmiertelna, i że w związku z tym nie może zbliżyć się do matki przez co najmniej dwa tygodnie. Okropnie się czuła, okłamując Angel, ale w ogóle jej nie zależało, by kiedykolwiek jeszcze zobaczyć Lenore albo z nią porozmawiać.

Już samo obserwowanie jej z daleka burzyło Sookie krew w żyłach. Najchętniej zeszlaby

na dół, wyjęła butelkę wódki i wypła wszystko duszkiem. Myślała już o tym i wydało jej się to bardzo kuszące, ale bała się, że zupełnie straci nad sobą kontrolę i przyniesie wstyd mężowi i dzieciom. Niestety miała skłonności do rozklejania się pod wpływem stresu i robienia wtedy różnych głupot. Na swoim balu debiutantek była tak zdenerwowana, że wypła o wiele za dużo i podczas oficjalnej kolacji zaczęła bawić się łyżeczką i strzelać z niej jak z procy. W końcu obryzgała lodami dobrą znajomą matki. Tego samego wieczoru poślizgnęła się na oliwce i przejechała się po parkiecie, aż wylądowała pod czyims stolikiem.

Nie tylko alkohol tak na nią działał. Na studiach czuła się kiedyś podle, bo jakiś chłopak nie zaprosił jej na wielkie przyjęcie w bractwie studentów, i zjadła wtedy kilkanaście pączków, które zwędziła ze spizarni w siedzibie Kappy. Gdy jej współlokatorka wróciła z randki, zastała ją w łóżku nieprzytomną z nadgryzionym pączkiem wplątany we włosy.

Zresztą, zawsze była podatna na wypadki. Na własnym ślubie, idąc środkiem kościoła, nadepnęła sobie na długi welon; o ile wiedziała, była też jedyną osobą, która złamała nogę, spadając z nieruchomej karuzeli. Skąd Lenore w ogóle wzięła pomysł, żeby uczyć ją baletu, pozostawało dla niej niepojęte.

Gdy Sookie tak siedziała, głaszcząc Peek-a-Boo, nagle uświadomiła sobie, że przez tyle lat źle się czuła we własnej skórze, a możliwe, że to wcale nie była jej wina! Może Polacy wcale nie są dobrymi tancerzami.

*

Earle był niemal tak samo zaskoczony tą wiadomością jak Sookie, ale następnego dnia w drodze do pracy ni stąd, ni zowąd przypomniła mu się rozmowa, którą dawno temu odbył z ojcem żony. Teraz, sięgając myślami wstecz, zastanawiał się, czy pan Krackenberry nie próbował wówczas w zawołowany sposób dać mu do zrozumienia, że Sookie została adoptowana.

Tego dnia Earle ze swoim przyszłym teściem wymknęli się z wytwornego przyjęcia wydanego na cześć narzeczonych w klubie rekreacyjnym, żeby zapalić na dziedzińcu na tyłach, z którego rozciągał się widok na pole golfowe. Gdy tak stali tam, słuchając świerszczy, widać było, że pan Krackenberry, wysoki mężczyzna o dystyngowanym wyglądzie, współczuje swojemu przyszłemu zięciowi. Widział, że Earle śmiertelnie boi się jego żony, lecz doceniał to, że chłopak jeszcze nie uciekł, mimo że Lenore okazywała mu swoją dezaprobatę i wciąż wpatrywała się w jego uszy. Po długim milczeniu pan Krackenberry chrząknął i powiedział:

– Earle.

– Tak?

– Ty i Sookie zdecydowaliście się na ważny krok. Ale zanim go zrobicie, powinieneś coś o niej wiedzieć.

– O Sookie?

– Tak... to może mieć wpływ na to, co czujesz. Earle zaczerpnął tchu i stanął twarzą do niego.

– Z całym szacunkiem... wiem, że jej matka mnie nie akceptuje, ale cokolwiek powie mi pan o Sookie, zamiaru i tak nie zmienię. Kocham ją i zamierzam ją poślubić.

– Cieszę się, że to słyszę, synu... ale... jak by to powiedzieć? Znasz stare powiedzenie: „Jeśli chcesz wiedzieć, jak będzie wyglądała twoja żona za dwadzieścia lat, spójrz na jej matkę”?

– Owszem, słyszałem... ale mimo to ją kocham. Bez urazy...

– Nie, nie, nie gniewam się. I zakładam, że wiesz, że moja żona ma brata i siostrę w Przyjemnym Zakątku i znasz całą historię rodziny.

– Tak, Sookie mi mówiła.

– I... w takim razie mógłbyś naturalnie mieć pewne obawy... co do Sookie i jej przyszłych dzieci. Ale na twoim miejscu... nie martwiłbym się o to.

– Nie martwię się. A czemu?

– Ufasz mi, synu?

– Tak.

– I dasz mi słowo dżentelmena, że ta rozmowa pozostanie między nami... zwłaszcza nie dowie się o tym matka Sookie?

– Daję słowo.

– W takim razie... nie pytaj, skąd wiem, ale masz moje słowo, że Sookie jest zupełnie inna niż jej matka i wszyscy Simmonsowie. Rozumiesz?

– Tak, chyba tak. To rzeczywiście ulga.

– Też tak uważam.

– Bez urazy, proszę pana.

Pan Krackenberry roześmiał się.

– Ależ nie mam do ciebie pretensji. Wiem, że Lenore może ci się czasami wydawać trochę dziwna, ale coś ci powiem, synu... dla mnie to wciąż najpiękniejsza kobieta na świecie. Nie nudziłem się z nią ani jednego dnia, odkąd ją poznałem.

W tej chwili na taras wychyliła się Lenore, cała zaaferowana, ciągnąc za sobą smugę

powiewających szaliczków.

– Altonie – krzyknęła – gdzie jesteś?! Ach, tutaj. Jesteś nam potrzebny. Tragedia! Pierścionek wpadł mi do ponczu! Oby tylko nikt go nie połknął! Należał do prababci! Pospiesz się!

Pan Krackenberry spojrzał na Earle'a, mówiąc:

– Teraz rozumiesz? – i podwinąwszy rękawy, ruszył za żoną do środka.

To dziwne, ale jakimś sposobem Earle po tej rozmowie nie martwił się już o Sookie ani w żaden sposób nie podważał tego, co usłyszał od pana Krackenberry'ego. Dopiero teraz jednak pojął, co mężczyzna próbował mu wówczas powiedzieć.

*

Po powrocie do domu opowiedział Sookie o tej rozmowie, którą odbył z jej ojcem na przyjęciu zaręczynowym.

Sookie nie mogła wyjść ze zdumienia.

– Czemu nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

– No wiesz... prawdę mówiąc... zapomniałem.

– Zapomniałeś? Earle, czy ty masz pojęcie, ile bezsennych nocy spędziłam na zastanawianiu się, czy skończę w Przyjemnym Zakątku?

– Nie.

– Nie, bo nic nie wiedziałeś! Nie chciałam cię martwić. A teraz się dowiaduję, że w ogóle nigdy się nie martwiłeś. Nawet już napisałam do ciebie i dzieci list pożegnalny z instrukcjami, a ty mi teraz mówisz: „Zapomniałem”?

– Wiesz, kochanie, dałem twojemu ojcu słowo honoru, że nic nie powiem. A poza tym on nie wyjaśnił mi, z *jakiego powodu* nie jesteś taka jak Lenore.

– Ale dlaczego nigdy mi tego nie powiedział?

– Chyba uważał, że lepiej dla ciebie będzie nie wiedzieć.

– Ciekawe, czy Buck wie, że jestem adoptowana. Czy wiedział cały czas i mi nie powiedział...

– Wątpię...

Naraz Sookie jeszcze bardziej się przeraziła. Czego *jeszcze* nie wie, bo nikt jej tego nigdy nie powiedział?

To wszystko było takie dziwne i w ogóle nie miało sensu. Buck najwyraźniej był prawdziwym dzieckiem Lenore, a mimo to ona zawsze traktowała go jak kogoś, kto dopiero

co zszedł z drzewa. Za każdym razem, kiedy przebiegał przez dom, wołała: „Cóż to za dziwadło zdeptuje mi salon brudnymi stopami? Ktoś taki nie może być z mojej rodziny!”. Lenore zawsze dużo więcej uwagi poświęcała Sookie niż Buckowi. A Sookie zawsze miała w związku z tym wyrzuty sumienia. Spytała nawet Bucka, czy nie ma jej tego za złe, a on odpowiedział:

– Żartujesz? Dobrze, że ma ciebie do ustawiania, bo ja dzięki temu mam spokój.

Ale dlaczego chciała ją ustawiać na siłę? Czy dlatego, że Sookie była dziewczyną? Lenore zawsze powtarzała: „Mężczyźni są konieczni do pewnego stopnia, ale to kobiety wiodą prym w towarzystwie i w domu”. A może Lenore próbowała zrobić z niej kogoś, kim sama nie została? Czy to możliwe, że omal nie zniszczyła Sookie życia tylko po to, żeby jej córka ładnie wyglądała?

Sookie rozumiała, że nie może mieć do Earle’a pretensji o to, że nie powiedział jej o tamtej rozmowie z jej ojcem. Uważał wtedy, że postępuje słusznie, i widać było, jak teraz ta sprawa go dręczy. Wciąż jednak nie wiedziała, co ma zrobić – i czy w ogóle coś robić.

WINK'S PHILLIPS 66

1937

Poza Winkiem Jurdabralinskim, wysokim przystojniakiem, który sprawnie napełniał baki i czyścił szyby, był też inny powód tego, że na Wink's Phillips 66 bywało więcej kobiet niż na innych stacjach benzynowych. Czyste toalety! Pod tym względem Munia wyprzedzała swoją epokę.

Na początku prowadzenie stacji benzynowych było domeną mężczyzn, wskutek czego większość toalet w takich miejscach była w kiepskim stanie. Umywalki i sedesy były rzadko myte, a podłogi zazwyczaj ubłocone. Pewna kobieta, wychodząc z takiej toalety w Deer Park w Michigan, z przerażeniem stwierdziła:

– W tym brudzie na podłodze moglibyście uprawiać rośliny!

Kobiety rzadko czuły się pewnie w takich łazienkach, więc korzystały z nich, jedynie gdy było to konieczne.

Tymczasem na Wink's Phillips 66 Munia bardzo dbała o to, żeby zarówno męskie, jak i damskie toalety były tak samo czyste jak łazienki w jej domu. Wszystkie cztery dziewczyny pełniły po kolei dyżury, podczas których miały za zadanie sprawdzać, czy na umywalce leży świeże mydło i czysty biały ręcznik, i pilnować, by każdego, kto tam wejdzie, witała lśniąca biel ceramiki oraz biała posadzka świeżo wyszorowana lizolem. Na stacji Wink's zarazki nie miały szans. Przez cały dzień jedna z dziewcząt Jurdabralińskich biegała między domem a stacją z wiaderkiem i szczotką ryżową w rękach i z ręcznikiem przewieszonym przez ramię. Oczywiście kłóciły się o to, która ma kiedy sprzątać, ale praca zawsze była wykonana. Wink, Tatko i inni mechanicy nie mieli prawa wstępu do łazienek dla klientów.

– Nie chcę, żebyście upaprali wszystko swoimi tłustymi łapskami – mawiała Munia.

W miarę jak coraz więcej kobiet siadało za kierownicę, kompanie naftowe z czasem przystąpiły do rywalizacji o żeńską część klienteli. Znana pielęgniarzka i ceniona w całym kraju specjalistka od zagadnień higieny Matilda Passmore powiedziała: „Co skuteczniej przyciągnie je na stacje niż czyste toalety?”. Firma Texaco powołała Biały Patrol i utrzymywała flotę

chevroletów, którymi przeszkolone inspektorki do spraw higieny przemierzały cały kraj, tropiąc ślady brudu nawet w najbardziej odległych zakątkach. Właściciele stacji Texaco mieli nadzieję, że uda im się pomyślnie przejść kontrolę i zdobyć Biały Krzyż Czystości, co pozwalało im umieścić na szyldzie informację: TOALETY ZE ZNAKIEM JAKOŚCI. Niebawem kolejna kompania zaczęła wysyłać w teren grupę zwaną Błyszczącym Patrolem. A firma Phillips Petroleum, żeby nie pozostać w tyle, wdrożyła własny program czystości, do którego zatrudniła ekipę atrakcyjnych młodych pielęgniarek dyplomowanych zwanych Hostessami Autostrad, ubranych w błękitne uniformy, białe buty i pończochy, a do tego eleganckie kapelusiki w militarnym stylu. Dyrektorzy Phillipsa liczyli na to, że Hostessy Autostrad rozpropagują dobre imię firmy poprzez „swoją uprzejmość, sympatyczną osobowość i gotowość do pomocy tym, którzy znajdą się w potrzebie”. Pielęgniarki pomagały także odnaleźć drogę, wskazywały restauracje i hotele, a przy tym znajdowały czas na rozmowy o pielęgnowaniu noworodków z podróżującymi matkami.

Hostessy krążyły po drogach głównych i dojazdowych w dużych sedanach w kremowym kolorze z ciemnozielonymi zderzakami i z logo Phillips 66 na drzwiach. Ich zadanie polegało na dopilnowaniu, aby każda toaleta na stacji Phillips 66 spełniała normy toalet ze znakiem jakości. Na nieszczęście właściciele stacji benzynowych wybierały sobie placówki do kontroli całkiem losowo, tak że nigdy nie wiadomo było, kiedy i gdzie się pojawiają, co miało być zachętą do utrzymywania czystości przez cały czas.

*

Wink zobaczył to pierwszy. Ogromny kremowy sedan z ciemnozielonymi zderzakami cicho wjeżdżający na stację wywarł takie wrażenie, jak gdyby był rekinem. Chłopak poczuł na karku gęsią skórę. Zamrugał, by się upewnić, że to mu się nie przywidziało, ale nie – wszystko było jak najbardziej realne i wyglądało dokładnie tak jak na fotografii w magazynie Phillips 66. Podszedł do kierowcy i zapytał:

– Czym mogę służyć?

Kobieta z długim spiczastym nosem odparła:

– Chciałabym pomówić z właścicielem. Powiedz mu, chłopcze, że dyplomowana pielęgniarzka Dorothy Frakes przybyła na inspekcję toalet.

– Oczywiście – odrzekł i poszedł po ojca.

Gertrude May, która właśnie wyglądała przez okno na piętrze, zobaczyła to jako następna.

– A niech to... – Westchnęła i rzuciła się schodami na dół do swojej bliźniaczki Tuli June i Muni.

Gdy Munia wyjrzała przez okno w kuchni, kobieta wysiadła już z samochodu i rozmawiała z Tatkiem. Munia wcześniej była całkiem spokojna, lecz gdy ujrzała tę higienistkę stojącą tam w swoim nienagannym mundurku z tabliczką pod pachą, nagle wpadła w panikę.

– O Matko Przenajświętsza! – zawołała. – Która z was sprzątała tam ostatnia?

– Fritzi – odpowiedziała najmłodsza z dziewcząt, Sophie Marie, za co Fritzi gotowa była ją ukatrupić.

– O nie! – Teraz Munia przeraziła się nie na żarty. Fritzi była okropna, jeśli chodzi o sprzątanie. Matka chwyciła ją za barki. – Fritzi, popatrz na mnie. Pamiętałaś o mydle?

– Pewnie, że tak.

– Wyszorowałaś umywalkę?

– Tak, zresztą wcale nie była brudna.

Munia spojrzała na Tatkę wciąż stojącego przed wizytatorką i kiwającego głową. Co on mówi? Nagle pielęgniarka gwałtownie obróciła się na pięcie i pomaszerowała w stronę toalety dla kobiet, niosąc przed sobą tabliczkę z notesem, jakby szykowała się do walki.

Tula June zauważyła:

– Może musiała skorzystać z toalety...

Minęła kolejna minuta, po czym kobieta wyszła z toalety damskiej i weszła do męskiej. Munia powiedziała:

– Sophie Marie, przynieś mi różaniec. Moje nerwy tego nie wytrzymają.

Niedługo potem, kiedy Munia wciąż wpatrywała się w stację, przesuając w palcach koraliki, pielęgniarka wyszła z męskiej toalety i podeszła do Tatki. Znowu kiwanie głową, przeplatane wskazywaniem na dom.

– Ojej... co on robi... na litość boską... – Munia westchnęła.

Kobieta ruszyła w stronę domu, weszła na schody i zapukała do drzwi.

– Jest pod drzwiami. Mamy się schować? – zapytała Sophie.

– Nie, nie... zostańcie tu – odparła mama, po czym zdjęła fartuszek i poprawiła włosy. Zacerpnęła tchu i otworzyła drzwi.

– Czy mam przyjemność z panią Jurdabralinski?

– Tak, to ja.

– Dzień dobry. Nazywam się Dorothy Frakes. Jestem pielęgniarką z Phillips Petroleum. Gratuluję pani uzyskania maksymalnej liczby stu punktów w skali czystości toalet. Nigdzie nie widziałam tak czystych kabin. Można by tam jeść z podłogi. Dlatego mam wielki zaszczyt

osobiście przyznać pani oficjalny emblemat toalet ze znakiem jakości.

Munia była tak zaskoczona, że się popłakała, a Fritzi zaczęła paplać za jej plecami:

– Sto punktów! Mówiłam. Ha, ha... Nie wiem, dlaczego nikt mi nigdy nie wierzy.

Po tym dniu dyplomowana pielęgniarka Dorothy Frakes została zwykłą Dottie i cała rodzina uwielbiała dni, kiedy ich odwiedzała. Nie zaglądała już do toalet. Lubiła po prostu wejść do domu, usiąść sobie wygodnie, wyciągnąć nogi, zapalić papierosa, trochę się rozluźnić, pogadać z Munią, dowiedzieć się, jak radzą sobie dziewczęta i Wink, a potem ruszyć dalej, by wykonywać swoją misję.

– Mówię ci, Linko – powiedziała któregoś dnia. – Wiem, że wielu ludziom praca hostessy autostrad może się wydawać czymś wspaniałym, ale na ogół to zwykła monotonna robota. Wszystkie toalety są do siebie podobne. I gdyby nie tacy mili ludzie jak wy, już dawno zrzuciłabym ten mundurek.

NASTĘPNEGO DNIA

sobota, 11 czerwca 2005

Sookie zasunęła wszystkie żaluzje, pozamykała drzwi i jeśli nie liczyć karmienia Peek-a-Boo, w ogóle nie wychodziła z sypialni. Nerwy miała tak napięte, że za każdym razem, gdy dzwonił telefon, serce podchodziło jej do gardła, zwłaszcza kiedy wyświetlał się numer Lenore, więc w końcu w ogóle wyłączyła aparat.

Koło wpół do pierwszej zeszła na dół. Od dwunastej do pierwszej Lenore miała spotkanie Cór Amerykańskiej Rewolucji, więc w tym czasie Sookie nie musiała się jej obawiać. Właśnie wracała na górę, gdy nagle zabrzączał dzwonek do drzwi. Ktoś wołał ją po imieniu i nie była to Lenore. Była to Marvaleen. O Boże, w najmniej odpowiednim momencie.

Podeszła do drzwi, otworzyła je i powiedziała:

– Cześć, Marvaleen.

– Aha, jesteś jednak. Już miałam sobie pójść. Przejżdżałam tędy, bo jadę na jogę, i pomyślałam, że może zastanę cię w domu. – Marvaleen przyjrzała się jej uważniej i zapytała: – Sookie, czy ty stosujesz hydrokolonoterapię?

– Co?

– Hydrokolonoterapię.

– Nie... nie wiem, co to jest.

– To taki zabieg... bardzo mocna lewatywa.

Sookie skrzywiła się.

– O rany...

– Ależ nie! Ja już miałam sześć takich zabiegów i naprawdę czuję się po tym świetnie. Edna Yorba Zorbra mówi, że żeby zrobić krok w kierunku emocjonalnego uzdrowienia, czyste jelita to podstawa. Trzeba się nauczyć pozbywać starych złogów i zaszłości, których się trzymamy.

– Rozumiem.

– No to... wiesz, ja chodzę do takiej super babki w Mobile. – Otworzyła torebkę. – Dam

ci jej wizytówkę. Wszystkim znajomym o niej opowiadam. I kiedy zadzwonisz, nie zapomnij powołać się na mnie. Ona daje moim przyjaciółom dziesięć procent zniżki, a pięćdziesiąt procent, jeśli weźmiesz dziesięć zabiegów. A ty naprawdę potrzebujesz dziesięciu. Hej, może byśmy kiedyś poszły tam razem... a potem zjadły lunch. Zadzwoń.

– Dobrze, Marvaleen. Zadzwoń. – Wzięła od niej wizytówkę i pomachała nią przyjaciółce na pożegnanie. Lewatywa o dużej mocy, zwieńczona lunchem w towarzystwie Marvaleen, była ostatnią rzeczą, na jaką Sookie miałyby ochotę. Lepiej pozostanie przy dwóch łyżkach metamucilu o smaku pomarańczowym, zażywanych przed snem.

Marvaleen zawsze była typem duchowego poszukiwacza. Dziesięć lat temu namówiła Sookie na udział w spotkaniach żeńskiej grupy biblijnej i Sookie przeżyła wówczas bardzo krótki okres ożywienia wiary. Była bardzo szczęśliwa, lecz to tylko wprowadziło Lenore w przerażenie.

– Wielkie nieba, Sookie! Możesz sobie wierzyć w Boga, ale nie musisz biegać po mieście i wszystkim tego obwieszczać! Tylko przynosisz wstyd rodzinie. Jeszcze dojdzie do tego, że będziesz deptać węże i mówić językami! – W końcu Sookie powiedziała Marvaleen i grupie, że nie będzie więcej przychodzić na spotkania. Nadal chodziła do kościoła i uważała się za wierzącą, lecz nie umiałaby dokładnie powiedzieć, w co właściwie wierzy.

Jednak po tym, co się stało, nie była już niczego pewna. Zawsze zakładała po prostu, że ludzkie życie zostało uprzednio zaplanowane i że ktoś nad nim czuwa. Ale im więcej o tym myślała, tym wyraźniej dostrzegała, jak wiele w jej życiu zależało od przypadków i jakie to pociągało za sobą ryzyko!

Jako dziecko była jak jakiś kot czy pies w schronisku, wystawiona do adopcji, a w dodatku ludzie za nią odpowiedzialni dali ją szalonej osobie. Czy nikt nie sprawdza kandydatów na rodziców, zanim powierzy się im dziecko? Gdyby wiedzieli o bracie i siostrze Lenore, pewnie znaleźliby kogoś innego. Sookie miała wielką ochotę zadzwonić do tych ludzi w Teksasie, żeby im powiedzieć, że powinni byli wykazać większą ostrożność.

To wszystko stawało się jeszcze bardziej denerwujące, gdy uświadomiła sobie, że przez całe życie Lenore kontrolowała każdy jej krok, kwitując jej zachowanie zdaniem: „Oj, Sookie, żaden Simmons by tak nie postąpił” albo „Simmonsowie tak nie robią”. Nie miała pojęcia, co robią lub czego nie robią Jurdabralińscy.

Wiedziała, że każdy musi mieć matkę, że nawet biednym małym osieroconym małpkom daje się w zastępstwie tykający zegarek zawinięty w ręcznik. Teraz jednak, spoglądając wstecz na swoje życie z Lenore, zastanawiała się, czy taki zegarek nie byłby dla niej lepszy.

KTO RAZ BYŁ W MILWAUKEE...

Pulaski, Wisconsin
sierpień 1938

To naprawdę niezwykle, jak jedno zdarzenie potrafi odmienić los całej rodziny. Dla Jurdabralińskich z Pulaskiego w stanie Wisconsin taki przełomowy moment nastąpił 9 sierpnia 1938 roku.

Lata trzydzieste były okresem czczenia idoli i noszenia na rękach słynnych aktorów. Zdjęcia olśniewających gwiazd i gwiazdorów ekranu na ścianach sypialni nastolatków stały się niemal normą, lecz gdy wysoki, szczupły pilot Charles Lindbergh przeleciał nad Atlantykiem, kraj zalała całkiem nowa fala szaleństwa. Jego zdjęcia były wszędzie. Był w filmach, na billboardach, a każdy chłopiec marzył o tym, żeby w przyszłości zostać pilotem i latać jak Lindy. Cała Ameryka zakochała się w przystojnym młodym Charlesie Lindberghu, a rok później tym samym uczuciem obdarzyła jego żeńską odpowiedniczkę, odważną i zuchwałą Amelię Earhart z kasztanowymi włosami, ubraną w męskie spodnie. Dziewczęta zamawiały pocztą jej zdjęcia i umieszczały je obok portretów ulubionych gwiazd filmowych.

Pragnąc wyciągnąć finansowe korzyści z tej gorączki latania, którą wzniecili Charles Lindbergh i Amelia Earhart, firma Phillips Petroleum wdrożyła kampanię reklamową, której nie dało się nie zauważyć. Zatrudniono pilotów piszących dymem słowa na niebie, żeby latali nad stacjami benzynowymi i tworzyli w powietrzu napis „Phillips 66”. Większość z nich stanowili piloci z okresu pierwszej wojny światowej, zwani podniebnymi cyrkowcami, gdyż latali po całym kraju, wykonując akrobacje, by co nieco zarobić. Jednak pilot przydzielony do latania nad stacją benzynową Wink's Phillips 66 w Pulaskim, Wisconsin, szukał nie tylko pieniędzy.

Wuj Billy'ego Bevinsa był pilotem podczas pierwszej wojny światowej. Po powrocie do domu założył szkołę pilotażu i nauczył Billy'ego latać, gdy ten miał piętnaście lat. Od tamtej pory Billy wciąż latał. Był to dobry sposób zarabiania pieniędzy, a w przypadku Billy'ego także dobry sposób zdobywania dziewcząt. Robił różne rzeczy, od akrobacji powietrznych po opryskiwanie pól, a nawet latał samolotem firmy Waco z Latającym Cyrkiem Baby Ruth

prowadzonym przez Douga Davisa. Był to taki atak reklamowy, jakiego w tym kraju jeszcze nie widziano. Billy latał ponad jarmarkami, torami wyścigów konnych i zatłoczonymi plażami w swoim czerwono-białym samolocie i zrzucał na tłum w dole setki maleńkich papierowych spadochronów – każdy z małym batonikiem Baby Ruth.

To było wspaniałe zajęcie. Jednak któregoś dnia po zbyt wielu drinkach Billy postanowił wlecieć między budynki Pittsburgha, przez co wywołał wielki zamęt. Kilka osób omal nie wypadło z okien biurowców, próbując złapać unoszące się w powietrzu batoniki. Ruch drogowy w mieście zamarł na dwie godziny, gdyż ludzie opuścili swoje samochody i szukali słodyczy po ulicach. Następnego dnia Billy został zwolniony. Teraz jednak wrócił do podniebnych akrobacji, a przy okazji dorabiał sobie pisaniem po niebie.

*

Mieszkańcy miejscowości Pulaski od tygodni czekali na pojawienie się pilota. W ramach przygotowań Tatko wraz z zaprzyjaźnionymi farmerami wyrównali traktorami rozległe pole za domem, a Wink z kolegami wyzbierali wszystkie kamienie, tak że powstał tam długi gładki pas startowy, na którym mógł wylądować samolot. Kiedy rozeszła się wieść, że pilot przybędzie w sobotę rano, całe miasteczko wyległo na podwórka i na pusty teren za stacją benzynową. Niebawem usłyszeli odgłosy silnika. Fritzi pierwsza dojrzała maszynę i krzyknęła do wszystkich, by spojrzeli w górę. Po chwili na niebie powstała duża biała litera „P”. Wszyscy wpatrywali się z niemym podziwem, jak nad ich głowami pojawiał się napis „Phillips”, a po nim „66”. Aeroplan opadał ku ziemi niczym polewa na torcie, by nagle poderwać się z powrotem i namalować strzałkę skierowaną w dół, na stację benzynową. Następnie wykonał wielki okrąg na niebie, i jeszcze raz, i wreszcie wylądował przy huku oklasków zgromadzonego tłumu.

Jednak pilot, który otworzył drzwiczki i wyskoczył z samolotu, był zupełnie inny, niż się spodziewano, i w ogóle nie przypominał Charlesa Lindbergha. Billy był niskim, korpulentnym mężczyzną o serdecznym uśmiechu i wyraźnie kochał to, co robił.

– Uszanowanko! – wołał, idąc w kierunku stacji benzynowej, gdy zachwycony tłum podążał za nim. Fritzi była oczarowana. Nigdy jeszcze nie spotkała nikogo tak pewnego siebie, tak ufego we własne siły, kto zarazem w tak szarmancki sposób mówiłby „Uszanowanko!”. Zupełnie jak gdyby zszedł wprost z kadru filmowego.

Billy doszedł do stacji, gdzie przez jakąś godzinę pozował do zdjęć i udzielał wywiadów do radia i telewizji. Później pomachał do tłumów na pożegnanie i udał się do domu na sąsiedniej parceli, gdzie spożył obiad z rodziną Jurdabralińskich.

Podczas jego wizyty dowiedzieli się, że tego dnia przyleciał z Grand Rapids. Wink z zapartym tchem słuchał opowieści o akrobacjach lotniczych i wykonywaniu specjalnych poruczeń. Po obiedzie odprowadzili Billy'ego do samolotu i pomachali mu na pożegnanie, gdy odlatywał na wschód. Dla całej rodziny był to najbardziej ekscytujący dzień w życiu.

Był to również bardzo dobry dzień dla Billy'ego. Odlatywał z dużą papierową torbą pełną pysznej polskiej kiełbasy i wypieków domowej roboty, zapakowanych przez panią domu, ale nie to było najważniejsze. Wywoził też stamtąd odnotowane w pamięci imiona wszystkich czterech córek.

*

Niedługo po pierwszej wizycie Billy'ego nad miasteczkiem znowu rozległ się dźwięk samolotu. Wszyscy wyszli na zewnątrz i zadarkszy głowy, zobaczyli, że nadlatuje pilot, który tworzy napisy w powietrzu. Tym razem jednak, po wykonaniu zadania, nakreślił jeszcze na niebie wielkimi białymi literami: HEJ, FRITZI, UMÓWISZ SIĘ ZE MNA?

Billy kierował się instynktem. Fritzi nie wyróżniała się spośród sióstr urodą. Sophie, najmłodsza, była prawdziwą pięknoscią, dwie pozostałe dziewczyny też były niczego sobie, ale to we Fritzi dojrzał coś, co mu się spodobało. Miała w sobie hart ducha, a on tego właśnie poszukiwał w dziewczynie.

Kiedy Munia wyszła przed dom i zobaczyła wiadomość na niebie, smutno pokręciła głową. Czegoś takiego się obawiała. Od dawna przeczuwała, że spośród wszystkich jej dzieci to Fritzi będzie tą, która zapragnie uciec z domu w poszukiwaniu przygód. A widząc, jak Fritzi gorączkowo przepychała się do stołu, by podczas obiadu siedzieć obok Billy'ego Bevinsa, i jak chłoneła każde jego słowo, podejrzewała, że ten moment nadszedł.

*

Dwa dni później, kiedy rodzina siedziała przy kolacji, Billy Bevins zadzwonił na stację benzynową i Wink przybiegł do domu po Fritzi.

Po kilku minutach Fritzi wbiegła do kuchni zarumieniona i z przejęciem ogłosiła:

– Billy przyleci w sobotę i zabierze mnie samolotem do Milwaukee na kolację i na tańce!

Munia spojrzała na męża, czekając, by tupnął nogą i powiedział „nie”, ale on tylko skinął głową i jadł dalej. Wink i pozostałe dziewczęta byli tak samo podnieceni jak Fritzi i zaczęli podskakiwać z radości.

– Czy ja też mogę lecieć? – zapytał Wink i Munia wiedziała, że jest w mniejszości.

Zresztą co mogła zrobić? Stanisław miał rację. Fritzi należała do nowego pokolenia Amerykanek, mających własne zdanie, i żadne słowa i tak by jej nie powstrzymały. Munia mogła jedynie iść do kościoła i zapalić świeczkę Matce Boskiej, modląc się o to, by Fritzi nie wypadła z samolotu. Następnego dnia, gdy Fritzi opowiedziała o tym koleżankom, jedna z nich westchnęła i wyznała:

– Oj, Fritzi, ja bym się bała wsiąść do samolotu z nieznanym.

Inna dodała:

– No właśnie, nie boisz się, że jak będziecie tam w górze, będzie próbował się do ciebie dobierać?

Ale Fritzi się nie martwiła. Bywała na wielu randkach z postawnymi wiejskimi chłopcami z Wisconsin i dawała sobie z nimi radę, więc i Billy’ego się nie obawiała. Nie był od niej dużo wyższy.

W sobotę po południu Fritzi w niebieskim kostiumie, białej bluzce, białych pantoflach i białym kapeluszu wspięła się na tylne siedzenie samolotu i radośnie machała rodzinie, podczas gdy Munia stała przed domem, kreśląc w powietrzu wielokrotnie znak krzyża.

– Matko Boska, pozwól jej to przeżyć.

Dobrze jednak wiedziała, że nawet jeśli Fritzi to przeżyje, i tak grozi im jej utrata. W końcu nie bez powodu mawiano: „Kto raz był w Milwaukee, nigdy już nie będzie taki sam”.

LISTY

Point Clear, Alabama

Przez tydzień Sookie zużyła wszystkie zapasy żywności, jakie miała poodkładane na nieprzewidziane sytuacje. Nie wyściubiła nosa z domu. W końcu nie mogła już patrzeć na mrożone krewetki. Naprawdę musiała wybrać się na zakupy. Poczekała z tym do południa, kiedy Lenore miała być na spotkaniu w Towarzystwie Czerwonych Kapeluszy. Gdy już wszystko kupiła, zastanowiła się, co jeszcze może załatwić, skoro już wyszła z domu, i po chwili parkowała samochód na tyłach banku.

Weszła do budynku, otworzyła skrytkę i wyjęła dwa listy, które napisała prawie trzy lata temu. Przeczytała je ponownie:

Droga Rodzino!

Na wypadek, gdyby coś się ze mną stało, jeśli chodzi o zdrowie psychiczne, chcę się z Wami pożegnać już teraz, póki jeszcze jestem przy zdrowych zmysłach. Chcę Wam powiedzieć, że jesteście najlepszym, co mi się w życiu przydarzyło, i że zawsze byliście źródłem mojej dumy i radości. Nie wiem, czym sobie zasłużyłam na takiego wspaniałego męża i dzieci. Dbajcie o siebie nawzajem i starajcie się pamiętać mnie zdrową.

Zawsze będę Was kochać

Mama

Następnie otworzyła list do Earle'a.

Kochany Earle'u!

Obiecuj, że jeśli coś mi się stanie, nie będziesz miał skrupułów, by się ze mną rozwieść i ożenić z kimś innym. Chcę, żebyś był szczęśliwy, a Ty potrzebujesz kogoś, kto będzie o Ciebie dbał. Kochanie, dziękuję za wszystkie wspaniałe lata, które z Tobą spędziłam. Kiedy odejdę, opiekuj się Mamą jak najlepiej i niech Dee Dee ci pomaga. Ona jest bardzo oddana Lenore i z przyjemnością zajmie się papierkową robotą.

PS W Przyjemnym Zakątku ostatnio podnieśli ceny, więc rozglądałam się za trochę tańszymi miejscami. Najpierw spróbujcie Brice's Institution w Tuscaloosa. Myślę, że oni mogą zaakceptować naszą polisę.

PPS Marvaleen powiedziała mi w tajemnicy, że wydajesz jej się przystojny. To tak na marginesie...

Gdy przeczytała ten drugi list, bardzo jej ulżyło, że Earle tego nie widział. Marvaleen? Co jej przyszło do głowy? Marvaleen była zbyt nawiedzona dla Earle'a. Nosiła stringi – nie żeby było w tym coś złego, ale dla Earle'a to by było trochę za dużo. Sookie miała świadomość, że idealną żoną dla niego jest właśnie ona. Zawsze jej to mówił, a teraz wyraźnie zobaczyła, że miał rację. Wiedziała dokładnie, jaki chleb kukurydziany lubił: cienki i chrupki. Nie byłby szczęśliwy z nikim innym poza nią. Potargała obydwie listy i wyrzuciła do kosza.

Nagle uświadomiła sobie, że od tego dnia będzie musiała całkowicie zmienić swoje myślenie. Przez wiele lat żyła w strachu przed genami Simmonsów, a teraz nagle to zmartwienie przestało jej dotyczyć. Oczywiście nie wiedziała niczego o genach Jurdabralińskich, lecz była prawie pewna, że nikt nie może być bardziej zwariowany niż Simmonsowie. Jadąc z banku do domu, nagle przypomniała sobie, że jest poniedziałek, więc osunęła się na siedzeniu, gdy przejeżdżała obok cmentarza. Zobaczyła samochód matki, lecz dzięki Bogu ta jej nie zauważyła. Przypomniała sobie kolejną rzecz, do której zmusiła ją Lenore – i pomyśleć, ile zachodu kosztowało ją przeniesienie pradziadka, z którym, jak się okazało, w ogóle nie jest spokrewniona. To zupełnie obcy człowiek!

Czuła się jak idiotka. Lenore kazała jej robić to wszystko, dobrze wiedząc, że Sookie nie wywodzi się z Simmonsów. A niech to!

To jeszcze nie byłoby najgorsze, gdyby ta kobieta chociaż raz jej podziękowała albo w jakiś sposób doceniła jej pracę. Tymczasem Lenore zdawała się nie mieć pojęcia i w ogóle nie zauważać, przez co kazała jej przechodzić.

W ubiegłym roku, po rozprawie sądowej z burmistrzem, gdy wiozła matkę z sądu do domu, Sookie zapytała:

– Mamo, czy zdajesz sobie sprawę, jak ciężko jest być twoją córką?

Lenore spojrzała na nią kompletnie zbita z tropu.

– Jak to? Co to w ogóle za pytanie? Ja byłabym zachwycona, gdybym była moją córką. Czy nie robię wszystkiego, co w ludzkiej mocy, żeby stwarzać ci jak najlepsze warunki do życia?

– Tak, mamo, robisz. Ale robisz to z takim patosem... i nigdy nie milkniesz.

– No to przepraszam, że nie jestem jakąś zahukaną myszką. Owszem, dużo mówię, ale tak się składa, że uprawiam sztukę konwersacji.

– Nie chodzi o mówienie, tylko o to, że zawsze masz swoje zdanie.

– Mam nadzieję.

– Ale ty zawsze tak mocno je wyrażasz.

– A co, chciałabyś, żebym słabo wyrażała swoje zdanie? Czy zamówiłabyś w restauracji słabą kawę?

– Prawdę mówiąc, tak.

– Wiesz, o co mi chodzi. Po co mieć opinię, jeśli nie można jej stanowczo wygłosić? Wiem, że Biblia mówi, że cisi zdobędą ziemię, ale nie wierzę w to ni w żąb.

– Ależ, mamo, na pewno istnieje coś pomiędzy cichym a przytłaczającym. No nie wiem... coś normalnego. – W chwili gdy to wymówiła, od razu wiedziała, że użyła złego słowa.

Oczy Lenore natychmiast zrobiły się olbrzymie.

– Czyżbyś sugerowała, że nie jestem normalna? Owszem, twój wujek Baby i ciocia Lily mają swoje drobne dziwactwa, ale ja jestem jak najbardziej normalna. Naprawdę, Sookie, ubodłaś mnie do żywego.

Jeśli Lenore uważała strzelanie do gazeciarza za drobne dziwactwo, to nie miało sensu oczekiwać, że przyzna, iż z nią samą coś jest nie tak. Lenore nigdy nie była normalna. Z pewnością nie była normalną matką ani normalną babcią.

W któreś Boże Narodzenie, gdy dzieci były jeszcze małe, Sookie i Earle zostawili je z Lenore, żeby zrobić ostatnie przedświąteczne zakupy. Babcia dała im w tym czasie po kilka pucharków bitej śmietany z ajerkoniakiem Simmonsów, który zawierał siedemdziesiąt pięć procent rumu i dwadzieścia pięć procent kogła-mogła. Kiedy przyszli odebrać dzieci, cała czwórka chwiała się na nogach.

– Nie wiem, czemu się złościś, Sookie – powiedziała Lenore. – Wierz mi, odrobina ajerkoniaku jeszcze nikomu nie zaszkodziła, a jeśli nie będziemy świętować narodzin Pana w dniu Wigilii, to świat zejdzie na psy.

Tego roku ich dzieci jako jedyne w miasteczku rano w dniu Bożego Narodzenia otwierały swoje prezenty na kacu. Ale oczywiście cokolwiek by Lenore zrobiła, dzieci i tak ją

uwielbiały. Zwłaszcza Dee Dee. Kiedy musiała zostać ukarana za jakieś przewinienie, wołała:

– Wyprowadzę się do babci. Ona mnie rozumie!

Lenore była bardzo wymagająca wobec własnych dzieci, natomiast wszystko, co robiły lub mówiły wnuki, było dla niej „wprost urocze! wprost wspaniałe!” albo „najmilszą rzeczą pod słońcem!”. Dawała im tyle cukierków, ile chciały, mimo iż Earle jako dentysta prosił, by tego nie robiła. Jasne więc, że dzieci za nią przepadały. Bo czemu nie?

One przecież nie były wychowywane przez kobietę, która sądziła, że jedynie Sookie i Buck stali jej na przeszkodzie w zdobyciu Oscara. Powiedziała kiedyś:

– Och, Sookie, gdy oglądałam Barbarę Stanwyck w filmie *Wzgardzona*, płakałam jak bóbr. To rola w sam raz dla mnie. Zagrałabym to wyśmienicie. Ale cóż... – Westchnęła. – Barbara Stanwyck robiła to, co ja powinnam robić, ale teraz to już i tak bez znaczenia.

No cóż.

MILWAUKEE, WISCONSIN

1938

Fritzi nie pokazała tego, ale była przerażona, kiedy Billy kołował po polu. Nigdy w życiu nie siedziała w samolocie i gdy silnik zwiększył obroty przed oderwaniem się od ziemi, zamknęła oczy i złapała za kapelusz, jakby od tego zależał jej los. Maszyna toczyła się po polu, a serce Fritzi biło tak mocno, że z trudem łapała oddech, lecz jeśli w ten sposób mogła zaimponować Billy'emu, była gotowa to znieść. Zachwycił ją od pierwszego wejrzenia. Urzekło ją to, jak wyskoczył z samolotu i z jaką lekkością kroczył wśród tłumu, pokrzykując „Uszanowanko!”. Chciała też zobaczyć trochę świata, nim się ustatkuje. Nie miała zamiaru wyjść za jednego z miejscowych chłopaków i urodzić piątki czy szóstki dzieci przed ukończeniem dwudziestu pięciu lat. Wiele jej przyjaciółek rzuciło szkołę, wyszło za mąż i już spodziewało się dziecka. Kiedy więc Billy z rozmachem wleciał w jej życie, miała poczucie, że oto przybył jej wybawiciel – nie na białym koniu, lecz w jaskrawożółtym samolocie.

*

Po krótkim podskakiwaniu na wybojach maszyna poderwała się i nagle Fritzi doznała niesamowitego uczucia. Głośny ryk silnika zamienił się w przyjemny pomruk, a ona miała wrażenie, że się unosi na wodzie. Otworzyła oczy i zobaczyła, że jest wysoko w powietrzu, a daleko w dole rozciąga się maleńki świat. Jej rodzina, wciąż stojąca przy płocie, stawała się coraz mniejsza, w miarę jak ona i Billy wznosili się coraz wyżej ponad miasteczko i kierowali się ku Milwaukee, cały czas trzymając się torów kolejowych.

Lot do Milwaukee był dla niej prawdziwie mistycznym przeżyciem. Gdy się patrzyło w dół, silosy i wieże ciśnień wyglądały jak stare zabawki Winka rozstawione na jego patchworkowej kołdrze. Maleńkie traktory przesuwały się powoli między zagonami kukurydzy i pszenicy, a porozrzucane tu i ówdzie jeziora przypominały małe okrągłe lusterka. Gospodarstwa rolne, z owcami i praniem wywieszonym na sznurkach, nie były większe od drewnianych domków w zestawie monopoly.

*

Fritzi nie chciała mówić o tym Billy'emu, ale nigdy dotąd nie była dalej niż kilkanaście kilometrów od własnego domu. Kiedy wylądowali w Milwaukee, przesiedli się do samochodu Billy'ego i pojechali do centrum na kolację i tańce w Sali Orientalnej na piętrze Hotelu Ambassador. Tak duże miasto prawdziwie oszołomiło Fritzi, a śmigające obok tramwaje, taksówki i samochody osobowe przyprawiły ją o dreszcz nieznanych dotąd emocji.

W Pulaskim po zmroku wszystko było pozamykane z wyjątkiem toru wrotkarskiego i sali do gry w bingo w kościele w piątkowe wieczory. Raz na jakiś czas odbywał się też wieczorek taneczny u Zielinskiego. Natomiast w Milwaukee o tak późnej porze wszyscy jeszcze coś załatwiali i dokądś się spieszyli. Domy towarowe, niektóre ciągnące się od przecznicy do przecznicy, jeszcze były otwarte, a stroje na wystawach zachwycały szykiem i elegancją. Fritzi nie mogła wyjść z podziwu, gdy mijali kwaciarnie, cukiernie z małymi różowymi neonami, i co najmniej sześć czy siedem kin z wielkimi afiszami.

Jezu... jeżeli tak wygląda Milwaukee, to jakie jest Chicago albo Nowy Jork? Nie była w stanie sobie tego wyobrazić, ale wiedziała jedno: po tym, co tu zobaczyła, nigdy już nie będzie szczęśliwa, jeśli zostanie w domu i zatrudni się w fabryce konserw.

*

Kiedy weszli do foyer, ogarnęło ją zdenerwowanie. Pierwszy raz w życiu była w hotelu z mężczyzną. Miała nadzieję, że naprawdę będzie tu restauracja i że nie wyląduje z Billym sam na sam w pokoju. Niepotrzebnie się jednak martwiła. Gdy tylko otworzyły się drzwi windy na dwudziestym pierwszym piętrze, usłyszeli muzykę. A kiedy weszli do Sali Orientalnej, Fritzi oniemiała. Poczowała się, jakby wkroczyła na plan filmowy, i wcale by się nie zdziwiła, gdyby zza rogu wyłonili się Fred Astaire i Ginger Rogers. Nigdy w życiu nie widziała czegoś tak olśniewającego. Wzdłuż ścian ciągnęły się zielonkawe skórzane boksy. Nad parkietem do tańca wisiały małe orientalne czerwono-zielone lampiony, po sali krążyli kelnerzy w czarno-żółtych chińskich strojach z jedwabiu, roznoszący drinki w szklankach z maleńkimi papierowymi parasolkami. Tłum ludzi na parkiecie tańczył do muzyki granej przez Speed Hooper Orchestra. Fritzi zauważyła, że w całej orkiestrze nie było ani jednego akordeonisty. Piosenkarka, w długiej białej sukni z cekinami i z gardenią we włosach, uosabiała smak i wyrafinowanie.

Kiedy kelner prowadził ich do stolika, wszyscy zdawali się znać Billy'ego i pozdrawiali

go: „Jak się masz, Billy!”, a on odpowiadał „Uszanowanko!”. Fritzi poczuła się w tym wytwornym towarzystwie jak prostaczka. Gdy już usiedli, Billy zamówił jej szampana, a dla siebie podwójną szkocką.

Nieco później, kiedy zmęczeni tańcami wrócili do stolika, miła dziewczyna w krótkiej spódniczce podeszła do Billy’ego z aparatem fotograficznym i zapytała, czy życzy sobie zdjęcie. Inna chodziła między gośćmi z tacą pełną papierosów, cygar i bukietów. Billy kupił Fritzi bukiet na nadgarstek. Przez cały wieczór panna Jurdabralinski zachowywała spokój i udawała światową damę. Nie chciała, żeby Billy się zorientował, jakie to wszystko wywarło na niej wrażenie. Prawdą było to, co mówili. Po tym, jak zobaczyła Milwaukee, nigdy już nie będzie taka sama.

*

Późnym wieczorem, kiedy lecieli z Billym z powrotem do Pulaskiego, Fritzi spojrzęła w dół i ujrzała światła stacji benzynowej, poczuła wielki żal, że ta randka nie może trwać wiecznie. Jeszcze długo po odlocie Billy’ego do Grand Rapids Fritzi Jurdabralinski wciąż miała głowę w chmurach i to pod wieloma względami. Gdzieś po drodze zgubiła kapelusz, ale to było bez znaczenia. Zgubiła też coś więcej niż tylko kapelusz: zgubiła swoje serce. Tej nocy Fritzi zakochała się bez pamięci w lataniu i w Billym Bevinsie.

PO KIM TO MAM?

Point Clear, Alabama

Kiedy Sookie się obudziła, doszła do wniosku, że musi się czegoś więcej dowiedzieć o swoim pochodzeniu. Zawsze zakładała, że wszystkie cechy odziedziczyła albo po Simmonsach, albo po Krackenberrych. Teraz chciała spróbować odkryć, co w jej charakterze pochodzi z polskiego DNA, a co z wychowania. Żałowała, że nigdy nie interesowała się geografiami. Nawet nie bardzo się orientowała, gdzie leży Polska. Wiedziała, że to gdzieś w Europie, blisko Rosji, a może Francji? Niczego natomiast nie wiedziała o Polakach. Jediną rzeczą, która kojarzyła jej się z Polską, były małe kielbaski podawane w Waffle House, więc gdy się już umyła i nakarmiła Peek-a-Boo, włączyła komputer. Wpisała w wyszukiwarce „polskie cechy” i kliknęła.

„Polacy są na ogół pracowici i lubią się bawić”. Na razie nie było źle, lecz ją ciekawiło, jak wyglądają, więc napisała „słynni Polacy”. Pierwsze dwa nazwiska, jakie uzyskała, to Fryderyk Chopin i Liberace – obaj pianiści. Zauważyła na zdjęciach, że mieli podobne nosy. Szukała dalej i gdy zobaczyła, że Martha Stewart także jest Polką, trochę poprawił jej się humor.

*

Odczekała, aż Lenore pójdzie na hydroterapię, a wtedy po raz pierwszy od kilku dni obeszła swoje podwórko. Zobaczyła Nette przycinającą azalie.

– Cześć, Netta.

Netta podniosła głowę.

– O, cześć... lepiej się czujesz?

– Tak. Ale nie mów mojej mamie, dobrze?

– Nie powiem.

– Dzięki. I bardzo ci dziękuję za karmienie ptaków.

– Nie ma za co. W każdej chwili służę pomocą.

– Netta, chcę cię o coś spytać. Czy wiesz coś o Polakach?

– O Polakach?

– Tak.

– Zaraz... niech pomyślę – powiedziała, odcinając z krzewu uschniętą gałązkę. – Wiem, że lubią kiszoną kapustę. I lubią śpiewać, ale nie są dobrymi śpiewakami.

– Coś ty?

– Tak. Gdzieś to słyszałam, ale nie pamiętam gdzie. Aha, i jeszcze lubią muzykę akordeonową i tańczą polkę.

– A spotkałaś kiedyś jakiegoś Polaka?

– Nie pamiętam... a jeśli nawet, to nie wiedziałam, że to Polak. A czemu pytasz?

– A tak, bez powodu. No to na razie.

Netta obserwowała Sookie, która wracała do domu jak w jakimś transie. Najpierw różowe tenisówki, a teraz to... Netta zaczynała się niepokoić. Może to faktycznie grypa, ale tak czy inaczej Sookie wyraźnie nie była sobą.

PIĘKNY ROMANS

Pulaski, Wisconsin

Billy Bevins uważał, że Fritzi jest wspaniała. Jednak, jak się okazało, jego powody, by się z nią spotykać, były inne niż uczuciowej natury. Jeszcze jej tego nie powiedział, lecz akurat szukał nowej dziewczyny do swojego własnego latającego cyrku. Wielkim magnesem pokazów lotniczych były kobiety chodzące po skrzydłach samolotów, a Fritzi wyjątkowo się do tego nadawała. Miała wspaniałą figurę, piękny uśmiech i dużo pewności siebie.

Po kilku spotkaniach i po zabraniu jej na pokaz Latającego Cyrku Billy'ego Bevinsa, zapytał ją, czy chciałaby kiedyś brać udział w takich występach, gdyby nauczył ją kilku numerów. Jej odpowiedzią było entuzjastyczne „Tak!”.

– Świetnie – odparł, klepiąc ją po plecach, a potem dodał: – Fritzi, kochana, pokażę ci, jak wyprawiać w samolocie takie rzeczy, o jakich nawet ci się nie śniło.

Ona obrzuciła go wzrokiem i powiedziała:

– Nie wątpię.

Roześmiał się na te słowa, lecz ku jej rozczarowaniu, mimo że bardzo by tego chciała, nawet nie pocałował jej na dobranoc.

Czas mijał i Fritzi już się zaczynała gubić w domysłach. Wiedziała, że mu się podoba, ale coś było nie tak. Nigdy dotąd nie spotkała chłopaka, który by nie próbował się do niej dobierać. Może on uważał ją za zbyt młodą albo za mało światową. Próbowała więc zachowywać się bardziej dorośle i zdecydowanie. Nawet wyskubała sobie brwi jak Jean Harlow, lecz to nic nie dało. Zamówiła parę jasnobrązowych bryczesów, białą jedwabną koszulę, skórzaną czapkę i długi biały szalik. Gdy tak ubrana paradowała po mieście, wyglądała jak prawdziwy pilot. A przynajmniej tak mówili ludzie w Pulaskim.

*

Co poniedziałek Billy przylatywał do Pulaskiego i dawał Fritzi lekcje latania, bo w jego cyrku kobiety chodzące po skrzydłach samolotu musiały być wyszkolonymi pilotkami. Przy

okazji udzielił też kilku lekcji Winkowi.

Dla Winka Billy był bohaterem, i to do tego stopnia, że chłopiec zaczął naśladować jego sposób poruszania się i chodził za nim krok w krok niczym pies. Wink świetnie sobie radził, ale to Fritzi stanowiła główny obiekt zainteresowania Billy'ego i nie zawiodła pokładanych w niej nadziei. Była silna, wysportowana, miała dobrą koordynację ruchów, a co najważniejsze – przekonał się o tym na pierwszej randce – świetnie tańczyła. Zanim podjął się szkolenia jakiegokolwiek dziewczyny, zawsze zabierał je na tańce.

Billy wiedział z doświadczenia, że ludzie bez poczucia rytmu nie są dobrymi pilotami. Fritzi nie tylko miała zapał i zdolności, ale też, w przeciwieństwie do większości kobiet, nie bała się ubrudzić. Po tylu latach obserwowania ojca przy pracy na stacji benzynowej potrafiła w ciągu kilku minut rozebrać silnik i złożyć go z powrotem, a do tego jeszcze wymienić koło.

*

Kilka miesięcy później na widok samolotu Billy'ego Fritzi wybiegła gotowa do kolejnej lekcji, a on zaczął od rutynowych pytań:

– No więc... jaka jest pierwsza zasada?

– Bezpieczeństwo.

– Kto jest twoim najlepszym przyjacielem?

– Mój mechanik.

– Co robisz przed startem?

– Wszystko sprawdzam.

– Ile razy?

– Dwa.

– Świetnie! – Billy był bardzo dobrze wyszkolonym pilotem, ale też przykładał olbrzymią wagę do bezpieczeństwa. Tego dnia, kiedy wylądowali, obrócił się w jej stronę i powiedział: – Dobrze, dziecinko. Jesteś gotowa do solowych występów. Maszyna jest twoja. Wzbij się, zrób swoje, potem wyląduj. Na razie. – Odszedł, zostawiając ją samą przy samolocie.

Nie przypuszczała, że stanie się to tak szybko. Przeraziła się nie na żarty, lecz wiedziała, że jeśli tego nie zrobi, może już więcej nie zobaczyć Billy'ego. Z głośno bijącym sercem obeszła samolot dokoła i dokonała przeglądu. Dwa razy. Kiedy wreszcie wsiadła do kokpitu, była tak zdenerwowana, że nogi zaczęły jej drżeć i miała ochotę uciec gdzie pieprz rośnie, ale zebrała się w sobie, włączyła silnik i zaczęła kołować, starając się pamiętać o wszystkim, czego uczył ją Billy. Ku swemu zaskoczeniu, nim się obejrzała, była już w powietrzu i spoglądała w dół na

swojego instruktora, który pokazał jej uniesione kciuki. Pozostała w górze przez jakieś dwadzieścia pięć minut, krążąc w kółko, i dziesięć razy przećwiczyła lądowanie w powietrzu, tak jak uczył ją Billy: „Wzbij się, weź zapas wysokości i wyobraź sobie, że masz przed sobą pas do lądowania. Wtedy wykonaj wszystkie czynności po kolei i kiedy będziesz naprawdę lądowała, to po tylu razach będzie już łatwizna”.

I rzeczywiście jej pierwsze samodzielne lądowanie przebiegło całkiem sprawnie. W następnym tygodniu Tatko zawiózł ją do Grand Rapids po odbiór licencji pilota. Ojciec był z niej ogromnie dumny i pokazywał ten dokument każdemu, kto zjawiał się na stacji. Fritzi cieszyła się ze zdobycia licencji, lecz jednocześnie jej serce krwawiło. Kiedy byli w Grand Rapids, pojechała do hotelu, w którym mieszkał Billy. Zapukała do drzwi, chcąc zrobić mu niespodziankę, ale otworzyła jej postawna kobieta o kręconych rudych włosach, ubrana w koszulę nocną. W ten sposób Fritzi dowiedziała się, że przez cały czas ich znajomości Billy mieszkał z Gussie Mintz z Altoony, która była jego rezerwową akrobatką.

Jakaż była głupia! Nigdy naprawdę się nią nie interesował i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Niełatwo było po tym zdarzeniu przebywać w jego pobliżu, ale przecież Billy nigdy jej nie zwodził ani niczego nie obiecywał, czy mogła więc mieć do niego pretensje?

Po tym dniu Fritzi raz na jakiś czas występowała w jego latającym cyrku. Billy dzwonił do niej zawsze, gdy jego główna skrzydłowa Lillian Bass nie była dostępna, a Gussie za dużo wypila, by ją zastąpić.

Wkrótce Billy zauważył, że Fritzi nie tylko nauczyła się latać i wykonywać akrobacje, ale też wymyśla własne figury, dużo bardziej skomplikowane niż to, co robiła większość dziewcząt chodzących po skrzydłach. Fritzi wychodziła na skrzydło i stawiała na głowie, przeskakiwała przez obręcz i tańczyła jitterbuga. Któregoś dnia Billy w rozmowie ze swoim mechanikiem w hotelowym barze powiedział:

– Ten zwariowany dzieciak ma więcej szczęścia niż rozumu. Do diabła, przypomina mi, jaki ja sam byłem w jej wieku, a to niedobrze. – Pociągnął łyk drinka i westchnął. – Gdybym był porządnym facetem, wywalilibym ją, ale chyba nim nie jestem.

Mechanik, który pracował z Billym od jedenastu lat, odparł:

– Lepiej uważaj. Zanim się obejrzyysz, ta mała każe *tobie* skakać przez obręcz.

Kilka miesięcy później, kiedy Lillian rzuciła podniebne akrobacje, żeby wyjść za mąż, Billy zadzwonił do Fritzi i oznajmił, że pozycja głównej „skrzydłowej” jest jej, jeśli tylko chce.

Czy chciała? Z radością skorzystała z tej okazji. Munia nie była zadowolona z jej wyjazdu, ale widziała, ile szczęścia daje Fritzi latanie. Ta jedna córka, w przeciwieństwie do trzech

pozostałych, stanowczo nie była domatorką.

Fritzi złożyła wypowiedzenie w fabryce konserw. Tydzień później Billy przyjechał po nią do hotelu, w którym się zatrzymała, i tym sposobem przeniosła się do Grand Rapids na dobre, by zacząć podróżować wraz z latającym cyrkiem. Tatko był zachwycony, gdy to zdarzenie stało się tematem artykułu w lokalnej gazecie:

PANNA FRITZI JURDABRALINSKI,
NASZA AMELIA EARHART,
DOŁĄCZA DO LATAJĄCEGO CYRKU

GDZIE JEST PULASKI?

Point Clear, Alabama

Następnego dnia rano, po wyjściu Earle'a, Sookie usiadła przy stole w kuchni i zaczęła przeglądać atlas Stanów Zjednoczonych, próbując znaleźć miejscowość Pulaski. Wtedy do drzwi kuchennych zapukała Netta. Sookie wstała i poszła jej otworzyć.

– Hej, Sookie, widziałam, jak doktor Poole wychodził, i pomyślałam, że wpadnę i zapytam, czy nie potrzebujesz czegoś ze sklepu.

– Dziękuję, Netto, niczego nie potrzebuję, ale wejdź, napijemy się kawy.

– Nie, nie mogę. Jeszcze mam siateczkę na włosach. – Netta spojrzała na stół i powiedziała: – Oglądasz mapy drogowe? Wybierasz się na wycieczkę?

– Nie, oglądałam mapę Wisconsin. Byłaś kiedyś w Wisconsin?

– Nie, bo po co. A ty?

– Nic nie wiem o tym stanie. Może ty coś wiesz?

– Niewiele, tylko to, że... czy to nie stamtąd pochodzą te konie z wielkimi kopytami? Chyba to one ciągną wóz piwa Budweiser. Tego, co się nazywa Milwaukee's Finest?

– Zdaje się, że masz rację.

– I produkują tam ser. Możliwe też, że z Wisconsin pochodzi Daisy Wesoła Krowa, ale nie jestem pewna. Skoro nie chcesz tam jechać, to po co oglądasz mapę?

– A tak, bez powodu. Po prostu wstałam i chciałam sprawdzić, gdzie to jest. Zdziwiłam się, że to tak daleko na północy, prawie przy granicy z Kanadą. Ciekawe, jakie tam są zimy.

– Nie wiem, kochana. No to zostawię cię z tą mapą. W razie czego dzwoń.

Wracając do domu, Netta zastanawiała się, kto przy zdrowych zmysłach obudziłby się pewnego dnia i ni stąd, ni zowąd postanowił sprawdzić, gdzie leży Wisconsin. Ale może Sookie nie jest przy zdrowych zmysłach. Może biedaczka zwariowała. O Boże! Kolejna z Simmonsów w Przyjemnym Zakątku. Jak już ten gen ich dopadnie, to spada nagle i wali jak obuchem – trzask i po wszystkim. Biedactwo. Jednego dnia zupełnie zdrowa, a następnego bez powodu ogląda mapę Wisconsin. To się dopiero zmartwią jej dzieci, nie mówiąc już

o tym, co będzie z doktorem Poole'em. Netta nigdy nie widziała mężczyzny tak oddanego swojej żonie jak on. Ale to było do przewidzenia. Mając Lenore za matkę, ta dziewczyna na pewno swoje przeżyła. Netta lubiła Lenore, lecz zdawała sobie sprawę, jak ciężko jest mieć ją w rodzinie.

Sookie znowu usiadła przy stole i dalej szukała miasta o nazwie Pulaski. W końcu znalazła. „Pulaski. Miejsce największego festiwalu polki w kraju”. Niedaleko Green Bay. O rany, to właśnie tam malowali się na zielono i siedzieli na trybunach futbolowych na mrozie z klinami sera na głowach. Ale cóż. Kim ona jest, żeby wydawać sądy. Carter i dziewczynki jako studenci Uniwersytetu Alabamy wkładali na mecze kapelusze w kształcie słoni. Każda srocza swój ogonek chwali, ale mimo wszystko dziwnie było myśleć, że ci ludzie siedzący na trybunach z serem na głowie mogliby być z nią spokrewnieni. Nagle naszła ją pewna myśl. Zawsze lubiła ser, zwłaszcza kanapki z pimento. Czyżby to miało coś wspólnego z jej genami, czy tak po prostu lubiła ser? Gdy wrócił Earle, zapytała:

- Earle, czy zauważyłeś, żebym jadła dużo sera, czy tylko tak mi się zdaje?
- Sera? Nie, nie sądzę, żebyś jadła więcej sera niż inni. A co?
- Tak się tylko zastanawiałam.

Następnego dnia, gdy wiedziała, że Lenore gra w brydża i że nie natknie się na nią przed domem, Sookie pojechała do księgarni.

- Cześć, Karin, co słychać?
- Wszystko w porządku, pani Poole. Właśnie minęła się pani ze swoją mamą. Była tu wcześniej z opiekunką, kupowała kartki urodzinowe.

A niech to!

- Szukam... gdzie znajdę jakąś książkę o Polsce?
- O takim kraju?
- Tak. Albo o Wisconsin.
- Zaraz. Powinny być w dziale przewodników, ale jeśli pani nie znajdzie, proszę dać mi znać. Zawsze mogę zamówić. Po tych wszystkich weselach wybiera się pani w podróż?
- Możliwe. Tylko jeszcze nie wiem dokąd.
- W razie problemów służę pomocą.

Przeglądając książki, Sookie nagle uświadomiła sobie, że Lenore zawsze tutaj kupuje kartki urodzinowe, prawdopodobnie więc kupowała dla niej kartkę, dobrze wiedząc, że 31 lipca wcale nie jest prawdziwym dniem jej urodzin. *A to dopiero!*

PULASKI, WISCONSIN

1939

W 1939 roku większość Amerykanów, zwłaszcza młodych, trwała w błogiej nieświadomości tego, co działo się poza ich własnym małym światem. Jednak mieszkańcy Pulaskiego, młodzi i starzy, mocno przeżywali straszliwą wojnę, która szalała w Europie. Co wieczór całe rodziny zbierały się przy radiu i słuchały wieści z Polski. Większość miała tam krewnych i przyjaciół. Mężczyźni codziennie gromadzili się przy tablicy informacyjnej w aptece i z niedowierzaniem czytali najnowsze doniesienia. Polacy walczyli dzielnie, licząc na wsparcie ze strony Wielkiej Brytanii i Francji. Kuzyn Stanisława pracował w telegrafii Hotelu Europejskiego w Warszawie i udało mu się przesyłać wiadomości o bombardowaniach miasta przez Niemców. Informował, że naziści codziennie wysyłają więcej bombowców i codziennie niszczone są kolejne dzielnice. Tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci ginęło pod bombami; ich ciała leżały na ulicach wraz z martwymi końmi. A potem łączność została zerwana i z Polski nie docierały już żadne wiadomości. Dzień 28 września był zimny i ponury, i całe miasteczko zamarło, kiedy ogłoszono ten komunikat. Ksiądz Sobieski, którego rodzina wciąż mieszkała w Warszawie, podszedł powoli do dzwonnicy kościoła Świętej Marii i ze łzami w oczach dzwonił i dzwonił bez opamiętania. Warszawa została zdobyta przez Niemców. Jak wielu innych, i on marzył, że kiedyś wróci do domu, lecz to marzenie legło w gruzach. Polska, którą kochali, odeszła.

Po dłuższej chwili oniemiała ludziska zaczęli wychodzić z domów na ulice i nie wiedząc, co robić, wszyscy ruszyli w stronę kościoła, gdzie została odprawiona specjalna msza w całości w języku polskim. Na zakończenie wszyscy wstali i wspólnie odśpiewali hymn państwowy.

Kilka tygodni później w kinie w Pulaskim, podczas cotygodniowej projekcji *Kroniki ze świata*, pokazano filmy o upadku Warszawy. Jedna z kobiet krzyknęła, gdy rozpoznała mężczyznę osłaniającego głowę rękami, brutalnie popychanego przez nazistowskiego żołnierza.

– To mój brat! – powtarzała bez ustanku, aż trzeba ją było odprowadzić do domu.

Polska upadła, lecz życie w Ameryce toczyło się jak dawniej. Dzieci nadal grały

w bejsbol, a na Wystawie Światowej „Świat Jutra” w Nowym Jorku w 1939 roku ludzie tłoczyli się wokół cudownych wynalazków, które miały wejść do produkcji. Przyszłość wydawała się świetlana. W całym kraju kobiety i dziewczęta wzdychały w kinach do Clarka Gable’a z *Przeminęło z wiatrem*, a mężczyźni i chłopcy z zapartym tchem oglądali wyczyny Johna Wayne’a na Dzikim Zachodzie w filmie *Dylizans*. Wieczorami ludzie nadal śmiali się przy ulubionych audycjach radiowych *Charlie McCarthy* i *Fibber McGee and Molly*. Nastolatki tańczyły jitterbuga przy *Little Brown Jug* Glenna Millera, a Andrews Sisters śpiewały swój wielki przebój *Beer Barrel Polka*, który szczególną popularność zyskał w miasteczku Pulaski.

*

Latem Gertrude May i Tula June skończyły szkołę średnią. Obie były bardzo lubiane i obie należały do Czwartkowej Żeńskiej Orkiestry Akordeonowej z Pulaskiego i tego roku brały udział w paradzie z okazji Dnia Polki. Tula i Gertrude miały swoich stałych chłopców, mieszkały w domu i pomagały Muni w kuchni. Najmłodsza Sophie dopiero zaczynała szkołę średnią. Te trzy dziewczęta nie sprawiały rodzicom żadnych kłopotów. Gertrude, miła dziewczyna o grubokościstej budowie, miała jak ojciec pogodne usposobienie. Tula była jeszcze beztroskim dzieckiem, które we wszystkim potrafiło znaleźć powód do śmiechu. Sophie swoją urodą wzbudzała zainteresowanie chłopców, lecz jej nieśmiałość sprawiała, że najlepiej czuła się w domu, a to cieszyło Munię, która straciła już Fritzi i chciała utrzymać ostatnie trzy pisklęta przy sobie, by mieć je na oku.

Munia nie mówiła tego głośno, lecz zauważyła, że z wszystkich jej dzieci Sophie Marie jest najbardziej pobożna – nigdy nie opuszczała mszy i co wieczór odmawiała różaniec. Nie byłoby niczym dziwnym, gdyby odkryła w sobie powołanie. W każdym razie Munia miała taką nadzieję. Wspaniale byłoby mieć w rodzinie zakonnice. Widząc, jak Wink ochoczo flirtuje z dziewczętami, a zwłaszcza z Angie Broukowski, uznała, że on raczej nie zostanie księdzem. Teraz na stację benzynową zjeżdżały się dziewczęta aż z Green Bay, żeby побыć w jego towarzystwie.

Pod koniec 1939 roku część polityków w Waszyngtonie, wśród nich Franklin Roosevelt, zaczęła się niepokoić, że jeśli Stany Zjednoczone zostaną wciągnięte do wojny, nie będą do niej przygotowane. Siły powietrzne szkoliły zaledwie trzystu pilotów rocznie, więc rząd po cichu, bez wielkiego rozgłosu, wprowadził nowy, propagowany w szkołach program szkolenia pilotów cywilnych, co ucieszyło Jurdabralińskich. Mieli już niewielki pas startowy, który zbudowali dla Billy’ego, a miejscowa szkoła potrzebowała miejsca na przechowywanie

małych samolotów i szkolenie uczniów. Gdy zapytano Stanisława, czy można zbudować na jego posiadłości mały hangar i wydzierżawić od niego ziemię, dostrzegł w tym okazję dla swoich córek i Winka i odpowiedział, że użyczy terenu za darmo. Postawił tylko warunek, żeby instruktor w wolnym czasie udzielał lekcji latania jego dzieciom. Dziewczęta były zachwycone. Fritzi była dla nich wzorem do naśladowania. Munia jednak wcale się nie ucieszyła. Jej wystarczyło, że już Fritzi lata po całym kraju.

Kochane wariatki!

Tatko napisał mi o Waszym nowym przedsięwzięciu. Już się nie mogę doczekać, jak zabierzecie mnie na przejażdżkę w dzikie błękitne przestworza. Jak mawia Billy: „Bądź ostrożna, bądź bezpieczna, baw się dobrze”.

Fritzi

Wszystkie radziły sobie całkiem nieźle – z wyjątkiem Tuli. Podczas pierwszego samodzielnego lotu zeszła za nisko przy lądowaniu i skosiła cały pas kukurydzy. Po tym incydencie Tula postanowiła pozostać przy grze na akordeonie i jeździe na wrotkach.

NIEWIDZIALNA KOBIETA

Point Clear, Alabama

Zaraz po powrocie z podróży poślubnej Ce Ce pobiegła zobaczyć się z mamą i odebrać Peek-a-Boo.

– Mamo, nasza podróż była po prostu wspaniała! I jeszcze raz dziękuję za opiekę nad Peek-a-Boo.

– Ależ to sama przyjemność.

Kiedy już chwilę porozmawiały o wrażeniach z podróży, Ce Ce spojrzała na matkę i zapytała:

– Mamo, czy coś się stało? Jesteś dzisiaj jakaś nieswoja.

– Nie, nie... Tylko... wiesz, wszystkie dzieci się wyniosły, robię małe przewartościowanie, i tyle.

– Co za przewartościowanie? O czym tak rozmyślasz?

– Jaka dumna jestem ze wszystkich córek. Le Le i Dee Dee świetnie sobie radzą zawodowo, a teraz ty studiujesz weterynarię. I chyba trochę się czuję jak nieudacznica. Niczego nie osiągnęłam w swoim życiu.

– Ależ, mamo, o czym ty mówisz? Pracowałam i pomagałam tacie, żeby mógł skończyć stomatologię.

– Oj... nie za długo, zresztą nie robiłam nic ważnego.

– Ale oprócz tego udało ci się wychować czworo dzieci. Zawsze byłaś przy nas, kiedy cię potrzebowaliśmy. Gotowałaś, sprzątałaś i dbałaś o to, żebyśmy chodzili w czystych ubraniach. Nie wiem, jak sobie z tym wszystkim radziłaś.

– To tylko zwykłe prace domowe. Każdy to potrafi.

– Nie, nie każdy. Ja nie. Babcia też na pewno nie. Nie wiem, dlaczego nigdy nie doceniałaś tego, co codziennie robiłaś. I nigdy nie narzekałaś.

– Narzekałam.

– To może nie przy nas. Nigdy nie słyszeliśmy, żebyś na cokolwiek się skarżyła.

– Nie?

– Nie. Zawsze byłaś taka spokojna, wyluzowana. Po prostu wszystko ciągnęłaś do przodu.

– Naprawdę?

– No pewnie.

*

Tego popołudnia Sookie zadzwoniła do Deny.

– Dena, powiedz mi prawdę, nawet gdyby miała być bolesna. Byłaś na studiach moją najlepszą przyjaciółką.

– Nie da się ukryć.

– Co byś uznała za moje główne cechy charakteru?

– Hmm... miałaś fantastyczny charakter. Wszyscy cię lubili, Sookie.

– Ale dlaczego?

– Dlaczego? Przyjemnie było przebywać w twoim towarzystwie i byłaś zawsze taka...

– Zgodna?

– Tak... i zawsze ze wszystkim sobie radziłaś.

– Wiedziałam!

– Co?

– Jestem nikim. Nigdy nie miałam własnych cech charakteru. Jestem nijaka. Tylko nabywałam różne rzeczy. Gdyby Lenore nie narzucała mi osobowości, wszyscy by widzieli, że pod spodem jestem tylko nudną, nijaką, bezkształtną masą.

– Ależ, Sookie, to nieprawda.

– Właśnie, że prawda. Przez tyle lat jedynie imitowałam innych. Jestem po prostu pustą powłoką.

– Sookie, co się stało? Mówisz jak nie ty.

– O to chodzi. Ja to nie ja. Jestem tylko jednym wielkim kawałkiem plazmy dryfującym w kosmosie... Niewidzialną kobietą. Czemu nie dowiedziałam się tego, kiedy byłam młoda i jeszcze mogłam coś zmienić? Teraz już za późno. Już jestem ukształtowana. Jestem postacią drugiego planu i zawsze taka będę.

– Ojej, Sookie, to nieprawda. Zresztą nigdy nie jest za późno na zmianę i na zrobienie czegoś nowego.

– Właśnie że jest. Przynajmniej dla mnie. Nie sądzę, żebyśmy się choć trochę zmieniły od

czasów studiów. Jestem tylko starsza z wyglądu i tyle.

– Oj, kochana.

– Kiedy to prawda, Dena. A nie ma nic gorszego niż sześćdziesięcioletnia była cheerleaderka, która wciąż usiłuje zadzierać nosa. Ja już mam tego dosyć. Nawet już nie wiem, czy naprawdę lubię ludzi czy tylko udaję. Tak czy siak, dziękuję, że jesteś moją przyjaciółką.

Dena odłożyła słuchawkę, okropnie współczując Sookie, a jednocześnie ją rozumiejąc. Zawsze uważała Lenore za wspaniałą, zabawną kobietę, lecz przecież patrzyła na nią z innej perspektywy niż córka. A przy Lenore każdy był postacią drugiego planu.

GRAND RAPIDS, WISCONSIN

Billy Bevins znał mnóstwo dziewcząt, lecz żadnej takiej jak Fritzi. Była od niego o dwanaście lat młodsza, ale nie trzeba było długo czekać, żeby zaczęła dorównywać mu w picciu i przeklinaniu, a nawet potrafiła bluznąć taką wiązką, jakiej nigdy wcześniej nie słyszał. Co najważniejsze, stała się niemal tak dobrym pilotem jak on.

Przez pierwsze miesiące pobytu w Grand Rapids Fritzi mieszkała w osobnym pokoju w hotelu i wszystko było jak należy. Jednak po jakimś czasie Gussie Mintz, skrzydłowa z Altoony i towarzyska życia Billy'ego, wyczuła, co się święci. Widziała, jak Billy patrzy na Fritzi i *vice versa*. On oczywiście zaprzeczał, ale Gussie nie była głupia. Dlatego któreś soboty, gdy Billy i Fritzi wyjechali na pokazy, spakowała się i wróciła do Altoony. Zostawiła list zaadresowany do Fritzi.

Droga Fritzi!

Wyjeżdżam. Powodzenia i uważaj na siebie. Mówią, że jeśli latanie wejdzie Ci w krew, nigdy się od tego nie wyzwolisz. Ja rezygnuję, póki jeszcze mogę.

Twoja

Gussie Mintz

PS Nie mam do Ciebie pretensji, ale powiedz Billy'emu, że jest łajdakiem.

Gussie może nie była zbyt subtelną kobietą, ale Fritzi zawsze ją lubiła. Jeśli pominąć cały ten sztafaż, mocny makijaż, gorzałę, ataki płaczu i prymitywny język, była w Gussie jakaś szlachetność i Fritzi wiedziała, że będzie za nią tęsknić.

I choćby nie wiadomo jak nazywała Billy'ego, Gussie wyraźnie wciąż go kochała. Odeszła nie dlatego, że tego *chciała*. Ale przecież ona sama przegoniła z jego życia inną dziewczynę. Właściwie to Gussie z wielką chęcią strzeliłaby mu w czułe miejsce. To by jej z pewnością poprawiło humor i prawdopodobnie zaoszczędziłoby Fritzi wielu późniejszych rozczarowań. Billy nie był typem, z którym można by założyć rodzinę.

Tak jak przewidywała Gussie, to, co łączyło Billy'ego i Fritzi, rozwijało się w szybkim tempie i kilka miesięcy później Fritzi spędzała więcej czasu w jego pokoju niż we własnym.

– Po co płacić za dwa pokoje, skoro i tak korzystasz tylko z jednego? – powiedział któregoś dnia. Była to najbliższa oświadczyn deklaracja, na jaką w ogóle mogła liczyć. Wtedy już zdawała sobie sprawę, że do ślubu nigdy nie dojdzie. Billy nie wierzył w małżeństwo. Musiała zdecydować. Wiedziała, że to grzech, ale i tak jakiś czas temu przestała chodzić do kościoła, więc przeprowadziła się do Billy'ego. Martwiła się tylko o dwie rzeczy: że Tatko i Munia się dowiedzą i że zajdzie w ciążę. Druga skrzydłowa, Lillian, powiedziała jej: „Złotko, uważaj. Cięża to koniec latania”.

KIM JESTEM?

Point Clear, Alabama

Sookie była w rozterce. Przez sześćdziesiąt lat (wielkie nieba!) wiedziała, kim jest, i nagle to wszystko okazało się kłamstwem. Teraz jej problemem było to, że skoro nie jest tamtą osobą... Kim jest? Wtedy coś sobie przypomniała. Wybrała numer telefonu.

– Marvaleen, tu Sookie.

Gawędziły przez kilka minut i wreszcie Sookie zapytała:

– A jak sobie radzisz z tą swoją trenerką rozwoju osobistego? Wciąż się spotykacie?

– O tak. Chodzę do niej na sesje indywidualne dwa razy w tygodniu, a poza tym raz w tygodniu mamy spotkania w grupie pod hasłem „Bogini w tobie”. Sookie, jak bym chciała, żebyś poszła ze mną na takie spotkanie! To naprawdę odmieni twoje życie. Spotykamy się w każdy wtorek na jej podwórku, w jurcie.

– Jurcie?

– Tak. Sprowadziła ją aż z Mongolii i słowo daję, Sookie, że ta jurta ma niezwykłą moc. Czuję to zaraz po wejściu do środka. Wszystkie wchodzimy tam zupełnie nagie, żeby się uwolnić od powierzchownych pułapek zachodniej kultury, a potem śpiewamy i bijemy w bębny, żeby obudzić w sobie boginie kobiecości. Wystarczyło kilka sesji, żeby wynieść moją świadomość na wyższy poziom.

– Rozumiem. No cóż, zastanowię się. A czy nadal prowadzisz dziennik?

– Oczywiście. To zadanie na całe życie. A ty już zaczęłaś?

– Jeszcze nie. Ale mówiłaś, że to ci pomogło odkryć, kim naprawdę jesteś.

– Bo to prawda. Musisz zacząć to robić! Przede wszystkim Edna Yorba Zorbra mówi, że wszystkie kobiety są wychowywane w opresyjnym społeczeństwie i dlatego mamy niską samoocenę. Dlatego trzeba zacząć od założenia dziennika uznania, a potem przejść do dziennika wściekłości. Póki tego nie zrobisz, nie możesz przejść do pierwotnego wrzasku.

– Aha.

– To naprawdę działa. Na początku cała moja wściekłość była skierowana na Ralpa,

a potem przesuwiała się na rzeczy, o których nawet nie wiedziałam, że jestem na nie wściekła... osobiście i ogólnie... a jak już uświadomisz sobie całą tę złość, możesz zacząć osiągać stan yin. Mówię ci, Sookie, powinnaś przyjść na spotkanie naszej grupy albo przynajmniej na jogę.

- Najpierw chyba spróbuję tego dziennika. Jak się zaczyna?
- Co rano musisz zrobić listę dziesięciu rzeczy, które lubisz w sobie i swoim życiu.
- O...
- Na przykład... „lubię swoje piersi” albo „lubię swoje stopy”... takie rzeczy.

Po południu Marvaleen wydrukowała instrukcje i podrzuciła Sookie wraz z liścikiem.

Sookie!

Bardzo się cieszę, że wyruszasz w magiczną podróż do swego wnętrza, i czuję się zaszczycona, że mogę być Twoją przewodniczką w drodze do samorealizacji i uważności. Najpierw musisz stworzyć sobie własną Świętą Przestrzeń i umieścić w niej ołtarzyk ze swoim zdjęciem z dzieciństwa, świeczką albo czymś innym, co do Ciebie przemawia. Ja mam zdjęcia Dalajlamy i Oprah Winfrey. Na początek zaczęłabym od prostego dziennika samooceny i uznania. To Ci pomoże później otworzyć swoje czakramy na intensywniejszą pracę. Codziennie rano zapisz dziesięć rzeczy, z których jesteś zadowolona, i pięć rzeczy, które chciałabyś zmienić. I jeszcze jedno, bądź dobra dla dziewczynki w swoim wnętrzu. Pamiętaj, że ona potrzebuje otuchy ze strony dorosłej Ciebie. Mów jej, że ją kochasz i że wszystko będzie dobrze. Edna Yorba Zorbra twierdzi, że musimy się nauczyć troszczyć o siebie w tej trudnej drodze ku Szczęśliwemu Przeznaczeniu.

Życzę Ci Błogosławieństw i Białego Światła.

M.

PS Przy okazji, w najbliższy czwartek wieczorem Edna Yorba Zorbra prowadzi wykład o mantrach i medytacji. Będzie też wegetariański poczęstunek. Może przyjdiesz? Daj znać.

Następnego dnia Sookie zabrała się do organizowania własnej świętej przestrzeni. Postanowiła, że ustawi swój ołtarzyk w szklarni. Znalazła swoje szkolne zdjęcie i świeczkę i wyszła na zewnątrz z zeszytem w dłoni. Zapaliła świeczkę i umieściła fotografię na półce. Naprawdę wyglądała żałośnie z tą rudą trwałą na głowie. Usiadła na dużym bujanym fotelu, otworzyła notatnik i zaczęła pisać.

Dziesięć rzeczy, z których jestem zadowolona:

1. mój mąż
2. moje dzieci
3. mój dom

Nigdy się nie zastanawiała, czy lubi coś w swoim ciele, czy nie. Wyjątkiem były włosy, których od dzieciństwa nie znosiła. Teraz jednak musiała znaleźć w sobie jeszcze siedem dobrych rzeczy. Earle często mówił, że Sookie ma piękną skórę, ale ona nienawidziła swoich piegów. Godzinę później wciąż miała na liście tylko te trzy punkty. Nie zapowiadało się dobrze.

Może powinna to pominąć i zacząć od pięciu rzeczy, których nienawidzi. Aha... coś przyszło jej do głowy.

1. modrosójki błękitne

Hmm... właściwie nie... w zasadzie to nie nienawidzi. Była tylko na nie wściekła. Przecież to nie ich wina, że są, jakie są. I nie można się wściekać na naturę, prawda? O Boże!

Dwie godziny później świeca się wypaliła, a Sookie wciąż siedziała w szklarni. Jasne było, że prowadzenie dziennika nie działa. Choć dawała z siebie wszystko, nie była w stanie przebrnąć poza numer trzy ze swojej listy „Dziesięć rzeczy, z których jestem zadowolona”. Może jutro spróbuje ponownie zajrzeć do kilku książek od Marvaleen.

Kilka lat temu, zanim Marvaleen znalazła trenerkę rozwoju osobistego, brała udział w programie dwunastu kroków dla osób współuzależnionych i wtedy podrzuciła Sookie kilka książek. Sookie przeczytała je i przez jakiś czas nawet próbowała być bardziej asertywna wobec matki, lecz trudno jej było osiągnąć jakieś postępy. Lenore była po prostu straszliwie przytłaczająca. I bez względu na wszystko zawsze musiała być w centrum uwagi.

Każdy Dzień Matki był wiernopoddańczym występem na cześć Lenore. Nie liczyło się, że Sookie też jest matką i ma czworo dzieci. Lenore mówiła: „Sookie, może i jesteś teraz matką, ale pamiętaj, że ja byłam matką przed tobą!”.

I pomyśleć tylko o tych wszystkich latach, kiedy musiała kupować jej kwiaty na Dzień Matki i pilnować, żeby wszystkie dzieci miały prezent dla babci i były wystrojone, bo idąc do Lenore, musiały wyglądać bez zarzutu. Na dodatek zawsze musieli brać udział w przyjęciu organizowanym w hotelu, gdyż bywali tam wszyscy przyjaciele Lenore, a ona chciała się pochwalić swoimi wnukami. Sookie była wtedy jak zawsze tylko jednym z gości przy stole, podczas gdy Lenore odgrywała królową.

W urodziny Lenore Sookie zawsze musiała zorganizować wielką imprezę i postarać się

o to, by matka dostała wiele prezentów. Nawet w jej własne urodziny Sookie nigdy nie miała swoich pięciu minut, bo Lenore pozbawiała ją tej szansy. Wszyscy musieli wysłuchiwać, jak to rodziła ją przez czterdzieści osiem godzin i jakim olbrzymim noworodkiem była jej córka. Ale taka właśnie była Lenore: gdziekolwiek się pojawiła, wszędzie koncentrowała na sobie uwagę.

Może to, że sama nie miała matki, było jedną z przyczyn tego, że Lenore tak słabo radziła sobie w roli rodzica. A może, jak powiedział Buck, była prawdziwą wariatką. Jednak bez względu na wszystko Sookie była przekonana, że życie spędzone z Lenore zrujnowało jej system nerwowy. Dzięki Bogu Earle zbudował dla niej tę szklarnię, w której mogła się ukryć i przesiedzieć w milczeniu kilka godzin.

Zawsze gdy żaliła się Buckowi na postępowanie Lenore, on odpowiadał: „Siostrzyczko, nie przejmuj się nią. Nie zwracaj na nią uwagi, tak jak ja”. Ale Sookie nie mogła jej tak po prostu ignorować. Mieszkała o wiele za blisko. Nawet teraz słyszała, jak Lenore rozmawia z kimś na molo. Nic dziwnego. Przy dobrym wietrze prawdopodobnie słyszano ją aż po drugiej stronie zatoki.

Co za złośliwość losu. Jej prawdziwa matka była prawdopodobnie miłą, cichą, skromną Polką.

NARODZINY GWIAZDY

Przez następnych kilka lat Billy i Fritzi występowali niemal co weekend na całym Środkowym Zachodzie, a nawet dotarli ze swoimi pokazami aż do Kanady. Dzięki Billy’emu Fritzi poznała wielu wspaniałych pilotów akrobatów. Odbyła nawet lot z najsłynniejszym z nich, Clyde’em „Upside Down” Pangbornem, który pokazał jej, jak poprawić korkociągi i pętle i jak sobie radzić, gdy zgaśnie silnik.

Oczywiście te akrobacje były niebezpieczne, a w dodatku, jak się przekonała, życie, które wiodła, wymagało ciężkiej pracy i ciężkiego picia. Jednak w zamian dostarczało dużo radości i intensywnych wrażeń i jak zawsze mówiła Fritzi, było o niebo lepsze niż jej dawna robota w fabryce puszek.

W poniedziałki rano, po weekendowych pokazach, Billy był zwykle zbyt skacowany, żeby wsiąść do samolotu, więc Fritzi musiała sama lecieć do następnego miasteczka i zrzucić ulotki zapowiadające ich występ. Nie miała jednak nic przeciwko temu. Było coś niesamowitego w takim samotnym przebywaniu w przestworzach – tylko ona i samolot oraz wiatr, który muska jej twarz. Czasami, gdy wracała po zmierzchu i towarzyszyły jej tylko gwiazdy, czuła, że mogłaby pozostać w górze na zawsze. Uwielbiała wpadać w srebrne chmury i wylatywać z nich, z radością obserwowała światła miast w dole. Oczywiście strasznie tęskniła za rodziną, ale poza tym wszystko układało się dobrze i szło ku jeszcze lepszemu. Szybko stała się tematem gazetowych nagłówek.

Przyjdź zobaczyć

LATAJĄCY CYRK BILLY’EGO BEVINSA

Występuje

FRITZI

Najsłynniejsza Kobieta Demon Przestworzy

W programie:

Zapierające dech akrobacje na skrzydłach samolotu

*

EMOCJE GWARANTOWANE!

Zobacz słynnego awiatora Billy'ego Bevinsa & Fritzi,

Demona Przestworzy

w spektakularnym pokazie ewolucji lotniczych

*

DAJ SIĘ ZASKOCZYĆ!

W sobotę na Polach Legionowych

Początek o 14.00

Zabawa dla całej rodziny

Loty: 5 dolarów za 10 minut

Akrobacje, które prezentowali, naprawdę były spektakularne. Fritzi, ubrana w strój lotniczy z fioletowej skóry, wysokie kozaki, kask i długi biały szalik, wychodziła na skrzydła i przez jakiś czas wykonywała układy gimnastyczne i tańce. W pewnym momencie Billy, wyposażony w spadochron, ustawiał samolot poziomo i wydostawał się z kabiny na skrzydło z drugiej strony, przechodził do końca i skakał. Ludzie na ziemi wydawali okrzyk trwogi: „O nie! Zostawił dziewczynę samą w górze! Ona zginie!”. Tymczasem Fritzi wsuwała się do kokpitu i przejmowała stery. Następnie, ku zdumieniu publiczności, wykonywała przewroty, pętle i korkociągi, niebezpiecznie opadając, by w ostatniej chwili poderwać maszynę i powtórzyć wszystko od nowa, podczas gdy widzowie to piszczeli, to znów wstrzymywali dech, myśląc, że za moment się roztrzaska. Billy tymczasem powoli opadał na ziemię na spadochronie.

Wyglądało to groźnie, lecz Billy, który niczego nie pozostawiał przypadkowi, obliczył wszystko co do sekundy.

Kiedy Fritzi w końcu lądowała, jej samolot natychmiast oblegali fani. Podobało jej się to, Billy'emu również. Póki ona była jeszcze na zewnątrz, zajęta podpisywaniem autografów i pozowaniem do zdjęć oraz zabieraniem chętnych na dziesięciominutowe loty po pięć dolarów, Billy już siedział przy barze, popijając drinki i obliczając utarg. W niektóre weekendy dola Fritzi wynosiła prawie siedemdziesiąt pięć dolarów.

Fritzi cieszyła się, że może wysyłać rodzinie drobne kwoty. Munia martwiła się o nią dniami i nocami, ale Tatko mawiał:

– Zrozum, Linko, ona jest szczęśliwa.

– Tak, szczęśliwa, że może się popisywać – odpowiadała z westchnieniem Munia. –
Dobrze chociaż, że ma z tego jakieś pieniądze.

POINT CLEAR, ALABAMA

Sookie nie wiedziała, jak ma to powiedzieć dzieciom. Co zrobić, by złagodzić cios? Wzięła do ręki niedawno kupioną książkę kucharską zatytułowaną *Kuchnia polska*. Może zaprosić ich wszystkich na obiad i podać jakieś polskie danie? Jeśli im zasmakuje, mogłaby powiedzieć coś w stylu: „Cieszę się, bo tak się składa, że wszyscy macie polskie geny”. Przeglądała przepisy, próbując znaleźć coś, co mogłaby zrobić, ale wszystko miało w sobie za dużo buraków i kapusty kiszanej.

Znała swoje dzieci. Na pewno nie spodobają im się golonka, galareta z nówek wieprzowych, zawijane zrazy wołowe czy flaki. Poza tym nie wiedziała, co to takiego te flaki. Szczerze pragnęła znaleźć coś ciekawego, co mogłaby przyrządzić, lecz nic się nie nadawało. W końcu, kiedy doszła do potrawy o nazwie czemina, która okazała się zupą z kaczej krwi, poddała się. O Boże! Nie, to się nie uda. Musi znaleźć inny sposób. Założyła, że rozmowy z dziećmi zacznie od Dee Dee, bo z nią będzie najtrudniej. Lenore napchała głowę Dee Dee historią rodu Simmonsów i bzdurami o elitach z Wirginii, przez co miała miewała snobistyczne zapędy. Kiedy miała trzynaście lat, Sookie przypadkiem usłyszała, jak mówi do nowej dziewczynki z sąsiedztwa: „Moja babcia należy do szóstego pokolenia Simmonsów z Anglii. A twoja rodzina jaki ma rodowód?”. Natychmiast kazała Dee Dee przeprosić tę dziewczynkę. Poprosiła też Lenore, żeby przestała wmawiać wnuczce, że jest lepsza od innych. Ale jak zwykle na Lenore nie było rady. „Chcesz, żebym okłamywała dziecko? Rodowód u zwierząt ma znaczenie. Czemu z ludźmi ma być inaczej?”.

Z czasem Sookie zaczynała czuć się pewniej. I na szczęście od chwili, kiedy omal nie natknęła się na Lenore przy cmentarzu, udawało jej się unikać spotkań z matką. Jeden jedyny raz, gdy pobiegła do miasta dosłownie na moment, żeby odebrać ubrania z pralni, musiała na nią wpaść.

Sookie wydobyła z siebie uprzejme: „Dzień dobry”, lecz Lenore tylko obrzuciła ją wzrokiem i nie powiedziała ani: „Co słyhać?”, ani: „Czy czujesz się już lepiej?”, tylko „Dobry Boże, Sookie, twoja skóra wygląda okropnie. Kiedy ostatnio byłaś u kosmetyczki?”. W tym momencie, na ulicy przed sklepem, Sookie miała ochotę rozszarpać ją gołymi rękami.

Gdy odchodziła, serce jej kołatało, czuła pot na dłoniach. Wtedy uświadomiła sobie, że musi być bardziej zdenerwowana, niż myśli.

Po powrocie do domu zadzwoniła do Deny.

– Sookie! Jak miło cię słyszeć. Co u ciebie?

– Okropnie.

– Nie mów. Masz jakieś problemy?

– Jeśli uważasz, że chęć zamordowania kogoś na ulicy w biały dzień o parę kroków od posterunku policji jest problemem, to tak.

– Ojej, to do ciebie niepodobne.

– Racja. Możliwe, że przeżywam załamanie nerwowe, a nawet o tym nie wiem.

– I to cię martwi?

– Tak, martwi mnie. Bo przecież nic nie wiem o swoich genach, i kto wie, do jakich zachowań mogę być zdolna. Może moi krewni siedzą teraz gdzieś w więzieniu. Może stanowią zagrożenie dla siebie i innych.

– Oj, Sookie. Na pewno nic z tych rzeczy.

– Czyżby?

– Oczywiście. Jestem przekonana, że pochodzisz z miłej, uroczej rodziny. Inaczej to nie byłabyś ty.

Kiedy się rozłączyły, Sookie zapragnęła, żeby to, co mówiła Dena, było prawdą. Trochę już badała ten temat i wiedziała, że od każdego z rodziców otrzymuje się dwadzieścia trzy chromosomy. Może nigdy się nie dowie, kto był jej ojcem, ale ze względu na dzieci, głównie z powodów zdrowotnych, powinna spróbować zdobyć jakieś informacje o rodzinie ze strony matki. Oczywiście dla niej samej to też będzie miało znaczenie. Gdyby tak naprawdę miała mordercze skłonności, lepiej dowiedzieć się o tym wcześniej niż później.

*

Po kilku godzinach zebrała się na odwagę i zadzwoniła do informacji, żeby zdobyć numer Izby Handlowej w Pulaskim w stanie Wisconsin. Przygotowała sobie papierową torebkę na wypadek, gdyby znów dopadła ją hiperwentylacja. Gdy wykręciła kierunkowy 920, a potem numer biura, usłyszała kobietę, która mówiła z bardzo wyraźnym, obcym dla uszu Sookie akcentem:

– Dzień dobry. Mówi Marianne. W czym mogę pomóc?

– O... dzień dobry. Pani mnie nie zna, ale dzwonię, żeby się dowiedzieć o rodzinę

o nazwisku Jurdabralinski.

– Jak?

Przeliterowała nazwisko:

– J-U-R-D-A-B-R-A-L-I-N-S-K-I.

– Aha, Jurdabralinsky. Rodzina ze stacji benzynowej.

– Słucham?

– Prowadzili kiedyś stację benzynową w miasteczku.

– A... rozumiem... A nie wie pani, czy ta rodzina była zdrowa?

– Zdrowa?

– Tak. Czy w tej rodzinie były przypadki cukrzycy, problemów z sercem, jakieś choroby psychiczne, rak albo alkoholizm?

– O Jezu. Nie słyszałam o niczym takim. Moja mama chodziła do szkoły z kilkoma dziewczynkami od Jurdabralinski i pamiętam, że były tam cztery córki i syn, a dwie z tych córek to były bliźniaczki.

– Bliźniaczki? Naprawdę? O rany!

– No tak. I jedna z nich została zakonnica. Wszyscy byli zdrowi, o ile mi wiadomo.

– A nie wie pani, czy ktoś z nich jeszcze mieszka w okolicy?

– Zaraz zobaczę... Tula Tanawaski jest z Jurdabralinski, wyszła za Narda i przenieśli się do Madison. Czy jest pani ich krewną?

– Nie, nie. Jestem studentką i zajmuję się badaniem dziejów starych polskich rodzin.

– Oj, mamy ich tutaj sporo. Mogę się dowiedzieć czegoś więcej o Jurdabralinski, gdzie teraz są i tak dalej, ale to potrwa kilka dni. W tym tygodniu mamy bardzo dużo pracy. Zbliżają się Dni Polki w Pulaskim i jesteśmy w trakcie przygotowań... parada i inne rzeczy.

– Rozumiem, w takim razie nie zawracam pani głowy. Zadzwoń w przyszłym tygodniu.

– Może chociaż poznam pani nazwisko?

– Moje nazwisko? – Sookie wpadła w panikę. – Yyy... Finch. Alice Finch.

– Dobrze, Alice. No to do usłyszenia w przyszłym tygodniu.

Wstyd jej było, że okłamała tę kobietę, i była pewna, że jej głos nie brzmiał jak głos studentki, ale przecież musiała chronić swoją prawdziwą matkę, a także Lenore. Szybko się przekonywała, że jedno oszustwo pociąga za sobą setki innych. Dobrze chociaż, że czegoś się dowiedziała. Kobieta powiedziała, że o ile jej wiadomo, Jurdabralinsky nie mają problemów zdrowotnych. Właściwie Sookie tylko po to zadzwoniła. Ręce jej drżały. A może jej matka to ta, która została zakonnica? „Wtedy naprawdę nie chciałaby, żebym się ujawniła” – pomyślała.

W dodatku, gdyby się dowiedziała, że jej córka nie została wychowana na katoliczkę, też nie byłaby zadowolona. Sookie czuła, że te informacje w zupełności jej wystarczą. Miała ich aż nadto. Bała się dzwonić tam ponownie. Kto wie, czego jeszcze mogłaby się dowiedzieć? Wyglądało na to, że Dena miała rację. Sookie potrzebowała pomocy specjalisty.

POMOC

Point Clear, Alabama

– Dzień dobry. Czy to doktor Shapiro?

– Tak. Słucham.

– Pan mnie nie zna, ale chciałam o coś zapytać. Mieszkam niedaleko pana gabinetu. Czy pan odbywa wizyty domowe?

– Nie może pani wyjść z domu? – zapytał z wyczuwalną troską.

– Tak... można tak powiedzieć. Mam problem, o którym z wielu powodów mogę mówić tylko anonimowo.

– Rozumiem, ale zapewniam panią, że wszystko, o czym rozmawiamy podczas sesji, pozostaje między nami. Czy chce się pani umówić na wizytę?

– Chciałabym, ale nie mogę. Wiem, że pewnie trudno panu to zrozumieć, ale problem dotyczy mojej matki. I gdyby ktoś zobaczył, jak wchodzę do gabinetu albo od pana wychodzę, ona od razu by się dowiedziała. Zna tu wszystkich.

– Rozumiem. Wciąż mieszka pani z rodzicami?

– O, nie. Mam pięćdziesiąt... sześćdziesiąt lat, męża i czworo dorosłych dzieci.

– Ach, przepraszam. Ma pani taki młody głos. Czy mogę prosić o więcej szczegółów?

– A ta rozmowa nie jest nagrywana?

– Nie.

– Właśnie przeżyłam straszliwy szok. Dowiedziałam się, że mogę być córką polskiej zakonnicy z Wisconsin i że nie jestem tym, kim myślałam, że jestem. Dena, moja przyjaciółka, powiedziała, że potrzebuję pomocy specjalisty. Ona ma męża psychiatrę. I dzisiaj, kiedy miałam ochotę udusić matkę, pomyślałam, że Dena ma chyba rację. Ona już wcześniej mi sugerowała, że powinnam do pana zadzwonić, ale wtedy jej nie posłuchałam. A teraz martwię się, że to może być załamanie nerwowe. Może potrzebuję jakichś leków, ale skąd mogę wiedzieć. Czy pan może mi coś zapisać przez telefon?

– Nie, musiałbym się z panią najpierw spotkać.

– A niech to...

– Ale chyba mógłbym panią odwiedzić, jeśli pani sobie życzy.

– Naprawdę?

– Tak.

– To wspaniale. Kiedy?

– Chwileczkę... hmm... mam wolną godzinę jutro o szesnastej. Czy to pani odpowiada?

– Oczywiście. Podam panu adres. To... ojej... doktorze, to chyba jednak nie jest dobry pomysł. Mama mieszka w sąsiedztwie i w każdej chwili może tu wpaść. A ona nigdy nie puka. Wiem, że może zbyt wiele wymagam, ale czy nie moglibyśmy się spotkać w innym miejscu?

– Dobrze. Jeśli poczuje się pani bezpieczniej... Gdzie?

– Zaraz... o, już wiem. Może w Waffle House przy drodze numer 98?

– W porządku. Mogę prosić o pani nazwisko?

Zapadła cisza.

– Wolałabym nie... jeśli to panu nie przeszkadza. Nie chciałabym, żeby się rozeszło, że byłam u psychiatry.

– Dobrze, ale jak panią rozpoznam?

– No tak! Będę w kapeluszu... i w różowych tenisówkach z pomponami. Tak będzie dobrze?

– Tak.

– A... jaka jest cena?

– Najpierw się spotkajmy i zobaczymy, co potem.

Odkładając słuchawkę, doktor Shapiro był zaniepokojony. Nigdy jeszcze nie spotykał się z pacjentami poza gabinetem, a już na pewno nie w Waffle House, ale ta biedna kobieta albo cierpiała na schizofrenię paranoidalną albo była najbardziej zwariowaną osobą, z jaką zetknął go los. W obu przypadkach oczywiście potrzebowała pomocy.

PULASKI, WISCONSIN

—
maj 1941

Wink skończył szkołę średnią i zaczął pracować na stałe na stacji benzynowej ze swoim kuzynem Florianem. Wiedział, że rodzice potrzebują go w domu. Ojciec nie miał już tyle sił co dawniej. Lata nocowania na kanapie na zapleczu stacji benzynowej, nieprzespanych nocy i wychodzenia na zewnątrz w mróz zaczynały odbijać się na jego zdrowiu. Wink, który miał licencję pilota, nie mógł się już doczekać, by wziąć udział w walkach w Europie. Kilku jego kolegów przekradło się do Kanady i tam wstąpiło do RAF-u. Zostali już wysłani do Anglii i byli w samym centrum walk. On jednak obiecał swojej dziewczynie Angie, o dwa lata od niego młodszej, że będzie jej towarzyszył na balu maturalnym, a jak dotąd spełniał wszystkie jej zachcianki. Poza tym nie miał zamiaru zostawić jej w stanie panieńskim pośród takich młodych, napalonych chłopaków jak on sam. Nie wiedział, co robić, zadzwonił więc do Fritzi, by spytać o jej zdanie.

– Wiesz, te staroświeckie więzy to nie dla mnie, ale jeśli naprawdę tego chcesz, to wiedz, że trafiła ci się naprawdę świetna dziewczyna. Zawsze lubiłam Angie, więc działaj.

– Dobra. Dzięki, Fritzi.

– Hej, masz na pierścionek?

– O... zapomniałem o tym.

– Nie martw się. Ja akurat jestem przy forsie. Poszcęściło mi się w pokerze w ubiegłym tygodniu. Wyślę ci trochę, jak się zgodzi... a na pewno się zgodzi.

– Dzięki Fritzi. Ale nie jestem taki pewien. Może za długo zwlekałem. Ona ma teraz tylu adoratorów.

– No to nie gadaj, tylko idź do niej.

*

Wink niepotrzebnie się martwił. Angie Broukowski od podstawówki była w nim bez pamięci zakochana. Dla niej Wink był najprzystojniejszym, najwspanialszym, najmiłszym

chłopcem na świecie. Miała w życiu tylko jeden cel: zostać panią Wincentową Jurdabralinską, więc bez wahania powiedziała „tak”. Datę ślubu wyznaczyli na czerwiec. Samych krewnych na ich ślubie miało być ponad dwieście osób, a liczba wszystkich gości weselnych była tak duża, że musieli wynająć salę balową u Zielinskiego poza miastem.

*

Kilka dni przed ceremonią Fritzi przybyła do domu, żeby pomóc w przygotowaniach. Wszyscy w miasteczku witali ją z radością. Odkąd zaczęła współpracę z Latającym Cyrkiem Billy’ego Bevinsa, kilka razy pisano o niej w lokalnej gazecie i cała okolica była z niej dumna. Traktowano ją, jakby była polską gwiazdą filmową. Jej młodsze siostry, które nigdy nie wyjeżdżały z rodzinnej miejscowości i dorastały, nosząc głównie szyte przez mamę sukienki, nie mogły uwierzyć, że ich siostra jest taką sławną osobistością i nawet była w Chicago.

Siedziały w jej pokoju i wpatrywały się w nią z podziwem, gdy wkładała ubrania, jakie widywały tylko w kolorowych pismach. Fritzi nosiła nawet małą złotą bransoletkę na kostce, co jej siostry uznały za szczyt wyrafinowania, a gdy już stwierdziły, że widziały wszystko, wtedy wyjęła z pudła mały kapelusz z falbankami, tak elegancki i zawadiacki, że aż zapiszczały z zachwytu.

Rano Wink wszedł do kuchni i zapytał, gdzie jest Fritzi.

– Ojej, znasz swoją siostrę. Ona i tata już paradują po mieście i grają wielkie szychy – odpowiedziała Munia w taki sposób, jakby tego nie pochwalą, chociaż właściwie ją to cieszyło. Od dawna nie widziała Tatki takim szczęśliwym.

Fritzi próbowała namówić Billy’ego, żeby przyjechał wraz z nią na ten ślub, ale on odmówił. Powiedział, że ma alergię na wszystko, co jest związane z kościołem albo z koniecznością włożenia krawata.

Jednak w dniu ślubu Fritzi uznała, że albo miał wyrzuty sumienia, albo był pijany, albo obie te rzeczy naraz, bo kiedy młodzi wyszli z kościoła, Billy nadleciał i wyrysował na niebie wielkie serce oraz napis: „Gratulacje Wink i Angie”, po czym oddalił się w kierunku Grand Rapids. Mimo że była na niego wściekła, Fritzi nie mogła się nie roześmiać. Widocznie porwał jakiś samolot wprost z pasa startowego, bo przecież w ten weekend nie pracował. Ale to był cały Billy.

WAFFLE HOUSE

Doktor Shapiro, przystojny młody mężczyzna w okularach, był na miejscu kilka minut przed czasem i zastanawiał się, czy nieznajoma w ogóle się zjawi. Nagle jednak zobaczył zaglądającą przez szybę kobietę w różowych tenisówkach z pomponami, dużych okularach słonecznych z białego plastiku w kształcie dwóch serc i w męskim kapeluszu wędkarskim z poprzipinanymi sztucznymi przynętami. Doszła do drzwi, rozejrzała się, a potem szybko podeszła i zapytała:

– Doktor Shapiro?

– Tak.

– To ja. Pańska pacjentka.

Miał ochotę powiedzieć: „Nigdy bym się nie domyślił”, ale żona ostrzegła go, że ludzie z Południa nie lubią nowojorskiego humoru, więc zaproponował tylko:

– Proszę usiąść.

Sookie zajęła miejsce i skuliła się na siedzeniu. Ledwie to zrobiła, podeszła kelnerka w różowym mundurku i zawołała pogodnie:

– Dzień dobry, pani Poole, dawno pani u nas nie było.

„To tyle, jeśli chodzi o anonimowość” – pomyślała Sookie.

– Dzień dobry, Jewel – odparła.

Jewel spojrzała na doktora Shapiro i zwróciła się do Sookie:

– Czy to ten pani syn, o którym pani mama zawsze opowiada?

– Nie... to przyjaciel.

– Aha. Co podać?

– Tylko kawę. Bezkofeinową.

– Dla mnie też – dorzucił doktor Shapiro.

Gdy Jewel odeszła, Sookie powiedziała:

– Przede wszystkim bardzo dziękuję, że pan przyszedł.

– Nie ma za co. A w czym mogę pomóc? Na czym polega pani problem?

– Oj, to bardzo długa historia. Może zacznę od początku. Kilka tygodni temu właśnie sypałam karmę ptakom... Mam straszny problem z modrosójkami. Pomyślałam, że spróbuję nasypać im ziaren słonecznika do karmników za domem, a zwykłą karmę Pretty Boy od frontu...

Trzydzieści minut i trzy kawy później, kiedy wreszcie mu powiedziała, kto jest jej matką, nagle zrozumiał. Nic dziwnego, że ta kobieta jest kłębkim nerwów. Doktor Shapiro zdążył już poznać jej matkę.

Pierwszego dnia po przeprowadzce do nowego domu doktora Shapiro i jego żonę obudziło o ósmej rano coś, co według niego brzmiało jak pobrzękiwania grupy Hare Kriszna dobiegające ze schodów. Kiedy otworzył drzwi, powitała go postawna kobieta w pelerynie, trzymająca wielki ozdobiony kokardą kosz, i oznajmiła donośnym głosem:

– Dzień dobry! Jestem Lenore Simmons Krackenberry, przewodnicząca Komitetu Powitalnego w Point Clear, i w imieniu wszystkich członków pragnę powiedzieć... – Tu nagle huknęła doniośle na marszową nutę: – Witajcie! Witajcie! W naszym mieście was witamy! Pomoc macie w nas! – Po tym występie podsunęła mu koszyk i dodała: – Za chwilę przyjdą pozostałe dziewczęta, ale ja chciałam być pierwsza. – Wepchnęła się do środka, pozostawiając go w drzwiach, i zawołała: – Pani Shapiro! Niech pani nastawi kawę. Ma pani gości! – Spędził w jej towarzystwie zaledwie godzinę, lecz nie miał wątpliwości, że to matka potrzebowała leków, a nie ta biedna córka. Pozwolił jednak Sookie mówić, gdyż wydawała się załamana.

– Jak już mówiłam swojej przyjaciółce Denie, sama nie wiem, co czuję. W jednej chwili jestem wściekła na matkę, a zaraz potem mam wyrzuty sumienia i wtedy znowu się na nią wściekam. Czy sądzi pan, że to załamanie nerwowe?

– Myślę, że w tych okolicznościach gniew i dezorientacja są jak najbardziej normalne.

– Tak? Myśli pan, że to *normalne* pragnąć udusić własną matkę?

– W pewnych okolicznościach tak. Czuje się pani zdradzona i zraniona i oczywiście chce pani odreagować.

– Racja.

– Nikt nie lubi być okłamany.

– Oczywiście. Ojej, czuję się już dużo lepiej. Doktorze Shapiro, jest pan specjalistą i rozpoznałby pan załamanie nerwowe, prawda?

– Tak.

– Więc pana zdaniem nie jestem bliska załamania?

– Według mnie to mało prawdopodobne.

Sookie odetchnęła z ulgą.

– Jestem panu niezwykle wdzięczna. I nie było aż tak strasznie, jak myślałam. Na pewno już to panu mówiono, ale naprawdę potrafi pan słuchać.

– Dziękuję.

– I pewnie uważa mnie pan za bardzo nieuprzejmą. Ciągle opowiadam o własnych problemach, a w ogóle nie zainteresowałam się panem.

– Tak ma być, pani Poole. Jestem tu właśnie po to, żeby słuchać.

– Ach, zanim zapomnę... Ile się panu należy? I czy mogę zapłacić gotówką? Nie chcę, żeby w banku wiedzieli, że byłam u psychiatry. Może i nic by nie powiedzieli, ale wie pan, jak jest. To była wielka przyjemność, czy możemy to powtórzyć? O tej samej porze za tydzień, w tym samym miejscu?

Ku swemu zaskoczeniu doktor Shapiro się zgodził.

Po powrocie do domu zanotował:

Nowa pacjentka: łagodny lęk sytuacyjny, bardzo miła kobieta.

Matka pacjentki: typ narcystyczny z łagodnymi do silnych objawami manii wielkości.

WOJNA

Pulaski, Wisconsin
niedziela, 7 grudnia 1941

Przed niedzielną mszą świętą ksiądz Sobieski skinął od zakrystii na Stanisława Jurdabralinskiego, który zawsze siedział w pierwszym rzędzie, żeby przeszedł na tył kościoła. Trzeba było zastąpić ministranta, który się nie zjawił. Wyglądało to dość zabawnie, gdy ksiądz o wzroście metr siedemdziesiąt podchodził do ołtarza, a za nim szedł mający metr dziewięćdziesiąt pięć Stanisław w chłopięcej komży, która wyglądała na nim jak przykrótka bluzka. Msza jednak rozpoczęła się bez przeszkód. Po mszy Jurdabralińscy poszli wspólnie do domu, tylko Sophie, która zawsze pomagała zakonnicom prac i prasować stroje na nabożeństwo w następnym tygodniu, pozostała w kościele.

Później Gertrude i Tula poszły na lodowisko poćwiczyć przed zawodami łyżwiarskimi. Wtem pani Wanda Glinski, przygrywająca jeżdżącym, przerwała grę w samym środku *Blue Skies*. Nikt nie wiedział, o co chodzi. Kilka sekund później przez głośniki obwieszczono, że Japończycy zaatakowali Pearl Harbor i że lodowisko zostaje zamknięte. Kiedy oniemiaли łyżwiarze powoli schodzili z tafli, pani Glinski zaczęła grać *God Bless America*.

Kilka ulic dalej widzowie oglądali w kinie *Zieloną dolinę* z Maureen O’Harą i Walterem Pidgeonem. Żona Winka Angie i jej przyjaciółka siedziały już na drugim seansie, gdy ekran zaczął blednąć, a po chwili w sali włączono światła. Kierownik kina wszedł na scenę i powiedział:

– Panie i panowie, właśnie dotarła do nas wiadomość, że Japończycy zaatakowali Pearl Harbor i wszyscy rezerwowi mają natychmiast udać się do swoich baz.

Gdy zdezorientowana publiczność zaczęła wstawać, zbierać swoje rzeczy i wychodzić w milczeniu, na ekranie pojawił się obraz flagi amerykańskiej.

Większość nie wiedziała nawet, gdzie leży Pearl Harbor ani co to ma z nimi wspólnego, lecz ci, którzy to rozumieli, byli prawdziwie przygnębieni. Jakiś mężczyzna zauważył:

– Teraz to już jest sprawa nas wszystkich.

W kościele jedna z zakonnice podeszła do Sophie i powiedziała jej, że ma natychmiast

wracać do domu, lecz nie wyjaśniła dlaczego. Gdy Sophie weszła do kuchni, zobaczyła całą rodzinę przy stole. Munia natychmiast mocno ją przytuliła. Tato siedział z uchem przy radiu i potrzasał głową z niedowierzaniem, słuchając wciąż tego samego komunikatu. Po jakimś czasie spojrzął na żonę z przerażeniem na twarzy.

– Och, Linko, nie możemy stracić Ameryki. Jeśli stracimy Amerykę... – Głos mu się załamał i ten duży silny mężczyzna, który zawsze był dla nich opoką, położył głowę na stole i zaszlochał. Wszystkie dziewczęta natychmiast go otoczyły i czule objęły, a jego żona stała obok, nie wiedząc, co począć. Wiedziała, że on ma rację. Gdyby Ameryka przegrała, nie byłoby nadziei – nie tylko dla nich, ale też dla świata.

*

Fritzi i Billy w sobotę prezentowali swój pokaz na przedmieściach Akron w stanie Ohio, a w niedzielny poranek Billy jak zwykle leżał skacowany w łóżku. Fritzi wstała już i siedziała w hotelowej kawiarni, gdy usłyszała wiadomość z ust boya hotelowego, który wbiegł i krzyknął:

– Japońcy zbombardowali Pearl Harbor! Zanoszą się na wojnę! – Po czym wybiegł, by obwieścić to wszystkim w hotelu i na ulicy.

Gdy Fritzi wróciła na górę, Billy już nie spał. Usiadła na łóżku i podała mu kawę.

– Słyszałeś?

Skinął głową.

– Jakiś dzieciak wrzeszczał o tym na cały korytarz, więc to chyba prawda, co?

– Na to wygląda – przytaknęła Fritzi.

Billy pociągnął kilka łyków kawy, potem spojrzął na nią i powiedział:

– Jeśli chodzi o mnie, to miarka się przebrała. – Wstał, wziął prysznic, ogolił się, ubrał i poszedł szukać najbliższego urzędu werbunkowego. Fritzi próbowała dzwonić do rodziny, lecz wszystkie linie były zajęte.

Gdy Billy dotarł do centrum, kolejka już stała, choć urząd był jeszcze zamknięty. Jeden z mężczyzn twierdził jednak, że ktoś jest już w drodze. Billy był starszy od większości ochotników, lecz pełen szczerych chęci, by ruszyć na wojnę. Wprost nie mógł się tego doczekać. Jak wszyscy inni mężczyźni tego dnia, czuł wściekłość. Jak śmieli zaatakować Amerykę? Co to, nie wiedzieli z kim u diabła zadzierają?

*

Tej niedzieli, gdy wiadomość rozniosła się po całym kraju, Amerykanie nagle poczuli łączącą ich więź, z której istnienia dotąd nawet nie zdawali sobie sprawy. Podczas ważnego meczu hokejowego w Madison Square Garden po ogłoszeniu komunikatu, gdy mężczyźni w mundurach wstali i zaczęli opuszczać stadion, by udać się do swoich baz, widownia zgotowała im owację, która nie ucichła, póki nie wyszedł ostatni z żołnierzy.

Od tego dnia hymn państwowy nie był już tylko czymś, przez co trzeba przebrnąć przed rozpoczęciem meczu. Teraz podczas wykonywania hymnu zdejmowano nakrycia głowy i kładziono dłonie na sercu, a później szczerze i entuzjastycznie wiwatowano na cześć żołnierzy. Amerykanie dopiero co przeszli przez Wielki Kryzys i nikt nie chciał wojny, ale w sytuacji, gdy już się rozpoczęła, nie było innego wyjścia jak wziąć w niej udział i jak najszybciej wygrać.

W niedzielę wieczorem Wink zjawił się w domu z zapłakaną Angie u boku. Usiedli w salonie z Munią i Tatkiem. Wink, który wyglądał na dorosłego, choć był zaledwie rok po szkole średniej, powiedział:

– Tatku, nie chcę cię zostawiać samego z obowiązkami na stacji, ale wiesz, że wcześniej czy później i tak mnie wezmą, a jeśli zaciągnę się teraz, to uda mi się dostać do sił powietrznych.

– Ale Wink! Angie spodziewa się dziecka – wtrąciła Munia.

– Próbowałam mu to wyperswadować, ale nie chce słuchać – pożałowała się Angie.

Tatko spojrzał na Winka.

– Zrób to, co uważasz za słuszne, synu. Nie martw się o stację. Damy sobie radę.

– Dziękuję, Tatku. Kiedy wyjadę, czy Angie może zamieszkać w moim pokoju na górze i zostać z wami do mojego powrotu?

– Oczywiście. Z radością ją przyjmiemy.

– Mogę pomagać w gotowaniu – powiedziała Angie. – Po prostu nie chcę wracać do domu. Myślę, że tutaj nie będę tak strasznie tęskniła.

*

O szóstej rano następnego dnia Wink w towarzystwie niemal wszystkich chłopców ze szkoły stał na śniegu przed sklepem chemicznym, czekając na szkolne autobusy, które miały ich zawieźć do punktu werbunkowego w Green Bay.

Billy stanął przed komisją w Grand Rapids i z powodu chorej wątroby przydzielono mu kategorię 4F. Ponieważ potrzebni byli wszyscy doświadczeni piloci, i to jak najszybciej, więc

on i jego chora wątroba dostali rozkaz stawienia się w Penascoli na Florydzie 15 grudnia. W ciągu kilku dni oficjalnie rozwiązał latający cyrk, a nawet udało mu się sprzedać samoloty szkole pilotowania. 12 grudnia po południu Fritzi odprowadziła go na dworzec. Stojąc na stopniach pociągu, powiedział:

- Nie wiem, kiedy cię znowu zobaczę, więc uważaj na siebie i pisz co jakiś czas, dobrze?
- Obiecuję.

Gdy pociąg ruszał, zawołał, przekrzykując huk lokomotywy:

- Hej, kto jest twoim najlepszym kumplem?
- Ty! – odkrzyknęła.

Uniósł kciuki i takim widziała go ostatni raz. Kiedy wyszła z dworca, na ulicach panował taki tłok, że nie mogła złapać wolnej taksówki i musiała wracać do hotelu pieszo. Idąc zaśnierzonymi ulicami, zauważyła, że wiele sklepów ma już świąteczne dekoracje, a w niektórych wystawy porzucono niedokończone.

Ona i Billy byli ze sobą długo, lecz niczego sobie nie obiecywali. Fritzi zdawała sobie sprawę, że Billy nie jest typem mężczyzny, który marzyłby o małżeństwie. Ona zresztą też nie. Mimo wszystko czuła się bez niego zagubiona. Kiedy wróciła do hotelowego pokoju, zauważyła na toaletce kopertę, którą jej zostawił. Wewnątrz znajdował się banknot studolarowy i liścik.

Wesołych Świąt, smarkulo. Kup sobie nowy kapelusz.

Billy

Usiadła na łóżku i zastanawiała się, co teraz począć. Nie chciała czekać bezczynnie. No i, do wszystkich diabłów, to naprawdę nie było w porządku. Umiała latać tak samo dobrze jak większość znanych jej mężczyzn. Próbowwała zaciągnąć się do armii. Pokazała swoją licencję pilota przed komisją poborową, lecz poinformowano ją, że ani siły powietrzne, ani żadne inne nie przyjmują kobiet.

– A czemu nie? – zapytała. – Samolot nie wie, czy za sterami siedzi mężczyzna czy kobieta.

– Przepisy – wyjaśnił oficer. – A teraz proszę się odsunąć i pozwolić mi wypełniać swoje obowiązki. Mamy wojnę, droga pani, a na wojnie nie ma miejsca dla kobiet.

Jeden z mężczyzn w kolejce za nią wtrącił się do tej rozmowy:

– Ja mogę cię przyjąć, złociutka, kiedy tylko zechcesz. – Wszyscy głośno zarechotali.

Fritzi zabrała swoją licencję, wsunęła z powrotem do portfela i powiedziała:

– Trudno, skoro tak uważacie. Wasza strata. – Wychodząc, dorzuciła: – To na razie, głupole. Jeszcze o mnie usłyszycie. – Była wściekła, czuła się zraniona. Kiedy wróciła do pokoju, siadła i rozpłakała się.

Wiedziała z gazet, że Anglia i Rosja wykorzystywały kobiety do transportowania samolotów, ale tutaj, w Ameryce, było to niemożliwe. A więc tego popołudnia spakowała swój kombinezon lotniczy z fioletowej skóry i resztę ubrań i wróciła do Pulaskiego w samą porę, by pożegnać się z Winkiem. Przyjęto go do sił powietrznych i wyruszał do Scott Field w stanie Illinois na szkolenie.

Teraz Fritzi miała jeszcze więcej powodów, by nienawidzić Japończyków. Zniszczyli jej kwitnącą karierę, odebrali Billy’ego i Winka i uziemili ją nie wiadomo na jak długo. To był dla niej prawdziwy upadek. A że nie umiała robić nic poza lataniem i podniebnymi akrobacjami, po jakimś czasie wróciła do pracy przy taśmie w fabryce konserw.

LUNCH Z LENORE

Point Clear, Alabama

To miał być bardzo ciężki dzień. Wcześniej Sookie i Lenore co środa spotykały się na lunchu i Sookie naprawdę nie mogła już dłużej tego odsuwać. Lenore zostawiła w jej skrzynce pocztowej swoje zdjęcie z dopiskiem: „Na wypadek, gdybyś już zdążyła zapomnieć, to twoja matka. Gdzie jesteś?!”.

Sookie westchnęła, spojrzała na zegarek i wybrała numer telefonu. Po chwili Lenore podniosła słuchawkę.

– Dzień dobry, tu Lenore. Z kim mam przyjemność?

– To ja, mamó.

– A... cześć.

– Jak było na hydroterapii?

– Bardzo mokro. Gdzie jesteś?

– W domu, a co?

– Myślałam, że może się przenieśliście do Chin. Idziemy dzisiaj na lunch czy dzwonisz, żeby mi powiedzieć o jakiejś kolejnej tajemniczej chorobie?

– Nie, mamó, idziemy na lunch. Dokąd?

– Wszystko mi jedno. Ty wybierz.

– No to może Fairhope Inn?

– Nie, tam już mi się znudziło.

– Dobrze. Bay Cafe?

– Nie, chodźmy do Colony. Mam ochotę na placuszki krabowe.

– Dobrze. Przyjadę po ciebie.

Gdy Sookie odkładała słuchawkę, poczuła ból brzucha. Już sam ton głosu Lenore działał jej na nerwy.

Lenore sunęła przez salę restauracyjną, machając do wszystkich, których знаła. I jak zwykle, jeżeli znalazł się tam ktoś, kogo nie znała, podchodziła i przedstawiała się. Jako przewodnicząca Komitetu Powitalnego była przekonana, że każdy pragnie ją poznać.

Kiedy usiadła, powiedziała:

– Ta miła para tam w rogu przyjechała aż z Kanady, wyobrażasz sobie? Ona była bardzo uprzejma, pochwaliła kolor moich włosów, na co ja odpowiedziałam: „Skoro już człowiek musi siwieć, to równie dobrze może się posrebrzyć”. Dałam jej numer do Jo Ellen. Zamówiłaś już moje placuszki krabowe?

– Tak.

Lenore znowu pomachała do pary nowych znajomych, po czym zwróciła się do Sookie.

– Przydałaby się jej nowa farba. Ale spójrz na siebie, Sookie. Masz pięćdziesiąt dziewięć lat i ani jednego siwego włoska. Mam nadzieję, że wiesz, jaka z ciebie szczęściara. Ja w twoim wieku byłam już całkiem siwa, ale to chyba angielska cecha. Królowa Elżbieta też wcześniej posiwała.

– Skoro tak mówisz.

– Jak wiesz, kiedyś byłam truskawkową blondynką.

– Tak, mamo, powtarzasz mi to prawie codziennie.

– Bo to prawda. Słyszałam z tego, że byłam jedyną taką blondynką w południowej Alabamie. Na balu Akademii Wojskowej, kiedy zagrali *Casey Would Waltz with Strawberry Blonde and the Band Played On***, wszyscy się zatrzymali i patrzyli tylko na nas. Twój ojciec był wspaniałym tancerzem. Ja też, więc tańczyliśmy i tańczyliśmy bez końca. I wszyscy chłopcy mnie odbijali. Pamiętam, że jeden powiedział: „Lenore, taniec z tobą to jak taniec z piórkem”. No tak, ale ja zawsze miałam lekkość ruchów. – Spojrzała na Sookie i westchnęła. – Oj, Sookie, szkoda, że rzuciłaś lekcje tańca.

– Nie rzuciłam ich tak po prostu. Jeśli pamiętasz, to pani Wheasly powiedziała, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli zajmę się czymś innym... czymś, do czego mam talent.

Lenore skrzywiła się i odwróciła wzrok.

– Gage, córka pani Bushnell, jest primabaleriną w Nowym Jorku. To mogłaś być ty.

– Przecież jak tylko stawałam na pointach, zawsze się przewracałam. Nie sądzę, mamo.

– Nie dość się starałaś i tyle.

Sookie spojrzała na nią z wyrzutem.

– Co?

– No cóż, bardzo mi przykro, ale to nie ja rzuciłam obiecującą karierę, żeby wyjść za

Earle'a Poole'a juniora.

– Mamo, jaką obiecującą karierę? Jako kto?

– Oj, Sookie, mogłaś zostać, kim byś tylko zapragnęła. Miałaś wszelkie szanse, żeby stać się kimś. Ale nie, ty wolałaś to wszystko odrzucić, żeby wyjść za Earle'a. Ja nie miałam takich możliwości jak ty. W szkole byłam świetna ze sztuk scenicznych. Doktor Howell mówił, że mogłabym być zawodową aktorką, gdybym tylko chciała, a on uczył Tallulah Bankhead, więc chyba umiał rozpoznać talent. Oczywiście ojciec Tallulah pozwalał jej robić, na co miała ochotę, a mój tatuś nie zgodził się na to, bym poświęciła się scenie. A naprawdę szkoda, bo całe życie się zastanawiam, co by było, gdybym wtedy postąpiła inaczej. Nie wiadomo, co mogłam osiągnąć, gdyby mi pozwolono podążać za naturalnymi skłonnościami. Może ze sceny dostałabym się do filmu, ale poślubiłam twojego ojca i zostałam zwykłą gospodynią domową.

– Mamo, przecież nigdy nie byłaś zwykłą gospodynią domową.

– Byłam. Gotowałam, sprzątałam i wychowałam dwoje dzieci, a jeśli to nie byłam ja, to kto?

– Mamo, nigdy nie gotowałaś ani nie sprzątałaś.

– No dobrze, nadzorowałam wszystko, ale przecież nie o to chodzi. Dlatego tak nalegałam, żebyś ty została kimś. Ale nigdy nie miałaś żadnych ambicji i tego właśnie nie rozumiem. Pochodzisz z rodu o długich przywódczych tradycjach. Twoja prababcia sama uratowała dom przed Jankesami, a tobie wystarcza siedzenie w domu cały dzień i zabawianie się z tymi ptakami. Niedługo stuknie ci sześćdziesiątka, a czego dokonałaś? Ile razy mam ci to powtarzać? Musisz myśleć o swoich powinnościach jako przedstawicielki Simmonsów i przynajmniej próbować osiągnąć coś, co da ci powód do dumy, zanim będzie za późno.

Sookie słyszała to już setki razy, lecz tego dnia widocznie był ten jeden raz za dużo.

– Przestań, mamo! Całe to gadanie o Simmonsach to zwykłe brednie i dobrze o tym wiesz! – Ten wybuch zdumiał ją samą.

Lenore również była zszokowana i przez długą chwilę milcząco wpatrywała się w Sookie, aż wreszcie powiedziała:

– Nie wiem, o co ci chodzi. Widać, że coś w ciebie dzisiaj wstąpiło, więc wracam do domu. – Wstała, wyszła, wsiadła do samochodu i tam czekała na córkę.

Sookie, wciąż zdenerwowana, zapłaciła rachunek, a potem zawiozła matkę do domu. Całą drogę milczały. Gdy przybyły na miejsce, Lenore wysiadła i powiedziała:

– Zadzwoń, jak odzyskasz rozsądek.

Sookie czuła się okropnie, że w taki sposób napadła na matkę, i natychmiast zadzwoniła do doktora Shapiro. Potraktował to jako sytuację kryzysową i od razu się z nią spotkał, lecz nie znalazł w jej zachowaniu niczego niepokojącego.

– Nic w tym dziwnego – stwierdził.

Sookie rozumiała, że takie zachowanie gdzieś indziej nikogo nie dziwi, ale w Point Clear w Alabamie, zdenerwowana czy nie, nigdy nie powinna była podnieść głosu w miejscu publicznym. To nie przystawało damie, a poza tym była żoną dentysty, co zobowiązywało do manier na pewnym poziomie.

** *Casey Would Waltz with Strawberry Blonde and the Band Played On* – Gdy Casey z blondynką walcował po sali, tonął w dźwiękach świat.

BOŻE NARODZENIE

Pulaski, Wisconsin

1941

Munia starała się jak mogła, by stworzyć świąteczną atmosferę. Jak co roku upiekła opłatki na Wigilię, lecz nastroje wszystkich w Boże Narodzenie 1941 roku były posępne. Wszystkie kolędy i piosenki o pokoju na ziemi i o dobrej woli grane w radio pomiędzy ponurymi wiadomościami z wojny brzmiały fałszywie. Można było odnieść wrażenie, że cały kraj jest zajęty tylko jednym. Każda duża firma w Ameryce przekształcała się, mobilizowała, przygotowywała do wykorzystania swoich zasobów do celów wojennych. Wszyscy chcieli przyczynić się do zwycięstwa i do tego, by żołnierze jak najszybciej wrócili z frontu.

Minął zaledwie miesiąc pobytu Fritzi w domu, gdy ich stara przyjaciółka inspektor sanitarna i pielęgniarka Dottie Frakes wpadła do nich z wizytą i przyniosła wiadomość, że rezygnuje z pracy w Phillips Petroleum, by zaciągnąć się do armii jako sanitariuszka. Po wystawnym obiedzie Tatko wrócił do pracy, a Munia z córkami zaczęły sprzątać kuchnię. Dottie chciała im pomóc, ale Munia powiedziała:

– Nie, wy sobie z Fritzi odpocznijcie.

Dottie wstała.

– Dobrze więc, Fritzi, chodźmy posiedzieć w salonie i trochę pogadać.

Gdy weszły do pokoju, Dottie zamknęła za sobą drewniane drzwi, po czym zwróciła się w stronę Fritzi z zatroskanym spojrzeniem.

– Od kiedy twój ojciec tak kaszle?

– O, chyba już dość długo. Jest przeziębiony. A co?

– Nie chciałam niepokoić twojej mamy ani sióstr, ale ten kaszel mi się nie podoba.

– Czy to coś poważnego?

– Pracowałam w szpitalach i znam ten dźwięk.

– To znaczy?

– Musi jak najszybciej iść do lekarza.

Tego popołudnia Fritzi próbowała namówić ojca na wizytę u lekarza, ale on odparł:

– Oj, Fritzi, nie mogę zostawić stacji przez takie głupstwo. Wiesz, jak bardzo brakuje nam pieniędzy. Nic mi nie jest. Jutro poczuję się lepiej.

Położyła mu ręce na ramionach i poprosiła błagalnym tonem:

– Proszę, Tatku. Zrób to dla mnie.

Roześmiał się.

– Jak za tydzień mi się nie poprawi, pójdę. Obiecuję.

Kiedy wróciła do domu po tak długiej nieobecności, ojciec wydawał jej się zmęczony i wychudzony, ale teraz, dotknąwszy jego ramion, poczuła na nich tylko skórę i kości.

Nie chciała tego robić, ale musiała powiedzieć Muni o spostrzeżeniach Dottie, bo miała nadzieję, że mamie uda się przemówić mu do rozsądku. Zanim dokończyła zdanie, mama ściągnęła fartuszek, włożyła kapelusz i płaszcz i zaraz potem biegła ścieżką do stacji benzynowej. Pięć minut później ona i Tatko byli już w mieście w gabinecie doktora Renschoske. Linka była staroświecką żoną i rzadko sprzeciwiała się mężowi, lecz w tej sprawie nie okazała ani krzty uległości.

Kiedy przysły wyniki, diagnoza potwierdziła przewidywania Dottie: zaawansowana gruźlica, która wymaga natychmiastowego leczenia. Jednak gdy lekarz proponował różne sanatoria specjalizujące się w leczeniu gruźlicy, Stanisław w ogóle go nie słuchał.

– Daj mi tylko jakieś lekarstwo. Muszę prowadzić interes.

– Ależ, Stanisławie, jeśli nie zrobisz tego, co zalecam, to jak będziesz prowadził interes z za grobu? Idź teraz do domu, połóż się do łóżka i odpoczywaj, a my z Linką się zastanowimy, dokąd i kiedy pojedziesz.

Zrobił, co mu kazali, a w tym czasie prowadzenie stacji przejął jego dziewiętnastoletni bratanek Florian. Trzy dni później na Tatkę czekało już miejsce w sanatorium. Trzeba było go tam tylko dostarczyć. Wszystkie pociągi i autobusy były pełne żołnierzy próbujących dostać się do wyznaczonych baz. Fritzi zwróciła się więc do kolegi pilota z Grand Rapids, który przyleciał, zabrał Tatkę i zawiózł go aż do Hot Springs w Arkansas. Biedny Tatko. Odleciał z dwiema czystymi pizamami, torbą kielbasy i różańcem, który Sophie wsunęła mu do kieszeni. Kiedy samolot oderwał się od ziemi, Munia, która nigdy wcześniej nie rozstała się z mężem nawet na jedną noc, stała na polu i płakała w fartuszek, niepewna, czy jeszcze kiedyś go zobaczy.

Jakby tego było mało, powołanie do wojska wkrótce otrzymał Florian, a po nim mechanik. Nowo przyjęty pracownik zaraz rzucił pracę i wyjechał do Sturgeon Bay, gdzie mógł zarobić więcej. Mama okropnie się tym zamartwiała.

Tydzień później, gdy Fritzi wróciła z pracy, Munia weszła do jej pokoju, zamknęła za sobą drzwi i powiedziała, że ktoś z Oshkosh złożył jej propozycję kupna stacji benzynowej. Fritzi była zaskoczona tym, że matka w ogóle dopuszcza do siebie taką myśl.

– Muniu, nie możesz tego zrobić.

– Ależ, Fritzi, co zrobimy, kiedy Florian i chłopcy wyjadą? Musimy zamknąć stację. Nie będzie nikogo, kto mógłby ją prowadzić. Kiedy myślę, jak ciężko Tatko pracował, żeby kupić tę ziemię... To go zabije.

– Nie możesz jej sprzedać.

– Fritzi, koszty leczenia są ogromne. Musimy. Kto wie, jak długo Tatko jeszcze będzie poza domem i ile potrwa ta wojna. No i nie ma mężczyzn, których można by zatrudnić. Niedługo wszyscy wyjadą albo do wojska, albo do pracy w fabrykach. Nie mamy wyboru.

– Właśnie, że mamy – stwierdziła Fritzi.

– Co?

– Ja poprowadzę stację!

– Sama? Przecież nie dasz rady.

– Nie sama. Cała rodzina. My wszystkie. Teraz, kiedy Angie pomaga ci w gotowaniu, Gertrude, Tula i Sophie mogą pracować ze mną.

– Nie możesz mieć na stacji samych dziewcząt. Nikt nie będzie tu przyjeżdżał.

Te słowa sprawiły, że Fritzi nagle wpadł do głowy pewien pomysł.

– Przekonamy się – powiedziała.

Później Fritzi zwołała naradę w kuchni i przedstawiła siostrom swoją propozycję. Zareagowały raczej sceptycznie.

– Przecież nie umiemy naprawić silnika, nie wiemy nic o gaźnikach i takich rzeczach – zauważyła Gertrude.

– Owszem, ale ja się na tym znam.

– Ale tam jest tak brudno. Nie chcę babrać się w smarach.

– No, co wy, dziewczyny. Nie możemy zawieść Tatki ani Winka. Wszystkie pracowałyśmy na tej stacji w taki czy inny sposób, a jeśli czegoś nie umiemy, to się nauczymy. Florian wyjeżdża dopiero za dwa tygodnie. Może wam wszystko pokazać, a ja nauczę was reszty. Wierzę, że nam się uda. Co wy na to?

Wszystkie siostry spojrzały na mamę.

– Jak mylisz, Muniu?

– Myślę, że powinnyście posłuchać Fritzi. Teraz to ona jest tu mężczyzną.

*

Następnego dnia Fritzi złożyła wymówienie w fabryce. Wieczorem przeglądała dokumenty i znalazła stare materiały szkoleniowe z kursu obsługi stacji benzynowej, w którym Tatko brał kiedyś udział. Czytała je przez całą noc. To nie wydawało się zbyt trudne. Należało jedynie przestrzegać instrukcji.

1. Powitanie klienta i mycie przedniej szyby.
2. Tankowanie.
3. Sprawdzenie chłodnicy, poziomu oleju, akumulatora i ciśnienia w oponach – łącznie z kołem zapasowym – kontrola naoliwienia, propozycja odkurzenia.
4. Przedstawienie rachunku z wyszczególnieniem wszystkich pozycji, przyjacielskie pożegnanie i podziękowanie za zakupy.
5. Obsługa musi wyglądać czysto i schludnie; paznokcie, uniformy itd.

„A niech to. To przecież nic trudnego” – pomyślała Fritzi. Większość tych rzeczy już umiała robić.

Dziewczęta potrzebowały uniformów, więc Munia dopasowała do ich figur wszystkie spodnie i koszule robocze Tatki i Winka. Potem jeszcze na każdej z koszul wyhaftowała czerwoną nicią napis: „Witam, jestem Fritzi”, „Witam, jestem Gertrude” i tak dalej.

Fritzi nauczyła się co nieco o organizowaniu pracy zespołowej, gdy występowała w latającym cyrku Billy’ego Bevinsa, a więc usiadła i spisała plan. Pod koniec tygodnia każdy miał przydzielone zadania.

Tula miała wykonywać większość prac mechanika. Gertrude, najsilniejsza, była odpowiedzialna za wymianę kół i łatanie dziur w dętkach. Do Fritzi należało tankowanie i zagładanie pod maskę, a w razie czego holowanie. Sophie była dobra z matematyki, więc jej przydzielono stanowisko przy kasie. Na miejscu sprzedawały też słodczyce, chrupki ziemniaczane, zimne napoje, gorącą kawę oraz kielbaski domowej roboty, kanapki i ciasta. Miały także w ofercie bibeloty, breloczki do kluczy, zapalniczki, szklane popielniczki i zabawki, a do tego rozdawały bezpłatne mapy i pocztówki.

Po trzech tygodniach Fritzi i jej siostry w nowiuteńkich uniformach, kapeluszach

i z małymi czarnymi muszkami pod szyją były gotowe do startu. Kiedy rozeszła się wieść, że cztery atrakcyjne siostry prowadzą stację benzynową, nagle zaczął się wzmożony ruch w interesie. Okres pracy w latającym cyrku Billy'ego nauczył Fritzi sporo o reklamie. Wkrótce w lokalnych gazetach zaczęły się pojawiać ogłoszenia ze zdjęciem czterech uśmiechniętych dziewcząt stojących przed budynkiem stacji benzynowej, nad których głowami unosił się komiksowy dymek z napisem:

BĘDĄC W PULASKIM, ZAJRZYJ NA BABSKĄ
STACJĘ BENZYNOWĄ WINK'S PHILLIPS 66

Wzdłuż głównej drogi umieszczono tablice, na których pod logo stacji widniała informacja:

Twój samochód zasłabł?

Pogłaszczemy go i postawimy na koła.

Twój samochód jest brudny? Wyczyścimy go na błysk.

Najładniejsza ekipa mechaników w stanie Wisconsin.

Wzniecimy iskrę w twoim zapłonie.

Świeża kawa, kanapki, słodczy domowej roboty

i polska kiełbasa.

Matkom zmienimy wycieraczki, a dzieciakom pieluchy.

Dodatkową atrakcją stanowił podpięty do głośników na zewnątrz gramofon, który przyniósł im chłopak Gertrude, Nard Tanawaski, na dzień przed pójściem do wojska. Od tego dnia na stacji stale rozbrzmiewał swing w wykonaniu modnych big-bandów, wnosząc pogodniejszy nastrój w chłodne zimowe dni.

W miarę jak o babskiej stacji benzynowej robiło się coraz głośniej, kierowcy dalekobieżnych ciężarówek coraz częściej zbaczali z trasy, by jechać przez Pulaski, i wielu mężczyzn aż z Green Bay czy Madison dziwnym sposobem akurat w tej okolicy miało problemy ze swoimi pojazdami.

Samochody, którymi mieszkańcy dojeżdżali do pracy w fabryce, zatrzymywały się tu na tankowanie. Muzyka wprawiała ich w przyjemny nastrój, podobnie jak cztery sympatyczne dziewczęta o serdecznych uśmiechach. Wkrótce nawet ciężarówki przewożące drewno przekraczały granicę Kanady, by zajrzeć na tę stację.

Fritzi martwiła się w duchu, czy jej siostry sobie poradzą, ale mile zaskoczyły ją ich

zaradność i zapał do pracy. Nawet Sophie Marie, która wciąż była raczej nieśmiała, dzięki swojej urodzie okazała się cennym pracownikiem. Nic nie zwiększa sprzedaży bardziej niż ładna dziewczyna, a na babskiej stacji były aż cztery.

Drogi Winku!

Na pewno już wiesz, że niżej podpisana i reszta Twoich siostr prowadzą teraz stację, więc o nic się nie martw. Utrzymamy ten fort aż do Twojego szczęśliwego powrotu, kiedy przejmiesz go od nas na dobre. Mam nadzieję, że stanie się to już niebawem.

Niełatwo jest wyglądać atrakcyjnie i umawiać się na randki, mając smar pod paznokciami i smród benzyny we włosach. Munia i Angie gotują niemal dzień i noc. Sprzedajemy tyle kiełbasek, ile one zdołają zrobić. Ale zaczęło się racjonowanie żywności, więc nie będzie już pączków ani innych wypieków, co bardzo nie podoba się Gertrude.

Twoja

Fritzi

PS Mam wieści od Billy'ego. Jest w Pensacoli, szkoli kadetów marynarki i mówi, że jest nimi przerażony. Oczywiście tęsknię za nim i wolałabym teraz się opalać na Florydzie. Posyłam ci zdjęcie nas czterech na stacji zrobione do gazety. Prawda, że wyglądamy uroczo?

WAFFLE HOUSE

Point Clear, Alabama

Sookie siedziała głęboko zamyślona przy stoliku numer cztery. Wreszcie pochyliła się i powiedziała:

– Chodzi o to, doktorze, że rozumiem, że nie chciała, żebym wiedziała o adopcji, ale ona do tego jeszcze przez całe lata wmawiała nie tylko mnie, ale i moim biednym dzieciom, jakie mamy szczęście, że wywodzimy się z Simmonsów. To wszystko były kłamstwa i teraz jesteśmy w takiej kłopotliwej sytuacji. Nie mogę powiedzieć Córom Konfederacji ani koleżankom z Kappy, że Dee Dee i ja nie jesteśmy z Simmonsów, bo Lenore zaraz się o tym dowie. Nie chcę się podszywać pod kogoś innego, ale też nie chcę jej denerwować. Pan mnie nie zna, ale ja naprawdę nigdy wcześniej nie byłam na nikogo tak zła i czuję się przez to okropnie, ale nie wiem, jak to w sobie zdusić. Jestem w kropce.

– Po pierwsze, jak już mówiliśmy, pani poczucie zranienia i złość na matkę są jak najbardziej naturalne. Oczywiście to straszne wyrządzić coś takiego dziecku, ale może poczuje się pani lepiej, jeśli pani zrozumie, że większość jej zachowań prawdopodobnie nie była zamierzona. Proszę pomyśleć o kimś, kto na przykład rodzi się bez stopy. Innymi słowy pani matce czegoś brak, a konkretnie zdolności dostrzegania i odczuwania czegokolwiek, co ma źródło poza nią samą. Ona nie rozumie uczuć innych ludzi, nawet własnych dzieci. W większości przypadków takie osoby nawet nie wiedzą, że tak postępują.

– Może, ale nadal nie pojmuję, jak mogła mnie okłamywać przez te wszystkie lata.

– Nie jestem pewien, czy kłamała, przynajmniej nie w jej rozumieniu. Tak jak już pani wspomniała, kiedy ona w coś wierzy, fakty nie mają znaczenia.

– To prawda. Jest przekonana o swoim pokrewieństwie z królową Anglii.

– No właśnie. I czasami takie urojenia są jak uszkodzony mechanizm obronny. Co pani wie o jej dzieciństwie?

– Niewiele, tylko tyle że wychowywała ją babcia. Jej matka zmarła przy porodzie i gdy Lenore dorastała, ojca prawie nie było w domu. Był senatorem i większość czasu spędzał

w Montgomery.

- Rozumiem. A czy kiedykolwiek opowiadała o swojej matce?
- Tylko raz...
- Raz?
- Tak.

Gdy Sookie wyszła już z Waffle House, uświadomiła sobie, że to istotnie dziwna sprawa. Choć Lenore miała taką silną obsesję na punkcie rodu Simmonsów, nigdy nie mówiła o swojej matce, o tym, skąd pochodziła ani ile miała lat, gdy zmarła. Jej imienia nie było nawet w rodzinnej Biblii. A gdy tylko Sookie próbowała o nią pytać, Lenore jasno dawała do zrozumienia, że nie chce o niej rozmawiać. Nigdy nie wspominała o matce do dnia, gdy na świat przyszły bliźniaczki. Sookie była wyczerpana i pragnęła jedynie leżeć w łóżku i odpoczywać, a Lenore wpadła do jej pokoju i podciągnęła żaluzje.

- Przyszłam ogłosić dobrą nowinę. Wstaniesz i pójdziemy na lunch.
- Mamo, proszę, nie dzisiaj. Jestem zbyt zmęczona.
- Daj spokój, Sookie. Zaraz poczujesz się dużo lepiej.
- Ale nie mam na to ochoty. Nie wiem, czy w ogóle zechcę kiedyś wstać.
- Oj, nie bądź takim dzieckiem. Jestem twoją matką i musisz robić, co ci każę. Inaczej byłoby to bardzo niegrzeczne. Zresztą, czy nie mam zawsze racji? Masz szczęście, że masz matkę, której na tobie zależy. I nie zapominaj, że pochodzisz z rodu o długiej tradycji przywódców wojskowych, a my zawsze posuwamy się naprzód. Nigdy się nie cofamy.

Wiele razy wcześniej odbywały podobną wymianę zdań, lecz tego konkretnego dnia, w samym środku rozmowy na twarzy Lenore pojawiło się z jakiegoś powodu dziwne, nieobecne spojrzenie – takie, jakiego Sookie nigdy przedtem nie widziała. Jakby Lenore nagle coś sobie przypomniała. Po chwili powiedziała smutno:

- Oj, Sookie, nie wiesz, jak to jest dorastać bez matki. Zazdrościłam nawet tym biednym chłopom, którzy obrabiali pańskie pola. Piszczalo tam od biedy, ale mieli matki. Mamy tylko jedną szansę w życiu, a ja swoją straciłam. Kiedy tego człowiekowi zabraknie... – Przez ułamek sekundy Sookie miała wrażenie, że widzi łzy zbierające się w oczach Lenore, lecz ta szybko zmieniła temat.

Sookie próbowała jeszcze wrócić do tego, ale Lenore ucięła rozmowę:

- Nie ma nic więcej do opowiadania, tyle tylko, że ty i Buck powinniście na kolanach dziękować, że macie mnie. Nic nie boli bardziej niż niewdzięczność dziecka. A teraz wstawaj i ubieraj się. Włóż coś ładnego. Tam na zewnątrz czeka cię życie, moja panno, i nie pozwolę,

żebyś je zmitrężyła w łóżku.

PULASKI, WISCONSIN

Niewiele czasu minęło od powrotu Fritzi do domu, gdy przekonała się, że poczciwa Gussie Mintz miała rację. Latanie weszło jej już w krew i chociaż praca na stacji benzynowej pochłaniała dużo czasu i energii, Fritzi zaczynało czegoś brakować. Tęskniła za Billym, choć w okolicy nie brakowało przystojnych mężczyzn, którzy służyli ojczyźnie na miejscu. Postawny rudy Irlandczyk, Joe O'Connor – kierowca ciężarówki z Manitowoc – który zawsze próbował ją gdzieś wyciągnąć, był naprawdę niczego sobie. Fritzi bardzo go lubiła, ale nie była zakochana, a już na pewno nie była zainteresowana zamążpójściem ani, nie daj Boże, sprowadzeniem na świat dzieci. Ona i Billy mieli jeszcze wiele do zrobienia po zakończeniu wojny. Joe jednak świetnie tańczył, a Fritzi nie widziała nic złego w tym, żeby się trochę zabawić. W końcu była już w Milwaukee i znała życie. A jak mawiał Billy, życie jest zbyt krótkie, by je marnować na żalowanie, że się czegoś nie zrobiło.

Z upływem czasu stacja benzynowa stała się centrum pozyskiwania zaopatrzenia dla armii. Wuj Sam potrzebował dla żołnierzy zapasów wszelkiego rodzaju. W ramach zachęty Fritzi zorganizowała na zewnątrz kabinę pocałunków i za darowizny na rzecz wojska, od pliku papieru po konserwy, można było dostać pocałunek od jednej z dziewcząt. Jak wszystkie stacje benzynowe, tak i ta była oficjalnym miejscem zbiórki gumy – ze względu na oferowaną nagrodę mężczyźni z bliska i z daleka zwozili jej tu tyle, ile tylko mogli zdobyć: od starych opon i szlauchów po gumowe zatyczki do umywalek i uszczelki do słoików. Pewien mężczyzna tak bardzo chciał otrzymać całusa jednej z dziewcząt, że przyniósł gumowy pas wyszczuplający skradziony żonie. Pani Łuczak nie podzielała jednak jego patriotycznego zapału. Wmaszerowała na stację benzynową i odebrała swoją własność. Powiedziała przy tym:

– Fritzi, jestem taką samą patriotką jak każdy. Mogą sobie wziąć wszystko inne, ale ten pas jest mi *potrzebny*.

Tego wieczoru Munia napisała do męża do sanatorium.

Drogi Tatku!

Brakuje nam Ciebie, ale wiemy, że starasz się stanąć na nogi i z niecierpliwością

czekamy na Twój powrót. Jaki byłbyś dumny ze swoich córek. Wszystkie ciężko pracują, żeby ta straszna wojna jak najszybciej się skończyła i żeby Wink i inni chłopcy mogli wkrótce wrócić do domu. Wszyscy oni wydają się teraz tacy dorośli. Nawet Sophie Marie bardzo się zmieniła. Zauważyła, jaka jest ładna. Wszyscy chłopcy chcą od niej całusa, ale ona wciąż jest tą samą słodką dziewczynką, która nigdy nie opuszcza mszy. Chciałabym móc to samo powiedzieć o pozostałych naszych córkach, ale wiem, że Pan Bóg im wybaczy niedzielne lenistwo. Tak ciężko pracują przez cały tydzień. Możliwe, że mam dobre wieści o Fritzi. Często się spotyka z tym miłym Irlandczykiem, o którym ci pisałam. Modłę się, żeby wywietrzały jej z głowy te samoloty, żeby wyszła za niego i została w domu. Dzisiaj dostaliśmy długi i miły list od Dorothy Frakes. Jest gdzieś za granicą i dużo pisze o naszych biednych żołnierzach, którzy tam giną i odnoszą rany, ale mówi, że wszystkie sanitariuszki starają się jak mogą, żeby zapewnić im jak najlepszą opiekę. Odpoczywaj, Tatku, i o nic się nie martw. U nas wszystko w porządku.

Kochająca

Munia

WAFFLE HOUSE

Point Clear, Alabama

W tym tygodniu doktor Shapiro miał czas trochę wcześniej, więc spotkali się o innej porze niż zwykle. Jewel powitała ich z szerokim uśmiechem.

– Znowu was dwoje. Dwie kawy?

– Tak – odparł doktor Shapiro. – Dostanę też bajgla?

– Co, proszę?

– Bajgla. – Widział po jej minie, że nie dostanie, więc szybko dodał: – Poproszę angielską babeczkę.

– Dobrze. A dla pani, pani Poole?

– Nie, dziękuję. Jestem po śniadaniu.

Po odejściu kelnerki doktor Shapiro zapytał:

– I jak pani sobie radzi?

– Chyba trochę lepiej, ale zawsze, gdy Lenore zaczyna o Simmonsach, ciężko mi się pohamować, żeby nic nie powiedzieć. Od razu przypominają mi się lata młodości i to, jak okropnie się przy niej czułam. Niczego nie puszczała w niepamięć. Wypominała mi wszystko, co źle zrobiłam.

– Rozumiem, ale wie pani, to właśnie jest zgodne z jej wzorcem zachowań.

– I teraz zaczynam myśleć, że pamiętam tylko to, co było złe.

– A czy ma pani jakiegokolwiek pozytywne wspomnienia o matce?

Sookie grzebała w pamięci, lecz nic nie przychodziło jej do głowy.

Jewel przyniosła kawę i babeczkę.

– Dziękuję – powiedział doktor Shapiro.

Sookie wsypała do swojej kawy słodzik i dodała śmietanki.

– Hmm... pozytywne wspomnienia. Miałam wspaniałego ojca i brata, a w szkole średniej zdobyliśmy stanowe mistrzostwo w futbolu.

– Ale chodzi mi o pozytywne wspomnienia związane z matką.

– Życie z Lenore nigdy nie było nudne, tak bym powiedziała. I jest zabawna. Muszę przyznać, że zdarza jej się powiedzieć i zrobić coś naprawdę śmiesznego. Jak Buck i ja byliśmy mali i wypadł nam ząb, wkładaliśmy go pod poduszkę dla zębowej wróżki, a potem Lenore wkładała spiczasty kapelusz i z różdżką w ręce wchodziła do naszego pokoju. Tańczyła i śpiewała dziecięce piosenki, a pod poduszkę zostawiała prezent. Pamiętam to przyjemne uczucie, kiedy wszyscy w szkole mówili, że ja i Buck mamy najładniejszą mamę. I zawsze tak cudownie pachniała. Raz, miałam wtedy może cztery albo pięć lat, byłam chora i bardzo gorączkowałam, a ona siedziała obok całą noc i głaskała mnie po głowie. Kiedy się budziłam, ona ciągle tam była. I mówiła: „Nie bój się, mamusia jest z tobą”. – Nagle oczy zaszyły jej łzami i Sookie zawstydzona chwyciła za serwetkę. – O Boże, przepraszam. Sama nie wiem, dlaczego płaczę.

– A jak pani myśli?

– Chyba przypomniałam sobie, jaka byłam szczęśliwa, kiedy się budziłam i widziałam ją przy sobie. Żałuję tylko, że tak bardzo ją rozczarowałam. A pan, panie doktorze? Miał pan szczęśliwe dzieciństwo?

– Wróćmy do tego, co pani przed chwilą powiedziała o rozczarowaniu swojej matki. Czy pani brat kiedykolwiek ją rozczarował?

– O tak, ale w inny sposób. Nie podoba jej się Bunny, jego żona.

– A wcześniej? Gdy byliście młodszy?

– Wtedy dawała mi względny spokój. Myślę, że chodziło o to, że ja byłam dziewczynką i ona chciała, żebym była taka jak ona, a ja nie umiałam. I teraz wiemy dlaczego.

– A gdyby pani matka miała biologiczną córkę, czy sądzi pani, że taka córka sprostałaby jej oczekiwaniom?

– Myślę, że tak.

– W jaki sposób?

– Byłaby ładniejsza i mądrzejsza ode mnie. Nie miałyby prostych włosów. Prawdopodobnie byłaby utalentowana i na pewno bardziej ambitna.

– Albo nie miałyby żadnej z tych cech. Samo to, że byłaby biologicznie spokrewniona, jeszcze nie gwarantuje, że byłaby właśnie taka. Nigdy nie przyszło pani do głowy, że Lenore miała szczęście, że miała właśnie panią? Sam się dziwię, że wyrosła pani na taką silną i normalną osobę.

– Ja? Ja wcale nie jestem silna...

– Bo i po co? Pani matka stworzyła nieprawdziwy obraz pani, a pani oczywiście się z nią

zgodziła. Dzieci zawsze myślą, że rodzice mają rację. Ale w tym przypadku pani matka całkowicie się myli. Niech pani pomyśli. Pani matka jest osobowością dominującą, a mimo to udało się pani wytrwać w stabilnym małżeństwie i wychować czworo dzieci.

– No tak, udało się. I odpukać w niemalowane, żadne z nich nie wpadło w narkotyki, o ile mi wiadomo. To już coś, prawda?

– Właśnie. Może nie jest pani córką, jaką chciałaby mieć pani matka, ale jest pani sobą. Nasze zadanie polega na tym, żeby oddzielić teraz ziarna od plew i dowiedzieć się, kim pani naprawdę jest, a nie za kogo uważa panią Lenore.

Sookie wyglądała na zatroskaną.

– Och. A czy to wymaga prowadzenia dziennika?

– Nie, chyba że pani chce.

– Nie. Wolę rozmawiać.

– Dobrze. To w przyszłym tygodniu o tej samej porze?

– Będę.

*

Po południu Sookie zadzwoniła do Deny.

– Przepraszam, wiem, że obiecałam, ale nie mogę w tym roku przyjechać na spotkanie Kappy.

– No nie! Dlaczego?

– Po pierwsze, nie mogłabym patrzeć wam w oczy, wiedząc, że jestem uzurpatorką.

– Oj, Sookie, przecież wiesz, że to nieprawda.

– Ale mimo wszystko. Nie mogę teraz wyjechać. Naprawdę muszę się spotykać z doktorem Shapiro. Biedak. Jest taki miły i naprawdę, Dena, myślę, że chyba jestem jego jedyną pacjentką, więc nie mogę go zawieść. Ode mnie zależy, czy da sobie tu radę.

BABSKA STACJA BENZYNOWA

Pulaski, Wisconsin

Wiosną, kiedy ruch na stacji się zwiększył, Gertrude i Tula wpadły na własny pomysł przyspieszenia obsługi klientów. Przedstawiły go Fritzi, a ta się zgodziła.

Od tej chwili, gdy podjeżdżał samochód, Gertrude i Tula w fikuśnych czapeczkach i krótkich spódniczkach z falbankami podjeżdżały na wrotkach i podczas gdy Fritzi tankowała benzynę, one myły wszystkie szyby, światła i tablicę w niecałe dwie minuty. Czasami, gdy w samochodzie siedzieli jacyś fajni chłopcy, robiły kilka drobnych obrotów, piruetów i popisywały się jazdą tyłem.

Munia obserwowała je któregoś dnia przez okno i później powiedziała do Fritzi:

– Nie sądzisz, że cała ta jazda na wrotkach jest trochę zbyt wyzywająca?

– Nie.

Munia roześmiała się.

– No tak, dla ciebie nie.

– To nam napędza klientów.

– No cóż, jak uważasz. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobiły. Teraz jestem już spokojna, że gdyby coś się stało ze mną albo Tatkiem, ty zaopiekujesz się dziewczętami.

– Pewnie, Muniu.

– Ale martwię się tym, że w nocy sypiasz na stacji. Jesteś pewna, że chcesz to robić?

– Jasne. O nic się nie martw.

Fritzi nie wspomniała Muni, że jazda na rolkach na stacji benzynowej może być niebezpieczna. Któregoś dnia Tula tańczyła właśnie do melodii *Boogie Woogie Bugle Boy* ze szmatką w rękę, gdy najechała na plamę smaru. Ku ogólnemu zdumieniu poślizgnęła się i wpadła pod wielką ciężarówkę o osiemnastu kołach, wyłoniła się z drugiej strony i zatrzymała dopiero po przeciwnej stronie ulicy. Nie wypadając z rytmu, przejechała z powrotem przez jezdnię na stację i dokończyła mycia szyb w packardzie.

Po początkowych narzekaniach Gertrude i Tula szczerze polubiły pracę na stacji

benzynowej. Chłopak Gertrude Nard oświadczył się jej w liście, a ona odpisała mu, że przyjmuje oświadczyzny, w związku z czym nie chodziła na randki, zaś wszyscy chłopcy, z którymi wcześniej spotykała się Tula, byli w wojsku, więc obu dziewczętom nie pozostawało nic innego jak tylko praca. Fritzi zapewniała im najróżniejsze rozrywki, na przykład cotygodniowe tańce w piątki na dużej platformie obok stacji benzynowej. Pewnego razu sprowadziła aż z Manitowoc w Wisconsin Quirena Kohlbecka i jego Orange Crush Orchestra, którzy wystąpili na przyczepie ciężarówki. Tego wieczoru w miasteczku Pulaski zakupiono więcej obligacji wojennych niż w pięciu sąsiednich miastach razem wziętych i mieszkańcy byli z tego bardzo dumni.

Tańczyły głównie dziewczęta z dziewczętami, choć na te imprezy przychodziło wielu mężczyzn pracujących w pobliskiej fabryce, a także chłopcy ze Straży Przybrzeżnej stacjonujący w zatoce Sturgeon. Czasami muzyka rozbrzmiewała jeszcze po północy, lecz nikt w miasteczku nie zgłaszał żadnych skarg. Wszyscy ciężko pracowali i zasługiwali na odrobinę rozrywki. Przychodziły nawet zakonnice z kościoła Świętej Marii – siadały z Munią na werandzie i przyglądały się zabawie.

To był dla wszystkich okres wytężonej pracy. W chwilach wolnych od gotowania Munia i Angie zwijały bandażę dla Czerwonego Krzyża albo pracowały w ogrodzie warzywnym za domem. W wolnym czasie wszystkie dziewczęta pisywały listy do żołnierzy i wysyłały paczki z dobrym polskim jedzeniem do chłopców z Pulaskiego.

Najmłodsza Sophie Marie właśnie skończyła szkołę średnią i wciąż nie wiedziała, co robić dalej. Czuła religijne powołanie i planowała od razu wstąpić do zakonu, ale wiedziała, że siostry potrzebują jej w domu i na stacji benzynowej. Ze łzami w oczach powiedziała siostrze Mary Patricii, że musi poczekać na powrót brata, który przejmie stację. Siostra Mary Patricia była bardzo wyrozumiała.

– Sophie, może tak będzie lepiej – powiedziała. – Ja wstąpiłam do zakonu, gdy miałam siedemnaście lat. Nie żałuję tej decyzji, ale często myślę, że powinnam była dłużej żyć wśród ludzi, żeby poznać i zrozumieć to wszystko, przez co przechodzą dziewczęta. Zresztą są chwile, kiedy służymy Bogu najlepiej, pomagając swoim rodzinom i krajowi.

Fritzi się nie wypowiadała, bo nie chciała wywierać na siostrę złego wpływu, lecz ucieszyła się, że Sophie wstrzymała się z ostateczną decyzją. Była silnym magnesem przyciągającym klientów. Poza tym Fritzi uważała, że po wojnie żadnej z nich nie trafi się już okazja, by prowadzić stację benzynową, a Sophie i tak miała resztę życia spędzić w habicie, więc póki mogą, powinny trochę się zabić. Jedynym minusem przebywania w towarzystwie Sophie było dla Fritzi to, że musiała trzymać język na wodzy. Nie

przychodziło jej to łatwo, bo wprost uwielbiała szokować kierowców rysztockowym słownictwem.

Wszystkie panny Jurdabralinskie, wraz z Munią i Angie, pracowały rano, w południe i wieczorem, lecz nawet będąc zajęte, bez ustanku martwiły się o Winka. Od jakiegoś czasu nie miały od niego żadnych wiadomości. Kiedy w końcu dostały list za pośrednictwem poczty V-mail^{***}, poczuły taką ulgę, że aż zadzwoniły do Tatki do Hot Springs i odczytały mu go przez telefon.

Cześć, wszyscy!

Wiecie co? Piszę do Was ten list z pokładu transportowca. Cała nasza jednostka jest przenoszona za ocean. Jeszcze nie wiem, dokąd płyniemy, ale jestem pewien, że gdzieś, gdzie według Wuja Sama będziemy najbardziej przydatni.

Ocean naprawdę robi wrażenie. Nie wiedziałem, że jest taka masa wody na świecie. Wielu chłopaków cierpi na chorobę morską, ale ja na razie nie mam problemów. Szkoda, że nie mam tu wędkę, bo pod nami na pewno pływają całkiem spore rybki. Nie martwcie się o mnie. Jestem w dobrych rękach, nieźle nas tu karmią. Oczywiście nie tak dobrze jak Munia. Myślę, że wojna niedługo się skończy i zanim się obejrzyicie, będę znowu w domu.

Wasz kochający

Wink

PS Jestem Wam bardzo wdzięczny, że zajęłyście się stacją. Pokazałem kumplom zdjęcie, które od Was dostałem, i mówią, że mam siostry jak ta lala. Nie dość, że wytworne, to jeszcze urodziwe. Kilku z nich nawet zapowiedziało, że po wojnie pojedą do Pulaskiego poznać Was osobiście.

^{***} V-mail (Victory Mail – Poczta Zwycięstwa) – usługa powstała w 1942 roku, pozwalała zmniejszyć ciężar i objętość poczty wojskowej – listy mikrofilmowano, a z nich po przetransportowaniu odbijano kopię papierową.

PULASKI, WISCONSIN

Kochany Winku!

Nie wiem, gdzie w końcu trafiłeś, ale wszystkie bardzo za Tobą tęsknimy, braciszku. Munia ciągle pali za Ciebie świecę w kościele i razem z Sophie codziennie modlą się na mszy w Twojej intencji, tak że od tej strony jesteś w dobrych rękach.

Chciałabym być tam z Tobą, żeby mieć Cię na oku. Wiem, że już teraz jesteś świetnym pilotem, ale mimo wszystko. Wciąż jesteś moim młodszym bratem i mam do Ciebie wielką słabość, więc nie próbuj zgrywać przede mną bohatera. Zgoda?

Fritzi

PS Ponoć Tatko może wkrótce wrócić. Mam nadzieję, że nie za szybko. Dzisiaj było trzynaście stopni mrozu i dynie znowu przemarzły. Muszę kończyć. Uważaj na siebie. Jesteśmy z Ciebie bardzo dumne. Daj ode mnie popalić szkopom.

URODZINY

Point Clear, Alabama

Sookie co rano obchodziła dom i zapełniała karmniki dla ptaków. Nie mogła pozwolić, by modrosójki błękitne głodowały, ale tęskniła za mniejszymi ptaszkami. Nie przylatywały do karmników, które przygotowała specjalnie dla nich. Raz na jakiś czas jedno czy dwa maleństwa zjadały pojedyncze ziarna, które spadły na ziemię, lecz wciąż odwiedzało ją więcej modrosójek niż innych ptaków. Pan Nadleshaft ze sklepu ogrodniczego mówił, że to częsty problem i że na razie nikt jeszcze nie znalazł rozwiązania.

Gdy Sookie weszła do domu, w kuchni dzwonił telefon. To była Lenore, która zaśpiewała do słuchawki:

– Znam dziewczynkę, która ma dzisiaj urodziny! – Sookie miała ochotę zaśpiewać w odpowiedzi, że to nie ona, ale tego nie zrobiła. – Chcę się tylko dowiedzieć, dokąd tym razem idziemy. Zastanawiałaś się już nad tym? Bo chyba mam dobry pomysł.

– Tak, mamo, myślałam o tym, i w tym roku naprawdę nie chcę nic robić. Chcę ten dzień pominąć.

– Co? Pominąć swoje urodziny? Nie wygłupiaj się.

– Ja się nie wygłupiam. Chcę po prostu pobyc z Earle'em i spędzić spokojny wieczór w domu.

– Spokojny wieczór w domu? W dniu urodzin? Sookie, co, na Boga, się z tobą dzieje? Czy ty się tam upijasz? Doprawdy, z każdym dniem bardziej dziwaczejesz. Możesz spędzać sobie spokojny wieczór z Earle'em, kiedy masz ochotę, ale nie zignorujesz własnych urodzin, na miłość boską! Zresztą to nie jest tylko twoje święto. To ja cię urodziłam, więc nie zmuszaj mnie, żebym przysłała dać ci klapsa. Poza tym, napisałam już zabawny wierszyk i dopasowałam do niego melodię. „Czerwone są róże, a fioletowe bzy, po dwóch ciężkich dobach na świat przysłaś ty”. I tak się śpiewa w kółko.

Sookie przemknęło przez myśl tysiąc bezczelnych odpowiedzi, ale jaki to miało sens? Bez względu na to, co by powiedziała, ta kobieta i tak była zdecydowana obstawać przy swoim

kłamstwie aż po grób.

– Sookie, jesteś tam?

– Tak, mamo.

– Myślę, że w tym roku powinniśmy urządzić przyjęcie na moim moło.

– Rozumiem. Chcesz coś ugotować?

– Oczywiście, że nie. Zamówimy catering. Ty tylko musisz zacząć myśleć o tym, kogo chcecie zaprosić.

Zanosilo się więc na to, że Sookie będzie musiała dalej brnąć w tę farsę. Wciąż nie wiedziała, jak się zachowywać, a nie była gotowa do walki z Lenore. Tak więc kolejny raz będzie obchodzić niewłaściwe urodziny. O Boże, co za obłąd.

*

Sookie znalazła się w dziwnej sytuacji. Była wdzięczna Lenore za to, że ją adoptowała, ale teraz, gdy wiedziała, że nie pochodzi z Simmonsów, trudno jej było zachowywać pozory. Miotła się pomiędzy wdzięcznością a chęcią zabicia Lenore, lecz doktor Shapiro twierdził, że te uczucia są zupełnie naturalne. Mimo wszystko niełatwo było znieść paplaninę Lenore o tym, jaka jest dumna z drobnych i delikatnych stóp Simmonsów.

Lenore już od wielu lat nie miała stóp Simmonsów, ale sama o tym nie wiedziała. Była tak próżna, że nie chciała nosić okularów, więc gdy Sookie zabierała ją na zakupy i Lenore oświadczyła sprzedawcy, że chce przymierzyć rozmiar trzydzieści sześć, Sookie po cichu szła do magazynu i prosiła o taki sam but, ale w rozmiarze trzydzieści osiem. Było to niewinne kłamstwo, lecz Sookie wiedziała, że inaczej Skrzydlata Nike odegrałaby scenę i zarzuciła wszystkim, że się mylą. Gdy Lenore w coś wierzyła, nie dało się jej przekonać, że jest inaczej.

A wierzyła też, że jest całkowicie samowystarczalna, choć nie była. Lenore nie chodziłaby trzy razy w tygodniu na hydroterapię, gdyby nie to, że nie pozwoliła sobie zamontować otwieranej wanny.

– One są dla inwalidów – powiedziała, a potem przy wychodzeniu z wanny przewróciła się, straciła przytomność i omal nie złamała stawu biodrowego. Kiedy się obudziła w szpitalu, myślała, że umiera, i zadzwoniła do wszystkich z wiadomością, że jeśli chcą ją jeszcze zobaczyć żywą, muszą jak najszybciej przyjechać. – Wątpię, żebym dożyła do rana – twierdziła. Wszystkie dzieci rzuciły swoje sprawy i pędziły do niej ze szkół, Buck i Bunny przylecieli aż z Karoliny Północnej. Następnego dnia, obudziwszy się w dobrym zdrowiu, Lenore zwróciła się do Sookie:

– Zadzwoń do Jo Ellen i każ jej przyjść ułożyć mi włosy. I powiedz pielęgniarce, żeby zmieniła wodę tym kwiatkom.

Po południu, gdy wszyscy wrócili już do swoich zajęć, Sookie zapytała:

– Mamo, wiesz, ile kłopotów nam sprawiłaś? Śmiertelnie wszystkich nastraszyłaś swoimi telefonami. Carter omal się nie zabił, pędząc tu na złamanie karku.

Lenore odpowiedziała:

– No, macie szczęście, że przeżyłam, ale gdybym zmarła, przecież musielibyście tu być. – Po chwili dodała: – Wielkie nieba, Sookie, mówisz, jakbyś żałowała, że tak się nie stało.

– Dobrze wiesz, że nie o to mi chodziło.

Lenore jednak nie słuchała.

– Nie podoba mi się ten pokój. Sookie, idź zapytaj, czy nie mają czegoś z lepszym widokiem.

NIEFORTUNNY WYPADEK

Pulaski, Wisconsin

Praca na stacji bywała bardzo niebezpieczna. Benzyna była wysoce łatwopalna. Kołpaki mogły się oderwać i uderzyć kogoś w twarz. Można się było poparzyć od rozgrzanego silnika. Opony mogły wybuchnąć, gdy się je zbyt mocno napompowało. A przy nieostrożnym zamykaniu maski można było sobie uszkodzić palce.

Fritzi powtarzała siostronom setki razy, że muszą myśleć o tym, co robią. Jak na razie na stacji zdarzył się tylko jeden poważniejszy wypadek. I oczywiście miał w tym swój udział mężczyzna.

*

Tula była cała w skowronkach, bo Arty Kowalinowski, przystojny, wysoki gwiazdor futbolu ze szkoły w Pulaskim, przyjechał do domu na cztery dni na przepustkę. Ku jej radości umówił się z nią do kina na piątek. Nie wiedział o tym, że Tula przez dwa lata wypisywała po książkach i zeszytach „pani Kowalinowska” i wzdychała do niego po nocach. To miała być ich pierwsza randka, więc Tula była w siódmym niebie. Już słyszała weselne dzwony i planowała ślubny strój. Coś z dużą ilością białych koronek.

W czwartek wieczorem przez wiele godzin myślała włosy, by wyzbyć się z nich smrodu benzyny, wydrapywała smar spod paznokci i przygotowywała sobie ubranie. Rano, żeby nie narażać świeżego manikiuru na uszkodzenia, włożyła do pracy grube robocze rękawice.

Cały dzień była w takim amoku, że Fritzi z trudem udawało się ją zagnać do jakiegokolwiek roboty. I oczywiście nie była zachwycona, gdy późnym popołudniem na stację wjechał duży czarny chevy z 1936 roku z uszkodzoną skrzynią biegów. Proponowała, by odłożyć to do następnego dnia, ale Fritzi się nie zgodziła. Tula była głównym mechanikiem, więc ostatecznie, marudząc pod nosem, wjechała pod samochód na drewnianej desce na kółkach, nie zdjawszy rękawic.

Tula naprawdę знаła się na rzeczy, lecz tego dnia zapewne była myślami na randce

z Arty Kowalinowskim, bo gdy znajdowała się pod samochodem, odkręciła nieodpowiedni zawór i nagle całe pół litra gęstego pięcioletniego oleju trysnęło jej z podwozia wprost na twarz.

Krzyknęła tak głośno, że Munia usłyszała ją aż w domu. Pierwsza podbiegła do niej Gertrude i natychmiast wyciągnęła ją za nogi. Tula krztusiła się gwałtownie, prychała i pluła czarnym olejem.

Jej wrzaski sprowadziły na stację straż pożarną i policję. Pięć minut później siostry zabrały rozhisteryzowaną Tulę do domu, by tam doprowadzić ją do porządku.

Była już piąta. Jej randka miała się odbyć za dwie godziny. Arty wyjeżdżał następnego dnia i Tula wiedziała, że może już nigdy nie mieć okazji się z nim spotkać.

Niestety olej był wszędzie: w jej włosach, na rzęsach, w nosie i w uszach. Po szorowaniu, które trwało z godzinę, nadal miała na twarzy plamy w dziwnym szarym kolorze. Z pomocą Muni Tula trzy razy umyła włosy mydłem Oxydol^{***}, lecz mimo to wciąż śmierdziała starym, przepracowanym olejem. Spojrzała w lustro i zrozumiała, że to na nic. W tym stanie nie mogła nigdzie pójść.

– Wyglądam jak zdechły szczur – jęknęła.

*

Pół godziny później Arty Kowalinowski stał przed wejściem do kina i czekał na Tulę, ale zamiast niej zjawiły się Fritzi i Gertrude. Tula zagroziła, że zabije je obie, jeśli powiedzą mu, co się stało, rzekły więc tylko:

– Tula nie przyjdzie.

Chłopak był rozczarowany, ale i tak wszyscy poszli do kina, kupili popcorn i obejrzeli *Kitty Foyle* z Ginger Rogers.

Podczas gdy oni bawili się na filmie, Tula siedziała w wielkiej wannie na nóżkach, mocząc włosy i narzekając na swój los przed Munią i Sophie:

– Błagałam Fritzi, żeby poczekać z tym do jutra, ale ona musiała pokazać, kto tu rządzi. Nie pozwoliła mi. Powiedziała: „Nie, to musi być zrobione dzisiaj”. Nienawidzę jej! Po prostu jej nienawidzę!

– Przecież to twoja siostra. Nie możesz jej nienawidzić. To grzech.

– Nie zależy mi. Arty Kowalinowski to jedyny chłopak, którego kochałam, a przez nią straciłam okazję, żeby iść z nim na randkę. Teraz on pewnie pozna jakąś dziewczynę, a ja skończę jako stara panna. To wszystko przez nią!

Gdy Gertrude i Fritzi wróciły do domu, Tula wciąż była sina.

– Przyniosłyśmy ci trochę popcornu – powiedziała Gertrude. – A Arty kazał ci powiedzieć, że strasznie żałuje, że nie przyszłaś.

– Tak powiedział?

– Tak – dodała Fritzi. – A jak dałyśmy mu twoje zdjęcie, powiedział, że będzie na nie patrzył i myślał o tobie codziennie, dopóki nie wróci.

– Naprawdę? – Tula sięgnęła po popcorn.

– No...

Było to bezwstydne kłamstwo, lecz sprawiło, że Tula poczuła się lepiej.

**** Oxydol – powstała w 1914 roku marka popularnych w Stanach Zjednoczonych środków higienicznych i piorących. W latach 30. ubiegłego stulecia producent Oxydolu był wyłącznym sponsorem cyklu słuchowisk pt. *Ma Perkins* i stąd właśnie pochodzi termin opera mydlana (*soap opera*).

WAFFLE HOUSE

Stolik numer 7

Podczas następnej sesji doktor Shapiro nagle podniósł wzrok znad notatek i zadał Sookie pytanie, które ją zaskoczyło.

– A pani ojciec?

– Co z nim?

– Dużo słyszałem o pani matce, ale o nim pani nigdy nie wspomina.

– Nie?

– Nie.

– Och... on był taki kochany, świeć, Panie, nad jego duszą.

– Na pewno widział zachowanie pani matki. Czy kiedykolwiek próbował to zmienić?

– Nie. Ale nie znał pan tatusia. On uważał ją za najwspanialszą kobietę na świecie. I kiedy narzekałam, że Lenore mnie do czegoś zmusza, odpowiadał: „Och, kochanie, wiem, że nie chcesz wstąpić do tego klubu czy tego robić, ale ona zmusza cię dlatego, że cię kocha, i to dla niej bardzo ważne”. No więc nie, nie był zbyt pomocny.

– I jak się pani z tym czuła?

– Chodzi panu o to, czy to mnie denerwowało? O nie. To nie jego wina. Biedny tatuś zawsze był ślepy, jeśli chodziło o matkę. Gdy się poznali, podobno była najpiękniejszą dziewczyną na balu. Tatuś chyba nigdy nie otrząsnął się z szoku, że zgodziła się za niego wyjść. W każdą rocznicę ślubu puszczał tę melodię, przy której tańczyli na balu oficerskim, i prosił ją do walca.

– Czyli, innymi słowy, pani i pani brat dorastaliście w domu z dominującą matką i ojcem, który nie zapewniał wam żadnej albo prawie żadnej ochrony.

W drodze do domu Sookie zastanawiała się nad słowami doktora Shapiro. Miał rację. Jej ojciec widział, że Lenore ją unieszczęśliwia, i naprawdę się za nią nie wstawiał. Czy powinna być wściekła na Lenore czy na ojca? A może na oboje? O Boże! Nie chciała się wściekać na nikogo. Jakaś część jej broniła się przed takim marnowaniem czasu i biadoleniem na

dzieciństwo. W jej wieku to było żenujące. Ale doktor Shapiro widział w tym jakiś sens. Mimo wszystko czuła się z tym niedobrze, jakby robiła coś złego, zdradzając sekrety rodziny Simmonsów. A trochę tego było.

*

Simmonsowie, jak większość rodzin na Południu, stracili podczas wojny wszystko, i pozostała im tylko duma i opowieści o „wspaniałej przeszłości”. Babcia Lenore wielokrotnie wspominała, jak to jej matka i imienniczka Sookie, Sarah Jane Simmons, samodzielnie uratowała Greenleaves, ich rodzinną plantację, oczarowując jankeskich żołnierzy swoim wdziękiem i urodą, i jak po wojnie trzech jankeskich oficerów pisało do niej i prosiło o jej rękę, co oczywiście w ogóle nie wchodziło w rachubę. I tak dalej, i tak dalej.

Wszystkie te opowieści w dzieciństwie wywierały głębokie wrażenie na Lenore. Jednak w jej przypadku z każdym mijającym rokiem ta „wspaniała przeszłość” stawała się coraz bardziej wspaniała, aż w 1939 roku Lenore zwierzyła się przyjaciółce:

– Mogłam napisać *Przeminęło z wiatrem* o Greenleaves, ale Margaret Mitchell mnie uprzedziła.

Gdy Buck i Sookie dorastali, Lenore do znudzenia rozplýwała się w poetyckich zachwytach nad niezwykłością rodzinnej plantacji Simmonsów.

– Niemal dokładna replika Tary – mówiła – tylko dużo lepiej umeblowana.

Kiedy Buck był w szkole średniej, wyszukał zdjęcie dworku w Archiwach Wojny Secesyjnej w Selmie.

Prawda była taka, że Greenleaves nigdy nie było plantacją. Było to tylko niebrzydkie gospodarstwo na dwóch akrach ziemi, a jedyne zetknięcie się rodziny Simmonsów z wrogiem podczas wojny nastąpiło, kiedy wychudzony i głodny żołnierz Unii, który zabłądził, zatrzymał się w tym miejscu, by spytać o drogę. Jednak w opowieściach Lenore setki jankeskich żołnierzy maszerowały przez kraj, grabiąc i kradnąc, co się dało, przekopując każdą piędź ziemi w poszukiwaniu skarbów. Jakoś nigdy nie wspominała o tym, że człowiek, którego później poślubiła jej babcia, po pijanemu spalił wszystkie zabudowania.

DO WIDZENIA, PANIE HATCHETT

Pulaski, Wisconsin

1942

Tego roku wszyscy w miasteczku włączali się do pomocy w dźwiganiu ciężaru wojny. Gospodynie domowe oszczędzały tłuszcz do pocisków i zbierały gumę, aluminium i metal, skąd tylko się dało. Panny Jurdabralinskie, jak i inne dziewczęta, zrezygnowały z pończoch z nylonu, który był potrzebny do produkcji spadochronów, a poza tym wszyscy teraz uprawiali własne ogródki przydomowe.

Tatko wreszcie wrócił do domu, dając rodzinie powód do świętowania. Jednak wiadomości z frontu nie napawały optymizmem. Zginęło już trzech chłopców z Pulaskiego i Fritzi poważnie martwiła się o Winka i innych, którzy znajdowali się w samym centrum wydarzeń.

Dostali kolejny list od Dottie Frakes, która opatrywała rany żołnierzy na Pacyfiku. To tylko sprawiło, że Fritzi poczuła się okropnie bezużyteczna. Munia i Sophie codziennie rano chodziły na mszę, by modlić się za walczących chłopców, Gertrude i Tula w wolnym czasie zwijały bandażę dla Czerwonego Krzyża, a ona tylko tankowała benzynę. A ponieważ teraz benzyna była racjonowana, z każdym dniem sprzedawała jej coraz mniej. Na poczcie wisiały plakaty, na których pod wizerunkiem żołnierza widniał napis: „Oni walczą, ty listami podnoś ich na duchu”. Fritzi napisała już do wszystkich znajomych, ale chciała robić coś więcej.

Dlatego kilka tygodni później, kiedy powołano do wojska pana Hatchetta, instruktora pilotażu z pobliskiej szkoły, i poproszono Fritzi o zastąpienie go na okres nieobecności, z radością się zgodziła.

Nauczanie stwarzało jej możliwość latania. Kierownictwo szkoły zdawało sobie sprawę, że ryzykuje, powierzając swoich uczniów byłej akrobatce lotniczej, ale musiało mieć kogoś na zastępstwo. Fritzi okazała się wspaniałą instruktorką i uczniowie ją uwielbiali – zwłaszcza chłopcy. Prowadzenie stacji benzynowej i zajęcia w szkole pochłaniały jej wiele czasu, ale nieraz po lekcjach znajdowała chwilę, by wzbić się w górę i побыć samotnie w powietrzu. Cudownie było znowu znaleźć się wśród chmur, nawet w pocziwym samolocie Piper Cub.

PULASKI, WISCONSIN

Kochany Winku!

U nas wszystko dobrze. Niewiele się dzieje poza tym, że instruktor latania, który uczył Ciebie i nasze siostry, dostał wezwanie do wojska. I teraz ja go zastępuję. Tak dla zabawy dałam kilka lekcji Sophie i Gertrude i byłam zaskoczona, jak dobrze sobie radzą, zwłaszcza Sophie. Ta dziewczyna ląduje jak zawodowiec. Przyznam, że wprawiła mnie w zawstydzenie, ale nie do końca. Ha, ha! W każdym razie zastanawiam się... może gdy to się już skończy, Ty i ja, obie dziewczyny i Billy założymy latający cyrk? Wiem, że to tylko marzenia. Coś mi się zdaje, że kiedy wrócisz do domu, Twoja żona Cię uziemi i już nigdy nie pozwoli Ci wzbić się w powietrze. Nie mam jej tego za złe. Nie ma tu już żadnych mężczyzn w wieku między 16. a 60. rokiem życia. Wszyscy są albo za młodzi, albo za starzy. Nuda. Wracaj jak najszybciej,

Fritzi

PS Jak się czujesz jako tatuś? To piękny chłopczyk, braciszku. Wykapany Ty.

PULASKI, WISCONSIN

Kochany Mężu!

Mam nadzieję, że dostałeś paczkę ode mnie. Te rzeczy sama zrobiłam na drutach. Zastępuję teraz Fritzi na stacji benzynowej na kilka godzin, a ruch jest niewielki. Wolałabym mieć więcej zajęć. Kiedy mam za dużo czasu, wtedy za dużo myślę. Wiem, że nasze listy powinny być zawsze pogodne i wesołe, ale, kochany, czasami tak się zastanawiam, dlaczego my. Byliśmy tak szczęśliwi, ale tak krótko. Czemu ta wojna musiała wybuchnąć właśnie teraz? Dlaczego nie urodziliśmy się pięć lat później? To nie w porządku. Miałam Cię tak krótko. Boję się, że nie jestem tą samą dziewczyną, którą byłam, gdy wyjeżdżałeś, i kiedy wrócisz, nie będziesz mnie już kochał. Boję się też, że ta wojna Ciebie również zmieni. Nigdy już nie będziemy tym dwojgiem dzieciaków, którymi byliśmy, i to mnie boli. Trudno uwierzyć, że jeszcze w ubiegłym roku byłam beztroską nastolatką bawiącą się w dom, a teraz jestem dorosłą kobietą z dzieckiem, mój mąż jest gdzieś na końcu świata, a ja nie wiem, kiedy go znowu zobaczę. Och, kochanie, proszę, nie bądź odważny i nie ryzykuj. Po prostu rób to, co musisz, i wróć do mnie. Co wieczór całuję Twoje zdjęcie. Czujesz to? Wszyscy tu o Ciebie pytają.

Kochająca

Angie

PULASKI, WISCONSIN

Kochany Winku!

Wstałam dzisiaj lewą nogą i marudzę jak diabli. Cały dzień mnie to męczyło, aż wreszcie dotarło do mnie, o co chodzi. Zapomniałam podziękować Temu tam w górze za to, że urodziłam się w starej dobrej Ameryce, za Munię i Tatkę, za dziewczyny, a zwłaszcza za Ciebie, Wink, najwspanialszego faceta, jakiego znam, który jest moim bratem. Jak już sobie to wyjaśniłam, poczułam się lepiej. Tak czy siak, brachu, tutaj wszystko bez zmian. Przez to przekłete racjonowanie benzyny klientów mamy jak na lekarstwo, nie więcej niż jednego czy dwóch dziennie, a i oni nie kupują wiele. Jakiś dzieciak przyjechał tu niedawno i miał tylko pięciocentówkę, ale Twoja Angie o złotym sercu wlała mu za trochę więcej.

Angie bardzo dobrze się trzyma, Wink, ale napisz do niej, jak będziesz mógł. Słowo daję, że ona żyje tylko od listu do listu. Walczy w tej wojnie razem z Tobą, Wink, i jest bardzo dzielna. Powinieneś zobaczyć, co tu wyrabiają dzieci. Pozbierały już na złom wszystko oprócz zlewów kuchennych, serio, a Tatko i pan Rususki pilnują teraz domów, w hełmach i w ogóle. Któregoś dnia były ćwiczenia z zaciemniania i Tatko tak się przejął, że potknął się na schodach i spadł w krzaki. Munia była w kuchni i słyszała, jak klnie po polsku, więc wybiegła i spadła prosto na niego. Zanim się skończyło, cała rodzina leżała w krzakach i zaśmiewaliśmy się do rozpuku. Nikt nie ucierpiał z wyjątkiem dumy Tatki. Dobrze, że to były tylko ćwiczenia. Nie wiem, co by było, gdyby to naprawdę okazało się konieczne.

Fritzi

LONDYN, ANGLIA

25 grudnia 1942

Cześć wszystkim!

Życzę Wam wesołych świąt aż z Anglii. Dziwnie się czuję w Boże Narodzenie poza domem. Taki dzień jak dzisiaj budzi tyle wspomnień. Ostatnie miesiące naprawdę dużo mnie nauczyły. Wszyscy faceci tutaj są dzisiaj dziwnie milczący, wliczając takiego gadułę jak ja. Mieliśmy tu specjalną świąteczną transmisję ze Stanów i naprawdę przyjemnie było usłyszeć znajome głosy, zwłaszcza Frances Langford. Pod koniec, kiedy śpiewała I'll Be Home for Christmas, wielu z nas musiało nagle wyjść z sali, ja także. Brytyjczycy są dla nas bardzo mili. Wczoraj wieczorem każda rodzina w okolicy zaprosiła do siebie dwóch czy trzech żołnierzy na Wigilię. Ci, u których byliśmy, nie są katolikami, ale ojciec rodziny zawiózł mnie i Krachecka do sąsiedniej miejscowości na pasterkę i zaczekał na nas, a potem odstawił nas do bazy. Jest tu dużo sympatycznych ludzi, ale to nie dom. Jestem pewien, że jak już zrobimy tu porządek, wrócę do domu i następne Boże Narodzenie będziemy obchodzić wspólnie.

Wink

KONIEC EPOKI

1943

Wink's Phillips 66 nie była jedyną stacją benzynową, która ucierpiała na racjonowaniu benzyny i gumy. Nie używano już samochodów tak często jak wcześniej i stacje benzynowe w całym kraju upadały jedna po drugiej. Stacja Jurdabralińskich działała dłużej niż większość innych, lecz w końcu i Tatko, i Fritzi doszli do tego samego wniosku: interes trzeba zamknąć, bo koszty utrzymania są wyższe niż dochody. Ostatniego dnia funkcjonowania stacji padał śnieg. Było zimno i szaro – pogoda w jakiś sposób wyrażała ich nastroje. Dziewczęta ze smutkiem czyściły kontuary i zdejmowały zdjęcia ze ścian. Sophie spakowała wszystkie stare mapy i pocztówki i zabrała je do domu. Tatko twierdził, że to tylko chwilowa przerwa. Był pewien, że po wojnie znowu otworzą interes i wszystko wróci do normy. Dziewczęta jednak wątpiły, czy cokolwiek jeszcze będzie takie samo.

Prowadzenie babskiej stacji benzynowej wymagało od nich wiele wysiłku, lecz kiedy dobiegło końca, zdały sobie sprawę, jak bardzo będzie im tego brakowało. Przez krótką chwilę, dzięki Fritzi, były w pewien sposób sławne, ale ten rozdział właśnie się zamykał.

Skończyły koło piątej. Zapadał już zmierzch. Dziewczęta poszły do domu, a Fritzi obeszała teren, pozamykała wszystkie drzwi i ostatni raz pogasiła światła. Gdy wróciła do domu i podała Tatce klucze, Gertrude powiedziała to, co wszystkie myślały:

– Och, Fritzi, czy jeszcze kiedyś przeżyjemy coś tak wspaniałego?

POWINNA CZY NIE POWINNA?

Point Clear, Alabama

Sookie miała wrażenie, że od swojej pierwszej sesji terapeutycznej poczyniła pewne postępy. Wreszcie była w stanie przebywać w pobliżu Lenore, nie czując silnego napięcia emocjonalnego (ani chęci uduszenia jej), lecz ciągle nie mogła się oswoić z tym, że widzi ją z całkiem innej perspektywy – nie jako matkę, lecz kogoś zupełnie obcego. I nie wiedziała, jak sobie z tym radzić.

Czasami kusilo ją, żeby powiedzieć Lenore, że wie o adopcji. Tylko co dobrego by z tego wynikło? Lenore miała osiemdziesiąt osiem lat i najwyraźniej nie chciała wyjawić swojej tajemnicy. Zadała sobie wiele trudu, by to ukryć i zdemaskowanie całej tej intrygi tylko by ją zdenerwowało. Zresztą teraz już za późno na jakiegokolwiek działania. Krzywda już się stała. Sookie wciąż czuła się zraniona i zła, ale jednocześnie zaczynała być matce wdzięczna. Pomijając to, że Lenore zmuszała ją do wszystkiego, do czego się dało, życie rodzinne Sookie było wspaniałe. Nie mogłaby sobie wymarzyć lepszego brata ani ojca. Wychowywała się w cudownym domu i nigdy niczego jej nie brakowało. A gdyby to nie oni ją adoptowali, kto wie, co by się z nią stało. Mogła ją adoptować jakaś rodzina z Teksasu i wychowywałaby się na ranczo, a to byłaby katastrofa. Sookie panicznie bała się koni. Albo nikt by jej nie adoptował i nigdy nie opuściłaby sierocińca, tylko siedziała tam do osiemnastego roku życia, a potem musiałaby radzić sobie sama. I gdyby nie była w młodości tam, gdzie była, nie poznałaby Earle'a. Stałaby się zupełnie inną osobą z całkiem innym mężem i innymi dziećmi, a może w ogóle nie wyszłaby za mąż. Niełatwo jej było myśleć o tym, jak wiele w jej dotychczasowym życiu zależało od przypadku.

Gdyby jej prawdziwa matka ją zatrzymała, Sookie chyba wychowywałaby się w Wisconsin i mówiłaby po polsku albo przynajmniej z jankeskim akcentem. Może nawet grałaby na akordeonie, albo – kto wie? – zostałaby zakonnicą. A gdyby jako ta druga osoba przeszła obok dzisiejszej siebie na ulicy, prawdopodobnie nawet nie zwróciłaby na nią uwagi. Jej wygląd zewnętrzny chyba byłby taki sam, lecz wewnątrz byłaby kimś zupełnie innym. Byłaby sobą, ale w zupełnie innej wersji. Oczywiście może nie byłaby taka nerwowa, ale

równie dobrze mogłaby być identyczna. Może jej nerwy nie mają nic wspólnego z Lenore. Ciężko stwierdzić, jaka część jej osobowości wynika z DNA, a jaka ze środowiska. Zawsze zakładała, że wzrost i kształt nosa ma po ojcu, a stopy Simmonsów po Lenore, ale teraz już nie wiedziała, co skąd się wzięło.

O Boże! Czy to musiało się zdarzyć akurat wtedy, kiedy myślała, że wreszcie będzie mogła odpocząć i cieszyć się życiem? Jak ma odpoczywać, gdy wszystkie te pytania w dzień i w nocy tłuką się jej po głowie?

Z czasem zauważyła, że coraz częściej myśli o swojej prawdziwej matce. Pewnego wieczoru w połowie kolacji powiedziała do Earle'a:

– Ciekawe, jak wyglądała.

– Kto?

– Ta kobieta. Fritzi. Moja prawdziwa matka. Myślisz, że miała rude włosy?

– Nie wiem, ale na pewno możemy się dowiedzieć.

– Och, chyba już na to za późno. Jeśli ja mam sześćdziesiąt lat, to ona miałaby osiemdziesiąt kilka. Pewnie już nie żyje.

– A może nie. Możemy chociaż spróbować się dowiedzieć, a jeśli żyje, to na pewno z radością cię pozna. Przemyśl to.

Sookie zastanawiała się przez minutę.

– Nie wiem, Earle. Nawet jeśli masz rację, to wciąż pozostaje pytanie, czemu tak po prostu porzuciła swoje dziecko.

Earle wzruszył ramionami.

– Nie wiem, kochanie, ale jestem przekonany, że miała ważny powód. Nie znamy wszystkich okoliczności.

– Owszem. Ale i tak chyba boję się z nią spotkać.

– Mogłabyś tylko porozmawiać z nią przez telefon.

– Racja. Ale co jej powiem? Cześć, to ja, twoja córka, którą oddałeś do adopcji sześćdziesiąt lat temu. Dzwonię, żeby się przywitać? Albo: Dzień dobry, niespodzianka!

– Nie, kochanie, powiedz jej prawdę. Że właśnie się dowiedziałaś i chciałabyś nawiązać kontakt. Chyba tyle mogłabyś zrobić, co?

– No... chyba tak. Ale ta kobieta może umrzeć na serce, jeśli zadzwonię tak znienacka. I nie zapominaj, że ona nigdy nie próbowała mnie znaleźć. A minęło już tyle lat, że mogła nawet zapomnieć, że mnie urodziła.

– Przemyśl to sobie. Ale gdybym ja był na twoim miejscu, chciałbym się czegoś

dowiedzieć.

*

Myślała o tym w nocy. I przyszło jej do głowy, że nawet jeżeli ta kobieta wciąż żyje, to może nie chce żadnego kontaktu. Może wyszła za mąż, założyła nową rodzinę i nie chce, żeby jej bliscy dowiedzieli się o Sookie. Była katoliczką i kto wie, może Sookie ma gdzieś tam siedmioro, ósmioro albo i więcej przyrodniego rodzeństwa! O mój Boże... A gdyby rzeczywiście znalazła matkę i oni wszyscy chcieliby ją poznać, cała rodzina mogłaby przyjechać do Point Clear wraz z dziećmi i wnukami. Możliwe, że ma setki polskich krewnych, którzy zjechaliby się tu z całego kraju. Gdzie by się zatrzymali? Czegóż takiego nie da się utrzymać w tajemnicy. Gdyby ci wszyscy Polacy zjechali do miasteczka w jednym czasie, Lenore na pewno dowiedziałaby się o tym w pięć minut. Więc nie, lepiej tego nie ruszać. Kto wie, w jakie mrowisko wetknęłyby kij?

Dręczyła ją jednak ciekawość. Jak to się stało, że Fritzi Jurdabralinski, która pochodziła z Wisconsin, znalazła się na drugim końcu kraju? I co robiła w Teksasie? Czy wyszła za kowboja? Albo żołnierza? I czy w ogóle wyszła za mąż?

ZNIECIERPLIWIEŃ W PULASKIM

Pulaski, Wisconsin

1943

Ponieważ większość chłopców, których uczyła Fritzi, poszła do wojska, program szkolenia pilotów cywilnych został zlikwidowany, a samolot sprzedany armii.

Jako że stacja benzynowa też została zamknięta, Fritzi nie miała czym się zająć, a ta beczynność była trudna do zniesienia.

Przystojny Irlandczyk stanowiłby jakąś rozrywkę, ale wstąpił do piechoty morskiej i wyjechał do Karoliny Północnej. Fritzi nie zadowalała rola obserwatorki tej wojny. Chciała robić coś więcej niż zwijać bandażę i pisywać listy do żołnierzy. Mogłaby się zatrudnić w jednej z dużych fabryk samolotów w Kalifornii, jak to zrobiło kilku jej przyjaciół, ale Fritzi nawet to nie wystarczało. Nie chciała budować samolotów. Do diabła, ona chciała latać! Dzień po dniu chodziła tam i z powrotem po pasie startowym i przeklinała na czym świat stoi, tak by Munia i dziewczęta nie słyszały. Niech to wszyscy diabli, była wściekła, że jest kobietą.

*

Fritzi jeszcze o tym nie wiedziała, ale sytuacja zaczynała się zmieniać na jej korzyść. Jeszcze przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny dwie amerykańskie pilotki, Jackie Cochran i Nancy Harkness Love, próbowały zasiać wśród wyższych oficerów myśl, że powinno się szkolić kobiety, które w razie potrzeby transportowałyby nowe samoloty z fabryk do baz wojskowych. Dzięki temu więcej mężczyzn mogłoby walczyć na pierwszej linii. W Anglii kobiety już wykonywały takie misje i robiły to z powodzeniem. W Rosji kobiety pilotki nawet brały udział w walkach. Eleanor Roosevelt oświadczyła kiedyś, że kobiety pilotki są bronią, która czeka, by jej użyć.

Ale w Stanach Zjednoczonych, kiedy temat został poruszony na wysokich szczeblach, uznano, że pomysł, by kobiety transportowały samoloty dla armii, jest absurdalny i w ogóle niewart rozpatrywania. Kobiety są zbyt nerwowe i uczuciowe. Latanie zawsze było i będzie

męskim zajęciem. Takie stanowisko obowiązywało do wypowiedzenia przez Amerykę wojny, kiedy produkcja samolotów wzrosła i zaczęto odczuwać brak pilotów. W drugiej połowie 1942 roku ci sami decydenci nagle musieli przyznać, że ten pomysł wcale nie jest taki zły.

Sporządzono listę wszystkich kobiet w Stanach z doświadczeniem w lataniu i rozesłano do nich telegramy z pytaniem, czy byłyby zainteresowane transportowaniem samolotów dla amerykańskiego rządu. Jeśli tak, miały się stawić na lotnisku Howarda Hughesa w Houston w Teksasie.

Fritzi przeczytała swój telegram. Czy jest zainteresowana? Nawet więcej – wprost nie może się doczekać. Omówiła to z Tatkiem, a on dał jej swoje błogosławieństwo. Munia znowu zaszlochała w fartuszek, po czym powiedziała:

– To przez Billy’ego Bevinsa Fritzi nie zostanie w domu.

Pozostałym dziewczętom było smutno, że Fritzi je opuszcza, ale jednocześnie czuły dumę i podekscytowanie tym, że ich starsza siostra będzie transportowała samoloty dla rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki.

PULASKI, WISCONSIN

Drogi Winku!

Hurra! Wygląda na to, że nie będziesz jedynym Jurdabralinskim latającym dla naszych kochanych Stanów. Bez kłopotu zaliczyłam wszystkie wstępne testy i teraz to już całkiem oficjalna wiadomość. Wybacz, ale piszę ten list, podskakując z radości. Część z nas wybrano do szkolenia wojskowego, żebyśmy transportowały samoloty w Stanach i w ten sposób zwolniły więcej chłopców do walki na froncie, a więc, braciszku, głowa do góry! Wkrótce będzie was więcej. Za dwa dni wyruszam do Houston na szkolenie. Zaczynamy jako cywilne ochotniczki, ale krążą plotki, że jak tylko zaczniemy działać, będziemy prawdziwymi żołnierzami. Mam zamiar przewyższyć Cię stopniem, więc uważaj. Teksasie, nadchodzę!

Fritzi

STARA ZNAJOMA

Houston, Teksas

Fritzi przybyła na stację kolejową w Houston, gdzie znajdował się punkt zborny pilotek z całego kraju. Zawieziono je do Bluebonnet Hotel i do Oleander Motor Court, gdzie miały zamieszkać do czasu, kiedy gotowe będą nowe koszary w Avenger Field w Sweetwater w Teksasie.

Następnego ranka wszystkie zgłosiły się w bazie na spotkaniu informacyjnym. Podczas pierwszej przerwy Fritzi poszła napić się coli i nagle usłyszała znajomy głos:

– Hej, patrzcie tylko, kogo my tu mamy!

Odwróciła się i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Przy stoliku w rogu siedziała Gussie Mintz, dziewczyna Billy’ego z czasów Grand Rapids.

– Słyszałam, że dzisiaj przyjeżdżasz – powiedziała.

– O mój Boże... Gussie! Jak się masz?

– Ja czuję się jak stary zużyty żeton do pokera, ale za to ty wyglądasz bombowo! W ogóle się nie zmieniłaś. Siadaj.

Fritzi położyła torbę na podłodze i dosiadła się do stolika. Gussie naląła jej coli i przesunęła szklaneczkę w jej stronę.

– Jak tam ten stary drań Billy Bevins? Żyje?

Fritzi roześmiała się.

– O tak, wciąż jest wśród nas.

– A niech to, już myślałam, że usłyszę dobre wieści. Gdzie się podziewa? Mam nadzieję, że w pudle.

– Nie. Jest w Pensacoli, szkoli kadetów.

– Coś ty? No to muszą być naprawdę zdesperowani, skoro zatrudnili tego głupka. Wy dwoje w końcu się pobraliście?

– Nie. Znasz Billy’ego.

– Znam. Ale jesteście razem?

– Różnie to bywa. Jak to z Billym.

– Ty przynajmniej to wytrzymujesz. Ale dość już o nim. Co sądzisz o tym, żeby kobiety wzięły się do latania? Świetna sprawa, nie?

– Wspaniały pomysł. W końcu ktoś poszedł po rozum do głowy.

– Szkoda, że na razie jeszcze nie będziemy oficjalnie w wojsku. Gdyby tak nas zaciągnęli, japońcy i szkopy nie mieliby z nami szans. Jakby już nic nie pomogło, mogłabym ich wykończyć przekleństwami.

Fritzi znów się roześmiała.

– O, to na pewno. Ale z tego co słyszałam w autobusie, to się może stać lada chwila. Jesteś tu na szkoleniu?

Gussie smutno pokręciła głową.

– Nie... wciąż mam licencję pilota, ale już nie mogę latać, Fritzi. Straciłam do tego ikrę.

– Nie mów.

– Po tym, jak zesłam ze sceny i trochę otrzeźwiałam, nie mogłam już do tego wrócić. Kiedy dostałam ten list, odpowiedziałam im, że nie mogę latać, ale że chcę coś robić, nawet jeśli to będzie tylko sprzątanie hangarów albo czyszczenie toalet, no i jestem... dużo starsza i ani trochę mądrzejsza, ale wciąż na pokładzie.

– Cieszę się, że tu jesteś – powiedziała Fritzi.

– Ja też. Po tych wszystkich latach znalazłam się tu, gdzie zaczynałam. Nakładam papkę ziemniaczaną w kantine, ale robię to dla Wuja Sama i naszych dziewcząt, więc nie jest źle.

ROZMOWA Z DZIEĆMI

Point Clear, Alabama

Po omówieniu tego z Earle'em Sookie postanowiła, że mimo ogromnych obaw powie o wszystkim dzieciom. Miały prawo znać swoje genetyczne pochodzenie. Chciała zacząć od Dee Dee, a wiedziała, że to nie będzie łatwe. Dee Dee była bardzo oddana babci i dumna z przynależności do klanu Simmonsów. Sookie bała się, że kiedy dowie się prawdy, urządzi jakąś straszną scenę. Dlatego uznała, że najlepszym miejscem na tę rozmowę będzie herbaciarnia w Mobile, w pobliżu biura Dee Dee. Tam nikt nigdy nie podnosił głosu. Przynajmniej Sookie miała taką nadzieję.

Wykrzesła z siebie całą odwagę i zadzwoniła do Dee Dee do pracy. Dwa dni później siedziały w uroczym różowym kąciku w rogu herbaciarni. Gdy już dostały herbatę, Sookie powiedziała:

– Dawno tu nie byłam. Zapomniałam już, jak tu przyjemnie.

– Tak. Babcia uwielbia to miejsce.

– Rozumiem dlaczego. Te kanapeczki z rukwią są urocze. Powinnyśmy się częściej spotykać. To znaczy matki i córki powinny być w bliskim kontakcie, prawda? *À propos*: trochę czytałam... Wiedziałaś, że Polacy są życzliwi, pracowici i lojalni?

– Tak? – Dee Dee nie wydawała się zainteresowana.

– Właśnie. Pomyślałam, że to ciekawe. A wiesz, że Chopin i Liberace byli Polakami?

– Tak, wiem.

– I jeszcze jedna śmieszna ciekawostka. Polacy dobrze grają nie tylko na fortepianie, ale też na akordeonie.

– No tak. I co z tego? Kogo to obchodzi?

Sookie zamilkła.

– No... mogłoby ciębie.

Dee Dee spojrzała na nią uważnie.

– Mamo, czemu mi o tym opowiadasz? Zaczynasz mnie niepokoić. Dobrze się czujesz?

Jakoś nie wydajesz się sobą.

– Właściwie to zabawne, że tak to ujęłaś, bo dokładnie na ten temat chciałam porozmawiać. Chodzi o to, kochanie, że ja naprawdę nie jestem sobą, a przynajmniej nie tym, kim myślałam, i zła wiadomość jest taka, że niestety ty też.

– Co?

– Oj, Dee Dee, to takie trudne. Ale wierz mi, dla mnie to też był straszliwy szok i myślałam nawet, żeby nic ci nie mówić... Ale musisz to wiedzieć, zwłaszcza gdy będziesz mieć dzieci.

– Mamo, o czym ty mówisz?

– Kilka miesięcy temu Lenore dostała list i oczywiście ja go przeczytałam, bo myślałam, że to jakiś rachunek czy coś takiego.

– I?

– List był z Teksaskiego Urzędu Zdrowia i dowiedziałam się, że twoja babcia... teraz obiecaj mi, że się nie zdenerwujesz.

– Dobra, dowiedziałaś się, że...?

– Że moja matka... twoja babcia... nie jest naprawdę moją matką, to znaczy... jak mówię „naprawdę”, chodzi mi o to, że nie jesteśmy spokrewnione... że... zostałam adoptowana.

Dee Dee uśmiechnęła się.

– Żartujesz? To żart, tak?

– Nie. Mam przy sobie ten list i swój akt urodzenia. Możesz przeczytać, jeśli chcesz, ale obiecaj, że nie będziesz krzyżeć i robić scen. Obiecujesz?

– Dobrze, obiecuję. Pokaż mi to.

Dee Dee wzięła do ręki dokumenty, przeczytała i mina jej zrzędała.

– O mój Boże! O mój Boże!

– Kochanie, uspokój się.

– Mamo, czy ty zdajesz sobie sprawę, co to znaczy?

– Tak. To znaczy, że nie jesteśmy spokrewnione ani z wujkiem Babym, ani z cicią Lily. To przynajmniej jakieś pocieszenie.

– Nie, mamo! To znaczy, że nie jesteś z Simmonsów. I ja też nie!

– To prawda, ale uwzględnij czynniki dziedziczności w...

– Ale to nie może być prawda... ja zawsze byłam z Simmonsów!

– Wiem. To wielki szok, mnie też ciągle trudno w to uwierzyć. Ale najwyraźniej to prawda.

– Mówiłaś już tacie?

– Oczywiście.

– I co on na to? Zdenerwował się?

– Był zaskoczony, ale się nie zdenerwował.

Nagle Dee Dee pobladła.

– Ale jak ja mogę nie być z Simmonsów? Czuję się jak Simmons. *Zawsze* czułam się Simmonsem.

– Wiem i wiem też, jak wiele to zawsze dla ciebie znaczyło. I właśnie dlatego tak trudno było mi to powiedzieć.

Dee Dee wpatrywała się w akt urodzenia.

– Twoje prawdziwe imię i nazwisko to Ginger Jurdabralinski? Jak nasz *pies* Ginger?

– Tak.

Dee Dee spojrzała na nią przerażona, a jej głos z każdym słowem stawał się mocniejszy.

– Twoja prawdziwa matka nazywała się Fritzi Willinka Jurdabralinski?

– Jak widać.

– Twoja matka była *Polką*? Urodzoną w Pulaskim w Wisconsin? O mój Boże! – Kiedy kończyła czytać, omal nie krzyczała: – Ojciec nieznany? – Trzy kobiety przy sąsiednim stoliku obróciły głowy w ich stronę.

Sookie spodziewała się, że Dee Dee nie spodoba się ta część dokumentu.

– Kochanie, proszę, mów ciszej.

Dee Dee ściszyła głos do szeptu.

– O rany, mamó. To znaczy, że jesteś... yyy... nie mówiłaś o tym nikomu, prawda?

– Nie, nie. Wiecie tylko ty i twój tata. I chciałam, żebyś ty dowiedziała się pierwsza, zanim powiem twojemu rodzeństwu.

Sookie wiedziała, że Dee Dee się zdenerwuje, ale nie miała pojęcia, że aż tak. Dee Dee była zupełnie rozbita, więc wyszły z herbaciarni i przeniosły się do baru na tej samej ulicy. Dee Dee piła już drugiego drinka wciąż poruszona tą wiadomością, gdy powiedziała:

– I babcia cały czas o tym wiedziała... i pozwoliła nam wszystkim myśleć, że jesteśmy prawdziwymi Simmonsami. O rany, mamó, jestem sekretarzem alabamskiego oddziału Cór Konfederacji.

– Wiem.

– Dlaczego... dlaczego zrobiła coś takiego?

– Oj, kochanie, a dlaczego robi to wszystko, co robi? Twój tata uważa, że chciała,

żebyśmy się czuli, jakbyśmy naprawdę do niej należeli.

– Jak zareagowała, kiedy jej powiedziałaś, że wiesz?

– Nie powiedziałam jej. Dee Dee, naprawdę dużo o tym myślałam i chyba nie powinniśmy jej mówić, że wiemy. Boję się, że to by ją zabiło. Pamiętaj, że ona ma osiemdziesiąt osiem lat.

Oczy Dee Dee nagle wypełniły się łzami.

– Ale zawsze mówiła, że jestem jej ulubienicą. Czemu przynajmniej mnie tego nie powiedziała?

– Nie wiem. Ale bardzo mi przykro. Wiedziałam, że się zdenerwujesz.

– Zdenerwuję? Ja już myślę o własnej śmierci. To koniec mojego życia. Chyba to rozumiesz. Po co mam dalej żyć?

– No nie, kochanie. Chyba trochę przesadzasz. W końcu mówimy o moich rodzicach, a nie twoich. Ty przecież wiesz, kim są twoi prawdziwi rodzice. I nie zapominaj, że wiesz na pewno, że w połowie jesteś Poole. To już coś, prawda?

Dee Dee odetchnęła.

– Oj, Polacy są chyba w porządku. Ale co z moim herbem Simmonsów? I w ogóle co to za ludzie... ci Jurdabralińscy? Jak tam się to wymawia. Wiesz coś o nich?

– Hmm... niewiele.

– Czyli co?

– Wiem, że chyba byli bardzo miłą rodziną, chłopak i cztery dziewczynki, i dwie z nich były bliźniaczkami, tak jak u nas. Nie dziwne?

– Produkowali sery czy co?

– Nie... nie. Ojciec był szanowanym biznesmenem.

– Co robił?

Sookie wiedziała, że to się Dee Dee nie spodoba, więc trochę złagodziła informację:

– Działał w branży samochodowej. – Nie miała odwagi powiedzieć, że prowadził stację benzynową.

*

Następne w kolejności były bliźniaczki, lecz Sookie chciała z tą rozmową poczekać, aż Ce Ce zadomowi się po powrocie z podróży poślubnej.

Gdy się dowiedziały, były zaskoczone, ale przyjęły to całkiem dobrze.

– Kochamy cię, mamó – powiedziała Ce Ce. – Nieważne, że byłaś adoptowana.

- Nie ma znaczenia, czy jesteśmy spokrewnione z babcią czy nie – potwierdziła Le Le.
- Właśnie, nie ma znaczenia – wtórowała Ce Ce.
- Ale wiem, jak bardzo obie kochacie babcię, i mam nadzieję, że to nie zmieni waszych uczuć do niej.
- Nie ma obawy – uspokoiła matkę Le Le. – Nadal jest naszą babcią i zawsze będziemy ją kochać.
- Ale ty jesteś naszą mamą. Ciebie kochamy najbardziej – dorzuciła Ce Ce.
- Tak. Zawsze zastanawialiśmy się, czemu jej pozwalasz tak sobą rządzić – stwierdziła Le Le.
- Naprawdę?
- Tak – odparła Le Le.
- Tak było – dodała Ce Ce. – Dla nas zawsze była miła, ale ciebie traktowała okropnie.
- I bardzo nas to martwiło – stwierdziła Le Le.
- Naprawdę?
- Tak – zapewniła Ce Ce i obie zgodnie pokiwały głowami.

*

Z poinformowaniem Cartera Sookie czekała do następnego weekendu, kiedy przyjechał do domu z Atlanty z kolegą. Zamierzali wybrać się na ryby z Earle'em i obejrzeć mecz drużyny z Alabamy. W niedzielę, kilka godzin przed jego planowanym wyjazdem, zabrała go do niewielkiego gabinetu i wszystko mu wyjawiała. Po otrząśnięciu się z pierwszego szoku Carter powiedział:

– Ja cię... mam. Jak mówiłaś, że masz mi coś do powiedzenia, podejrzewałem, że to coś poważnego, na przykład, że ty i tata chcecie się rozwieść albo coś takiego. – Spojrzał w jej wielkie ze zdziwienia oczy. – Aha... więc jesteś adoptowana. I jak się z tym czujesz?

– To szok dowiedzieć się po tylu latach, że nikt z nas nie jest spokrewniony z babcią. A jak ty się z tym czujesz?

Usiadł i powiedział:

– No cóż, myślę, że to w zasadzie dobra wiadomość. Nikt z nas nie musi się martwić, że wyląduje w Przyjemnym Zakątku.

Sookie przyjęła to ze zdumieniem.

– Nie wiedziałam, że się tym martwiłeś.

– Pewnie że tak. Wiesz, że kocham Skrzydlatą Nike na zabój i to się nigdy nie zmieni, ale

spójrzmy prawdzie w oczy. Nie da się ukryć, że jest stuknięta. Zawsze się bałam, że któregoś dnia skończysz tak jak ona.

Sookie uśmiechnęła się.

– No wiesz, to się zawsze może zdarzyć. A jeśli będę dostawała więcej takich szokujących wiadomości, to kto wie.

– A więc twoja prawdziwa matka pracowała na stacji benzynowej? Nieźle, co? – Uśmiechnął się szeroko. – Założę się, że nasza Dee Dee omal nie padła trupem, jak się dowiedziała.

– Prawie – odparła Sookie. – Ale wiesz co, twoja siostra naprawdę mnie zaskoczyła. Zdaje się, że nieźle sobie z tym radzi.

*

W ostatnich tygodniach każde z dzieci w jakiś sposób ją zadziwiło. Dowiedziała się o nich zupełnie nowych rzeczy. Dee Dee zadzwoniła do niej kilka dni po spotkaniu w herbaciarni i powiedziała:

– Mamo, chcę tylko, żebyś wiedziała, że niezależnie od tego, jakie masz korzenie, i tak cię kocham.

– Dziękuję ci, Dee Dee. To naprawdę dużo dla mnie znaczy.

– W końcu to nie twoja wina, że nie jesteś z Simmonsów. Nic na to nie poradzisz i pewnie jesteś tak samo rozczarowana jak ja. Gdybyś chciała pogadać, dzwoń o każdej porze, w dzień czy w nocy. Możesz na mnie liczyć... I chcę ci jeszcze powiedzieć, że zdjęłam herb Simmonsów.

– Och... wiem, jakie to musiało być dla ciebie trudne.

– Owszem. Ale zamówiłam herb Poole'ów i powieszę go, jak tylko przyjdzie.

– O, jak miło. Jestem pewna, że tata się z tego bardzo ucieszy.

– I jeszcze coś, mamo... o twojej rodzinie. Szukałam trochę... Okazuje się, że Polacy są uważani za niezmiernie inteligentnych i atrakcyjnych, więc nie martw się za bardzo, dobrze?

– Dobrze, kochanie. Spróbuję i dziękuję za informacje. Już czuję się lepiej.

Biedna Dee Dee. Ale przynajmniej starała się ruszyć z miejsca i to dużo szybciej, niż Sookie się spodziewała.

AVENGER FIELD

Sweetwater, Teksas

Billy Boy!

Przepraszam, że tak długo nie pisałam, ale opuściliśmy Houston i przybyliśmy do naszej nowej bazy w Sweetwater, a tutaj przez całą dobę mamy coś do roboty. To najbardziej upalne miejsce, w jakim zdarzyło mi się kiedykolwiek przebywać. Jeśli w piekle jest tak gorąco, to broń mnie, Panie Boże. Odkąd tu jestem, temperatura nie spadła poniżej 37°C, a do tego zdarzają się straszliwe burze piaskowe. Mam czerwony piasek we włosach, zębach, uszach, a nawet tam, gdzie słońce nie dochodzi. Nie wiem, czy w ogóle jeszcze kiedyś będę czysta. Aha, nie wspomniałam jeszcze o węzach, skorpionach i robakach. Jest tak gorąco, że wiele z nas wystawiło łóżka na zewnątrz, ale nigdy nie wiadomo, co może ci wleźć do pościeli. Żeby znaleźć trochę cienia, te cholerne węże wciskają się nawet do samolotów i wcale mnie to nie bawi. Sprawdzam mój samolot dokładnie – nie chcę mieć jakiejś gadziny za drugiego pilota.

Jako kobiety też nie mamy łatwo. Robimy wszystko jak prawdziwi żołnierze. Ćwiczymy jak chłopaki, łącznie z codzienną gimnastyką, i maszerujemy, gdzie nam każą. Nawet we śnie maszeruję. Mało to zabawne, ale wykonujemy wszystkie rozkazy. Moja nowa kumpelka Willy mówi, że to kolejny dowód, że już niedługo wezmą nas do sił powietrznych. Żarcie nie jest najgorsze. Jadłam już kaszkę kukurydzianą. Mmm...Poza tym, że muszę uważać na kłujące chwasty, pająki i robactwo, wszystko u mnie gra. Pozostałe dziewczyny, które tu poznałam, są całkiem w porządku. Mieszkamy po sześć w sali. Ze mną mieszka Pinks, naprawdę przemiła Żydówka z Nowego Jorku. Jej ojciec prowadzi dużą fabrykę bielizny i wszystkie nosimy jego wyroby przekazane z wyrazami szacunku od pana Pinksela. Trzymam się z nią i Beą Wallace z Oklahomy, która nosi kowbojki ze stalowymi noskami, a do tego spluwę kalibru 0,45 na biodrze. A jaka z niej odlotowa babka: brązowe włosy, jakieś 170 cm wzrostu, uśmiech jak z okładki i nogi do nieba. Jako jedyna z nas dobrze wygląda w tych okropnych kombinezonach, które nam dali. Zupełnie na nas nie pasują. Krok w moim zwisa mi do kolan, ale gdy idzie Bea,

wszystkim facetom oczy wyskakują z orbit. O nie, nie umówisz się z nią, więc przestań się ślinić. Swoją drogą kobitka musi być nadziana. Zaczęła latać, żeby kontrolować bydło na rodzinnym ranczu. Jej ojciec był przyjacielem Willa Rogersa, więc w żartach nazywamy ją „Willy”. Pozostałe trzy z mojego pokoju są w porządku, ale to nie moja liga: takie bogate nadęte panienki, wszystkie po studiach, jedna na Vassar i dwie na Smith, i ciągle rozprawiają o tych swoich wielkopańskich szkołach.

Kiedyś wieczorem wszystkie siedziałyśmy razem i gawędziłyśmy, i wtedy wykręciłam im niezły numer. Willy i Pinks były wtajemniczone. Niby to przypadkiem wspomniałam, że właśnie niedawno skończyłam Szkołę Phillipsa dla młodych panien.

Jedna z tych po Smith popatrzyła całkiem zbita z tropu i już miała coś powiedzieć, ale wtrąciła się Pinks: „Och, Phillips. Słyszałam, że to taka elitarna szkoła, że tam strasznie trudno się dostać. Jak ci się to udało?”. A ja powiedziałam: „Tatuś musiał pociągnąć za kilka sznurków”. No i to je uciszyło.

Mówię Ci, wszystkie trzy konałyśmy później ze śmiechu. Niezła gratka dla kogoś, kto ledwie skończył szkołę średnią, nie?

Fritzi

PS Rozumiem, o co Ci chodzi z tymi kadetami. Sporo takich cudownych chłopców po trzymiesięcznych kursach lata teraz nad Teksasem. Dopiero co skończyli szkolenie i nie wylatali nawet części tych godzin, które zaliczyły dziewczyny, ale i tak uważają się za ważniaków i lubią się przed nami popisywać, a to, co robią, jest, cholera, dość niebezpieczne. Niektórzy z nich przelatywali nad dziewczynami, udając pilotów myśliwców, żeby je nastraszyć. Nie miałyśmy żadnego szkolenia z formowania szyku i samolot lecący tak blisko naprawdę je przeraża. Kiedy się poskarżyły, ich dowódca powiedział: „Mężczyźni zawsze będą mężczyznami, i niektórzy mogą mieć ochotę wlecieć wam na skrzydło i trochę się zabawić. Trzeba być na to przygotowanym”. Ale po kilku niebezpiecznych sytuacjach kazał im się trzymać cały czas w odległości półtora metra od nas. Ta zasada obowiązuje też na ziemi. Nasze koszary są poza zasięgiem wszystkich samców. Pani Van de Kamp, miła miejscowa kobieta, która jest dla nas jak opiekunka i dozorczyńni, czuwa, żeby to prawo było przestrzegane!

AVENGER FIELD

Sweetwater, Teksas

Drogi Billy!

Teraz ćwiczmy codziennie. Pierwszy raz w życiu widziałam Meksykanina i jadłam pierwsze tamale. Całkiem dobre. Wysłałam Ci ceramiczną popielniczkę w kształcie sombrero i swoje zdjęcie w ciuchach pilota. Wydali nam męskie kombinezony lotnicze – wyglądają na nas jak worki. Poszłam za Twoją radą i zakumplowałam się z mechanikami. Jeden z nich, o nazwisku Elroy Leefers, naprawdę zna się na rzeczy. Z nim jestem bezpieczna. Tęsknię za Tobą. Gratulacje z powodu awansu. Chyba teraz będę musiała przed Tobą salutować.

Fritzi

PS Miasto Sweetwater zorganizowało grilla na cześć pilotek. Fajnie było. Ci Teksaszczyki to naprawdę serdeczni ludzie.

AVENGER FIELD

Sweetwater, Teksas

Billy Boy!

Myślałam, że jestem twarda, ale od teraz możesz mnie nazywać mięczakiem. Wczoraj, kiedy leciałam z Willy, nie byłyśmy jeszcze w powietrzu nawet pięciu minut, a tu widzę, że prosto na mnie pełźnie największy grzechotnik, jakiego w życiu widziałam. Musiał zasnąć w kabinie i wibracja maszyny go obudziła.

Człowiek nigdy nie wie, jaki odważny okaże się w kryzysowym momencie. Wyciągałam samoloty z korkociągów, tańczyłam na skrzydłach podczas wichury, robiłam różne rzeczy... ale Billy... kiedy zobaczyłam, jak ten przeklęty wąż sunie w moją stronę, zamarłam i zrobiłam się sztywna jak nakrochmalony kołnierzyk. Rozum mi mówił wyskakuj... rusz się... zrób coś... a ja siedziałam tam i gapiłam się nieruchomo oczami wielkimi jak talerze. Wtedy Willy patrzy na mnie, zauważa go, spokojnie wyciąga rękę, łapie gada za ogon i wyrzuca przez okno w błękitną dal. Jak już odzyskałam oddech, spojrzałam na Willy i nie dostrzegłam u niej nawet najmniejszych śladów zdenerwowania. Tylko wybuchnęła śmiechem. Podobno nigdy wcześniej nie widziała, żeby ktoś zrobił się zielony. Próbowwała poprawić mi humor i mówiła, że moja reakcja była taka, jak powinna – nie przyszło jej do głowy, że to wcale nie było planowane. Gdybym mogła się poruszyć, tobym się ruszyła. Willy to naprawdę klawa dziewczyna i moja bohaterka, ale w tym przypadku nie wyjawiałam jej prawdy.

Fritzi

PS Wąż pewnie się zdziwił, że lata.

AVENGER FIELD

Sweetwater, Teksas

Billy Boy!

Już długo nie mam od Ciebie żadnych wiadomości. Mam nadzieję, że wysyłasz dziesiątki dobrych pilotów za ocean, żeby skopali tyłki, komu trzeba. Tutaj coraz więcej roboty. Pamiętasz te trzy panienki po studiach, o których Ci pisałam? Muszę odwołać wszystko, co o nich powiedziałam. Jak trochę z nimi pobylałam, przekonałam się, że równe z nich babki. Właściwie to naprawdę mają się czym pochwalić. Cholernie dobre pilotki. Pracują ciężko. Nie narzekają. I potrafią walczyć do upadłego. Ależ dziwna ta wojna. Oto jestem tu z razem z dziewczynami, których w normalnym życiu nigdy bym nie poznała, a w dodatku mylnie uznałam, że to snobki. Zdaje mi się, że to ja zadzierałam nosa. Ale czy to pierwszy raz?

Tak czy siak, pierwsze koty za płoty. Wreszcie się złamałam i opowiedziałam im o stacji Phillips w Pulaskim, gdzie siostry Jurdabralinskie zdobywały szlify w mechanice samochodowej i miały niezły ubaw. Bardzo je to zaciekawilo i kazały sobie wszystko opowiadać ze szczegółami. Kto by przypuszczał! Myślę, że ta wojna bardzo zmieni nasze myślenie. Moje już zmieniła. No dobra, Billy Boy, czas uderzyć w kimono. Uważaj na siebie, a jeśli tylko znajdę się w Twojej okolicy, wkrótce się zobaczymy. Nawet jeśli tylko na jedną noc, a wiesz, co mam na myśli.

Ja

PS Czytałam, że w Penascoli jest tysiąc razy więcej mężczyzn niż kobiet. Nic dziwnego, że za mną tęsknisz. Z przykrością informuję, że z naszej strony sytuacja wygląda odwrotnie. Pięć tysięcy facetów na każdą z nas. Nie narzekamy na brak partnerów do tańca. Ale nie martw się, prowadzę się grzecznie. Hmm. Tak grzecznie, jak potrafię.

DZIEŃ DOBRY, ALICE

Point Clear, Alabama

Sookie nakarmiła już ptaki, wciąż głównie modrosójki błękitne, i trochę pracowała w ogrodzie, zanim zrobiło się gorąco nie do zniesienia. Sierpień był bardzo upalny – już o ósmej rano było tak parno, że człowiek ociekał potem. Był poniedziałek, więc Sookie postanowiła się ubrać i pojechać do Walmartu, żeby szybko zrobić zakupy na tydzień i mieć to już z głowy.

Właśnie wyszła z wanny, gdy w sypialni zadzwonił telefon. Matka była na spotkaniu klubu ogrodniczego, więc pewnie dzwoniła Netta. Zwykle prosiła Sookie o przywiezienie czegoś ze sklepu. Sookie owinęła się ręcznikiem i pobiegła podnieść słuchawkę.

– Halo.

– Alice?

– Słucham?

– Czy to Alice? Próbuję się skontaktować z Alice Finch.

Nagle Sookie poznała ten głos i szybko powiedziała:

– A tak, tak! Tu Alice Finch, zgadza się.

– Dzwonię z Wisconsin z Izby Handlowej, pamiętasz? Dzwoniłaś jakiś czas temu i pytałaś o Jurdabralińskich. Czekałam na następny telefon, ale nie zadzwoniłaś, więc znalazłam ten numer na rachunku telefonicznym. Dokąd to kierunkowy 251?

Sookie wpadła w panikę i skłamała:

– Georgia. – Od razu zrozumiała, jakie to głupie, ale było już za późno.

– Aha. No więc słuchaj, mam trochę informacji. Naprawdę ciekawe rzeczy o tych Jurdabralińskich. Moja mama mówi, że trzy z nich należały do WASP****. I co ty na to?

– WASP?

– No, nadzwyczajne, nie?

– Tak, ale myślałam, że były katoliczkami.

– Były katoliczkami, ale były też w WASP. No wiesz, pilotki podczas drugiej wojny

światowej.

– Pilotki?

– No tak. Mama mówi, że w tamtych czasach dużo o nich było w gazetach. Były znane jako Latające Jurdabralinskie z Pulaskiego. Mówi, że trzy siostry Jurdabralinskie były w wojsku w tym samym czasie i jedna z nich zginęła, kiedy samolot się rozbił.

– Och, nie.

– Tak. Urządzili jej wielki pogrzeb w katedrze i w ogóle. Była wielką bohaterką.

Sookie czuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

– A która to z sióstr? Miała na imię Fritzi?

– Zaraz, mam tu wszystko zapisane. O właśnie. Hmmm... – Czekaając na odpowiedź, Sookie słyszała głośny łomot własnego serca. – Nie... to nie ona. Moment. O, tu jest... To była inna z sióstr Jurdabralinskich.

Sookie poczuła wielką ulgę.

– A czy masz jakieś informacje o siostrze o imieniu Fritzi. Co się z nią stało?

– Moment, zapytam mamę. Jest tu koło mnie. Mamo, czy wiesz, co się stało z Fritzi Jurdabralinski? – Szmer rozmowy w tle. – Mama mówi, że wyprowadziła się wiele lat temu. Chyba gdzieś do Kalifornii.

– A nie wie, dokąd?

– Chwileczkę. Mamo... mamo! Alice pyta, dokąd konkretnie się przeniosła. Mówi, że nie pamięta, ale to było jakieś duńskie miasteczko.

– Duńskie?

– Mamo, duńskie miasto? Tak, mówi, że w latach pięćdziesiątych dostała od niej pocztówkę z wiatrakami.

– Rozumiem. A czy twoja mama nie wie, czy Fritzi jeszcze żyje?

– Mamo, ona jeszcze żyje? – Mruczenie mamy w tle. – Mówi, że na pewno, bo inaczej pisaliby o tym w gazetach. Mama czyta wszystkie nekrologi. Ale mam jeszcze jedną ciekawą wiadomość. Jedna z bliźniaczek zyskała sławę dzięki swojemu talentowi. Występowały razem, grając na akordeonie, i mama mówi, że jedna z nich napisała bardzo dużo dobrych polek. Wiem, że skomponowała *Za ciężka do polki* i *Polkę dla Winka* i wiele innych. Mogę zdobyć dla ciebie spis. Pójdę do redakcji gazety i przejrzę artykuły o nich. Wyślę ci to, co znajdę.

– Och, to byłoby wspaniale.

– Dobrze. Jaki jest twój adres?

Ojej, została przyłapana.

– Mmm... wyślij do Alice Finch, na ręce pani Earle'owej Poole młodszej, 526 Bayview Street, Point Clear, Alabama.

– Zdawało mi się, że mówiłaś o stanie Georgia.

– Tak, ale to bardzo blisko granicy stanu i odbieram pocztę w Alabamie.

– Aha. No cóż, dobrze, wyślę ci wszystko, co uda mi się zebrać. Miłego dnia.

– Wzajemnie.

*

Odłożywszy słuchawkę, usiadła i poczuła, że ręce jej drżą. Wiedziała, że ta kobieta mówiła o jej prawdziwej matce i jej prawdziwej rodzinie, ale to się wydawało tak nierealne i przerażające. Nawet nie wiedziała, że kobiety latały samolotami podczas drugiej wojny światowej. Myślała, że pilotami zawsze byli mężczyźni.

Telefon znowu zadzwonił i Sookie natychmiast odebrała. Tym razem to była Netta.

– Jedziesz do Walmartu?

– Tak, jasne.

– Mogłabyś mi przywieźć sześć rolek ręczników papierowych i karton dietetycznego Dr Peppera?

– Pewnie.

– I pół kilo mrożonych krewetek. Jeśli od razu wracasz.

– Dobrze. Nie ma sprawy.

– Wszystko w porządku? Masz jakiś dziwny głos.

– Nie, naprawdę w porządku. Słuchaj, Netta, wiesz może coś o WASP?

– A to jakaś organizacja?

– Kobiety, które latały samolotami podczas drugiej wojny światowej.

„Oj, znowu się zaczyna” – pomyślała Netta.

– Nie, nie wiedziałam o żadnych latających kobietach.

– No widzisz, ja też nie... aż do dzisiaj... Czy to nie dziwne?

– Chyba tak. – A słyszałaś o jakimś duńskim mieście w Kalifornii, w którym jest dużo wiatraków?

– Nie, nie słyszałam. – Po tej rozmowie Netta znowu zaczęła się niepokoić. Już myślała, że z Sookie jest lepiej, a tu się okazuje, że jednak nie.

*

Pchając wózek w Walmarcie, Sookie zapytała jeszcze kilka osób, czy słyszały o WASP, lecz nikt nic nie wiedział. Pan Lennon, jeden z pracowników witających klientów, powiedział, że chyba coś mu się obilo o uszy, ale nie był pewien. Miał już jednak dziewięćdziesiąt dwa lata. Sookie nie mogła się doczekać powrotu Earle'a.

*

Gdy tylko stanął w drzwiach, zawołała:

- Earle, nie uwierzysz, ale właśnie się dowiedziałam, że moja matka była w WASP i latała samolotami podczas drugiej wojny światowej!
- Co?
- Zadzwoiła do mnie kobieta z Wisconsin i mi to powiedziała. Jej siostry też latały.
- Czekaj, czekaj. Wolniej. Jeszcze raz.
- Moja matka była w WASP. To jak WAC^{*****}, tylko one latały samolotami. Słyszałeś o nich?
- Nie. Wiedziałem o istnieniu WAC i WAVES^{*****}, ale o nich nie.
- Możesz znaleźć coś o nich w internecie? Ja się za bardzo denerwuję.
- Pewnie, kochanie. – Przeszli do pokoju i Earle włączył komputer. Wpisał „kobiety w siłach powietrznych” i „II wojna światowa”, i skrót WASP. Coś się pojawiło.
- O, jest – powiedział.

*

Women Airforce Service Pilots (WASP) skupiały pierwsze kobiety, które służyły jako pilotki i transportowały samoloty wojskowe dla amerykańskich sił powietrznych podczas drugiej wojny światowej. Pierwsze 28 kobiet służyło pod dowództwem Nancy Harkness Love, która opowiadała się za wykorzystywaniem doświadczonych pilotek do transportowania samolotów na terenie kraju, aby mężczyźni mogli walczyć lub transportować samoloty za ocean.

FAKTY O WASP

1. Kobięce Siły Powietrzne istniały od września 1942 do 20 grudnia 1944 roku.
2. Zgłosiło się do nich ponad 33 000 kobiet, przyjęto 1830. Spośród nich 1074

ukończyły szkolenie.

3. Na początku pilotki WASP podlegały Komisji Służby Cywilnej, lecz obowiązywała je dyscyplina wojskowa. Najpierw stacjonowały na lotnisku Howarda Hughesa w Houston, w stanie Teksas, a w lutym 1943 roku zostały przeniesione do Avenger Field, Sweetwater w Teksasie.
4. Szkolenie trwało siedem miesięcy, tyle samo co szkolenie kadetów.
5. Pilotki z WASP stacjonowały w 120 powietrznych bazach wojskowych na terenie USA.
6. Pilotki z WASP latały na samolotach 78 różnych typów – na wszystkich modelach, jakich używano w siłach powietrznych, w tym B-29.
7. Pilotki z WASP pokonały 96 milionów mil podczas lotów operacyjnych.
8. Do ich obowiązków należały: transportowanie samolotów z fabryki do baz, szkolenia lotnicze, holowanie celów podczas ćwiczeń obrony przeciwlotniczej oraz ćwiczeń strzelców pokładowych, występowanie jako cel do namierzania, misje poszukiwawcze, udział w symulowanym ostrzeliwaniu z nisko lecących samolotów, a także loty sterowane radiowo.
9. Podczas lotów dla wojska zginęło 38 kobiet.

*

– No, no... To naprawdę robi wrażenie – powiedział Earle. – Nie miałem pojęcia. To naprawdę coś.

– Tak. I teraz wiem, dlaczego była w Teksasie. Moje dwie ciotki też tam były. Wśród tych, które zginęły, była jedna z nich.

– Naprawdę?

– Tak. Ta kobieta przysła mi artykuły z gazet.

– A czy twoja matka żyje?

– Ta kobieta myśli, że tak. Ostatnio miała od niej wiadomość z Kalifornii. Poszukaj miejscowości w Kalifornii, która ma duńską nazwę i dużo wiatraków.

– Dobrze, ale przynieś coś do picia. Mrożoną herbatę albo co tam masz.

*

Sookie była w kuchni, gdy usłyszała okrzyk Earle'a.

– Znalazłem!

Przyniosła mu herbatę, a on wskazał na monitor, gdzie widniało zdjęcie miasteczka z mnóstwem wiatraków.

– Patrz. „Solvang, Kalifornia. Dwie godziny na północ od Los Angeles, położone w pięknej dolinie Santa Ynez. Zapraszamy do uroczego miasteczka Solvang w Kalifornii. Historia: W styczniu 1911 roku Duńsko-Amerykańska Korporacja Kolonialna, szukając ziemi uprawnej, zachwyciła się obfitością słońca przez cały rok i kupiła ponad dziewięć tysięcy akrów terenu. Nową osadę nazwano Solvang, co po duńsku znaczy Słoneczne Pole. Korporacja reklamowała się w duńskojęzycznych gazetach i po niedługim czasie Duńczycy i duńscy imigranci w Ameryce wykupili całą ziemię. Wielu potomków pierwotnych osadników wciąż mieszka na tym terenie”. To na pewno to miejsce.

– Na pewno. Ale wątpię, żeby ona nadal tam była.

– Nie chcesz się dowiedzieć?

– Nie wiem, Earle. Nawet gdybym się z nią spotkała, co by to dało? Może jest okropna i bym ją znienawidziła? Albo będzie chciała się do nas wprowadzić? A ja nie mogłabym odmówić, i wtedy Lenore wszystkiego by się dowiedziała. Nie wiem, Earle. Wydaje mi się, że lepiej by było zostawić to tak, jak jest.

– Zrobisz, jak zechcesz, ale jeśli jej nie poznasz, a ona umrze, możesz potem żałować, że się z nią nie spotkałeś, kiedy jeszcze miałaś okazję. Albo że przynajmniej nie porozmawiałś z nią przez telefon.

– Ale po co?

– Może się dowiesz, dlaczego cię zostawiła. Nie myślisz, że zasługuje na szansę? Pamiętaj, że ty dopiero się o niej dowiedziałeś, ale jestem pewien, że ona myślała o tobie przez całe te pięćdziesiąt dziewięć lat.

– Sześćdziesiąt – poprawiła go Sookie.

*

Później, już w łóżku, Sookie powiedziała:

– Popatrz, Earle, jakie to dziwne. Ja boję się nawet wsiąść na diabelski młyn, a moja matka latała samolotami.

– To naprawdę robi wrażenie.

– No... też tak myślę.

Earle ucieszył się, widząc zainteresowanie żony. Miał nadzieję, że teraz, gdy już dowiedziała się czegoś o WASP i ich działalności, zmieni zdanie i zechce odnaleźć matkę. On

sam chętnie poznałby tę kobietę. To jednak musiała być decyzja Sookie.

*

Zastanawiając się nad tym, Sookie doszła do wniosku, że kolejnym powodem tego, że nie chce poznać swojej prawdziwej matki, jest obawa, że jeśli ta kobieta dowie się, że jej córka niczego w życiu nie osiągnęła i jest tylko gospodynią domową, może się poczuć bardzo rozczarowana. Dobry Boże. Rozczarowała już jedną matkę i to wystarczy. Nie była pewna, czy chce ryzykować rozczarowanie drugiej.

***** Tu: WASP – Women Airforce Service Pilots (Kobiece Siły Powietrzne), ale jest to także popularny skrót od White Anglo-Saxon Protestants (Biali Protestanci Pochodzenia Anglosaskiego).

***** WAC – Women’s Army Corps (Kobiece Służba Wojskowa).

***** WAVES – Women Accepted for Volunteer Emergency Service (Nadzwyczajne Ochotnicze Oddziały Kobiece), potoczna nazwa US Naval Women’s Reserve (Kobiece Rezerwa Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych), WAVES było także nawiązaniem do fal oceanu.

AVENGER FIELD

Sweetwater, Teksas

Billy!

Co jest nie tak z tymi chłopami? Ta klika naburmuszonych lotników ciągle się nas czepia. Jakby i bez tego nie było nam ciężko, są tu tacy, którym przeszkadza, że kobiety robią to samo co oni, a w niektórych przypadkach (moim) robią to lepiej. Mogłybyśmy ich ignorować, ale rozsiewają o nas tyle plotek, że to może zaszkodzić całemu programowi. Rozpowiadają na prawo i lewo, że jesteśmy zgrają wygłodniałych samic, które wstąpiły do armii tylko po to, żeby móc sypiać z pilotami i w ogóle nic tu po nas – najlepiej byłoby odesłać nas do domów. Dwa tygodnie temu sprowadzili grupę prostytutek i umieścili je w hotelu w Sweetwater, żeby rozpowszechnić plotki, że to dziewczyny z WASP. Chyba nie muszę Ci mówić, że nie przysporzyło nam to sympatii wśród miejscowych.

W końcu sprawa została wyjaśniona, ale teraz zmusza się nas do życia jak w klasztorze. Nasza dyrektorka Jackie Cochran mówi, że nie możemy sobie pozwolić nawet na cień skandalu. Żadnych randek z instruktorami, przeklinania i cały czas zachowywanie dobrych manier, podczas gdy mężczyznom niczego się nie zabrania. Ale Cochran twierdzi, że nasza moralność musi być bez zarzutu. To prawdziwe piekło być królikiem doświadczalnym, ale jak mówi nasza opiekunka pani Van de Kamp, jeśli nam się uda, to w ostatecznym rozrachunku wszystkim wyjdzie na dobre. Może następna grupa nie będzie miała już tak ciężko.

Wiem, że o tym nie piszą w gazetach. Nie chcą, żeby to się rozniosło, ale w tym miesiącu straciłyśmy trzy koleżanki. Jedna mieszkała w naszej sali. To była naprawdę miła dziewczyna. Miała męża, który służy w piechocie morskiej na Guadalcanal, i dwoje dzieci. Kilka dni temu zeszła zbyt nisko i rozbiła się przy lądowaniu przed samymi koszarami.

Wiem, że często widzisz takie rzeczy i że to wszystko tylko część szkolenia, ale ja ciągle nie mogę się przyzwyczaić i mam nadzieję, że nigdy się nie przyzwyczaję. Wkurza

mnie, kiedy przychodzą tutaj pismaki z różnych gazet i chcą tylko pokazywać, jak dziewczyny się malują albo pozują jak modelki... Interesują ich tylko pozory. Jeśli ktoś uważa, że to takie wspaniałe zajęcie i że robimy to tylko dla zabawy, to raczej nie był w sytuacji, kiedy trzeba wyciągnąć koleżankę z płonącego samolotu i patrzeć, jak umiera na twoich rękach. Nikt tu za wiele nie mówi, ale nastroje są ponure.

Fritzi

EGZAMIN

Sweetwater, Teksas

1943

Większość instruktorów w Avenger Field była całkiem sympatyczna, lecz byli też tacy, którzy czuli się bardzo zawiedzeni, że skierowano ich do Sweetwater, i wychodzili z siebie, aby uprzykrzyć życie kobietom. Krzyczeli na nie, obrzucali wyzwiskami typu „głupia” i „dyletantka” i robili, co w ich mocy, żeby je oblać. Jeden z nich, gburowaty porucznik o nazwisku Miller, szczególnie dawał się im we znaki. Dziewczęta codziennie wracały z jego lekcji zapłakane. Jedną doprowadził do takiego stanu, że spakowała się i wyjechała do domu. W dodatku porucznik jawnie obnosił się z poglądem, że kobiety nie mają czego szukać w lotnictwie.

Któregoś popołudnia siedział w barze i rozmawiał z barmanem tak głośno, by słyszały go obecne w sali pilotki.

– Jak ja tego nienawidzę. Kiedy będą mnie pytać, co robiłem w czasie wojny, co odpowiem? Że zajmowałem się szkoleniem bandy przeklętych bab? Cholera...

*

Fritzi czekała na swój pierwszy egzamin praktyczny, gdy Miller podszedł do niej i powiedział:

– Dobra, Jurdabralinski, lecimy. Zabiorę cię w górę i zobaczę, co potrafisz. A kiedy coś powiem, nie gadaj, tylko wykonuj.

– Tak jest – odparła.

Gdy wzbijała się na odpowiednią wysokość, wychylił się zza jej pleców i wrzasnął:

– Jezu Chryste, przyciągnij ten cholerny drążek... nie puszczaj. – Chwycił za drążek i z całej siły wbił go w jej nogę. – To nie są jakieś tam babskie zawody. Ciągnij to cholerstwo. Rany, co za idiota uczył cię latać?!

Fritzi bardzo zależało na zaliczeniu tego egzaminu, lecz coś się w niej zagotowało.

Zwiększyła obroty i jak tylko znaleźli się na właściwej wysokości, gwałtownie obróciła samolot i leciała do góry nogami, a Miller, zwisając w pasach bezpieczeństwa, krzychał śmiertelnie przerażony:

– Obracaj! Obracaj! Niech cię diabli!

Gdy obróciła maszynę, zrobiła jeszcze beczkę, wystrzeliła prosto w górę, a potem wykonała swoje słynne opadanie korkociągiem stromo w dół. Poderwała samolot w ostatniej sekundzie i na dobiecie zaprezentowała świecę z przewrotem przez skrzydło.

*

W dole na lotnisku Avenger Field cała obsługa naziemna wpatrywała się w to, co się działo na niebie. Ich entuzjastyczne okrzyki sprawiły, że już po chwili wszyscy na ziemi mieli zadarte głowy, a z koszar i hangarów wybiegało coraz to więcej osób, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie.

Gussie Mintz wyszła z kantyny z papierosem w ustach. Gdy podniosła głowę i zobaczyła Fritzi wykonującą beczkę, wybuchnęła śmiechem.

– Pokaż im, jak to się robi! – zawołała.

Po serii zapierających dech pętli i obrotów uśmiech rozjaśnił twarz mechanika Elroya Leefersa.

– Brawo, mała, utrzyj mu nosa!

Po kilku kolejnych minutach Fritzi wykonała podwójną pętlę i zeszła do idealnego lądowania, po którym wprowadziła samolot do głównego hangaru i wyłączyła silnik. Obróciła się i powiedziała do Millera, który z twarzą czerwoną jak burak aż sapał ze złości:

– Pozdrowienia od Billy’ego Bevinsa, najlepszego z instruktorów, jakich nosi ta ziemia.

– Wynoś się! – warknął.

– Tak jest. Już się robi! – powiedziała i wyskoczyła z samolotu. Odpięła spadochron i rzuciła go na ziemię. Wiedziała, że nie zaliczyła tego lotu, ale nikomu nie mogło ujść na sucho nazywanie idiotą Billy’ego Bevinsa, przynajmniej póki ona żyła.

*

Od razu podbiegły do niej Willy i Pinks. Miller długo nie wychodził z samolotu. Fritzi poszła prosto do koszar i zaczęła się pakować. Kiedy kursantki oblewały lot próbny, wyjeżdżały natychmiast. Było to dla nich tak bolesne doświadczenie, że nie chciały tego przeciągać.

Koleżanki, które obserwowały jej pokaz, wcale nie były zadowolone. Przyglądały się w milczeniu, jak Fritzi pakuje swoje rzeczy.

– Ten drań sam się o to prosił, ale, do diabła, Fritzi, co my bez ciebie zrobimy?

*

Gdy była gotowa, Willy i Pinks odprowadziły ją do bramy. Fritzi miała już wsiąść na ciężarówkę, kiedy przybiegła jakaś zdyszana dziewczyna.

– Kapitan chce cię natychmiast widzieć!

A niech to. Miała nadzieję, że zdąży wyjechać, zanim porucznik sporządzi raport. Wtedy uniknęłaby tej nieprzyjemnej rozmowy. Niestety się nie udało.

Kilka minut później, po wejściu do biura oficera dowodzącego, ujrzała kapitana Wheelera, który siedział za biurkiem. Jego mina nie wróżyła nic dobrego. Za nim siedziała na krześle pani Van de Kamp z wyraźnie zaczerwienionymi oczami. Kapitan Wheeler podniósł wzrok znad raportu i z wściekłością warknął:

– Młoda damo, to był najbardziej szalony i nieodpowiedzialny pokaz całkowitego nieposzanowania przepisów i zasad bezpieczeństwa, jaki w życiu widziałem. Czy zdajesz sobie sprawę, że naraziłaś życie instruktora i własne, ryzykując przy tym zniszczenie samolotu wojskowego?

– Tak jest.

– W dodatku naraziłaś reputację i przyszłość całego programu WASP. Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, jak ciężko panie Love i Cochran pracują nad utrzymaniem tego programu.

– Rozumiem. Przepraszam. Nie pomyślałam. Straciłam głowę.

– Tu nie chodzi tylko o ciebie, ale też o wszystkie uczestniczki, również te, które przyjdą po was.

– Tak jest.

Podniósł z biurka raport porucznika Millera i powiedział:

– Oczywiście, nie zaliczyłaś egzaminu.

– Tak myślałam.

– Pani Van de Kamp poinformowała mnie o problemach, jakie macie z porucznikiem Millerem, ale to nie jest usprawiedliwienie. Zgodnie z oficjalnym protokołem powinnaś stanąć przed sądem wojskowym.

– Tak jest.

Kapitan Wheeler odłożył raport, rozparł się na krześle i wyjrzał przez okno. Po dłuższej chwili spojrzął na nią i powiedział:

– Znam wojskowe przepisy i w zasadzie powinienem cię wywalić na zbity pysk – westchnął – ale uważam, że ktoś, kto potrafił sprawić, że ten skurwysyn Miller narobił w gacie, zasługuje na drugą szansę. Uziemiam cię na dwa tygodnie albo do czasu, kiedy uda nam się odprawić stąd Millera. Ale jeżeli jeszcze raz urządzisz taki pokaz, wylatujesz od razu, a ja osobiście dopilnuję, żebyś już do końca życia nie siadła za sterami żadnego samolotu. Zrozumiano?

– Tak jest.

– A teraz wyjść!

– Tak jest. Dziękuję, panie kapitanie.

– I Jurdabralinski...

– Tak?

– Pozdrów ode mnie Billy'ego.

*

Teraz wiedziała, dlaczego Miller nie wysiadł z samolotu. Później powiedziano jej, że kazał mechanikowi przeprowadzić maszynę do innego hangaru, z którego wszystkich wygonił. Ale wieść i tak się rozeszła. Tym mechanikiem był Elroy Leefers. Co do Fritzi, nie zdawała sobie sprawy, jak ważna jest dla niej przynależność do WASP, dopóki omal jej nie straciła.

ROMANS

Skrzydłata Nike czesała się właśnie w salonie piękności, kiedy weszła jej przyjaciółka Pearl Jeff. Pearl przed chwilą dowiedziała się czegoś od znajomej i nie mogła się doczekać, kiedy podzieli się tym z Lenore.

*

Pół godziny później Lenore jak burza wpadła przez frontowe drzwi do domu córki i od razu wparowała do kuchni, gdzie Sookie jadła drugie śniadanie.

– Muszę z tobą porozmawiać, młoda damo, i to natychmiast! Jestem oburzona twoim wyraźnym brakiem dyskrecji! Zapomniałaś, że jesteś mężatką?

– Co?

– Dziwiło mnie, że tak rzadko bywasz w domu i że nie mogę się ostatnio do ciebie dodzwonić, ale w końcu znam przyczynę.

– Co takiego?

– Dobrze wiesz co! Właśnie się dowiedziałam o tobie i doktorze Shapiro i chcę, żebyś natychmiast to zakończyła!

– Ale, mammo...

– Żadnych ale. Już sam pomysł tego... tego, co robisz... jest haniebnym. Earle Poole junior jest jednym z najszlachetniejszych mężczyzn, jakich znałam, a ty robisz mu coś takiego?

– Co mu robię? O czym ty mówisz?

– Wszyscy wiedzą, że się spotykacie na mieście. Nie pozwolę, żebyś w taki sposób traktowała Earle'a. Earle jest idealnym mężem i ojcem i masz wielkie szczęście, że ci się trafił. Mam tylko nadzieję, że nie przybywam za późno... że się jeszcze nie dowiedział. Pamiętaj, co wolno gęsi, wolno też gąsiorowi, a przy jego wyglądzie, no, mógłby mieć każdą kobietę, gdyby tylko zechciał, więc radzę ci zakończyć to w zarodku, natychmiast, zanim się obudzisz jako rozwódka.

Sookie była kompletnie zbita z tropu.

– Nie wierzę własnym uszom. Po pierwsze, to nieprawda. Z nikim nie mam romansu i dziwię się, że w ogóle mogłaś tak o mnie pomyśleć. A po drugie, myślałam, że nie lubisz Earle’a.

– Jak to? Zawsze go lubiłam i doskonale o tym wiesz. A jeśli to wszystko nieprawda, to po co spotykasz się z tym mężczyzną? To wygląda naprawdę podejrzanie. Nikt aż tak nie lubi gofrów, żeby regularnie chodzić do Waffle House.

– No dobrze, mam, skoro chcesz wszystko wiedzieć, to tak, spotykam się na mieście z doktorem Shapiro. A wiesz, dlaczego? Bo tak się składa, że jestem jego pacjentką i próbowałam utrzymać to w tajemnicy, żeby nie wprowadzić cię w zakłopotanie albo, nie daj Boże, nie zszargać imienia Simmonsów, chociaż i tak aż dwoje z nich przebywa w wariatkowie!

Lenore patrzyła na nią zszokowana.

– Sookie, Przyjemny Zakątek to nie wariatkowo. A oni są tam z powodu zwykłego wyczerpania nerwowego. Dlaczego mówisz takie rzeczy?

– W porządku, nazywaj to, jak ci pasuje. Zawsze tak robisz.

– A poza tym po co chodzisz do psychiatry? Czy to kolejny pomysł Marvaleen?

– Nie. Pewnie trudno ci to sobie wyobrazić, ale czasami miewam też własne pomysły.

– To naprawdę dziecinada i chcę, żebyś natychmiast przestała. Słyszysz, młoda damo?

– Mamo, ty chyba rozumiesz, że jestem dorosłą kobietą?

– Nieważne, jaka jesteś dorosła. Nadal jesteś moją córką i nie pozwolę ci wywołać skandalu.

Zapadła długa cisza, podczas której Sookie zastanawiała się, czy nie skończyć z tym raz na zawsze. Ale nie...

– Dobrze.

– Cieszę się. Mam tylko nadzieję, że Earle się nie dowie. Ten biedak już i tak ma dość na głowie, całymi dniami musi grzebać ludziom w zębach, nie musisz mu jeszcze dokładać kłopotów swoim głupim zachowaniem.

– Dobrze, mam.

– No to, jak już to sobie wyjaśniłyśmy, napiję się kawy. – Lenore usiadła i obserwowała krzątanicę Sookie. Po chwili powiedziała: – Muszę przyznać, że twoje zachowanie w ostatnim czasie bardzo mnie niepokoi. Czy ten doktor daje ci jakieś pigułki?

– Nie.

– Hmm... cóż... coś z tobą jest nie tak. Może on cię hipnotyzuje, a ty o tym nie wiesz.

Nigdy nie byłeś zbyt bystra, jeśli chodzi o ocenę przyjaciół. Zawsze mówiłam, że gdyby Marvaleen powiedziała: „Skoczmy z dachu”, ty od razu byś to zrobiła. Pamiętasz, co się działo, kiedy wciągnęła cię do tej grupy biblijnej?

– Pamiętam.

*

Kilka dni później tę samą plotkę usłyszała Marvaleen, lecz jej reakcja była zupełnie inna. Kiedy zobaczyła Sookie wsiadającą do samochodu na parkingu przy Walgreens, podbiegła do niej i zapukała w okno. Sookie opuściła szybę.

– Cześć, Marvaleen, co słychać?

– Otwórz. – Marvaleen pociągnęła za klamkę. Gdy Sookie uchyliła drzwi, Marvaleen wskoczyła do środka i figlarnie klepnęła przyjaciółkę w nogę.

– Ty spryciuło, ty diablico! Cicha woda brzegi rwie. Czemu mi nie powiedziałaś? To takie podniecające, a on jest naprawdę przystojny. – Sookie nagle zrozumiała, o co chodzi. – I młody. Mówiłam ci, że prowadzenie dziennika odmieni twoje życie, i miałam rację. Ile on ma? Trzydzieści?

– O Boże, Marvaleen, cokolwiek słyszałaś, to nieprawda. Nie mam żadnego romansu.

Marvaleen mrugnęła porozumiewawczo.

– Jasne, że nie, ale przecież przede mną nie musisz nic ukrywać. Akceptuję wszystko z całego serca. Edna Yorba Zorbra mówi, że tak chce natura. Wszystkie powinnyśmy być z młodszymi mężczyznami. Bo my dopiero koło sześćdziesiątki osiągamy szczyt seksualnych możliwości. Nasz popęd płciowy wzrasta, a u mężczyzn w naszym wieku spada.

– Ale naprawdę, Marvaleen, doktor Shapiro to tylko znajomy.

– Aha. Wyświadczył mi przysługę: dowiedz się, czy twój znajomy nie ma jakiegoś kolegi.

– Marvaleen, uwierz mi. Nie mam romansu. Spotykam się z nim zawodowo. Pomaga mi w kilku sprawach, to wszystko.

– Pewnie! Oczywiście to potwierdzą, gdyby ktoś pytał. Możesz mi zaufać. Ale tak między nami, jestem z ciebie dumna. Zawsze myślałam, że jesteś jedną z tych nudnych gospodyń domowych, które się nigdy nie zmieniają.

– Co? Myślisz, że jestem *nudna*?

– Już nie.

– Ale myślałaś, że jestem nudna?

– Tak, ale nie w jakiś zły sposób. Po prostu konwencjonalna, no wiesz...

– Wiem. I co jeszcze myślałaś? Nie bój się, że mnie urazisz. Naprawdę chcę to wiedzieć. Poważnie, gdybyś miała mnie komuś opisać, to co byś powiedziała?

– No nie wiem, powiedziałabym, że jesteś niesamowicie miła i życzliwa. I tyle.

– I tyle. Czy tak o mnie myślą?

– Chyba tak. Ale to coś pozytywnego.

– A nie ma we mnie nic negatywnego? Na pewno mam jakieś wady.

– Nie, naprawdę nic nie przychodzi mi do głowy, chyba że... Ale nawet to to nic złego.

– No powiedz, chyba że co?

– Ojej, jeżeli już masz jakąś wadę, to chyba taką, że pozwalasz sobą rządzić.

– Chodzi ci o moją mamę.

Marvaleen skinęła głową.

– I o mnie. Ale, Sookie, to nic złego. Edna Yorba Zorbra mówi, że ludzie dzielą się na przywódców i podwładnych i że tajemnica szczęścia polega na tym, żeby zaakceptować swoją rolę.

– Rozumiem.

– Edna Yorba Zorbra mówi, że ja jestem idealnym połączeniem ucznia i nauczyciela.

– Tak?

– Właśnie. Mówi, że w każdej chwili mogłabym zostać profesjonalną trenerką rozwoju osobistego, gdybym tylko posłuchała bogini w swoim wnętrzu. Ale chciałam ci tylko powiedzieć, że gdybyś ty i... wiesz kto... gdybyście potrzebowali prywatności, to zawsze jest mój domek gościnnie. Klucz jest pod wycieraczką. Możesz korzystać, kiedy zechcesz. W końcu my, ryczące pięćdziesiątki, musimy trzymać się razem.

Sookie zdała sobie sprawę, że nie ma szans jej przekonać, więc powiedziała:

– Dzięki, Marvaleen, może kiedyś skorzystam. W przyszłym tygodniu będę miała gości, parę żeglarzy.

– Żeglarzy?

– Mmm... Bliźniacy.

– Bliźniacy?

– Aha. Wszystko robią razem. – Puściła oko do Marvaleen. – Wiesz, co mam na myśli.

Oszołomiona Marvaleen otworzyła drzwi samochodu i wysiadła. Stała na parkingu jeszcze przez chwilę i wpatrywała się w odjeżdżające auto Sookie. „To dopiero cicha woda” – pomyślała.

Gdy Sookie już się oddaliła, uświadomiła sobie, że nie powinna była mówić tego

o żeglarzach. Postanowiła zadzwonić do Marvaleen po powrocie do domu i przyznać, że to zmyśliła. Ale przynajmniej dowiedziała się, że wszyscy mają ją za nudną i że prawdą jest to, co zawsze podejrzewała. Słyszała o ludziach bez ojczyzny. Ona była kobietą bez osobowości. Nie miała ani krztyny charakteru.

Jak wyrobić sobie charakter po sześćdziesiątce? Nie wiedziała, od czego zacząć. I jak to się stało, że nie ma osobowości? Czy Lenore ją zmiażdżyła? A może taka się już urodziła? Wszystkie jej dzieci miały odrębne osobowości – skąd je wzięły? Zaczęła się zastanawiać, jaka by była, gdyby wychowywali ją Polacy w stanie Wisconsin. Może byłaby dużo bardziej towarzyska, grałaby na akordeonie, tańczyłaby polkę i w ogóle.

Kiedy dotarła do domu, wciąż była podenerwowana tym, że ktoś mógłby posądzać ją o romans. To było takie żenujące. Tak czy inaczej, spotkania w Waffle House stały się niemożliwe. Podniosła słuchawkę i wybrała numer.

– Panie doktorze, czy wie pan, gdzie jest restauracja Ruby Tuesday przy czteropasmówce?

WRĘCZENIE ODZNAK

Avenger Field

Zima 1943 roku była surowa. W Europie trwały zacięte walki i Wuj Sam potrzebował wszelkich zapasów paliwa dla lotnictwa i do pojazdów wojskowych. Po rozmowie z Tatkiem Gertrude jako następna z dziewcząt wstąpiła do WASP.

Munia nie była zachwycona, ale nic nie mogła poradzić, więc 4 maja Gertrude przybyła do Sweetwater w Teksasie z torbami pełnymi chleba i kielbasy domowej roboty oraz dwoma dużymi słoikami z kiszoną kapustą dla siostry. Następnego dnia Willy, Pinks i Gertrude urządziły sobie piknik na łóżku Fritzi. Popijały przywiezione z domu specjały sześcioma butelkami piwa Jax^{*****}, które Gussie Mintz przeszmygłowała z kantyny oficerskiej.

*

Fritzi kończyła już szkolenie i nie mogła się doczekać przydziału. Dziewczęta miały nadzieję, że zostaną skierowane do wojskowych sił powietrznych i zdobędą odznaki pilotów, ale tak się nie stało. W ostatniej chwili Jackie Cochran nakłoniła przedstawicieli domu towarowego Neiman Marcus w Dallas do zaprojektowania specjalnych odznak dla kobiet. Dzień wręczenia odznak był dniem szczególnym. Przyleciało wielu oficerów armii z samego dowództwa z Waszyngtonu i w miasteczku owacyjnie ich powitano. Choć pilotki czuły się zawiedzione, że nie zostaną włączone do wojska, wszystkie z rozbawieniem obserwowały, jak generał Henry „Hap” Arnold przypina odznaki do kobiecych biustów. Był wyraźnie zmieszany, gdy usiłował rozpoznać, co jest piersią, a co nią nie jest. W przypadku kilku kobiet, zwłaszcza Pinks, to rozpoznanie trwało dość długo. Zanim generał skończył, był cały czerwony i spocony. I to bynajmniej nie z powodu upału.

Tego wieczoru przed pójściem do łóżka Fritzi napisała list do brata.

Drogi Winku!

Dostałam Twój ostatni list, ale większa część była zamazana. Ci cenzorzy naprawdę nie próżnują, więc nawet nie wiem, gdzie teraz jesteś i co robisz, ale rozumiem, że to

jakieś ważne informacje. Niewiele wiadomości dociera do nas z Europy, ale wiemy, że nasi chłopcy dają się szwabom we znaki.

Muszę Ci się pochwalić, że dzisiaj dostałam odznakę i przydzielono nam miejsca stacjonowania. Willy i ja jesteśmy zadowolone, bo skierowano nas do Long Beach w Kalifornii. Będziemy transportować samoloty prosto z fabryki do wysyłki przez ocean. Naszą kumpelę Pinks przenieśli piętro wyżej i zostaje tutaj w Avenger Field jako asystentka kapitana Wheelera. Ona już im pokaże, co znaczy być administratorem. Pinks nigdy dotąd nie wspominała, że skończyła prawo. Nawet nie wiedziałam, że prawnikami bywają też kobiety. Dziewczyny z Nowego Jorku są naprawdę bystre. Będzie nam jej brakowało, ale na pewno nie raz wpadniemy do Sweetwater, żeby odwiedzić ją, Gertrude i pozostałe dziewczyny.

Muszę kończyć. Trzymaj się tam, w górze! Kalifornio, nadchodzę!

Fritzi

***** Jax – marka piwa produkowanego w latach 1913–1956 w Jacksonville na Florydzie; było to pierwsze piwo sprzedawane od lat 40. w postaci tzw. sześciopaka.

LONG BEACH, KALIFORNIA

Drogi Billy Boy!

Poleciałam do Palm Springs w Kalifornii i wróciłam do Long Beach. Powietrze przejrzyste jak szkło. Nie wiedziałam, że w Kalifornii jest tyle gór i szybów naftowych. Tak dla zabawy leciałam z jednym skrzydłem nad Meksykiem i z jednym nad Kalifornią. To dopiero była frajda.

Kiedy to wszystko się skończy, chyba przeniosę się na zachód. Billy, to miejsce jest stworzone do latania. Reszta też niczego sobie. Palmy, gwiazdy filmowe, a do tego można zrywać pomarańcze i cytryny prosto z drzew. Wszyscy tu są opaleni i mają najbielsze zęby, jakie kiedykolwiek widziałam. A skoro mowa o gwiazdach filmowych, szłam sobie Hollywood Boulevard do stołówki, kiedy usłyszałam, jak ktoś na mnie trąbi. Obejrzałam się, myśląc, że zobaczę jakiegoś młodzika, a tu widzę blondynkę w okularach przeciwsłonecznych w dużym niebieskim kabriolectic. Podjeżdża do chodnika i mówi: „Cześć, żołnierzu, może cię gdzieś podwieźć?”. Wsiadam i, Billy, niech mnie kule biją, jeśli to nie Ginger Rogers, moja ulubiona aktorka! Mówię więc: „Dzień dobry, ostatnio widziałam panią w kinie w Pulaskim w filmie Kitty Foyle i była tam pani naprawdę świetna”. Ona na to: „Dzięki”, i patrzy na moją odznakę, i wypytuje o to, co robimy. Chociaż jest taka sławna, porozmawiałyśmy sobie całkiem normalnie. Kiedy wysiadłam z jej auta, powiedziałam: „Na razie, Kitty, dzięki za podwiezienie”, a ją to bardzo rozbawiło. To miła babka, ale nie ona jedna okazała mi tu sympatię. Wszyscy tutaj są dla nas tacy życzliwi. Odkąd tu jestem, ani razu nie zapłaciłam za drinka ani za jedzenie. I pełno tu słynnych osobistości. Poszłyśmy z Willy na lunch do Brown Derby, a kiedy poprosiłyśmy o rachunek, kelner powiedział: „Dwaj panowie w rogu już to załatwili”. Spojrzałyśmy w tamtą stronę, a tam siedzieli Bob Hope i Bing Crosby. Potem Bob Hope podszedł do nas, żeby dać nam dwa bilety na swój koncert radiowy i zaprosić nas na kolację do swojego domu w Toluca Lake po audycji. Wszystko odbyło się jak należy. Były tam jego żona i dzieci, a także Martha Ray. Po kolacji zadzwonił dzwonek do drzwi i słowo Ci daję, Willy i ja omal nie padłyśmy trupem. Przyszli Edgar Bergen i Charlie

McCarthy, który od wejścia zawołał: „Podobno są tu piękne pilotki”. W każdym razie było naprawdę miło. Bardzo się starali, żebyśmy się czuły docenione. Zresztą, nie tylko oni. Ludzie robią, co mogą, żebyśmy się czuły jak w domu. Wiem, że to nie ja, tylko mój mundur tak działa, ale i tak jest to przyjemne. Billy, kiedy ta wojna się skończy, musisz tu przyjechać i poszukać pracy jako kaskader w filmach. Poznałyśmy tu kilku gości, którzy się tym zajmują, i mówią, że można sporo zarobić.

Fritzi

PS Godzinę później.

Billy, właśnie przeczytałam ten list. Niech to! Jak jakaś idiotka gładzę ciągle o Hollywood. Kiedy pomyślę o dziewczynach, które zginęły, to aż mi wstyd, że wciąż żyję i tak dobrze się bawię. Ale naprawdę nie wiem, co jeszcze mogłabym robić, i brak mi ich jak cholera.

PENSACOLA, FLORYDA

Fritzi!

Fajnie usłyszeć wieści z Hollywood. Zapamiętam sobie ten pomysł z wyczynami kaskaderskimi w filmach. Brzmi nieźle. Zaczyna mnie kusić osiadły tryb życia, bo robię się już za stary na wędrowanie po kraju z pokazami lotniczymi. Z przerażeniem myślę o tych dzieciakach, które tutaj uczymy. Krótkie szkolenie i już się uważają za panów przestworzy. Co i rusz to rozbijają jakiś samolot, a wielu z nich chciałoby, żebym i ja spadł z nimi. Pisałaś o tym facecie, co kwęka, że musi uczyć kobiety. Chętnie bym się z nim zamienił. Zdecydowanie wolałbym latać z kobietami.

Wiem, jak ciężko jest stracić przyjaciół, ale ciesz się każdą minutą, to rozkaz.

Billy.

LONG BEACH, KALIFORNIA

Drogi Billy!

Twój gołąbek wrócił do Long Beach zmęczony i szczęśliwy. Wspaniale było Cię zobaczyć, nawet jeżeli trwało to tylko dwa dni. Może następnym razem znajdziemy czas na zwiedzanie. Ha, ha. Wątpię. Mówię Ci, Billy, jak Cię tam zobaczyłam stojącego przy bramie, omal nie zemdlałam. Twoja wizyta była tym, czego mi było trzeba. Ale następnym razem uprzedź mnie, żebym zdążyła chociaż się przypudrować. Pewnie wyglądałam okropnie, ale niełatwo jest ładnie wyglądać po dziesięciu godzinach latania. Ty za to prezentujesz się świetnie. Marynarka wojenna wyraźnie Ci służy, a te belki na pagonach jeszcze dodają Ci uroku.

P-38, który odebrałam dzisiaj w Newark, rozpadał się na kawałki, ale przez całą drogę nad pustynią miałam nad sobą gwiazdy błyszczące jak diamenty na granatowym, aksamitnym niebie, a gdy już się zbliżałam do celu, te wszystkie światła Los Angeles, rozciągnięte na przestrzeni mil – co za widok! To naprawdę coś pięknego. Zła pogoda, kiepskie paliwo, od którego silnik się krztusi, problemy techniczne... wszystko bez znaczenia.

Ściskam

Fritzi

RESTAURACJA RUBY TUESDAY

Doktor Shapiro trochę pobłądził po drodze i spóźnił się na spotkanie. A kiedy wreszcie znalazł restaurację i wszedł do środka, ledwie rozpoznał Sookie. Miała na sobie długą blond perukę i duże ciemne okulary.

– To ja – przywitała go. Gdy doktor usiadł i przeprosił za spóźnienie, powiedziała: – Nic się nie stało. To moja wina. Powinam była panu wytłumaczyć, jak tu trafić. – Po odejściu kelnerki Sookie nachyliła się nad stolikiem. – Panie doktorze, na pewno się pan zastanawia, dlaczego poprosiłam o spotkanie tutaj, a nie w Waffle House.

– W zasadzie...

– Nie chciałam o tym mówić przez telefon, bo gdyby to słyszała pańska żona albo ktoś inny...

– Ach tak...

– Chodzi o to... Sytuacja jest dość trudna. Wygląda na to, że ktoś nas zauważył. To takie małe miasteczko. W każdym razie przyjaciółka mojej mamy Pearl Jeff usłyszała plotkę o nas... i przekazała to Lenore, a ona wpadła w szal.

– Tak?

– Wiem, że to brzmi głupio, ale ktoś musiał nas kilka razy widzieć i teraz moja mama myśli, że mam romans z młodszym mężczyzną. Wyobraża pan sobie? I nie tylko mama, ale Marvaleen też. Jej oczywiście to się bardzo spodobało. Ona uważa, że jestem nudna. Tak czy owak, nawet mi zaproponowała swój domek gościnny... na potajemne schadzki, jak rozumiem. Nie chcę, żeby pan się tym martwił. One nie wiedzą, kim pan jest. Interesują się mną. Ale czy to nie najgłupsza rzecz, jaką pan słyszał? Mówiłam im, że to nieprawda, ale mi nie wierzą. I oczywiście od razu powiedziałam o tym Earle'owi.

– Tak?

– Tak. A on uznał, że ta historyjka to najzabawniejsza rzecz, jaką słyszał.

– Naprawdę?

– Och, nie żeby miał coś przeciwko panu. Chodzi o mnie. Ja zawsze byłam raczej zasadnicza w tych sprawach. W przeciwieństwie do Marvaleen, która zawsze była tą

nieprzyzwoitą. W każdym razie Earle mówi, że powinnam pozwolić im tak myśleć. Oczywiście nie wspomniałam mu o bliźniakach żeglarzach, o których powiedziałam Marvaleen, ale wiem, że muszę też myśleć o pańskiej reputacji. Właśnie dlatego mam tę perukę i prosiłam o spotkanie tak daleko.

– Rozumiem.

– Lenore powiedziała, że mam przestać się z panem widywać, bo zniszczę sobie reputację, ale naprawdę nie chcę zarzucić terapii. Ale teraz, jak już pan to wszystko wie, jeżeli uważa pan, że nie powinniśmy tego kontynuować, na pewno zrozumiem.

– Nie, nie chcę rezygnować. Jestem gotów to ciągnąć, o ile pani się zgadza. I sędzę, że to, że w ogóle pani tu dziś przyszła, świadczy o dużym postępie.

– Naprawdę?

– Tak. Nie pozwala pani, by to, co inni myślą lub mogą pomyśleć, przeszkodziło pani w realizacji planów.

– Nawet mimo tej peruki?

– Tak.

Sookie usiadła wygodniej i zastanowiła się nad tym, co usłyszała.

– Może ma pan rację.

– Mam. W pewnych okolicznościach niektórym brak odwagi, by kontynuować terapię.

– Nie dziwię się.

Sookie jechała do domu prawdziwie zadowolona z siebie. Chyba rzeczywiście czyni postępy. Mimo wszystko, tak na wszelki wypadek, na przyszły tydzień umówili się w restauracji motelu przy drodze numer 98.

WOJSKOWA BAZA POWIETRZNA NEW CASTLE

Wilmington, Delaware

Drogi Billy!

Co u Ciebie? Wybacz moje pismo, ale jest trzecia w nocy i siedzę w kibelku w kwaterach dla sanitariuszek, gdzie ulokowano nas na noc. Parę dni temu zajrzałam do Sweetwater, żeby zobaczyć, co u dziewczyn. Gertrude dobrze sobie radzi. Mówi, że dostała list od Sophie, i że Sophie też myśli o przyłączeniu się do nas. Ja jednak mam zamiar jej to wyperswadować. Ona się nie nadaje do takiego awanturniczego życia. Z drugiej strony szkoda, bo to piekielnie dobra pilotka.

Tymczasem nie obijam się. W ciągu pięciu dni dostarczyłam sześć przesyłek, ustanawiając tym samym rekord. Jestem z siebie dumna że ho, ho. Miałam przy tym spory ubaw. Jedna kobieta zapytała mnie, czy jestem z Armii Meksykańskiej. A najlepsze jest to, że ludzie w ogóle nie rozpoznają naszego munduru. Biorą nas za skautki, stewardesy albo wolontariuszki Czerwonego Krzyża. I nie mamy wstępu do większości dobrych restauracji. Kiedy przybyłyśmy do Wilmington spragnione steka z dodatkami, jeden zarozumiały palant mówi do nas: „Nie wpuszczamy kobiet w spodniach”, a Willy na to „A przyjmujecie kopniaka w tyłek?”. Tyle że powiedziała to do nas, a nie do niego. Bo mamy się zachowywać nienagannie, niech to jasna cholera.

W dodatku, któregoś dnia, kiedy kilka naszych musiało lądować w bazie w Georgii, jakiś gorliwy żandarm wojskowy wziął je na muszkę. Ten głupek myślał, że ukradły samolot wojskowy. Kiedy w końcu sprawa się wyjaśniła, powiedział: „Nikt mi nic nie mówił o latających kobietach”. Wygląda na to, że cały czas jesteśmy utrzymywane w sekrecie, nawet przed armią.

Fritzi

LONG BEACH, KALIFORNIA

Droga Sophie!

Doszły mnie słuchy, że ciągle myślisz o wstąpieniu do WASP. Hmm... Wiem, że nie prosiłaś mnie o radę, ale i tak Ci jej udzielę.

A więc po kolei. Nie myśl, że będzie łatwo. Kiedy przybędziesz do Avenger Field, będziesz dzieliła pokój z pięcioma innymi dziewczynami, a na jedną łazienkę będzie was dwanaście. Żadnej prywatności. Będą Cię męczyć do upadłego. Instruktorzy tutaj są surowi i bardzo wymagający, a kiedy skończysz szkolenie i zaczniesz już transportować maszyny, będzie jeszcze gorzej. Wstaje się przed świtem i wyrusza w zimnie, żeby dotrzeć do lotniska i wystartować, jak tylko się rozwidni. Trzeba latać w odkrytej kabinie w śniegu, deszczu albo w takim upale, że przed wylądowaniem jesteś dosłownie usmażona. I nie chcę, żeby to zabrzmiało prostacko, ale te samoloty są zaprojektowane dla mężczyzn i mają wbudowane specjalne rurki, które pomagają im załatwiać fizjologiczną potrzebę. Kiedy jesteś w górze, nie ma sposobu, żeby się wygrzebać z kombinezonu i spadochronu, które ważą koło dwudziestu kilo, i iść do toalety, a podczas lotu, który trwa cztery albo pięć godzin, to może być prawdziwa męka.

Kiedy już dostarczysz samolot, musisz wrócić do bazy na własną rękę. Ponieważ armia nie chce żadnych plotek i skandali związanych z obecnością kobiet, nie pozwalają nam zabrać się z powrotem samolotem wojskowym z facetami, więc musimy albo kogoś wynająć, albo radzić sobie inaczej. To kolejna sprawa, która mnie trapi. Mężczyźni. Przy Twojej urodzie na pewno każdy będzie chciał się z Tobą umówić. Mają nad nami przewagę liczebną, jakieś pięć tysięcy do jednego, i nie wiem, czy sobie z tym poradzisz. Gertrude, jak wiesz, jest duża i silna, a ja mam niewyparzony język, więc potrafimy o siebie zadbać. Inaczej mówiąc, nie sądzę, żeby to było miejsce dla Ciebie. Ty zawsze byłaś delikatna i nawet nie jestem pewna, czy udałoby Ci się przebrnąć przez przygotowanie kondycyjne. Wiem, że chcesz być przydatna, ale jest dużo innych rzeczy, które możesz robić. Zbyt wiele znaczysz dla Muni i Tatki i dla nas wszystkich i gdyby coś Ci się stało, nigdy bym sobie tego nie darowała. Rozumiesz?

Powiedziałam, co miałam do powiedzenia, i uprzedziłam Cię przed najgorszym, ale decyzja należy do Ciebie. Teraz przynajmniej będziesz wiedziała, w co się pakujesz.

Kocham Cię, siostrzyczko,

Fritzi

DECYZJA

Pulaski, Wisconsin

Sophie przeczytała list od Fritzi, ale z każdym dniem, kiedy siedziała w kuchni z ojcem i słuchała z nim wiadomości o wojnie, rosło w niej poczucie, że musi coś zrobić. Wiedziała, że jest na tyle dobrym pilotem, by przynajmniej spróbować dostać się do WASP.

Poza tym, pracując z Fritzi na stacji benzynowej, nasłuchiwała się już przekleństw i miała do czynienia z mężczyznami, którzy czynili jej awanse. Zapewniła matkę, że nic nie zmieni jej decyzji o wstąpieniu do zakonu.

– Ale, Muniu, naprawdę uważam, że mnie potrzebują. Potrafię latać tak samo dobrze jak Gertrude, a ona do nich dołączyła. Jeśli dzięki mnie chociaż jeden mężczyzna będzie mógł brać udział w walkach w Europie, to już będzie coś.

Munia westchnęła.

– Skoro tak sądzisz, to chyba powinnaś to zrobić. To znaczy, że teraz będę zapalała cztery świece zamiast trzech. O Jezuniu, nienawidzę tej wojny. Zabiera mi wszystkie dzieci. Dzięki Bogu Tula nie umie latać, bo ją też bym straciła.

*

Pięć dni później, gdy Sophie Marie przybyła do Sweetwater, na przystanku autobusowym czekała na nią Gertrude, która obiecała Muni, że zaopiekuje się siostrą. Niezmiernie się ucieszyła z tego spotkania, chociaż to oznaczało, iż znowu będzie musiała wstawać wcześniej w niedzielę. Odkąd Gertrude wyjechała z domu, nie zawsze była obecna na niedzielnej mszy, ale teraz chciała świecić przykładem, gdyż po wyjeździe Fritzi to ona była w bazie starszą z sióstr.

LENORE WRACA DO FORMY

Point Clear, Alabama

Choć wielokrotnie proszono ją, by tego nie robiła, Lenore wróciła do zwyczaju oglądania nocnych wiadomości lokalnych.

– To cię tylko denerwuje, mamó – mówiła Sookie.

I oczywiście kilka dni później Lenore zadzwoniła nad ranem do Netty.

– Halo – powiedziała rozespana Netta.

– Tutaj Lenore. Słuchaj, kochana, chcę coś z tobą omówić, zanim zadzwonię do gazety.

Netta spojrzała na zegarek. Była szósta osiemnaście.

– Słucham, Lenore.

– Ten kraj jest w stanie chaosu i nie zanosi się na to, żeby coś miało się zmienić.

– Zgadzam się, ale co można zrobić?

– No właśnie. Wiem bardzo dobrze, co możemy zrobić i gdzie popełniono błąd.

– To świetnie. – Netta powoli wyszła z łóżka, przełączyła Lenore na głośnik i poszła do łazienki.

– Kiedy patrzę wstecz, to widzę wyraźnie, że naszym pierwszym błędem było zniesienie monarchii. Ta cała demokracja po prostu nie działa. A przecież ją testujemy od... ilu to już lat?

– Ponad dwustu! – odkrzyknęła Netta z łazienki.

– To chyba aż nadto jak na próbę, nie sądzisz?

– O tak, aż nadto.

– W tamtych czasach to się wydawało dobrym pomysłem, ale stwierdzam z przykrością, że większość ludzi w tym kraju po prostu nie umie samodzielnie o sobie decydować. O mój Boże, popatrz tylko, kogo właśnie wybrali na burmistrza. Ten człowiek zgubiłby się za pierwszym zakretem, a ma zarządzać całym miastem!

– Tu akurat masz rację – odparła Netta, spuszczając wodę w toalecie.

– Wiem o tym! I coś trzeba zrobić, zanim ten człowiek nas wszystkich zniszczy. Kto chce wydawać tyle pieniędzy na głupie ścieżki rowerowe?

Netta podeszła do szafki nocnej i wyłączyła głośnik.

– Zgadzasz się, Lenore, ale co proponujesz?

– Trzeba zrobić miejsce i dopuścić do władzy kogoś, kto wie, co dla nich najlepsze.

– Brzmi nieźle, ale jak go znaleźć?

– No i tutaj właśnie potrzebuję twojej rady. Nie chcę się chwalić, ale wiesz, że mam ponadprzeciętne zdolności organizacyjne.

– Gdyby tak nie było, nie byłabyś prezeską tych wszystkich klubów.

– Właśnie. Więc myślę o tym, żeby wkroczyć, pominać całe to zamieszanie z wyborami, ogłosić się burmistrzem i sprawa załatwiona.

– Czemu nie. Na pewno nie pogorszyłabyś sytuacji.

– Racja. Trzeba wywalić tych darmozjadów na zbity pysk. Zacząć od małych spraw, na lokalnym szczeblu, a potem postanowić, co dalej. Nie widzę innej możliwości *poza* rządami absolutnymi. I co ty na to?

*

Kilka sekund później Sookie odebrała telefon.

– Cześć, Sookie, tu Netta. Przepraszam, że tak wcześnie, ale twoja mama znowu zaczyna.

– O nie, co zrobiła tym razem?

Netta zachichotała.

– Jeszcze nic, ale mówi, że chce ogłosić rządy absolutne, mianować się burmistrzem i obalić samorząd lokalny.

– O Boże! Mówi poważnie?

– Nie wiem. Może to tylko jej kolejny wyskok, ale na wszelki wypadek może powinnaś ją powstrzymać, zanim zadzwoni do gazety.

– Dzięki, Netto. Przepraszam, że znowu cię niepokoiła.

– To nic takiego. Już się przyzwyczaiłam. Ale wiesz co, Sookie, jakkolwiek głupio by to brzmiało, ona może mieć rację.

*

Sookie ubrała się i natychmiast poszła do domu matki. Zastała Lenore w kuchni.

– A cóż to się stało? Co cię sprowadza o tak wczesnej porze?

– Mamo, przyszedłam, bo nie możesz dzwonić do gazet i powodować nowych kłopotów.

– Kłopotów? O czym ty mówisz?

– Netta do mnie dzwoniła.

– Aha. Ale wiesz, że mam rację.

– Mamo, może i masz rację, ale przypomnę ci jeszcze raz: Earle ma w tym mieście gabinet i nie mogę ci pozwolić, żebyś znowu wsadziła kij w mrowisko. Jeszcze nie spłaciliśmy kosztów ostatniego procesu.

– Ale ktoś musi coś zrobić. Ten człowiek nas wszystkich zrujnuje.

– Dobrze, mamo. Po prostu pozwól, żeby *kto inny* się tym zajął. Proszę, spróbujemy przetrwać Święto Dziękczynienia bez kolejnej afery. Obiecujesz? – Lenore miała cierpienie wymalowane na twarzy. – Proszę, mamo? Dla dobra rodziny?

Lenore westchnęła.

– No dobrze. Obiecuję. Ale wiesz, że wystarczyłaby mi doba, żeby zaprowadzić porządek w radzie miasta.

– Na pewno, ale zostaw wszystko tak, jak jest.

– Dobrze, Sookie. Skoro tak ci zależy na naruszeniu mojej wolności słowa, to muszę zamilknąć. Dodam tylko, że ostatnio stałaś się bardzo wymagająca. Jesteś pewna, że ten lekarz nie dał ci żadnych pigułek?

– Nie, mamo, nie dał mi pigułek. Chociaż bardzo bym chciała, żeby dał.

*

Sookie stała w kuchni, myśląc o tym, co musi zrobić przed Świętem Dziękczynienia. Nigdy nie była szczególnie dobrą kucharką, a jednak przez ostatnie dwadzieścia kilka lat udawało jej się przygotowywać trzy posiłki dziennie i jeszcze karmić wszystkie koty, psy, chomiki i – przez jakiś czas – aligatora. Zawsze się starała, by jedli pożywnie i zdrowo, ale czasami poddawała się i pozwalała rodzinie kupić pizzę. Ostatecznie jak mogła się sprzeciwić, skoro chłopiec z podświetlonym znakiem „Pizza” na samochodzie przywoził jedzenie pod same drzwi? Jej córki też nie były dobrymi kucharkami. Sookie miała jeszcze nadzieję, że Carter znajdzie sobie żonę, która będzie dobrze gotować. Nawet więcej – będzie chciała urządzać Święto Dziękczynienia dla całej rodziny.

To święto zawsze było dla niej stresujące. W tym roku Bunny, żona Bucka, zaprosiła rodzinę do siebie do Karoliny Północnej, ale Lenore stanowczo odmówiła.

– Sookie, ja nawet na kopercie nie lubię pisać słowa „Północ”. Po co miałabym tam jechać?

– Mamo, powiedz, że żartujesz.

Lenore roześmiała się.

– No, może trochę, ale nie jestem pewna.

W każdym razie nie pojechali do Karoliny Północnej.

Tym sposobem Sookie znowu musiała gotować. I jak zwykle Lenore przybędzie tuż przed kolacją piękna i wypoczęta, w jakiejś wytwornej kreacji, zasiądzie przy stole i przez cały czas będzie skupiała na sobie uwagę. To takie irytujące. Sookie jednak obiecała sobie, że w tym roku nie będzie sama robiła farszu do indyka. Zamierzała zamówić nadzienie w Bates House of Turkey, nawet gdyby wszyscy mieli się o tym dowiedzieć. A jeśli Lenore skomentuje to choćby jednym słowem, ona odpowie:

– No cóż, mamo, jeśli farsz ci nie smakuje, to w przyszłym roku możesz przynieść własny.

NEWARK, NEW JERSEY

Drogi Billy!

Dotarliśmy do Newark w poniedziałek wieczorem. Deszcz, deszcz ze śniegiem, zero widoczności i musiałyśmy lądować w Tenafly. Błoto sięgało nam po... wiesz co. Maszyny trochę ucierpiały, ale przynajmniej wylądowałyśmy. Faceci w dwóch samolotach przed nami wywrócili się i jeden uderzył w płot. Au. W każdym razie utknęłyśmy tu na kilka dni. Pinks zadzwoniła do ojca i załatwiła dla nas bilety na spektakl na Broadwayu pod tytułem Oklahoma. Ja cię, Billy, jaka Willy była szczęśliwa! Całą noc glancowała buty.

Pierwszy raz byliśmy na przedstawieniu na Broadwayu i od razu trafił nam się taki spektakl! Willy jest z Oklahomy, więc była bardzo przejęta i za każdym razem, jak tylko padało słowo „Oklahoma”, podrywała się i wołała „I-haa!”. To było naprawdę zabawne. Dobrze, że przy tym nie strzelała. Po spektaklu poszłyśmy za kulisy i poznałyśmy aktorów. Alfred Drake, który grał główną rolę, tylko raz rzucił okiem na wysoką smukłą Willy i od razu się z nią umówił, a ja się do nich przyłączyłam.

Prawdziwy z niego elegant. Poza sceną jest chodzącą reklamą Piątej Alei. Zabrał nas do Sardi's, gdzie chodzą wszystkie grube ryby, i od razu dostaliśmy stolik. Niedługo potem wchodzi George Raft z uwieszoną na ramieniu wysoką seksowną blondyną w złotej sukni. Potem przenieśliśmy się do Rainbow Room i do Copacabana. Co za noc! A następnego dnia poszłyśmy na lodowisko przy Centrum Rockefellera. Ja jeździłam, a Willy się przyglądała. W Wapanucka w Oklahomie nie jeżdżą na łyżwach. Jechaliśmy autobusem i metrem i poszłyśmy na drinka do hotelu Plaza. Oj, brachu, nie wiem, jak Willy wytrzyma na ranczu po tym, jak zobaczyła Nowy Jork. Zakochała się w tym mieście, i to z wzajemnością. Taksówkarze tak się za nią oglądali i trąbili na jej widok, że aż myślałam, że się porozbijają.

Tęsknię,

Fritzi

AVENGER FIELD

Sweetwater, Teksas

Drogi Winku!

Willy i ja wpadłyśmy do Avenger Field i okazuje się, że pomimo moich ostrzeżeń moja najmłodsza siostra Sophie przybyła tu kilka tygodni temu i właśnie przechodzi szkolenie. Nie ucieszyło mnie to, ale Pinks mówi, żeby się nie martwić i że Gertrude i Sophie obie dobrze sobie radzą. Chyba ma rację. Mój mechanik, Elroy, twierdzi, że słyszał, jak inny mechanik mówił: „Te Jurdabralinskie znajdują się na silnikach. Potrafią stwierdzić, co jest nie tak, zanim jeszcze podejdziemy do samolotu”. Widać, że te wszystkie dni spędzone na naprawie samochodów teraz przynoszą owoce. Podobno wszyscy instruktorzy też są pod wrażeniem moich sióstr. Jeden z nich powiedział mi, że Sophie to urodzona pilotka z naturalnym talentem do latania. Miałam ochotę mu odparować, że to ja nauczyłam ją wszystkiego, co umie, ale ten jeden raz Panna Przechwałka się zamknęła. Munia nie dałaby wiary.

Posyłam Ci artykuł z gazety o tym, że cztery osoby z naszej rodziny są pilotami w służbie USA. Munia mówi, że Tatko jest taki dumny, że chyba niedługo pęknie. Ja też!

Nie mam pojęcia, co porabiasz, więc następnym razem powiedz chłopakom z cenzury, żeby zostawili w spokoju chociaż jedną czy dwie linijki. Skończcie już tę wojnę i wracaj do domu, bo muszę wreszcie zobaczyć tę Twoją paskudną facjatę.

Fritzi

PS Gertrude przywiozła ze sobą akordeon i zyskała już sobie popularność w koszarach. Willy z Oklahomy powiedziała mi, że nigdy w życiu nie słyszała polki i że uczy Gertrude melodii country western. Słyszałeś kiedy Back in the Saddle Again ? Ckliwe, że aż strach, ale tego Willy nie powiedziałam.

LONG BEACH, KALIFORNIA

Drogi Billy!

Teraz mogę już o tym opowiedzieć. Wygląda na to, że nowy duży B-29 miał dużo problemów z silnikiem, więc wielu chłopaków się go bało i nie chciało nim latać. Zdaje się, że podpułkownikowi Paulowi Tibbetsowi bardzo zależało, żeby go wprowadzić do użytku, bo w tajemnicy szkolił na nim kilka pilotek z WASP. Potem namalował na boku napis „Lady Bird” i symbol WASP i dziewczyny latały tym samolotem po wszystkich bazach powietrznych w kraju. Kiedy lądowały, widok dwóch kobiet wychodzących z kabiny tak zawstydzał obecnych tam pilotów, że potem już nie wymigiwali się od latania. Nie było już więcej problemów z odmową. Jestem dumna jak paw, bo tak się składa, że te dwie dziewczyny były moimi koleżankami z pokoju. Nie wiem, o co chodzi Tibbetsowi z tym B-29, ale to musi być coś cholernie ważnego.

Kochająca

Fritzi

ŚWIĘTO DZIĘKCZYNIENIA

Point Clear, Alabama

Spotkanie całej rodziny w ten świąteczny dzień było czymś wspaniałym. Sookie z radością powitała wszystkie swoje dzieci i oczywiście Bucka i Bunny. Jednak był to także spory stres. Kiedy Lenore usłyszała, że Carter przyjeżdża z dziewczyną, upierała się, żeby Sookie użyła sreber Simmonsów.

– Nie chcemy, żeby sobie pomyślała, żeśmy sroce spod ogona wypadli.

*

W Święto Dziękczynienia Sookie w napięciu obserwowała, jak Lenore wkłada do ust pierwszy kęs kupnego farszu. Miała na końcu języka przygotowaną odpowiedź, ale Lenore nie dała po sobie poznać, czy w ogóle dostrzega różnicę. Sookie pomyślała, że w przyszłym roku może zamówić całego indyka.

Po obiedzie, kiedy naczynia były już umyte i wszyscy oglądali mecz futbolu, Sookie zapytała Bucka, czy nie przeszedłby się z nią na spacer.

– Chętnie – odparł. – Muszę spalić trochę tego indyka.

Wyszli więc tylnymi drzwiami i po schodach na podwórze. Jak zawsze w Święto Dziękczynienia było ciepło i przyjemnie. Mieszkańcy Point Clear często nosili krótkie rękawki aż do grudnia, a nawet jeszcze dłużej. A ten dzień był jak wymarzony. Poszli na koniec moła i tam usiedli.

Buck nabrał powietrza i uśmiechnął się, patrząc na wodę i duże białe chmury nad zatoką.

– Boże, kocham to miejsce. Pamiętasz, jak dawniej latem spaliśmy na zewnątrz i słuchaliśmy naszego starego radia?

– O tak.

– A te wielkie burze i błyskawice nad Mobile? To robiło wrażenie! Tęsknię za tą zatoką, ale... – westchnął – Bunny kocha Karolinę Północną, i co na to poradzić? Przyjemnie jest tu wrócić raz na jakiś czas. Wiem, że to dla ciebie ciężar gościć nas wszystkich i przygotowywać

tylę jedzenia.

– Nie. Naprawdę. Cieszę się, że przyjechaliście.

Buck nagle obrócił głowę w jej stronę.

– Siostrzyczko, wszystko w porządku? Zdajesz się czymś zmartwiona. Czy Skrzydlata Nike znowu się wdała w jakiś proces?

– Nie, dzięki Bogu. Ale muszę cię o coś zapytać.

– Słucham.

– Hmm. To może być dla ciebie szokiem, a może nie. Nie wiem.

– Co takiego?

– Buck, czy wiedziałeś, że jestem adoptowana?

Zamrugął i znowu spojrzął na jezioro. Chwilę się zastanawiał, zanim odpowiedział.

– Możliwe, że coś o tym słyszałem. A co?

– Czyli wiedziałeś?

– Mmm... Chyba tak.

– Wiedziałeś, że jestem adoptowana?! I to ci nie przeszkadzało?

– Nie. Ani trochę. A czemu?

– Nie czułeś do mnie żalu?

Buck wyglądał na zaskoczonego.

– Żalu? Dobry Boże, nie. Już ci mówiłem, że zawsze się cieszyłem z tego, że dzięki tobie Lenore dawała mi spokój.

– Ale Buck, zawsze byliśmy blisko. Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś?

Westchnął.

– Sam się dowiedziałem, dopiero jak byłem w szkole średniej. I tata kazał ci nie mówić, bo bał się, że to cię zdenerwuje, że będziesz się z tym źle czuła. Więc nie mówiłem. A kiedy się dowiedziałeś?

– Jakieś pięć miesięcy temu. Teksaski Urząd do spraw Zdrowia przysłał list do Lenore i go otworzyłam. W środku były moje papiery adopcyjne.

– Aha. Powiedziałaś Lenore?

– Nie.

– A powiesz?

– Jeszcze nie wiem. Ale dlaczego tata ci powiedział?

– Oj, chyba się martwił. To było po tym, jak miał pierwszy zawał. Dał mi na przechowanie list, który napisał na wypadek, gdyby coś mu się stało. Powiedział, że gdyby

ktos kiedyś w przyszłości pytał o twój akt urodzenia, mam mu dać ten list.

– Czemu ktoś miałby o to pytać?

– Zdaje się, że po adoptowaniu cię Lenore chciała mieć pewność, że to ona będzie wymieniona jako matka w twoim akcie urodzenia, więc ona i ta Meksykanka, która u niej pracowała, pojechały do Meksyku i kupiły tam fałszywkę. Zrobiły to nielegalnie i chyba tata się martwił, że jeśli ktoś to odkryje, Lenore może trafić do więzienia, dlatego napisał oświadczenie, że to on to zrobił.

– No nie.

– Biedak chciał wziąć na siebie jej winę. Tak czy owak, przykro mi, że dowiedziałas się o tym w taki sposób. Ale prawdę mówiąc, zupełnie o tym zapomniałem. Dla mnie zawsze byłaś siostrą i cieszyłem się, że cię mam.

Sookie spojrzała na niego z uśmiechem.

– Buck, jesteś chyba jednym z najmiłszych mężczyzn na świecie.

– Prawdopodobnie masz rację.

Objął ją ramieniem i powoli ruszyli w stronę domu. Nagle Buck wybuchnął śmiechem.

– Wiesz co, zabawne byłoby zobaczyć Skrzydlatą Nike w mamrze.

– Założę się, że po dwóch dniach błagaliby, żebyśmy ją wzięli z powrotem.

– A po trzech dniach przejęłaby tam dowodzenie.

Oboje się roześmiali.

*

Następnego dnia przy śniadaniu Bunny spojrzała na Sookie i powiedziała:

– Muszę przyznać, że Buck potrafi dochować tajemnicy. Przez tyle lat nigdy mi nie powiedział, że nie jesteś jego prawdziwą siostrą.

– Bunny, na miłość boską – odezwał się Buck – przecież ona jest moją prawdziwą siostrą!

– Ojej, wiesz, o co mi chodzi. Sookie, on ani słowem nie wspomniał, że byłaś adoptowana, więc możesz być pewna, że to mu nie robi żadnej różnicy, bo inaczej bym o tym wiedziała. Ale ja wciąż nie mogę w to uwierzyć. To niezwykle, jak bardzo jesteście do siebie podobni, chociaż nie jesteście spokrewnieni.

Buck wyrócił oczami.

– Bunny, daj już spokój.

Bucka denerwowały uwagi żony, ale Sookie nie miała nic przeciwko temu. W końcu to, co mówiła, było prawdą. Nie byli spokrewnieni, ale to nie miało znaczenia. Zawsze będą

bratem i siostrą, bez względu na wszystko.

Byli dwojgiem ludzi, których połączyło na całe życie dziwne zrządzenie losu, zwykły zbieg okoliczności. W 1945 roku Lenore chciała mieć córkę, a Sookie była w zasięgu ręki. Co sprawiło, że znajdowała się tam akurat tego dnia, kiedy Lenore wkroczyła do akcji, pozostawało tajemnicą. Lenore równie dobrze mogła wybrać inną dziewczynkę, a gdyby się zjawiła choćby dzień później, Sookie mogła już zostać adoptowana przez kogoś innego. Widocznie tak miało być.

*

Kilka dni po wyjeździe gości Sookie dostała list od Bucka.

Siostrzyczko,

dzięki za gościnę. Było bardzo przyjemnie, Bunny i ja wciąż czujemy smak tego pysznego indyka. Przesyłam Ci list, który dał mi Tata. Pomyślałem, że powinien być u Ciebie. Może Ci się przydać, gdybyś kiedyś chciała szantażować Skrzydlatą Nike.

Twój kochający brat

Buck

W kopercie znajdowała się kartka zapisana pismem ojca.

Oświadczenie

Niniejszym oświadczam, że ja, Alton Carter Krackeberry, ponoszę całkowitą odpowiedzialność za sfałszowanie aktu urodzenia mojej córki.

A.C. Krackeberry

BROWNSVILLE, TEKSAS

lipiec 1945

Lenore Simmons rzadko cokolwiek się nie udawało, lecz po jedenastu latach małżeństwa wciąż nie mogła zająć w ciąży. Miała nadzieję, że stacjonowanie w Teksasie coś zmieni w tej kwestii, ale tak się nie stało. Teraz, gdy wojna dobiegała już końca, myśl o powrocie do Selmy, gdzie wszyscy znajomi wychowywali dzieci, była dla niej upokarzająca. Kiedy zwierzyła się z tego swojej gospodyni Conchicie, ta podsunęła jej myśl, żeby pojechać do sierocińca w Dallas i zorientować się, jakie są możliwości adopcji. Gdy tylko Altonowi udało się wyrwać z pracy, polecili do Dallas.

Pracownicy domu dziecka byli bardzo mili i pokazali im wiele wojennych dzieci w wieku od roczku do trzech lat. Lenore wszystkie je obejrzała, a pod koniec zwróciła się do kierowniczk:

– Wszystkie one są naprawdę słodkie, ale nie macie nic mniejszego?

– Słucham?

– W zasadzie szukam niemowlęcia, najlepiej dziewczynki.

– A, rozumiem.

– Nie ma tu żadnych młodszych dzieci?

– Nie.

– Ani jednego małego dziecka?

– Właściwie to jest jedna dziewięciomiesięczna dziewczynka, ale mamy zainteresowaną parę, która ma wrócić jutro.

Oczy Lenore zalśniły.

– To znaczy, że jest do wzięcia?

– Chyba można by tak powiedzieć. Tak.

– Ojej, nie możemy chociaż na nią spojrzeć? Tak na wypadek, gdyby ta druga para się nie zdecydowała? Proszę? Czasami ludzie zmieniają zdanie.

– No cóż, chyba mogę ją państwu pokazać, ale proszę pamiętać, że ona jest już jakby

zarezerwowana.

– Rozumiem, prawda, Altonie? Tylko szybciotko rzucimy na nią okiem.

*

Pięć minut później, trzymając dziecko na rękach, Lenore krzyknęła:

– Och, Altonie, spójrz na te oczy! Toż to wykapana ja w jej wieku. I zobacz... – odchyliła kocyk – ma nawet stopy Simmonsów! Gdy Lenore ujrzała dziewczynkę, od razu się w niej zakochała i druga para nie miała żadnych szans.

FAŁSZERSTWO

Brownsville, Teksas

Alton Krackenberry bardzo się zaniepokoił, gdy się dowiedział o sfalszowaniu aktu urodzenia.

– Nie wierzę, że zrobiłaś coś takiego za moimi plecami. Boże, Lenore, coś ty sobie myślała? Jestem oficerem Armii Stanów Zjednoczonych. Za coś takiego mógłbym stanąć przed sądem wojskowym. Potargaj to natychmiast.

Lenore docisnęła świadecko do piersi.

– Nie, nie mogę. Proszę, Altonie, to tylko drobne, nieszkodliwe kłamstewko, a dla Sarah Jane nazwisko Simmonsów będzie tak wiele znaczyło. Pomyśl o *niej*. I wyobraź sobie, jak to biedactwo będzie szło przez życie, mając akt urodzenia z wpisem „ojciec nieznany”. To by na zawsze zniszczyło jej poczucie własnej wartości.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że ten dokument jest nielegalny? Jeżeli ktoś się dowie, że za niego zapłaciłaś, mogą cię aresztować za fałszerstwo.

– Ale nikt się nie dowie. Och, Altonie, pomyśl o przyszłości swojej córki. Zrobiłam to dla niej, nie dla siebie. Jaki przyzwoity chłopak z dobrej rodziny ożeni się z dziewczyną, której ojciec jest nieznany? Nigdy nie mogłaby być członkinią Kappy ani debiutować na salonach, a poza tym która kobieta nie chciałaby być o rok młodsza, gdyby miała taką możliwość?

– Co?

– Chcesz, żeby miała wszystkie możliwe atuty, prawda? Młodej dziewczynie trudno jest odnieść sukces w towarzystwie... a jeszcze dodawać jej takie piętno, i to z powodu czegoś, na co nie ma wpływu? Owszem, może to jest naginanie prawa, ale ten niewielki skrawek papieru będzie dla niej znaczył całkiem inne życie.

– Ależ, Lenore, to kłamstwo...

– Tak, ale to wszystko mogłoby być prawdą. Ona mogłaby być naszą córką. I musisz przyznać, że z każdym dniem jest coraz bardziej podobna do Simmonsów. Nie wierzysz w przeznaczenie? Myślę, że Bóg tak to zaplanował, żeby ona trafiła do nas.

– Lenore, nie mieszaj w to Boga. Chodzi o przestępstwo.

Po długich błaganiach i namowach, które zakończyły się tym, że Lenore rzuciła się na sofę ze szlochem i okrzykiem: „Ty mnie nie kochasz!”, Alton wbrew wszelkiemu rozsądkowi wreszcie się zgodził, ale pod jednym warunkiem.

– Lenore, jeżeli nas złapią, nie mów, że cię nie ostrzegalem.

– Nie będę. – Uśmiechnęła się i otarła łzy. – Nie martw się, Altonie, wezmę na siebie całą odpowiedzialność. Jako jej matka chętnie posiedzę w samotnej więziennej celi, jeśli w ten sposób zapewnię lepszą przyszłość córce. Matczyzna miłość jest zdolna do wielkich poświęceń. – Ostatnie zdanie wypowiedziała, patrząc na siebie w lustro.

*

Dwa miesiące później, kiedy Lenore i Alton wrócili do domu w Alabamie z Sarah Jane, wszyscy zauważali, że dziecko jest nadzwyczaj duże jak na dwumiesięczne niemowlę. Lenore bardzo zależało na tym, by data adopcji stała się oficjalną datą urodzenia dziecka, i dopięła swego za pomocą dość dobrej podróbki aktu urodzenia, kupionej w Meksyku dzięki Conchicie, która miała tam przyjaciela specjalizującego się w takich rzeczach. Lenore chciała mieć jedno dziecko, ale rok później przyszedł na świat Buck, który całkowicie ją zaskoczył. No cóż.

*

Lenore nie miała skrupułów w związku z konfabulowaniem. Jej ojciec i babcia robili dokładnie to samo. Matka Lenore nie zmarła przy porodzie. Prawda była taka, że kiedy Lenore miała pięć lat, jej matka, którą dziewczynka ubóstwiała, wróciła do domu z wycieczki do Nowego Orleanu i oświadczyła swojemu mężowi, że nie znosi jego i Selmy w Alabamie i wyjeżdża na dobre.

Powóz się oddalał, a Lenore biegła za nim, krzycząc do mamy, żeby się zatrzymała. Ta jednak nie odwróciła się, a pojazd nie zwolnił. Lenore nigdy więcej matki nie zobaczyła. Nigdy się nie dowiedziała, dlaczego wyjechała. Może była niezrównoważona albo po prostu nie kochała swoich dzieci na tyle, by z nimi zostać. Tak czy owak, łatwiej było udawać, że to się nigdy nie wydarzyło. Jeśli zaś chodziło o Sookie, to naprawdę była jej córką i Lenore naprawdę rodziła ją przez ponad czterdzieści osiem godzin.

IRLANDCZYK

Scott Field Illinois

1944

Było już późno, gdy Fritzi dotarła do bazy, ale mimo to usiadła i napisała list do Billy'ego, bo nie mogła przestać o nim myśleć.

Drogi Billy!

Wylądowałam w Scott Field kilka godzin temu i w bazie był już tłok. W końcu znalazłam nocleg w kwaterach sanitariuszek, więc szybko do Ciebie piszę, zanim pójdę w kimono. Dzisiaj czuję się wypluta, bo cały dzień leciałam w przeciwnym wietrze i walczyłam z wadliwym licznikiem, w który przez całą drogę musiałam kopać.

Poprzedni wieczór też nie był bez znaczenia. Dość ostro zabalowałam. Będąc w Wilmington, wpadłam na dwie stare kumpele pilotki, Nancy Batson i Teresę James, które jechały do Orlando. Chłopie, dałyśmy tam czadu. Nancy to piękna blondynka z Alabamy, więc nie brakowało nam partnerów do tańca... głównie takich, co chcieli zatańczyć z „Alabamą”. A Jamsie jest z Pittsburgha i nie da sobie w kaszę dmuchać... a do tego ma mocną głowę. Ja też nieźle się trzymałam, dopóki nie poszłyśmy gdzieś, gdzie Jamsie zamówiła jakąś mieszankę ginu z wódką i cytryną.

Potem już niewiele pamiętam. Wróciłam dopiero o czwartej nad ranem, a o szóstej musiałam już lecieć. Ale i tak fajnie było znowu się z nimi spotkać. Oprócz Sophie to dwie z najlepszych pilotek w całej jednostce. Gdybyśmy były w prawdziwym wojsku, nie zdziwiłabym się, gdyby obie zostały generałami. Co ja bym robiła, gdybym nie mogła kląć na oficerów?

Ja

Fritzi pominęła jeden szczegół, a mianowicie, że w jednym z ostatnich odwiedzanych barów natknęła się na tego rudowłosego Irlandczyka Joego O'Connora, którego znała z domu. Był teraz w piechocie morskiej i następnego dnia wypływał na misję. Szczerze

ucieszyła się z tego spotkania. Żałowała tylko, że skończyło się w motelu Pink Cloud. Ale, jak zauważył Irlandczyk, w obecnej sytuacji możliwe, że nigdy więcej się już nie zobaczą.

WOJENNY ROMANS

Long Beach, Kalifornia

Z czasem Fritzi zaczęła transportować P-47, najcięższe myśliwce, jakimi latały kobiety z WASP. Ważył ponad pięć i pół tony, a jego silnik miał moc niemal dwóch i pół tysiąca koni mechanicznych. Był dwukrotnie większy niż brytyjski spitfire. W kokpicie mieścił się tylko jeden pilot, więc pierwszy lot Fritzi odbyła samotnie. Latała już mniejszymi AT-6, ale one miały dużo słabszy silnik o mocy czterystu pięćdziesięciu koni, dlatego ten pierwszy lot P-47 kosztował ją trochę nerwów. Podczas startu siła odrzutu wbiła ją w fotel, lecz Fritzi szybko sprowadziła maszynę do poziomu i przekonała się, że w zasadzie jej pilotowanie jest łatwe. Nasłuchiwała się opowieści mężczyzn o tym, jak trudno lata się P-47, ale dla niej to była czysta przyjemność. Od tej pory P-47 był jej ulubionym samolotem.

W Long Beach i Newark oraz na wszystkich przystankach w bazach powietrznych między nimi Fritzi i Willy poznały wielu sympatycznych mężczyzn. Na ogół ci, z którymi się spotykały i tańczyły, byli kierowani za granicę. Niektórzy traktowali tę znajomość bardzo poważnie, lecz Willy była zaręczona z chłopcem z rodzinnej miejscowości, który służył w wojsku w randze kapitana, a Fritzi postanowiła sobie, że już nigdy więcej nie powtórzy się sytuacja z motelu Pink Cloud. Mimo to nie mogły się opędzić od zalotników. Do Stanów docierały wieści, że wiele bomb zrzuconych na Niemcy miało na sobie napis „Willy” albo „Fritzi”.

Wydaje się, że tego roku powietrze było przesycone miłością, nawet w Pulaskim. Kiedy następnym razem Fritzi wylądowała w Long Beach, czekały na nią cztery listy: trzy od Tuli i jeden od Muni.

LONG BEACH, KALIFORNIA

Drogi Billy!

Co u Ciebie? Przepraszam, że ostatnio niewiele pisałam, ale nie było czasu. Potem mieliśmy w domu mały kryzys miłosny, w który zostałam wciągnięta. To była delikatna sprawa, która mogła się zakończyć wielkim nieszczęściem.

Kilka miesięcy temu Nard Tanawaski, narzeczony Gertrude, wrócił do domu na urlop tak bardzo stęskniony, że całymi dniami przebywał u nas. Mówią, że nie chcieli, żeby tak się stało, ale on i Tula zakochali się w sobie bez pamięci i chcą się pobrać. Co za galimatias! I wszyscy, nawet Munia, bali się powiedzieć o tym Gertrude. No więc, jak się domyślasz, obarczyli mnie misją poinformowania jej o tym, kiedy następnym razem zatrzymam się w Sweetwater. Bałam się jak cholera przekazać biedaczce złą wiadomość, ale ona przyjęła to nawet ze spokojem. Powiedziała, że już dawno zdała sobie sprawę, że go nie kocha, i myślała o tym, jak w łagodny sposób z nim zerwać, a jeśli Tula go chce, to jej to nie przeszkadza. Tak więc wygląda na to, że szwagier mi się nie zmieni, tylko będzie z inną siostrą.

Uff! Cieszę się, że to już załatwione, a skoro mowa o miłości, to zdaje się, że Sophie zakochała się w jakimś angielskim pilocie. To dla mnie prawdziwe zaskoczenie. Nie wiedziałam, że w ogóle interesują ją faceci. Ale co tam, zobaczymy. Na razie nie mówię o tym Muni.

Jestem trochę zmęczona, więc kończę. Muszę się położyć. Hughes Aircraft miał zaległości i teraz robię po trzy albo i cztery kursy dziennie z Long Beach do San Francisco. Wiem, że każdy samolot jest kierowany do naszych chłopców na Pacyfiku, więc zwykle zostawiam pilotowi mały liścik z życzeniami powodzenia. Słowo daję, Billy, te samoloty zdają się zlatywać z pasa montażowego co dziesięć minut, ale nie narzekam, bo ich potrzebujemy.

Twoja

Fritzi

JOGA

Point Clear, Alabama

Marvaleen była bardzo rozczarowana, kiedy Sookie powiedziała jej prawdę.

– To znaczy, że to wszystko o żeglarzach też było kłamstwem?

– Tak, a mężczyzna, z którym się co tydzień spotykam, nie jest moim kochankiem.

– W takim razie kto to jest?

– Jeżeli ci powiem, obiecujesz, że zatrzymasz to dla siebie?

– Oczywiście.

– Zaczęłam się widywać z psychiatrą.

– W Waffle House?

– Tak. I w innych miejscach. Nie chodzi o to, że się tego wstydzę, po prostu wolałabym, żeby to się nie rozeszło. A nie da się pójść do jego gabinetu tak, żeby cię nikt nie zauważył. Dlatego zgodził się spotykać ze mną na mieście.

– Och. Ale dlaczego chodzisz do psychiatrii? Kto jak kto, ale ty?

– No wiesz, mam dużo stresów.

– Sprawy z dzieciństwa?

– Właśnie. Sprawy z dzieciństwa.

– Wiesz, Sookie, kiedy zaczęłam korzystać z pomocy Edny Yorby Zorbry, miałam sztywne kolano i wtedy ona mi powiedziała, że czasami ciało przechowuje napięcie z okresu wczesnego dzieciństwa, a najlepszym sposobem uwolnienia tego napięcia jest joga. I naprawdę w moim przypadku to działało cuda.

Po tej rozmowie Marvaleen zaczęła zasypywać Sookie broszurami klubu, do którego chodziła na jogę. Zwykle Sookie je wyrzucała, ale ostatnio czuła pewne napięcie i zaczęła się zastanawiać, czy to rzeczywiście nie pozostałość po traumie z wczesnego dzieciństwa. Bóg jeden wie, że swoje przeżyła.

Zacząło się w bardzo wczesnym wieku. Sookie wciąż dobrze pamiętała, jak Lenore z typowym dla siebie lekceważeniem faktów podjęła się napisania, wyreżyserowania i zagrania

główniej roli w widowisku historycznym pod tytułem *Saga Simmonsów z Selmy*. Sookie miała wtedy siedem lat. Pierwsza scena rozgrywała się na dużej werandzie, gdzie siedziała Lenore (grająca własną babcię) z dwojgiem wnucząt (granych przez Sookie i Bucka) u swoich stóp. Sookie przez całe życie nie mogła zapomnieć tego uczucia przerażenia, którego doznała, gdy w ogromnej sali uniosła się kurtyna. Miała powiedzieć tylko jedno zdanie: „Babciu, sama odparłaś tych wszystkich Jankesów. Co za odwaga!”. Gdy jednak przyszła jej kolej, dopadła ją taka trema, że zaniemówiła. Na szczęście Buck powiedział to za nią. Potem był jeszcze Konkurs Piękności Matek i Córek. To też nie poszło dobrze. Nic dziwnego, że teraz Sookie jest taka sztywna. Pomyślała więc, że może pomysł z jogą nie jest taki zły. Kupiła matę i strój gimnastyczny i zapisała się na jogę dla kobiet.

Następnego dnia rano pełna zapału i energii stawiała się na zajęciach. Dobrze sobie radziła z powitaniem słońca, ale coś musiało pójść nie tak podczas rozciągania bioder, bo po południu, idąc na spotkanie z doktorem Shapiro, z trudem się poruszała.

Doktor Shapiro czekał już na nią w nowym miejscu o nazwie AJ's Steak and Ale House przy trasie numer 78. Zaniepokoił się, gdy zobaczył ją kuśtykającą do stolika.

- Wszystko w porządku?
- O tak. – Usiadła, lekko krzywiąc się z bólu. – Czy kiedyś próbował pan jogi?
- Nie.
- No to jak pan spróbuje, proszę uważać na ćwiczenia rozciągające biodra.
- Dzięki, będę pamiętał.

LONG BEACH, KALIFORNIA

Drogi Winku!

Przepraszam, że nie podziękowałam za wspaniały czajniczek do herbaty, który przysłałeś aż ze starej dobrej Anglii. Pewnie się ucieszysz, że dotarł tutaj w jednym kawałku. Napisałam wcześniej, ale na nic nie mam czasu. Ostatnie miesiące minęły tak szybko, że nawet zapomniałam posłać coś Tatce na urodziny i mam o to do siebie duże pretensje.

Skoro mowa o mijającym czasie, Angie przysłała mi ostatnie zdjęcie małego Winka. Jak to się stało? Na poprzednim, sprzed sześciu miesięcy, był małym bobasem, a teraz to już chłopczyk w spodenkach. Wszyscy bardzo za Tobą tęsknimy. Munia mówi, że Angie wciąż liczy dni do Twojego powrotu. Ja też. Jeśli nam się uda, to już nie powinno potrwać długo. Cały kraj poświęca dla tej wojny wszystko, co ma.

Naprawdę, Winku, żałuj, że nie widzisz, jak ciężko wszyscy pracują w fabrykach bez żadnych przerw, żeby dostarczyć wam jak najwięcej samolotów. Powiedz kumplom, że byliby dumni, widząc, jak cały kraj się jednoczy i każdy robi, co może, żeby ta wojna się skończyła i żebyście cali i zdrowi wrócili do domów.

Cała chwała spada na tych, co noszą mundur, ale ja naprawdę chylę czoła przed wszystkimi, którzy dzień po dniu bez wytchnienia pracują przy taśmie produkcyjnej, robiąc swoje. I nikt nie narzeka. Tatko zawsze mówił, że to najwspanialszy kraj na świecie, i teraz widzę, ile miał racji.

Fritzi

LONG BEACH, KALIFORNIA

Drogi Billy!

Jest już późno, ale chyba dzisiaj nie zasnę. Przeleciałam dziś przez ogromną tęczę. Transportowałam kolejny nowy P-59 do San Francisco. Przez całą drogę było mgliście i szaro, aż w dolinie Santa Ynez, na północ od Santa Barbara, nagle ni stąd, ni zowąd wyszło słońce. Góry pode mną zrobiły się cytrynowożółte, a na wprost rozciągnęła się wielka tęcza. Jak w nią wleciałam, to słowo daję, Billy, wyjrzałam i zobaczyłam, że skrzydła samolotu błyszczą różowo-zielono-niebiesko i ogarnęło mnie takie szczęście, że najchętniej zostałabym tam cały dzień.

Żal mi ludzi, którzy nie latają. Tobie też? Tak czy owak, to naprawdę piękna okolica. Po locie przez tęczę trochę się pokręciłam i widziałam wiatraki, przestraszyłam kilka krów, ale widoki były tego warte. Szkoda tylko, że nie było Cię przy mnie. Ostatnio bardzo często o Tobie myślę, chociaż nie wiem, czy Ty czujesz to samo. To, co wydawało mi się ważne, na przykład sława czy po prostu przyjemne spędzanie czasu, jakoś przestało się tak bardzo liczyć. Dawniej śmiałam się z dziewczyn, które marzyły o zapuszczeniu korzeni i usatkwaniu się. Ale teraz to wcale nie wydaje mi się złym pomysłem. Nie chciałam, żeby to zabrzmiało sentymentalnie. Chyba nadal latam w tej tęczy, a może to przez te przekłete krowy. Tak czy inaczej, jak już chyba zauważyłeś, tęsknię za Tobą.

Fritzi

LONG BEACH, KALIFORNIA

Witaj, Muniu!

U mnie wszystko w porządku. Jak zawsze mam dużo pracy. Dwa dni temu zatrzymałam się w Sweetwater, żeby odwiedzić Sophie i Gertrude, i zdążyłam poczęstować się pysznościami, które przysłałaś z domu. Naprawdę tęsknię za Twoim jedzeniem. Wszystkie dziewczyny z pokoju Sophie i Gertrude zaczęły się koło nich kręcić z nadzieją, że dostaną paczka domowej roboty. Częścią się podzieliłyśmy, a resztę schowałyśmy.

Sophie mówi, żebyś się nie martwiła. Wygląda na to, że złapała tu jakiegoś wirusa. Jest trochę osłabiona i jakiś czas musi odpocząć. Niech to diabli, czemu nie mnie to dopadło – mogłabym się byczyć w łóżku, a inni by mi usługiwali. Ta dziewczyna ma szczęście. Ale mówi, że już niedługo stanie na nogi i wróci do swoich zajęć.

Gertrude pewnie Ci nie powie, że została wybrana do lotów ćwiczebnych w Camp Davis. Będzie tam krążyć nad bazą, żeby żołnierze z ziemi ćwiczyli trafianie w cel. Nie martw się. Nie będą strzelać do niej, tylko do celu, który będzie ciągnęła za sobą. To całkiem niezłe zadanie, do którego wybierane są najlepsze dziewczyny. Pozdrów ode mnie Tatkę. Muszę biec,

Fritzi

PS Nie wiem, czy to przez meksykańskie jedzenie, które jemy tu w Kalifornii, ale pewnie się ucieszysz, że przybieram na wadze. Jeśli nie zwolnię, to wkrótce dorównam Gertrude.

LONG BEACH, KALIFORNIA

Drogi Billy!

Właśnie się dowiedziałam, że będę w Twojej okolicy. Czternastego transportuję liberatora B-24 do Biloxi w Missisipi i będę miała kilka dni wolnych, zanim odbiorę następny samolot i polecę z powrotem. Wiem, że jesteś zajęty, ale muszę się z Tobą zobaczyć. Daj znać.

Fritzi

BUBBA GUMP SHRIMP CO.

Sookie i doktor Shapiro siedzieli na tyłach restauracji Bubba Gump Shrimp Co. Kiedy doktor wszedł i usiadł, Sookie zapytała przepaszająco:

– Doktorze Shapiro, czy to będzie bardzo nieuprzejme z mojej strony, jeśli zamówię coś do jedzenia? Nie wiem, czy można jeść podczas sesji czy nie.

– Ależ proszę bardzo. Niech pani zamawia, co pani chce.

– Dziękuję. Rano tak się zajęłam pracą w ogrodzie, że straciłam poczucie czasu i zupełnie zapomniałam o śniadaniu. Tak mnie to pochłonęło, że nawet nie zdążyłam się przebrać.

Kelnerka przyjmująca zamówienie oświadczyła, że niestety już przestali serwować śniadania.

– Grill jest już wyłączony. Mamy teraz to, co jest w menu w porze lunchu.

Sookie przejrzała kartę. Wiedziała, że specjalnością restauracji są krewetki, ale ona akurat poprzedniego dnia zrobiła krewetki na obiad, więc zamówiła ostrygi, placki kukurydziane, sałatkę coleslaw i smażoną cukinię.

Doktor Shapiro jak zwykle pozostał przy filiżance kawy bezkofeinowej. Jeszcze nie przywykł do kuchni Południa. Ciężko tu było dostać coś, co nie było smażone.

Gdy Sookie otrzymała zamówione jedzenie, zaczęła jeść i opowiadać o swojej rozmowie z Marvaleen na temat bliźniaków żeglarzy.

– Naprawdę, doktorze, nie wiem, co mnie napadło, żeby powiedzieć coś takiego. Nigdy nawet nie chodziłam z żadnym żeglarzem, a co dopiero... – Nagle jej oczy zrobiły się okrągłe i Sookie pobladła. – O Boże... – westchnęła – muszę iść. – Poderwała się i pobiegła do damskiej toalety.

Doktor Shapiro nie miał pojęcia, co się dzieje, a ona nie zdążyła mu nic wyjaśnić. Sookie siedziała zwrócona twarzą do wejścia i nagle zobaczyła przyjaciółkę swojej matki Pearl Jeff wchodzącą do restauracji w towarzystwie grupy kobiet. Pearl Jeff była – obok Lenore – ostatnią osobą na świecie, którą Sookie chciałaby spotkać w tej sytuacji.

Kiedy po upływie kwadransa Sookie nie wracała do stolika, doktor Shapiro zaczął się niepokoić. Widocznie zjadła nieświeżą ostrygę i poważnie się struła. Poczekał jeszcze chwilę,

a potem podszedł do stolika w rogu, przy którym siedziała grupka kobiet.

– Przepraszam – powiedział. – Moja znajoma poszła do toalety i sądzę, że mogło się jej coś stać. Czy któraś z pań mogłaby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku?

– Ależ oczywiście – oświadczyła Pearl Jeff, po czym chwyciła torebkę i udała się w stronę toalet. Na jednych drzwiach widniał napis „Mężczyźni”, a na drugich „Kobiety”. Weszła do tych drugich.

Sookie ukrywała się w kabinie, lecz natychmiast rozpoznała głos Pearl, gdy ta zawołała:

– Halo, czy jest tu ktoś?! – Nie otrzymawszy odpowiedzi, Pearl podeszła do kabiny, w której zobaczyła dwie stopy, i zapukała. – Halo? Jest pani tam? Pani towarzysz martwi się o panią.

Sookie wpadła w panikę. Zupełnie nie wiedziała, co robić, więc tylko splukiwała i splukiwała wodę w sedesie.

*

Kilka minut później Pearl wróciła i zapytała doktora Shapiro:

– Czy pana znajoma miała różowe tenisówki z pomponami?

– Tak, chyba tak – odparł.

– No to owszem, jest wewnątrz, ale sądząc po odgłosach, myślę, że nie wyjdzie szybko.

Teraz nie wiedział, co robić. Nie mógł tak po prostu wyjść, więc siedział tam i czekał.

W końcu, kiedy kobiety przy stoliku w kącie opuściły lokal, podszedł do lady i poprosił kelnerkę, żeby sprawdziła, czy z jego znajomą wszystko w porządku. Po chwili kelnerka podeszła do niego i wręczyła mu notatkę napisaną przez Sookie na bloczku z rachunkami.

Drogi doktorze,

bardzo przepraszam! Wiem, że czas mojej sesji już dobiegł końca, ale wszystko wyjaśnię, kiedy spotkamy się w przyszłym tygodniu. Proszę się nie martwić. Nie strułam się.

Kelnerka poinformowała Sookie, że grupka kobiet już poszła, ale ona bała się wyjść za wcześnie. Pearl i jej przyjaciółki mogły wciąż być na parkingu.

Gdy wreszcie uznała, że niebezpieczeństwo minęło, restauracja była już pusta. Jej lunch zdążył wystygnąć, sesja terapeutyczna przepadła. Sookie usiadła przy stoliku i omal się nie rozplakała. Dotarło do niej, że choćby nie wiadomo jak chciała to zmienić, nie jest w stanie się wyzwolić. Bycie córką Lenore Simmons Krackenberry w małym miasteczku przypominało

życie z chipem wszczepionym pod skórę. Wszędzie może się znaleźć ktoś, kto ją rozpozna. Zawsze współczuła biednej księżniczce Annie z Anglii. Nic dziwnego, że starała się pozostawać w cieniu. Jakże Sookie ją rozumiała.

SMUTNY DZIEŃ

Long Beach, Kalifornia

1944

Był październik, wtorek. Fritzi weszła do koszar i przywitała się z wszystkimi w typowy dla siebie sposób:

– Uszanowanko wszystkim. Wróciłam i z chęcią coś przekąszę. Kto chce... – urwała, widząc, że mało kto podniósł wzrok, a niektóre z dziewcząt wyglądają, jakby płakały. – Co się stało? – Willy wskazała na list leżący na jej łóżku.

Podniosła go i zobaczyła, że został wysłany z kwatery głównej sił powietrznych w Waszyngtonie. Szybko go otworzyła i przeczytała informację, że generał „Hap” Arnold postanowił zakończyć działanie programu WASP 20 grudnia. Fritzi zaniemówiła.

– To jakiś żart?

– Nie, czytaj dalej.

Usiadła na łóżku i przeczytała cały list. „Kiedy byłyście potrzebne, przybyłyście z pomocą i służyłyście w sposób zasługujący na najwyższe uznanie”. Bla, bla, bla. Przeskoczyła na koniec: „Teraz jednak sytuacja się zmieniła i nadszedł czas, gdy wasza dobrowolna służba przestała być potrzebna. Pozostawienie was na służbie oznaczałoby odebranie miejsc naszym młodym mężczyznom, a nie umożliwienie im działań na innych odcinkach. Wiem, że członkinie WASP by tego nie chciały”. Bla, bla, bla. „Moje najszczerze podziękowania i samych szczęśliwych lądowań”. Tego dnia taki sam list otrzymały pilotki z WASP stacjonujące w dziewięćdziesięciu bazach na terenie całego kraju.

Tysiące cywilnych instruktorów latania mogło uniknąć służby w wojsku, póki szkolili pilotów wojskowych. Teraz jednak armia dysponowała już tyloma pilotami, ilu potrzebowała, i w całym kraju zaczęto zamykać szkoły latania. Potrzebni natomiast byli żołnierze piechoty do walk na Pacyfiku i w okupowanej Europie. Nagle instruktorzy lotów cywilnych stali się celem poboru i mogli trafić do oddziałów walczących nie w powietrzu, lecz na lądzie. Równie niespodziewanie wielu z tych instruktorów zapragnęło przejąć zadania pilotek z WASP, by móc pozostać na terenie Stanów.

Wielu z nich musiałyby przejść drogie szkolenie na koszt rządu, by mogli obsługiwać zaawansowane samoloty, jakimi teraz latały kobiety, ale mimo to mężczyźni zdołali się zebrać i zorganizować silną kampanię przeciwko ustawie o uzbrojeniu i utrzymaniu WASP, która właśnie czekała na rozpatrzenie Kongresu.

Opinii publicznej tłumaczono, że służba w lotnictwie nie jest patriotyzmem, jeżeli to odbiera pracę mężczyznom, i sugerowano, że jeśli kobiety chcą służyć w wojsku, to powinny wstąpić do WAC i zostać sanitariuszkami, gdzie ich pomoc jest bardzo potrzebna. Do tych sporów włączyły się VFW^{*****} i Legion Amerykański i w końcu ustawa o zmilitaryzowaniu WASP została odrzucona. To oznaczało, że rodziny tych dziewcząt, które zginęły, nie otrzymają zasiłku pogrzebowego, a po wojnie członkinie WASP, w przeciwieństwie do innych zwolnionych ze służby weteranów, nie będą objęte ustawą o darmowej edukacji dla zdemobilizowanych żołnierzy, ubezpieczeniem medycznym – słowem, nie będą miały żadnych przywilejów.

^{*****} VFW – Veterans of Foreign Wars (Weterani Wojen Zagranicznych).

PENSACOLA, FLORYDA

Fritzi!

Właśnie się dowiedziałem, co się stało. Co za paskudny układ. I jakie głupie posunięcie ze strony armii. Wyszkolenie tych mężczyzn, którzy was zastąpią, będzie kosztować kupę kasy. Arnold mówi, że najbardziej atakowali ci, którzy chcieli uniknąć poboru i walki, i to oni rozpętali tę głośną kampanię pisania listów. Ponoć nawet własnym rodzinom kazali pisać listy do Kongresu. Co za banda maminsynków. Mój kolega Barry, który szkolił kilka kobiet z WASP, mówi, że nic wam, dziewczyny, nie można zarzucić poza tym, że jesteście kobietami. Chciałbym stać na czele tej armii i być w stanie jakoś pomóc, ale, do licha, tak nie jest. W każdym razie wiem, jak paskudnie musicie się teraz czuć, ale do diabła z nimi. Rzuć to wszystko i idź na mocnego drinka. Co tam, pij, ile chcesz, i wiedz, że jestem zawsze po Twojej stronie.

Kocham Cię,

Billy

Pierwszy raz powiedział, że ją kocha, a właśnie wtedy było jej to bardzo potrzebne. To trochę złagodziło cios. I skrupulatnie zastosowała się do jego rady w sprawie drinków.

ŻYCZYMY SZCZĘŚLIWYCH LĄDOWAŃ

7 grudnia 1944 roku Fritzi ostatni raz wylądowała dużym czterosilnikowym bombowcem. Przed odejściem zatrzymała się jeszcze i poklepała samolot.

– Trzymaj się, moja panno. Jesteś naprawdę odlotowa.

20 grudnia wszystkie pilotki z WASP stacjonujące w całym kraju zostały wezwane do Sweetwater i po zdaniu sprzętu – masek gazowych, gogli, skórzanych kombinezonów i butów – rząd poczęstował je obiadem, by powiedzieć: „Jeszcze raz dziękujemy za waszą służbę. Życzymy powodzenia i szczęśliwych lądowań”. Fritzi siedziała tam i myślała: „Też mi podziękowanie”. Po obiedzie, gdy pożegnała się ze wszystkimi, wyszła na zewnątrz i znalazła samolot – zatankowany, gotów do lotu. Uznała, że skoro ją wyrzucają, to rząd jest jej winien przynajmniej darmowy transport do domu.

Wiedziała, że jest pijana, lecz na to nie zważała. Miała na sumieniu coś, czego nigdy sobie nie wybaczy. A teraz, gdy WASP zostały rozwiązane i ona nie była już potrzebna, nie miało dla niej znaczenia, czy przeżyje czy nie. Uruchomiła więc silniki, wystartowała i skierowała się ku Wisconsin. Właściwie nie chciała wracać do domu, ale nie miała gdzie się podziać.

Po drodze zrobiła trzy czy cztery przystanki i tydzień później armia wreszcie znalazła zaginiony samolot zaparkowany przed hangarem w Blesch Field w Green Bay. Fritzi dotarła do domu taksówką. Na lekkim kacu, ale była w domu. Porwanie wojskowego samolotu było poważnym wykroczeniem, lecz nigdy nie wniesiono żadnej skargi.

Odpowiedzialną za inwentaryzację sprzętu w Sweetwater została Pinks, która dobrze rozumiała pobudki Fritzi. Wiedziała, co przeszła jej koleżanka. I Pinks także uważała, że po tym, czego dokonały wszystkie pilotki, rząd powinien był każdą z nich odstawić samolotem do domu.

Po zakończeniu wojny archiwa dotyczące WASP zostały zamknięte i niemal zapomniano, że taka jednostka kiedyś w ogóle istniała.

Dopiero trzydzieści lat później za sterami samolotu wojskowego ponownie zasiadła kobieta.

ZWYCIĘSTWO

Pulaski, Wisconsin

1945

15 sierpnia 1945 roku^{*****} sąsiad wybiegł na ulicę i machając rękami, krzychał: „Koniec wojny!”. Nagle rozdzwoniły się dzwony kościelne, zabrzmiały klaksony, dzieci biegały i pobrzękiwały garnkami. Wszyscy rozumieli, że dla całego świata skończyła się pewna epoka.

Większość ludzi, którzy brali udział w wojnie, po prostu odetchnęła z ulgą. Dla Fritzi to oznaczało, że Winks przeżył i wkrótce na dobre wróci do domu.

Wojna się skończyła, lecz zdążyła zebrać swoje żniwo. Zginęło ponad czterysta tysięcy Amerykanów, a milion siedemset tysięcy odniosło obrażenia różnego rodzaju. Większość nic nie wiedziała o trzydziestu dziewięciu pilotkach z WASP, które zginęły, ani o tym, że od ognia nieprzyjaciela poległo szesnaście sanitariuszek, a sześćdziesiąt siedem zostało wziętych do niewoli, w tym Dottie Frakes przetrzymywana w japońskim obozie przez ponad trzy lata.

Jednak w sierpniu 1945 roku Amerykanie byli w nastroju do świętowania. Ich świat mógł w końcu wrócić na dawne tory. Tytuły prasowe głosiły: „Hurra! Rózia Nitownica wreszcie może znowu być Rózią Panią Domu!”^{*****}.

Rzecz w tym, że wiele kobiet nie chciało już być tylko gospodyniami domowymi. Fritzi liczyła na to, że wraz z Billym pojedzie do Kalifornii szukać pracy, a Gertrude chciała znaleźć dobrą, wysoko płatną posadę w dużej fabryce Ford Motor Company w Willow Run w stanie Michigan. Ale latem 1945 roku Kaiser-Frazer Corporation przejęła tę fabrykę i zaczęła wprowadzać powojenne zmiany, w których nie uwzględniono miejsca dla kobiet. Najlepsze stanowiska czekały na powracających żołnierzy. Wink wrócił do domu i ponownie otworzył stację benzynową, a Angie z radością weszła ponownie w rolę żony i matki. Jednak Gertrude chciała pracować zawodowo. Szukała zajęć, w których mogłaby wykorzystać umiejętność latania, lecz szybko się przekonała, że dla kobiet jedyną możliwością pracy w awiacji daje zawód stewardesy. Gdy próbowała się zatrudnić w tym charakterze, powiedziano jej, że jest za gruba, więc ostatecznie skończyła jako nauczycielka gry na akordeonie w szkole Świętej Marii.

***** Dzień zwycięstwa nad Japonią.

***** Nawiązanie do plakatów z okresu wojny, przedstawiających „Rosie Riveter”, czyli kobietę pracującą w fabryce pod nieobecność mężczyzn.

SOOKIE MA CHANDRĘ

Sookie nadal raz w tygodniu widywała się z doktorem Shapiro, chociaż wyczerpali już prawie wszystkie możliwe miejsca spotkań. Mimo tego całego zamieszania ze zmienianiem restauracji czuła, że sesje przynoszą jej dużo dobrego. Jednocześnie odkrywała, że niełatwo jest badać samą siebie. Podobno prawda człowieka wyzwala, ale z drugiej strony prawda potrafi też przygnębić. Pewnego dnia obudziła się z lekką chandrą i kiedy Dee Dee wpadła zabrać ją na lunch, wciąż była w koszuli nocnej.

Otworzyła drzwi i powiedziała:

– Ojej, kochanie, wejdź na minutkę. Przepraszam, nie zauważyłam, że już tak późno. Powinnam była do ciebie zadzwonić, bo jakoś dzisiaj nie mam ochoty na ten lunch.

– Czemu?

– Oj, sama nie wiem. Mam kiepski nastrój. Nie pogniewasz się?

– Nie, jasne że nie. Ale o co chodzi? Źle się czujesz?

Sookie usiadła i pokręciła głową.

– Nie, nie czuję się źle.

– No to co się dzieje?

– Nie chcę ci sprawiać kłopotu, kochanie. To nic takiego. Po prostu ostatnio za dużo myślę, to wszystko.

– O czym tak myślisz?

– O różnych rzeczach. O swoim życiu, takie tam...

– Co o twoim życiu?

– Czasem myślę, że twoja babcia cały czas miała co do mnie rację. Miałam dwie niezwykle matki, jedna była bohaterką i latała samolotami. A ja sama jestem taką miernotą zupełnie pozbawioną odwagi.

Dee Dee wpatrywała się w nią z niedowierzaniem.

– Co? Chyba żartujesz! Jesteś naszą bohaterką. Nie wiesz o tym? Jesteś najlepszą matką na świecie. I masz przecież mnóstwo odwagi.

– Ja?

– Tak, ty. Pamiętasz, jak dog taty spadł z pomostu? Nie pływasz najlepiej, ale wskoczyłaś do zatoki, żeby go wyciągnąć. Nie pamiętasz tego?

– Pamiętam, ale zrobiłam to dlatego, że wasz ojciec tak kochał tego głupiego psa.

– A jak pojechaliśmy do Disney Worldu i bałaś się jak diabli, a mimo to wsiadłaś na roller coaster, żeby się z nami przejechać?

– Tak, to pamiętam. I drugi raz bym tego nie zrobiła.

– Ale raz zrobiłaś. To chyba coś, prawda? I choćbyś nie wiem co mówiła, to naprawdę trzeba mieć dużo odwagi, żeby wychować czworo dzieci, być przy nich i patrzeć, jak popełniają błędy. Spójrz na mnie. Ja dwa razy wyszłam za mąż za nieodpowiedniego mężczyznę, a ty nigdy nie dałaś mi odczuć, że to ci się nie podoba, i ani słowem mnie nie skrytykowałaś. A gdy cię potrzebowałam, zawsze mogłam na ciebie liczyć. Dlatego nie pozwolę ci myśleć, że jesteś miernotą. Nie możesz chyba bardziej się mylić. A teraz nie zmuszaj mnie, żebym dała ci klapsa, tylko wstawaj i ubieraj się, bo idziemy na lunch. Słyszysz? Świat wzywa!

Sookie uśmiechnęła się, patrząc na córkę. Uświadomiła sobie nagle, że jej mała dziewczynka, ta, o którą zawsze najbardziej się martwiła, nie wiecieć kiedy dorosła.

Podniosła się i zrobiła to, co kazała Dee Dee. Gdy ubierała się na górze, nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Choć Dee Dee nie pochodziła z rodu Simmonsów, była nieodrodną wnuczką Lenore. Poszły na lunch i świetnie się bawiły.

WIELKI DZIEŃ LENORE

Point Clear, Alabama

styczeń 2006

Zbliżały się urodziny Lenore, należało więc rozpocząć przygotowania. Lenore zawsze miała długą listę wymagań związanych ze świętowaniem tego dnia.

Sookie wzięła notes i poszła do domu matki. Angel powiedziała jej, że Lenore siedzi w małym saloniku obok sypialni. Gdy Sookie weszła do środka, zastała matkę w pełni umalowaną, ale jeszcze w koszuli nocnej w kwiatki, siedzącą przy biurku z posepną miną.

– Cześć, co porabiasz? Przyszłam się dowiedzieć, co chciałabyś w tym roku robić w urodziny.

– Nic. Zupełnie nic. Jak będziesz w moim wieku, zobaczysz sama, że nie ma czego świętować.

– Co się stało?

– Och, jestem taka przygnębiona.

– Czym?

– Ech, Sookie, to okropne być starym. Zajrzyj tylko do mojego notesu z telefonami, a zobaczysz, że prawie wszyscy moi znajomi nie żyją. Nie został już nikt, kto pamięta mnie młodą. Nie mam nikogo, z kim mogłabym wspominać. Gdyby nie ty i Buck, w ogóle nikt by mnie nie pamiętał. Odchodzę w przeszłość. To straszne, kiedy nie ma się przed sobą przyszłości ani niczego, na co by się czekało. Dawniej myślałam, że kiedy ty i Buck dorośniesz, zostanę aktorką, ale wtedy wasz tata zachorował, a ja miałam tyle zobowiązań klubowych i chyba nie przypuszczałam, że czas płynie tak szybko. A kiedy tata zmarł, było już za późno. Mogłabym napisać książkę. Zatyłowałabym ją *Niespełnione nadzieje* albo *Czego w życiu nie zrobiłam*. A tyle rzeczy mogłam zrobić. Zawsze byłam dobra we wszystkim, do czego się tylko zabrałam, wiesz przecież.

– Tak, to prawda. Mogłaś zrobić wszystko i to lepiej niż ktokolwiek inny. Ale wiesz co, mamo? Zawsze się zastanawiałam, czy to cię uszczęśliwiało?

– Co?

– Czy czułaś się szczęśliwa?

– Oj, Sookie, czemu zadajesz takie głupie pytania? Muszę przyznać, że wolałam cię, kiedy byłaś zajęta wychowywaniem dzieci. Teraz tylko siedzisz i rozmyślasz, a to myślenie nie wychodzi ci na dobre.

– Dziękuję.

– No cóż, tylko matka powie ci prawdę. Wiesz, że mam rację.

– Dobrze, mam. Masz rację. Ale co chcesz zrobić ze swoimi urodzinami w tym roku?

– Chyba ze względu na dzieci muszę urządzić jakąś uroczystość. To dla nich takie ważne, a kto wie, w przyszłym roku może mnie tu już nie być, więc chyba powinniśmy coś zorganizować.

Sookie westchnęła.

– Ile osób?

– Nie więcej niż trzydzieści. W tym roku nie mam do tego głowy.

– Dobrze.

– A jeżeli pojedziemy do Lakewood, nie daj im się namówić na mniejszą salę.

– Dobrze.

To znaczyło, że chce jechać do Lakewood i wynająć dużą salę. A znając Lenore, można było przewidzieć, że w miarę zbliżania się dnia urodzin, będzie zwiększała liczbę osób.

Ale taka była Lenore. Jej urodziny były dla niej wielkim wydarzeniem i zakładała, że dla wszystkich w miasteczku także.

Po powrocie do domu Sookie pomyślała o własnych urodzinach. Jej prawdziwych urodzinach, w październiku, które nadeszły i minęły niespostrzeżenie. Myślała o kobiecie wymienionej w akcie urodzenia. Dziwna była świadomość, że gdzieś tam ktoś, kogo nigdy nie poznała, mógł wspominać ten dzień.

POZNAJMY SIĘ BLIŻEJ

Point Clear, Alabama

Sookie zawsze się martwiła, że ona i Dee Dee nie są ze sobą tak blisko, jak by chciała, lecz teraz Dee Dee zaczęła do niej dzwonić i prawie co tydzień zapraszać ją na lunch. Przyjemnie było coraz lepiej poznawać swoją córkę.

Któregoś popołudnia siedziały w kawiarnianym ogródku, kiedy Dee Dee powiedziała:

– Och, mamó, czy już ci mówiłam, że w końcu dostałam herb rodzinny Poole'ów?

– Nie. I co, podoba ci się?

– O tak. Chyba złoty kolor bardziej mi odpowiada niż czerwony.

– Dobrze. – Sookie upiła łyk mrożonej herbaty i powiedziała: – Wiesz, Dee Dee, właśnie coś do mnie dotarło.

– Co?

– Pomyśl tylko, ty masz w sobie krew Poole'ów, a ja zaledwie wyszłam za Poole'a, więc ty jesteś dla taty bliższą rodziną niż ja, bo jesteś z nim spokrewniona. I nikt z nas nie jest spokrewniony z Simmonsami. Czy to nie dziwne? No wiesz, chodzi mi o to, ile znaczy genetyka, a ile środowisko? I czemu jestem taka, jaka jestem?

– Ojej, mamó, kogo to obchodzi? Na pewno nie nas. Jedyne, co się liczy, to to, kim teraz jesteś. Zresztą to jest Ameryka i możesz zostać, kim zechcesz. Możesz nawet zmienić nazwisko, jeśli tak ci się zachce, i nie być już Simmons czy Jurdabralinski. Możesz być kimkolwiek zechcesz.

Sookie uśmiechnęła się.

– Mogę być Queen Latifah?

– Nie – Dee Dee się roześmiała – ale możesz się nazywać Lucielle Flypaper albo Tiddy McGee, jeśli będziesz miała ochotę.

– Wiem, że żartujesz, ale wiesz co, to mogłoby być zabawne być kimś innym, dla odmiany. „Sookie” brzmi chyba zbyt dziecinnie jak na sześćdziesięcioletnią kobietę, nie sądzisz? – Zjadła kęs sałatki i dodała: – Virginia Meadwood.

– Co?

– Od tej pory chcę się nazywać Virginia Meadwood.

– Dobrze.

– Myślisz, że jestem za stara, żeby zaczynać wszystko od nowa?

– Nie, mam. Sześćdziesiąt jeden lat to jeszcze młody wiek.

– Chciałabym móc zacząć od nowa. Gdybym miała taką szansę, tyle rzeczy zrobiłabym inaczej.

– Tak? A co byś zmieniła?

– Nie przejmowałabym się tyloma rzeczami i bardziej sprzeciwiałabym się babci, oczywiście. Ale z kolei gdybym była kimś innym, może nie należałabym do Kappy i nie wyszłabym za twojego ojca. Miałabyś zupełnie innego ojca albo w ogóle byś się nie urodziła, albo miałabym czworo zupełnie innych dzieci. Nawet nie umiem sobie tego wyobrazić. Mój umysł nie ogarnia tych wszystkich „gdyby” i rozważań o tym, dlaczego stało się tak, a nie inaczej, i czy tak właśnie miało być czy życie jest tylko zbiegiem przypadków.

– To jest właśnie tajemnica, prawda? Mam, jeśli zechcesz zostać kimś innym, możesz liczyć na nasze wsparcie, ale rozmawialiśmy o tym trochę i naprawdę jesteśmy zadowoleni, że wyszłaś za tatę. Podziwiamy cię za to, że masz tyle cierpliwości do nas i do babci.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Nie jesteś tym, za kogo się uważasz, mam. Poważnie.

Sookie już to słyszała.

– Jak to?

– To prawda, że babcia jest ekstrawagancka, ekscentryczna i tak dalej, ale jest przy tym trochę powierzchowna. Myślisz, że się nie liczysz, ale tak nie jest. Ty masz serce. Jesteś prawdziwym czującym człowiekiem.

Te słowa z ust córki oszołomiły Sookie. Poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

– Dziękuję, kochanie. To wiele dla mnie znaczy.

*

Po południu Sookie zadzwoniła do Deny.

– Mówię ci, Dena, kiedy się dożyje takiej chwili, że dzieci zaczynają patrzeć na ciebie innymi oczami, a ty już widzisz w nich nie swoje dzieci, ale po prostu ludzi, to dochodzi się do wniosku, że warto się starzeć nawet pomimo łupania w stawach i zmarszczek.

PRZESYŁKA DLA ALICE

Point Clear, Alabama

Listonosz zapukał do drzwi w tej samej chwili, gdy Lenore wchodziła na schody z torbą orzechów pekanowych, które kupiła dla córki. Gdy Sookie otworzyła drzwi, ujrzała ich oboje i zawołała:

- O, dzień dobry!
- Dzień dobry – powiedział Pete. – Znowu mam przesyłkę dla Alice Finch.
- Dziękuję, Pete. Odbiorę...
- Jest tu już dość długo. Widocznie jej się podoba.
- Tak. Dziękuję, Pete – odparła Sookie. – Miłego dnia.

Lenore weszła do domu i od razu zapytała:

- Kim jest Alice Finch?
- Znajomą.
- Jaką znajomą?
- Nie znasz jej, mamó.
- Jak to możliwe?
- Nie wiem.
- Znam wszystkich, którzy się tu wprowadzili. Nigdy nie słyszałam o żadnej Alice Finch.
- To przyjaciółka Marvaleen.
- Aha, no to nic dziwnego. A dlaczego odbierasz jej pocztę?
- Ojej, mamó, czy musisz wszystko wiedzieć?
- Tak, muszę. Tu są twoje pekany.
- Dziękuję.
- Nie zostało ci trochę kawy? Muszę się napić. Conchita robi najsłabszą kawę na świecie.
- Nie zostało, ale mogę ci zaparzyć. Mówiłam ci już, że rozmawiałam z Carterem?
- Nie.

- Ma nową dziewczynę, ale mówi, że to nic poważnego.
- No, ta ostatnia nie bardzo mi się podobała. Była zbyt głośna i agresywna jak na mój gust.

*

Choć Sookie zachowywała się spokojnie i uprzejmie, następne półtorej godziny było dla niej prawdziwą torturą. Nie mogła się doczekać, aż matka wyjdzie, i kiedy wreszcie drzwi się za nią zamknęły, niecierpliwie rozdarła paczkę.

Droga Alice,

oto kilka artykułów i inne informacje, do których udało mi się dotrzeć. Niektóre zdjęcia trochę wyblakły, ale pomyślałam, że zechcesz je obejrzeć. Wyślę więcej, jak jeszcze coś znajdę.

Otworzyła teczkę i zobaczyła wycinek z gazety „Pulaski News” z 1939 roku ze zdjęciem szczupłej młodej kobiety w bryczesach, skórzanych butach i białej koszuli, stojącej przed samolotem z rękami w kieszeniach.

Sookie zdawała sobie sprawę, że to szczególny moment w jej życiu. Pierwszy raz spoglądała na zdjęcie swojej prawdziwej matki. Ta ładna uśmiechająca się do obiektywu ciemnowłosa dziewczyna nie mogła mieć więcej niż siedemnaście czy osiemnaście lat, ale wyglądała na pełną wiary w siebie. Pod zdjęciem widniał nagłówek:

*PANNA JURDABRALINSKI Z MIASTECZKA PULASKI
ZOSTAŁA PIERWSZĄ PILOTKĄ W STANIE WISCONSIN*

Panna Fritzi Jurdabralinski, nasza Amelia Earhart z Pulaskiego, będzie występować ze słynnym Latającym Cyrkiem Billy’ego Bevinsa.

Następnie Sookie wzięła do ręki inny wycinek, tym razem z „Green Bay Journal” z 1943 roku ze zdjęciem Fritzi.

SIOSTRA DOŁĄCZA DO BRATA, BY LATAĆ DLA USA

Panna Fritzi Jurdabralinski, licencjonowany pilot, dołączyła do grupy kobiet, które zaoferowały swoje usługi rządowi Stanów Zjednoczonych. Teraz uda się do Houston w Teksasie na szkolenie. „Bardzo się cieszę i liczę na to, że kiedy kobiety zastąpią

*mężczyzn przy transportowaniu samolotów na terenie kraju, wojna szybciej się skończy”.
Fritzi jest córką państwa Jurdabralinskich z Pulaskiego w Wisconsin.*

Sookie wpatrywała się w czarującą dziewczynę na fotografiach. Podobała jej się ta twarz i energia, która emanowała z całej sylwetki – jakby dziewczyna była gotowa wyruszyć na podbój świata.

Do tej pory Fritzi była tylko imieniem na papierze, a teraz nagle stała się żywą osobą z krwi i kości. Sookie uświadomiła sobie wagę tej chwili. To jest jej matka, która nosiła ją przez dziewięć miesięcy. Ta ładna dziewczyna sprowadziła ją na świat. Czy trzymała ją na rękach? A może nawet na nią nie spojrzała? Dlaczego oddała ją obcym ludziom? Czy Sookie zrobiła coś złego? Czy jej matka jej nie kochała? Earle miał rację. Musi spróbować ją odnaleźć. Może nie spodoba się jej to, czego się dowie, ale nie potrafi dalej żyć w niewiedzy. Teraz zmartwiła się, że czekała aż tak długo.

Kiedy Earle wrócił do domu, ucieszył się z jej decyzji.

– Wiem, że to trudne, ale jak mówiłem, jeśli nie spróbujesz, zawsze będziesz żałowała.

Podszedł do komputera i przeszukiwał internet, dopóki nie znalazł adresu mailowego jednej z pilotek WASP. Po kilku dniach otrzymał odpowiedź z numerem telefonu. Pani Fritzi Bevins z Solvang w Kalifornii nadal żyła i miała się dobrze.

*

Sookie siedziała z numerem w ręce.

– Earle, może ty byś zadzwonił?

– Nie, kochanie, to ty musisz z nią porozmawiać, nie ja. Chcesz, żebym wybrał numer?

– Nie.

– Chcesz, żebym tu z tobą został?

– Nie, to by mnie tylko bardziej stresowało.

– Dobrze, poczekam na werandzie.

– A jak ona nie będzie chciała rozmawiać i odłoży słuchawkę?

– Na pewno nie odłoży słuchawki.

– A jeśli zemdleję?

– Nie zemdlejesz.

– Zdaje mi się, że mogę zemdleć.

– No dobrze, zrobimy tak. Przyniosę ci sole trzeźwiące i jeśli poczujesz się niewyraźnie,

powąchasz je kilka razy. Ale wierz mi, nie zemdlejesz. – Po chwili wrócił i podał jej małą buteleczkę. – Dasz radę. I zobaczysz, jaka będziesz zadowolona. Czekam na zewnątrz.

Earle wyszedł, a ona spojrzała na telefon. Tak samo czuła się, gdy w wieku ośmiu lat wdrapała się na trampolinę na basenie i spojrzała w dół. Odwróciła się wtedy i zeszła po drabince na dół, gdzie stały wszystkie dzieciaki, które już się nie mogły doczekać, by skoczyć. To było naprawdę godne pożałowania.

Przebiegła w myślach wszystkie argumenty Earle'a. Nie masz nic do stracenia, wszystko do zyskania. Ona ucieszy się z twojego telefonu, a nawet jeśli nie, to przynajmniej będziesz wiedziała, że próbowałaś.

Zamknęła oczy i wybrała numer 805-555-0726. Kiedy telefon dzwonił, Sookie poczuła suchość w ustach. Może nie będzie w stanie wypowiedzieć słowa. Czy powinna się rozłączyć?

– Halo.

– Halo... Czy rozmawiam z panią Fritzi Bevins?

– Tak, słucham.

– Z Pulaskiego w Wisconsin?

– Tak.

– Mmm... Pani mnie nie zna, ale ostatnio dostałam pewne dokumenty. Z Teksasu. I... i myślę, że mogę być pani córką.

Po drugiej stronie zapadła długa cisza, a potem kobieta powiedziała łagodnym głosem:

– Uszanowanko, dziecino. Od dawna czekałam na ten telefon.

*

Kilka minut później, po odłożeniu słuchawki, Sookie krzyknęła:

– Earle! – Poderwał się i wbiegł do środka, a ona powiedziała: – Właśnie z nią rozmawiałam!

– Żartujesz.

– Nie!

– I jak się zachowała?

– Bardzo miło. Zaprosiła mnie do siebie.

– Ale numer!

– Dasz wiarę? Powiedziała, że bardzo chce mnie poznać.

– Widzisz? I co, nie jesteś z siebie dumna?

– Jestem.

- Pojedziesz?
- Nie wiem. Może.

*

Kilka dni później Sookie zapukała do drzwi Lenore, a ta odrobinę je uchyliła.

- Mamo, to ja. Chciałam tylko ci powiedzieć, że wyjeżdżam na krótko, więc gdybyś jeszcze przed moim wyjazdem mnie potrzebowała, daj znać.
 - Wejdziesz, nie stój w progu. Klimatyzacja się marnuje.
 - Dobrze, ale nie mogę zostać.
 - Wchodź. O co chodzi z tym wyjazdem? Dokąd się wybierasz?
 - Do spa.
 - Spa? A po co?
 - Earl uważa, że trochę przytyłam i że potrzebuję odpoczynku po tych weselach.
 - Gdzie?
 - Chyba w biodrach.
 - Nie, gdzie jest to spa?
 - W Kalifornii.
 - W *Kalifornii*? A co jest złego w spa z hotelem tu w okolicy?
 - Nic. Po prostu potrzebuję odmiany.
 - Według mnie wcale nie jesteś gruba.
 - Mamo, proszę!
 - No dobrze, dobrze. Mam tylko nadzieję, że ten wyjazd to nie jest kolejny zwariowany pomysł Marvaleen.
 - Nie, mamo, ona nie ma z tym nic wspólnego.
 - To dobrze. Ta dziewczyna po prostu ci nie dorównuje ani towarzysko ani na innych polach. Nie zapominaj, że musisz dbać o swoją reputację. Kiedy wracasz?
 - Nie wiem dokładnie, ale gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń do Earle’a.
- Gdy Sookie szła już do wyjścia, Lenore krzyknęła za nią jeszcze:
- Sookie!
 - Tak?
 - Pamiętaj, żeby twoje bagaże do siebie pasowały. – Lenore nic nikomu nie mówiła, ale martwiła się o córkę, bo ostatnio Sookie jakoś nie była sobą.

SPOTKANIE Z MATKĄ

Solvang, Kalifornia

Samochód odebrał Sookie z lotniska w Santa Barbara i wiozł ją około czterdziestu pięciu minut drogą 101 do niewielkiego duńskiego miasteczka Solvang. Oczywiście wszędzie wokół były wiatraki. Sookie nigdy nie była w Europie, ale poczuła się, jakby się tam znalazła. Kierowca przejechał przez miejscowość i skręcił w Alisal Road. Minął trzy przecznice i przed nimi pojawiła się tablica z napisem „RANCHO ALISAL”. Kiedy skręcili w ulicę, Sookie nagle powiedziała:

- Proszę się zatrzymać! Czy mogę przez chwilę tu posiedzieć?
- Oczywiście – odparł szofer i zjechał na pobocze.

Wyjęła buteleczkę soli trzeźwiących i kilka razy zaciągnęła się ich wonią. Wciąż nie miała odwagi wyjść. W tym momencie najchętniej zawróciłaby i poleciała z powrotem do domu. Zebrała się jednak w sobie i oznajmiła:

- W porządku, jestem gotowa.

*

Fritzi powiedziała, że mieszka na osiedlu wozów kempingowych. Nie było to jednak typowe skupisko kamperów, lecz zachwycające miejsce z uroczym małym polem golfowym pośrodku. Znaleźli szukaną ulicę i podjechali do ładnego jasnoniebieskiego mobilnego domku. Kierowca oznajmił:

- To tutaj.

Sookie wysiadła. Z drżącym sercem weszła po trzech stopniach pokrytych zielonym filcem i stanęła przed frontowymi drzwiami. Zanim jednak zdążyła zapukać, otworzyła jej starsza kobieta z farbowanymi na blond włosami ułożonymi w loki i z białymi plastikowymi kolczykami w uszach, ubrana w bawełnianą sukienkę w paski bez rękawów. Chociaż wiele razy powtarzała sobie w myślach, co powie na powitanie, Sookie wydobyła z siebie jedynie nieśmiało:

– Czy pani Bevins?

– A jakże – odparła kobieta z wyraźnym akcentem z Południowego Zachodu. – A ty to pewnie Sarah Jane. Wejdz. Trochę się martwiłam, że mnie nie znajdziesz, ale jak widać, trafiłaś.

– Tak, ktoś mnie podwiózł.

– Sprytnie. Chodźmy do salonu. Pewnie jesteś zmęczona po takiej dalekiej podróży.

Sookie usiadła na brązowej sofie i położyła torebkę obok siebie.

Kobieta zajęła miejsce na wprost niej i powiedziała:

– A więc... udało ci się.

– Tak. – I po chwili niezręcznej ciszy: – Ładnie tu.

– Dzięki. To niewiele, ale w pełni spłacone. Nie chcesz pójść do przybytku?

– Słucham?

– Do ubikacji.

– A nie. Dziękuję. – Sookie nie mogła oderwać od kobiety wzroku. Była starsza niż na fotografiach, ale łatwo było ją rozpoznać. Teraz, widząc ją na żywo, Sookie dostrzegła w jej twarzy wyraźne podobieństwo do własnych rysów.

– A więc... wreszcie się spotkałyśmy... po tylu latach... – powiedziała Fritzi.

– Tak, wreszcie się spotkałyśmy.

– Tak.

– Pierwszy raz jesteś w Kalifornii?

– Tak.

– Napijesz się kawy albo drinka? Mam trochę piwa albo wina i chyba znajdzie się też coś mocniejszego.

– Nie, dziękuję. Ale chętnie napiję się wody, jeśli pani ma.

– Pewnie. Ale nie jest butelkowana. Może być?

– Tak, może. – Sookie rozejrzała się. Pokryte drewnopodobnymi panelami ściany w salonie i holu niemal całkowicie były wypełnione fotografiami. – To naprawdę urocze miejsce, pani Bevins. Droga z Santa Barbara była przepiękna. Te wszystkie góry i drzewa.

– Mów mi Fritzi, kochana, jak wszyscy. Tak, jestem z Wisconsin, ale jak pierwszy raz zobaczyłam Kalifornię, wiedziałam, że to miejsce, w którym zamieszkam. – Podeszła do Sookie ze szklanką wody.

Sookie odebrała ją od Fritzi, lecz ręce tak jej się trzęsły, że rozlała odrobinę na dywan.

– Ojej, przepraszam. Jestem trochę zdenerwowana.

– Nie przejmuj się, dziecko. Obie się denerwujemy. Nie zapominaj, że kiedy widziałam cię ostatnio, nie miałaś włosów ani zębów i ważyłaś niecałe cztery kilo, a teraz... spójrz no na siebie. Dorosła kobieta z czwórką dzieci. I do tego jaka ładna.

– Naprawdę? Och, dziękuję.

– Wiem, że najlepsze lata mam już za sobą, ale wierz mi na słowo, że ja też nie wyglądałam najgorzej.

– O tak, to prawda. Widziałam zdjęcia. Wyglądałaś wspaniale i nadal tak jest. Masz inne włosy, ale i tak bym cię rozpoznała.

– Tak? No, to chyba nieźle się trzymam. A gdzie widziałaś moje zdjęcia?

– W gazetach. Przeczytałam wszystko o tobie i jestem pełna podziwu dla tego, co robiłaś podczas wojny. To wymagało wielkiej odwagi.

– Oj, kochana, ktoś musiał to zrobić i tyle. A ty? Miałaś dobre życie?

– Tak. Jak już wspominałam, mam wspaniałego męża i czworo cudownych dzieci, a ty czworo cudownych wnuków.

– A ludzie, którzy cię adoptowali, byli dla ciebie dobrzy?

– O tak. Nie mogę się skarżyć.

– Żyją jeszcze?

– Tylko matka... to znaczy kobieta, która mnie adoptowała. Ojciec zmarł w 1984 roku.

– Przykro mi. Czy twoja matka wie, że tu jesteś?

– Nie. Nawet nie wie, że dowiedziałam się o adopcji.

– Aha.

– Nie chciałam jej niepokoić. Ona nie jest... jak by to ująć... nie, nie powiedziałam jej. Mam nadzieję, że mój przyjazd to nie kłopot. Rozumiem, że to spotkanie musi być dla pani... dla ciebie bardzo trudne, ale naprawdę chciałam cię zobaczyć i... jakoś dojść do ładu z tą sytuacją. Pewnie się domyślasz, że kiedy dowiedziałam się o wszystkim po tylu latach, było to dla mnie spore zaskoczenie.

– Oczywiście. Na pewno masz do mnie mnóstwo pytań, a więc słucham.

– Tak, mam pytania. Gdzieś tutaj sobie spisałam. – Sookie pogrzebała w torebce. – O, jest. Chyba muszę się dowiedzieć o sprawy zdrowotne. Czy są jakieś problemy genetyczne, którymi powinniśmy się martwić, jakieś choroby serca, cukrzyca albo choroby psychiczne?

– Nie, prawie wszyscy w mojej rodzinie zmarli ze starości. Wszyscy byli odporni na choroby. – Roześmiała się. – Niektórzy nawet za bardzo. Mama i Gertrude na starość trochę się roztyły.

– To by tłumaczyło, skąd moja najstarsza córka Dee Dee zawsze miała skłonność do nadwagi. Więc żadnej demencji ani alzheimera?

– Nie, wszyscy... Munia, Tatko... mieli umysły ostre jak brzytwa aż do samego końca. Tak na marginesie, my, Polacy, jesteśmy na ogół dość zdrowi.

– Dobrze wiedzieć. – Oczywiście delikatną sprawą pozostawało to, kim jest ojciec Sookie. Fritzi wyraźnie nie kwapiła się do udzielenia tej informacji, a Sookie myślała, że takie bezpośrednie pytanie może być niegrzeczne. – Jest tyle rzeczy, nad którymi się zastanawiałam.

– Tak?

– Chyba chciałabym wiedzieć, czy przez te lata myślałaś kiedyś o mnie.

Fritzi skinęła głową.

– Jasne, dziecino. Cały czas. Zawsze się zastanawiałam, co się z tobą dzieje. Jak wyglądasz, czym się zajmujesz. Takie rzeczy.

– A... nie myślałaś o odnalezieniu mnie?

– Nie, nigdy. Uznałam, że tak będzie najlepiej. Prawdę mówiąc, po wojnie miałam trudny okres w życiu. Za dużo piłam.

– O.

– Przywiozłaś zdjęcia dzieci?

– Tak.

Fritzi obejrzała zdjęcia i powiedziała:

– Piękne pociechy. A twój mąż wygląda na sympatycznego gościa.

– O tak. Kazał mi powiedzieć, że z przyjemnością cię pozna, ale uznał, że teraz powinnam przyjechać tu sama. I oczywiście, gdybyś kiedyś potrzebowała dentysty, on z przyjemnością cię przyjmie. Prawdę mówiąc, bardzo chciałam, żeby był tu ze mną. Bałam się przyjechać sama, ale teraz cieszę się, że tak się stało. Czy teraz możemy obejrzeć fotografie twojej... mojej rodziny?

– Jasne. Wszystkie wiszą na ścianach. – Podeszły do zdjęcia czterech sióstr stojących przed stacją benzynową, zrobionego w 1942 roku. Sookie zaskoczyło podobieństwo jej córek do sióstr Jurdabralińskich.

– Nie wyobrażam sobie, jakie ciężkie musiało być prowadzenie stacji benzynowej.

Fritzi przytaknęła.

– Było ciężko, ale też miałyśmy przy tym sporo zabawy. A to jest twój wujek Wink, kiedy był w siłach powietrznych walczących w Anglii.

– Och, jaki podobny do mojego syna Cartera.

– Naprawdę?

– Ma taki sam uśmiech.

Fritzi wskazała na kolejną fotografię.

– A to jest zdjęcie twojej babci stojącej przed naszym domem. Tutaj tego nie widać, ale Munia miała bardzo rude włosy.

– Tak?

– A jakże. Jeszcze bardziej rude niż twoje.

– Czy to jest dom, w którym się wychowałeś?

– Tak jest. Tato wybudował go dla nas w latach dwudziestych. Ale po śmierci Winka Angie sprzedała go jakiejś miłej rodzinie z miasteczka.

– A stacja benzynowa nadal działa?

– Nie, zamknięto ją dawno temu. Zdaje się, że teraz służy za magazyn czy coś takiego, w każdym razie ciągle tam stoi.

Jeszcze jakiś czas oglądały fotografie na ścianach, a potem Fritzi zrobiła kawę i sięgnęła po zdjęcia przywiezione przez Sookie.

– Naprawdę piękny dom. Nad samą wodą.

– O tak. Nasze podwórko wychodzi na zatokę Mobile.

– Jesteście niedaleko Pensacoli i Zatoki Meksykańskiej.

– Tak.

– Znam te okolice. Bardzo ładne. Latałam tam. – Fritzi odłożyła zdjęcia i pokiwała głową.
– Domyślam się, że po tylu latach miłego, spokojnego życia ta wiadomość musiała być dla ciebie wielkim wstrząsem.

– To prawda. Co to był za szok. Poznać swoją matkę, gdy ma się sześćdziesiąt lat to nie jest coś, co zdarza się często.

Fritzi sięgnęła po papierosa, zapaliła go i przez chwilę przyglądała się Sookie, po czym powiedziała:

– A niech to. Wierz mi, że nie chcę ci tego robić, ale mam dla ciebie jeszcze jedną szokującą wiadomość.

– Tak? Co to takiego?

– Nie jestem twoją matką.

Sookie nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Słucham?

– Nie jestem twoją matką.

– Ale... na moim akcie urodzenia jest twoje imię i nazwisko.

– Wiem. Ale mimo to nie jestem twoją matką.

Nagle Sookie zaczęło się kręcić w głowie.

– Hej, dobrze się czujesz? Sarah Jane? – zaniepokoiła się Fritzi.

Sookie zrozumiała, że widocznie na moment straciła świadomość, lecz powiedziała:

– Tak, chyba tak, ale nie rozumiem. Jeżeli nie ty jesteś moją matką, to kto?

– To długa historia. Chyba powinnaś się napić czegoś mocniejszego, nie wyglądasz najlepiej.

Sookie wypila do dna swoją szkocką i na wszelki wypadek wyjęła z torebki sole trzeźwiące. Tak przygotowana czekała z bijącym sercem na to, co opowie Fritzi.

AVENGER FIELD

Sweetwater, Teksas

styczeń 1944

Fritzi wpadła do Sweetwater na kilka dni, żeby się dowiedzieć, co słyhać u Pinks i Gussie Mintz, a przy okazji zajrzeć do swoich sióstr. Pierwszej nocy jej pobytu Sophie wróciła z randki roześmiana, z płonącymi policzkami i błyszczącymi oczami. Fritzi siedziała na krześle i malowała paznokcie u nóg. Spojrzała na siostrę i powiedziała:

– Ktoś tu się dobrze bawił. Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że jesteś nawalona.

Sophie usiadła na wprost niej i uśmiechnęła się.

– Nie, nie miałam w ustach nawet kropli alkoholu. Oj, Fritzi, nigdy nie przypuszczałam, że będę taka szczęśliwa. Kocham cały świat. On jest taki cudowny!

– Kto?

– Jimmy. Jimmy Brunston. Jest pilotem RAF, przyleciał tu ze specjalną misją. Opowiadałam ci o nim.

– A tak, pamiętam.

– W każdym razie zabiera mnie ze sobą w piątek wieczorem i lecimy do Houston na weekend.

– O nie, nie polecisz.

– Oj, Fritzi, wszystko jest, jak należy. On już zarezerwował dla mnie pokój w hotelu Shamrock, a sam będzie nocował u przyjaciół Anglików w mieście. To nasz ostatni wspólny weekend. We wtorek wraca do Anglii. Fritzi, ja *muszę* jechać. Zadał sobie tyle trudu, żeby to wszystko zorganizować, a jest taki cudowny.

– No dobrze, skoro tak za nim szalejesz, jedź, ale uważaj na siebie i nie rób niczego, czego nie powinnaś. Facet powie ci wszystko. Pamiętaj, że oni dzisiaj są, a jutro ich nie ma. Baw się, ale ostrożnie.

– Fritzi, ty nie rozumiesz. Jimmy nie jest taki. To prawdziwy dżentelmen. On mnie naprawdę kocha. Poprosił mnie o rękę i powiedział, że wróci tu po mnie, jak tylko wojna się

skończy.

– A wie, że twoja rodzina prowadziła stację benzynową? On mi wygląda na typowego angielskiego snoba.

– Pewnie, że wie. Wszystko mu opowiedziałam. Uważa, że to wspaniałe. Tak powiedział. Wcale nie jest snobem. Opowiedział mi o swoich rodzicach. To zwyczajni ludzie jak my. Jimmy mówi, że na pewno im się spodobam.

– Dobrze, ale powiedz porucznikowi Brunstonowi, że jeśli zrobi coś, czego nie powinien, będzie miał do czynienia ze mną.

*

Wieczór, kiedy Jimmy i Sophie polecili do Houston, był ciepły, a niebo przejrzyste. Chmury pod nimi wyglądały jak wielkie srebrne kłęбки bawełny. W połowie drogi Jimmy zmienił kanał w radiu i wybrał stację nadającą muzykę big-bandów. Kiedy słuchali orkiestry Glenna Millera grającej *Moonlight Serenade*, Sophie czuła się tak, jak gdyby byli jedynymi ludźmi na świecie, wysoko pośród chmur, zakochanymi po uszy.

*

Sophie nie rozumiała, o co chodzi, gdy kilka miesięcy później listy od Jimmy'ego zaczęły przychodzić coraz rzadziej, aż w końcu zupełnie przestały. To było do niego niepodobne. Wcześniej pisywał do niej codziennie. Coś musiało się stać. Wiedziała, że prawie co noc brał udział w nalotach na Niemcy i że w tych akcjach ginęli piloci. Za każdym razem z zapartym tchem wysłuchiwała raportu z nazwiskami poległych, ale dopiero kiedy trzy kolejne listy wróciły do niej nieotwarte, prawdziwie się przeraziła. Była wprost chora ze zgrzyoty. On nie mógł przecież zginąć.

Następnego dnia poszła do biura Czerwonego Krzyża w Sweetwater i porozmawiała z miłą starszą kobietą panią Gilchrist, której pokazała zwrócone listy. Podała pani Gilchrist numer pułku Jimmy'ego, miejsce urodzenia, nazwiska rodziców, nazwę miejscowości, w której mieszkali, i datę, kiedy ostatnio do niej dzwonił.

Pani Gilchrist wszystko to zapisała i powiedziała:

– Zrobię, co się da, ale niczego nie obiecuję. Łączność z Europą jest teraz bardzo utrudniona. Ale nie martw się. Widziałam już wiele dziewcząt, które przyszły tu, spodziewając się najgorszego, a potem się okazywało, że to tylko wojenne zawirowania. Nie trać więc nadziei. Możliwe, że jutro dostaniesz pięć listów.

Dwa dni później Sophie, siedząc w pokoju, usłyszała, jak ktoś woła z korytarza:

– Sophie Jurdabralinski! Telefon!

Podbiegła z nadzieją, że to Jimmy, ale dziewczyna przekazująca jej słuchawkę skrzywiła się i powiedziała:

– Jakaś kobieta.

– Halo?

– Sophie?

– Tak.

– Tu pani Gilchrist z Czerwonego Krzyża. Czy możesz przyjść do mnie do biura? Mam dobre wiadomości.

– Znalazła pani Jimmy’ego?

– Nie, ale skontaktowaliśmy się z naszym biurem w Londynie i mamy numer telefonu jego rodziców. Zamówiłam rozmowę dla ciebie. Oni na pewno wiedzą, gdzie on jest, i z radością z tobą porozmawiają, więc przyjdź tutaj, jeśli możesz.

Sophie natychmiast udała się do pani Gilchrist. Telefonistka Czerwonego Krzyża połączyła ją i dała znak ręką, by podniosła słuchawkę.

Po kilku sygnałach odebrała jakaś kobieta.

– Halo?

– Czy pani Brunston?

– Tak?

– O, dzień dobry. Nazywam się Sophie Jurdabralinski i dzwonię z Ameryki.

– Dzień dobry.

– Nie wiem, czy on pani o mnie wspominał, ale jestem przyjaciółką pani syna i już dość długo nie mam od niego żadnych wiadomości. Może pani wie, jak mogę się z nim skontaktować.

– A tak, rozumiem, ale obawiam się, że to pomyłka. Linia matki Jamesa została zbombardowana.

– O nie.

– Tak, ale to nic poważnego. Nikt nie został ranny. Jest bezpieczna u przyjaciół w Hampshire. A ja jestem jego żoną. Lada dzień powinien wrócić do domu na krótką przepustkę. Ciii, kochanie... mamusia rozmawia. Przepraszam. Czy mam przekazać jakąś

wiadomość albo numer, pod jakim można się z panią skontaktować? Halo? Jest pani tam?

– Tak. Jestem. Yyy... nie, żadnej wiadomości.

– Przekażę mu, że pani dzwoniła. Jak pani się nazywa? Sallie?

– Nie, Sophie, ale to naprawdę nic ważnego. Dziękuję bardzo.

Po odłożeniu słuchawki siedziała jeszcze chwilę przy biurku i kiedy pani Gilchrist weszła do gabinetu, na widok twarzy dziewczyny założyła, że jej przyjaciel poległ. Nienawidziła tej części swojej pracy.

– Tak bardzo mi przykro. Miałam nadzieję... cóż. Jak ja nie cierpię tej wojny, kochanie! Tylu ludzi zginęło. Czy mogę coś dla ciebie zrobić... zadzwonić do kogoś?

– Nie, dziękuję. – Sophie wróciła do koszar i przez trzy tygodnie do nikogo się nie odezwała. Jednak kiedy Fritzi ponownie przybyła do Sweetwater, Sophie wiedziała, że musi jej powiedzieć.

*

Fritzi przez chwilę milczała, po czym zapytała z westchnieniem:

– Który miesiąc?

– Trzeci.

– Do diabła. Znam parę osób, ale teraz jest już za późno. Czemu nie powiedziałaś mi wcześniej?

– Chyba myślałam, że jeśli mu powiem, to może dostanie urlop i się pobierzemy. Chyba się wstydziłam. Nie wiem, co teraz robić.

– Nie jesteś pierwszą dziewczyną, której się to przydarzyło. Czułam, że ten facet nie ma dobrych zamiarów. – Fritzi zapaliła papierosa, wydmuchnęła dym i powiedziała: – Wiesz, że to nie służy WASP. Musimy dbać o reputację. Kiedy zaczniesz być widać?

– Nie wiem. Chyba za parę miesięcy.

– Te nasze niedopasowane kombinezony akurat w tym przypadku się przydadzą, bo jeszcze długo nikt nic nie zauważy, więc możesz latać. Ale jak tylko uznasz, że już dalej nie pociągniesz, daj mi znać. A wtedy ja już się wszystkim zajmę.

Fritzi poszła do przyjaciółki, która była przełożoną pielęgniarek w szpitalu w bazie. Pielęgniarka Joan Speirs szczerze się ucieszyła na jej widok.

– Fritzi! Jak się masz?!

– Uszanowanko – odparła Fritzi, po czym zamknęła za sobą drzwi i usiadła. – Słuchaj, potrzebuję pomocy.

Rok wcześniej, zanim Don, mąż Joan, wyruszył na front, Fritzi zaryzykowała i przeszmygowała go w samolocie z Grand Rapids do Dallas, gdzie zorganizowała dla zakochanych pokój poza bazą, żeby przed rozstaniem mogli wspólnie spędzić weekend. Miesiąc później Don został zabity. Joan z chęcią zgodziła się wyświadczyć Fritzi przysługę.

Mniej więcej trzy i pół miesiąca później, po wizycie u pielęgniarki Speirs, Sophie dostała oficjalny urlop zdrowotny. Diagnoza: nieznana infekcja wirusowa. Joan Speirs załatwiła jej pobyt w prywatnej klinice w Amarillo, gdzie Sophie urodziła córkę.

Po kilku tygodniach Gussie Mintz znalazła w Sweetwater parę, która była gotowa zająć się dzieckiem, i Sophie szybko wróciła do latania. Jednak każdą wolną sekundę spędzała z niemowlęciem. Mówiła, że po rozwiązaniu WASP wyjedzie i znajdzie sobie pracę. Wiedziała, że nie może wrócić do domu, ale też nie była w stanie porzucić dziecka.

– Ojej, Fritzi – powiedziała do siostry. – Nigdy w życiu nikogo tak nie kochałam.

*

Zaledwie na trzy tygodnie przed odesłaniem pilotek z WASP do domów zdarzył się wypadek. Kolizja w powietrzu. Sophie Marie zginęła na miejscu.

SOLVANG, KALIFORNIA

Fritzi widziała, że Sookie jest wstrząśnięta tymi informacjami.

– Przykro mi, że ci to powiedziałam, ale sądzę, że powinnaś wiedzieć.

– Tak.

– I naprawdę dużo o tobie myślałam. Ale jeśli już mam być szczerą, to chyba powodem tego, że cię nie szukałam, było to, że obawiałam się spojrzeć ci w oczy. Po pierwsze, twoja mama w ogóle nie powinna znaleźć się w Sweetwater, a to, że się tam znalazła, to była moja wina. Owszem, napisałam do niej list i uprzedzałam ją, że może być ciężko, ale przecież mogłam ją powstrzymać, gdybym mocniej naciskała, a tego nie zrobiłam. A trzeba było! W głębi duszy zawsze wiedziałam, że to nie miejsce dla niej, ale chyba jakaś inna część mnie myślała, że fajnie by było, żeby trzy siostry Jurdabralinskie latały dla WASP. To była taka bufonada. Zawsze lubiłam się popisywać. Gdybym myślała o niej, a nie o sobie, może jeszcze by żyła.

W każdym razie, kiedy wróciłam do Sweetwater po pogrzebie twojej mamy, dowiedziałam się, że ta para, która się tobą opiekowała, przenosi się do Ohio, a nie mogłam cię zabrać do domu. Obiecałam Sophie, że nigdy nie powiem rodzicom, co się stało. Dla Muni ona zawsze była tą najgrzeczniejszą z córek. Kurczę, wszyscy myśleliśmy, że zostanie zakonnica, i gdyby Munia się dowiedziała, to by jej złamało serce. No więc nie wiedziałam, co robić. Bóg jeden wie, że nie mogłam się tobą zaopiekować, a chciałam dać ci szansę na dobre życie w prawdziwej rodzinie. Moja kumpela Pinks akurat wtedy obejrzała film pod tytułem *O dom dla dziecka* o kobietach w Teksasie, które prowadziły sierociniec. Pojechała do tego domu i dowiedziała się co i jak. Tam nie było już miejsc, ale dostaliśmy adres podobnego ośrodka. Pinks tam zadzwoniła, a oni powiedzieli, że trzeba przywieźć dziecko jak najszybciej, bo mają tylko jedno miejsce, więc tego samego wieczoru koło drugiej w nocy moja koleżanka Gussie Mintz odebrała cię od opiekunów i przemyciła do bazy. Elroy przygotował samolot i czekał. Ta noc była bardzo zimna, więc razem z Pinks owinęłyśmy cię w skórzany kombinezon lotniczy, a potem obie zawiozłyśmy cię do Houston i wróciłyśmy, zanim ktokolwiek zauważył brak samolotu. Nie będę cię okłamywać. Zamierzałam wejść, zostawić

cię i powiedzieć, że nie wiemy, czyja jesteś, że gdzieś cię znaleźliśmy, ale kiedy nadszedł ten moment, nie umiałam tego zrobić. Byłaś taka maleńka i chyba chciałam, żebyś wiedziała, że byłaś czyjaś, więc w akcie urodzenia wpisałam własne imię i nazwisko. Uznałam, że jeśli w jakiś sposób nasi rodzice kiedyś się o tobie dowiedzą, to nie będzie dla nich taki straszny szok. Ja zawsze byłam tym niesfornym dzieckiem. To dopiero ironia losu, bo ja nigdy nie marzyłam o macierzyństwie. Czy przykro mi było cię zostawiać? I to jak. Ale w tamtej sytuacji nie wiedziałam, co innego mogę zrobić, więc w końcu zrobiłam to, co uważałam za najlepsze. I tyle.

– Rozumiem.

– Wierz mi, dziecko, tak było dla ciebie lepiej. Może, gdyby czasy były inne, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale próbowałam zrobić to, co dla ciebie najlepsze.

– Wierzę, że tak było. I miałam wspaniałe życie. Czyli... właściwie jesteś moją ciocią.

– Tak jest. Nie wiedziałam, czy ci to mówić. Ale kiedy zobaczyłam, jakim jesteś miłym, uroczym dzieckiem... Zaslugujesz na prawdę.

– Rozumiem.

– Twoi adopcyjni rodzice byli dla ciebie dobrzy? Kochałaś ich?

– O tak, bardzo.

– Zabierali cię do kościoła?

– Tak. I tu mam kolejne pytanie. Czy jestem katoliczką?

– Nie. Twoja mama i ja próbowałyśmy cię ochrzcić, ale ten cholerny irlandzki ksiądz powiedział, że tego nie robi bez aktu ślubu. Od tamtej pory sama byłam na bakier z religią, ale teraz, gdy jestem starsza, czasem zaglądam do kościoła. Wiesz, człowiek wybiera to, co mu odpowiada, a resztę zostawia za sobą. Przykro mi, że tyle tego na ciebie spadło. Mogłam pozwolić ci wierzyć, że jestem twoją matką, ale uważam, że musisz się dowiedzieć o swojej prawdziwej matce. Ona nie była taką twardą sztuką jak ja. I założę się, że ty jesteś taka jak ona. Prawdziwa dama.

– Oj, nie wiem. Staram się być damą, cokolwiek to znaczy.

– Właśnie. Jesteś porządną kobietą. To widać. Bardziej przypominasz swoją matkę, niż podejrzewasz. Ona zawsze była skromna i chociaż była taka ładna, nigdy nie zadzierała nosa. Jeżeli w ogóle miała jakąś wadę, to chyba tylko taką, że miała za miękkie serce. Nazywaliśmy ją świętym Franciszkiem z Pulaskiego. Zawsze sprowadzała do domu bezdomne psy i koty, opiekowała się ptakami...

– O, lubiła ptaki?

- Tak. Przez jakiś czas miała starą wronę, która jadała jej z ręki.
- Naprawdę? Ja też lubię ptaki.
- Widzisz? Powinnaś jeszcze coś wiedzieć o swojej matce. Kochała cię.
- Naprawdę?
- O tak. Byłaś całym jej światem i gdyby nie ten wypadek, zatrzymałaby cię. Nigdy, nawet na chwilę, nie przyszło jej do głowy, żeby cię porzucić.
- Naprawdę?
- Oczywiście. Co do tego nie ma wątpliwości. Twoja matka kochała cię nad życie.

*

Sookie zameldowała się w hoteliku Solvang Gardens w pobliżu domu Fritzi. Dostała uroczy mały pokój z niewielką kuchnią i z wyjściem do ogrodu na tyłach. Tej nocy długo patrzyła na zdjęcie Sophie, które dostała od Fritzi. Tak jak mówiła ciotka, Sophie była najładniejsza z sióstr i rzeczywiście sprawiała wrażenie nieśmiałej. Sookie dobrze znała to spojrzenie. Tyle razy widziała je w lustrze.

Fritzi pożyczyła jej też kilka książek o WASP. Sookie siedziała do późna i czytała pełna podziwu dla tych wszystkich kobiet.

Następnego dnia zwróciła książki, mówiąc:

- Dziękuję, że mi je pożyczyłaś. Nie miałam o tym wszystkim pojęcia. Fritzi, wy jesteście legendą.
- To chyba przesada... – odparła Fritzi z uśmiechem.
- Ale to prawda. To musiał być w waszym życiu niezwykły czas.
- O tak. Ale zapytaj pierwszego lepszego weterana drugiej wojny światowej, a powie ci to samo. Staram się nie żyć przeszłością jak niektórzy starzy dziwacy. Teraźniejszość całkiem mi odpowiada. Ale patrząc wstecz, muszę stwierdzić, że tamte lata naprawdę były szczególne. Dawniej nie znośiłam słuchać tego całego gadania, że byliśmy najwspanialszym pokoleniem. Ale teraz, jak pomyślę, jacy byliśmy młodzi... jak przystąpiliśmy do tej wojny niemal z niczym... jak wszyscy potrafili się zjednoczyć... Prawie cała chwała przypadła żołnierzom, ale przecież byli też inni mężczyźni i kobiety pracujący dzień i noc przy budowaniu tych wszystkich czołgów, samolotów i statków, dzięki którym udało się wygrać wojnę. I wiesz co, to dziwne, ale nigdy nawet nam przez myśl nie przeszło, że moglibyśmy przegrać. Teraz, kiedy słyszę o tym wszystkim, co osiągnęliśmy w ciągu zaledwie czterech lat, muszę przyznać, że naprawdę byliśmy wspaniali. Oczywiście wtedy o tym nie wiedzieliśmy. Należałam do

tych, którym się poszczęściło. Udało mi się robić to, co kocham, i do tego służyć krajowi. Nikt z nas nie uważał się za bohatera. Po prostu robiliśmy to co wszyscy, tylko my w WASP robiłyśmy to w powietrzu.

To był wyjątkowy okres. Czas płynął nam jakby w oderwaniu od rzeczywistości. Wiedziałyśmy, że trzeba żyć chwilą, i wszystkie czułyśmy, że żyjemy pełnią życia. Wszystko pobudzało nas bardziej niż w normalnych czasach. Muzyka brzmiała, jakby pisano ją specjalnie dla nas. Miałyśmy wrażenie, że ratujemy świat, i w jakiś sposób tak było. Kto wie, co by było, gdybyśmy nie przystąpili do wojny? Może teraz wszyscy mówilibyśmy po niemiecku albo po japońsku? Kto wie? Ale chociaż było ciężko, za nic bym tego nie zmieniła.

Zdaje się, że byłyśmy w ciągłym ruchu, nie pamiętam, żebym spała dłużej niż dwie-trzy godziny. To dotyczy nas wszystkich. Chyba żyłyśmy adrenaliną. Byłyśmy zbyt podekscytowane, żeby spać. Żadna z nas nie zastanawiała się nad tym, co będzie po wojnie, a potem nagle rozwiązano WASP i wszystko się skończyło. To był trudny moment. Oczywiście nie tylko nas to spotkało. Tego samego doświadczyły wszystkie kobiety, które podczas wojny zajęły miejsce mężczyzn w fabrykach i wszędzie, gdzie były potrzebne. Potem nagle im powiedziano, że mają wracać do swoich rodzin i być szczęśliwymi gospodyniami domowymi. Niektóre cieszyły się z powrotu do dawnego życia, ale wiele kobiet rozsmakowało się w niezależności i chciało nadal pracować. Mówiono im wtedy, że to niepatriotyczne odbierać pracę powracającym z wojny żołnierzom. To był silny cios, zwłaszcza dla pilotek. To, co zrobiłyśmy, żeby udowodnić swoją wartość, nie miało żadnego znaczenia. Wszyscy chcieli, żebyśmy się usunęły i udawały, że to się nigdy nie zdarzyło. Utajnili nawet nasze dokumenty.

Potem, w 1976 roku, kiedy dziesięć kobiet zaczęło brać udział w szkoleniach lotniczych amerykańskich sił powietrznych, w informacji prasowej Pentagonu nazwano je „pierwszymi pilotkami wojskowymi”. Zadzwoniłam wtedy do Jamsie, Nancy i Dinks, a one się wściekły. „Jak to? Przecież to my byłyśmy pierwsze”. Nie chodziło o to, żeby się wyklócać o pierwszeństwo, ale uważałyśmy, że to nie w porządku tak kogoś wymazać z pamięci. Kilka z nas znowu się zebrało i postanowiłyśmy, że nie pozwolimy, żeby te wszystkie nasze koleżanki, które zginęły, wśród nich twoja mama, tak po prostu zostały zapomniane.

*

Następnego dnia Fritzi przyjechała po Sookie do hotelu i zabrała ją na lunch do Alisal River Grill, gdzie często grywała w golfa. Po złożeniu zamówienia Sookie zapytała Fritzi, czy spotkała kiedyś jej prawdziwego ojca.

– Tylko raz przywitaliśmy się w przelocie. Ale wiem, jak się nazywał. James Brunston. Nie znam drugiego imienia.

– Jak wyglądał?

– Bardzo zdrowo, jeśli o to się martwisz.

Sookie uśmiechnęła się.

– Nie. Chodziło mi raczej o wygląd: czy był wysoki, niski...?

– O Jezu, dziecko, to było ponad sześćdziesiąt lat temu, ale pamiętam, że to był wysoki, przystojny blondyn z niebieskimi oczami. Ty masz włosy matki, ale nos chyba masz po nim.

– A jaki był?

– Wydawał się sympatyczny. Oczywiście, później, jak się dowiedziałam, że tak potraktował Sophie, zmieniłam zdanie. Ale wiesz, jak teraz na to patrzę, to myślę sobie, że to były inne czasy. Ludzie byli przerażeni i wiele wcześniej przestrzeganych zasad traciło rację bytu. Żyliśmy chwilą. Musieliśmy. To było wszystko, co mieliśmy. Nikt z nas nie wiedział, czy w ogóle czeka nas jakaś przyszłość, więc chwytałyśmy każdy moment szczęścia. Przynajmniej ja tak robiłam. I kto może go osądzać? Może naprawdę kochał twoją matkę i może by do niej wrócił. Kto wie? Nie chcę go usprawiedliwiać, ale takie rzeczy się zdarzały. Chłopcy zakochiwali się szaleńczo w dziewczynach, których nawet dobrze nie znali. Mężczyźni bardzo chcieli się żenić. Ja sama gdybym tylko chciała, mogłam poślubić chyba z setkę chłopców. Wiedzieli tylko, że w każdej chwili mogą zginąć, i chyba chcieli pozostawić po sobie coś albo kogoś, kto by świadczył, że w ogóle istnieli. Co do mnie, to miałam szczęście. Po wojnie ja i Billy sprowadziliśmy się tutaj i założyliśmy małą szkołę latania. Spędziliśmy razem czterdzieści dobrych lat. Po przejściu na emeryturę podróżowaliśmy. Mieliśmy mały samolot i lataliśmy, dokąd tylko mieliśmy ochotę. Nie narzekam. Miałam naprawdę dobre życie i dożyłam chwili, kiedy w końcu kobiety latają odrzutowcami. I mam tę satysfakcję, że dołożyłam swoją cegiełkę do tego, by im to umożliwić.

*

Sookie przebywała w Solvang przez tydzień i codziennie spotykała się z Fritzi. Zwykle chodziły razem na lunch albo na kolację, a resztę czasu Sookie spędzała, chodząc po miasteczku i rozmawiając z mieszkańcami. To była prawdziwa przyjemność. Tutaj, w Solvang, nie była córką Lenore. Pierwszy raz od wielu lat była sobą. Poznała wielu przyjaciół Fritzi, a nawet sama zawarła nowe znajomości. Dwie miłe turystki z Japonii zaprosiły ją na kolację, raz zjadła śniadanie w towarzystwie uroczej pary, Susan i Michaela Beckmanów z Tenafly w New Jersey. W hotelowym spa poznała też przemiłą damę

o nazwisku Linda Peckham.

Co wieczór dzwoniła do Earle'a. Podczas jednej z rozmów powiedział:

– Kochanie, od dawna nie słyszałem takiego szczęścia w twoim głosie.

*

Ostatniego dnia pobytu w Kalifornii Sookie i Fritzi poszły do starej misji hiszpańskiej na mszę, a potem na kolację do duńskiej restauracji.

Po skończonym posiłku Sookie powiedziała:

– Zanim wyjadę, chciałabym ci zadać jeszcze jedno pytanie. Intryguje mnie to imię Ginger. Czy nazwałaś mnie tak po kimś z rodziny?

– Nie – Fritzi się roześmiała. – Przepraszam cię za to. Tamtego wieczora, kiedy wypełniali akt urodzenia i zapytali mnie o twoje imię, to było pierwsze, co przyszło mi do głowy. Byłam wielką fanką Ginger Rogers.

– Tej od Freda Astaire'a?

– Właśnie.

– Uwielbiam ją.

– Tak? Ja też. Raz nawet ją spotkałam. Była naprawdę fantastyczna, na ekranie i poza nim. Ale miałaś prawdziwe imię, które nadała ci twoja mama.

– O?

– Tak. I pewnie ci się to nie spodoba, ale dała ci moje imię.

– To moje prawdziwe imię brzmi Fritzi?

– Tak. Fritzi Willinka Jurdabralinski. Przeżyjesz to jakoś?

Sookie uśmiechnęła się.

– Tak. Mało tego, czuję się zaszczycona.

*

Następnego dnia rano, gdy Sookie wyjeżdżała, Fritzi odprowadziła ją do samochodu.

– Dziękuję za ten cudowny tydzień.

– Dziecko, za nic w świecie nie zrezygnowałabym z okazji, by cię poznać. A tu mam dla ciebie mały prezent.

– Dziękuję.

– Będziesz się odzywać, prawda?

– Na pewno.

*

Samochód odjechał, a Fritzi weszła do domu, myśląc: „Biedne dziecko. Taka miła dziewczyna, a całe życie była okłamywana. Teraz jeszcze ja robię to samo”. Nie opowiedziała jej, co naprawdę przydarzyło się jej matce. Sookie i tak już dosyć przeszła, a zresztą co dobrego dałaby jej ta wiedza? Niczego nie dało się udowodnić.

*

W samochodzie Sookie otworzyła niewielką paczuszkę, którą wręczyła jej Fritzi. Wewnątrz znajdował się mały różaniec z kryształków granatu i karteczka.

*Droga Sarah Jane,
należał do Twojej matki. Wiem, że chciałyby, żebyś go miała.*

Fritzi

WYPADEK

23 listopada 1944

Chociaż do oficjalnego rozwiązania WASP pozostało już tylko kilka tygodni, wielu mężczyzn nie rezygnowało z prób umówienia się z Sophie. Jej jednak randki zupełnie nie były w głowie. Chciała jedynie wykonać ostatnie loty transportowe, a między nimi spędzać jak najwięcej czasu ze swoim dzieckiem.

Żadnemu z pilotów nie udało się jej namówić na spotkanie, ale jeden z nich nie potrafił się pogodzić z odmową. Nie był do tego przyzwyczajony. Bud Harris miał reputację kobieciarza i zależało mu na tym, by jej nie stracić. Był przystojny, elokwentny i zawsze dostawał to, czego chciał. W ogóle nie brał pod uwagę tego, że Sophie może nie chcieć się z nim umówić. Założył się z kumplami, że nie tylko się z nią spotka, ale w ciągu dwóch tygodni owinie ją sobie wokół palca.

Próbował wszystkiego, łącznie ze starą śpiewką pod tytułem „W każdej chwili mogę zginąć”. Przysyłał jej kwiaty, liściki, stosował wszelkie sztuczki wykorzystywane w takich sytuacjach. Ona jednak pozostawała nieugięta, a to go tylko drażniło.

Nie miał zamiaru przegrać zakładu z powodu jakiejś głupiej Polki, która nawet nie zdaje sobie sprawy, jakie spotkało ją szczęście, że on w ogóle raczył się nią zainteresować. Pewnego wieczora, gdy zabijał czas w barze, dowiedział się, że Sophie tego dnia sprowadza samolot później niż zwykle. Wychylił kolejny kieliszek i postanowił wyjść jej naprzeciw i przemówić do rozsądku – powiedzieć, żeby przestała udawać taką niedostępną. Wiedział, że ona sama tego chce. Jego zdaniem większość kobiet właśnie w tym celu przebywała w bazie.

Sophie była zmęczona i marzyła tylko o położeniu się spać. Wyszła z hangaru i szła zdać raport z lotu, gdy nagle obok niej zjawił się Harris. Chwycił ją za rękę i przycisnął do ściany.

– Hej, mała, po co tak się spieszyć? Chodź no tu, chcę z tobą pogadać. Czemu jesteś tak cholernie zarozumiała? Nawet nie wiesz, co tracisz. Próbowała się wyrwać i uciec, ale on mocno ścisnął jej rękę i pocałował ją w usta.

– Przestań! Proszę... Nie! – błagała, ale on nie przestawał, i zanim się zorientowała, rozpiął

górną część jej kombinezonu i zaczął ją obmacywać. Odpychała go z całych sił, lecz nie miała szans z takim wysokim i silnym mężczyzną. – Nie! Przestań! – krzyknęła. Próbowwała krzyknąć jeszcze raz, ale zasłonił jej usta dłonią i jeszcze mocniej do niej przywarł. Miał zamiar wygrać tamten zakład z kumplami w taki czy inny sposób. Nikt niczego by mu nie udowodnił. Byłoby jej słowo przeciwko jego słowu.

Nagle rozległ się męski głos:

– Hej, co tu się dzieje?!

Padł na nich snop światła latarki. To Elroy Leefers usłyszał krzyki Sophie. Harris rozejrzał się, zobaczył drobną sylwetkę mechanika i powiedział:

– Spadaj, ćwoku, jesteśmy zajęci!

Widząc przerażone spojrzenie Sophie, Elroy szybko zorientował się w sytuacji. Sięgnął do pasa z narzędziami i wyciągnął ciężki klucz.

– Puść ją, Harris, albo będziesz zbierał mózg z asfaltu.

Harris na sekundę zwolnił uścisk i Sophie wykorzystwała ten moment, by się mu wyrwać i podbiec do Elroya. Mechanik zasłonił ją sobą.

– No chodź, pilociku. Zmier się ze mną. Zobaczymy, na co cię stać.

Harris zastanawiał się przez chwilę, lecz w końcu uznał, że nie warto ściągać na siebie kłopotów. Zresztą i tak już przeszła mu ochota. Kiedy odszedł, Sophie osunęła się w ramiona Elroya.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. I nie myśl, że wszyscy są tacy. To tylko jedno zgniłe jabłko.

Sophie nie powiedziała o tym nikomu. Zostało jej już niewiele czasu do odsłużenia i nie chciała żadnych kłopotów. Pragnęła tylko żyć i wychowywać dziecko. Przez jakiś czas udawało jej się unikać Harrisa.

Kiedy kilka dni później jednostka Harrisa leciała w szyku, jeden z pilotów zauważył pod sobą samolot. Rozpoznał rude włosy i powiedział przez radio:

– Hej, kochasiu, spójrz w dół. To ta ruda, co za tobą szaleje. Może się przywitasz?

Harris usłyszał śmiech kumpli i wyłamał się z szyku. Tego dnia koledzy już go nie zobaczyli.

Kiedy dwie godziny później wrócili do bazy bez niego, dowiedzieli się, że z powodów technicznych musiał wykonać awaryjne lądowanie, ale nic mu się nie stało. Dopiero później usłyszeli o wypadku, w którym zginęła pilotka.

Podczas śledztwa Bud Harris zeznał, że za obopólną zgodą lecieli w szyku, kiedy pilotka

WASP nagle – z niewyjaśnionej przyczyny i bez ostrzeżenia – poderwała się i zawadziła prawym skrzydłem o podwozie jego samolotu. Założył, że odzyskała panowanie nad maszyną i odleciała w bok, i nie widział, jak się roztrzaskała.

Był tylko jeden świadek. Jakiś farmer twierdził, że akurat pracował w polu, gdy usłyszał głośny ryk silnika. Podniósł głowę i zobaczył dwa samoloty lecące bardzo blisko siebie. Nagle ten mniejszy odleciał w prawo i wpadł w korkociąg. Mężczyzna obserwował, jak samolot powoli opada spiralą i się rozbija. Maszyna natychmiast eksplodowała i spłonęła, tak że niewiele z niej pozostało i trudno było ustalić przyczynę zdarzenia. Po przeprowadzeniu śledztwa uznano to za wypadek i nie wniesiono żadnych zarzutów.

Harris tego nie chciał. Pomyślał sobie, że teraz, kiedy Sophie jest sama i nie ma przy niej tego ćwoka Leefersa, zabawnie będzie trochę ją nastraszyć – pokazać, z kim ma do czynienia. Chciał dać jej lekcję latania, której nigdy nie zapomni.

Krążył więc wokół niej, a potem podleciał od tyłu i zrównał się z jej samolotem. Ale tak mu zależało na tym, żeby go rozpoznała, że za bardzo i zbyt gwałtownie się przybliżył. Kiedy Sophie nagle zobaczyła jego maszynę obok siebie, nerwowo się poderwała, by zrobić mu miejsce. Wtedy koniuszkiem skrzydła zawadziła o spód jego samolotu, a on usłyszał zgrzyt metalu o metal.

Harris wystraszył się, że może mieć uszkodzone podwozie, więc nie czekał na rozwój zdarzeń i nie widział upadku jej samolotu.

Jeden z pilotów latających tego dnia był przyjacielem Fritzi. Opowiedział jej, co widział i co podejrzewał. Harris był znany ze swojej brawury.

W dniu przesłuchań Fritzi przyleciała do bazy i dopadła Harrisa w poczekalni przed salą przesłuchań.

Otworzyła drzwi i widząc go siedzącego z nogami na biurku i jakby nigdy nic palącego papierosa, niemal rozpłakała się ze złości.

– Ty... nic niewarty, cholerny sukinsynu! Właśnie zabiłeś moją siostrę, ty żaloszny łajdaku! Powinam skopać ci tyłek tak, żebyś popamiętał. Warto było? Tylko po to, żeby popisać się przed kumplami?

Podniósł na nią wzrok.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nie? Przysięgam na Boga, Harris. Gdybym teraz miała przy sobie spluwę, odstrzeliłabym ci ten zadufany łeb.

– Hej, to nie była moja wina. Ona się poderwała.

– Wmawiaj to sobie. Dobrze wiesz, czyja to była wina – odparła Fritzi. – Niewart jesteś nawet tego, żeby cię zabić. Mam nadzieję, że *nie* umrzesz. Mam nadzieję, że dadzą ci dożywocie i że w pace codziennie, aż do końca swojego nędznego, śmierdzącego życia, będziesz myślał o tym, co zrobiłeś.

Oficer otworzył drzwi i skinął na Harrisa.

– Czekają na pana.

Harris zgasił papierosa, wstał i wyszedł.

Wśród kobiet zorganizowano zbiórkę pieniędzy na przewiezienie Sophie do domu. Fritzi towarzyszyła trumnie przez całą drogę do Pulaskiego. Gertrude May przyleciała z Camp Davis w Karolinie Północnej, Wink otrzymał urlop i przyleciał z Anglii.

Całe miasteczko – każdy mężczyzna, kobieta i dziecko – brało udział w pogrzebie. I mimo że Sophie oficjalnie nie była w wojsku, miejscowy oddział Weteranów Wojen Zagranicznych, nie zważając na przepisy, udekorował jej trumnę amerykańską flagą. Według nich zginęła, służąc ojczyźnie.

W wyrazie hołdu na jej nagrobku umieszczono napis wyryty w brązie:

Ponad chmury i burze zawiodła ją droga

Odnalazła jasność i Syna i Boga

Że nie żyje

Powiedzieć by mi nie dała

Ona tylko odleciała

– *James Whitcomb Riley*

NOWY JORK

marzec 1945

Po rozwiązaniu WASP Willy, przyjaciółka Fritzi, wróciła do domu do Oklahomy. Jak wszystkie pilotki, czuła niedosyt wrażeń, więc któregoś dnia wybrała się do Nowego Jorku, żeby spotkać się z Pinks i obejrzeć kilka spektakli. Pewnego wieczoru, siedząc w lokalu z grupą znajomych, przypadkiem zobaczyła Buda Harrisa w towarzystwie kilku pilotów. Przeprosiła swoje towarzystwo i podeszła do niego.

– Cześć, przystojniaku. Zatańczysz?

Kilka godzin później, w ekskluzywnym pokoju hotelowym Harris zrobił dokładnie to, o co prosiła seksowna nieznajoma z Oklahomy. Kiedy zdjął z siebie wszystko, uśmiechnął się znacząco.

– I co, ujdę?

Willy, wciąż w ubraniu i podkutych kowbojkach, uśmiechnęła się i powiedziała:

– O tak. Chodź tutaj.

Gdy tylko się zbliżył, kopnęła go z całych sił i Harris upadł na podłogę, ściskając swoje klejnoty i wrzeszcząc z bólu. Willy spokojnie przeszła przez pokój, podniosła jego buty i wszystkie ubrania, po czym wyrzuciła je przez okno z dwudziestego pierwszego piętra. Zostawiła go leżącego na podłodze, nagiego, zwijającego się z bólu.

Willy nigdy nikomu o tym nie powiedziała, ale uważała, że przynajmniej tyle mogła zrobić dla Fritzi.

POINT CLEAR, ALABAMA

Sookie z przyjemnością wróciła do domu. Ucieszył ją nawet widok zwariowanej Lenore, którą od razu zaprosiła na lunch.

Lenore zjawiała się w restauracji w promiennym nastroju, ubrana w piękną seledynową suknię ze zwiewnym białym szaliczkiem.

- Wróciła córka marnotrawna!
- Dzień dobry, mamó. Jak ładnie wyglądasz.
- Dziękuję. To chyba jeden z moich kolorów, prawda? – powiedziała, machając ręką do kogoś znajomego.

*

Lenore widocznie tęskniła za Sookie, bo przez cały lunch była miła. W końcu powiedziała:

- Nie chcę pozbawiać cię złudzeń, Sookie, ale nie wydaje mi się, żebyś schudła w tym spa. Na twoim miejscu zażądałabym zwrotu pieniędzy.

*

Po kilku dniach od swojego powrotu, kiedy Sookie zdążyła już przemyśleć wszystko, co się wydarzyło, doszła do wniosku, że była to najważniejsza wycieczka w jej życiu. Dowiedziała się wielu rzeczy, głównie o samej sobie.

Była nie tylko córką Lenore. Zaczynała być kimś innym i podobało jej się to, w co się przeobrażała. Jak dobrze, że Earle namówił ją na ten wyjazd. Miał rację. To była jedna z tych rzeczy, z których za nic nie należy rezygnować.

Jeszcze kilka miesięcy wcześniej czuła, że jest u kresu sił, i marzyła jedynie o odpoczynku, a teraz jej życie zaczynało się na nowo. Tak wiele się dowiedziała – o Wisconsin, Kalifornii, WASP, polskim jedzeniu, duńskim jedzeniu.

Zamówiła pięć egzemplarzy *Historii Polski* i dała po jednym każdemu z dzieci. Potem

sama zabrała się do czytania. Zdumiało ją i zachwyciło to, jaką odwagą wykazywali się Polacy i jakie trudności przychodziło im przezwycięzać.

Czemu wcześniej nic o tym nie wiedziała? Spojrzała na swoją rękę i pomyślała, że w jej żyłach płynie pełna dumy i odwagi polska krew. Jakie to szczęście! Następnym razem, gdy poszli z Earle'em do Oyster House, zrobiła coś, na co nigdy wcześniej się nie zdobyła. Zamówiła tuzin surowych ostryg i wszystkie je zjadła! Prawdopodobnie nigdy już tego nie powtórzy, ale przynajmniej raz tego dokonała. Pani Poole zaczynała eksplorować nowe dziedziny życia.

*

Gdy Sookie wróciła z Solvang z informacją o nazwisku swojego biologicznego ojca, Dee Dee natychmiast wynajęła kobietę, która trudniła się profesjonalnie genealogią, by odnalazła rodzinę Brunstonów w Anglii i dowiedziała się, czy James Brunston jeszcze żyje. Pani genealog uzyskała informację, że z całej jego rodziny żyje tylko jedna z córek.

Dee Dee chciała, by matka się z nią skontaktowała.

– Jest twoją przyrodnią siostrą!

Sookie jednak uznała, że nie ma sensu burzyć spokoju tej biednej kobiety. To by tylko oznaczało wyjawienie nieprzyjemnych informacji o jej ojcu. Po co? Lepiej zostawić to tak, jak jest. Dowiedziała się jednak, że James Brunston dożył prawie dziewięćdziesiątki i zmarł z przyczyn naturalnych. Właściwie tylko to ją interesowało.

Odkąd poznała Fritzi i dowiedziała się tak wiele o przeszłości, Sookie patrzyła na Lenore innymi oczami. Zaczęła dostrzegać, jak bardzo frustrujące musiało być dla niej dorastanie w tamtych czasach, gdy kobiety miały tyle ograniczeń. Gdyby pozwolono jej występować na scenie, prawdopodobnie zostałaby gwiazdą. A przy jej zdolnościach organizacyjnych, ambicjach i energii, gdyby była mężczyzną, na pewno szybko awansowałaby na prezesa dużej firmy. Przykro było myśleć, że gdyby Lenore urodziła się trochę później i zajęła się polityką, to kto wie, dokąd mogłaby zajść.

Na całe szczęście córki Sookie mogły być, kim chciały. I dużą przyjemność sprawiała Sookie myśl, że jej rodzona matka i dwie ciotki pomogły otworzyć drzwi kobietom, które przyszły po nich. Jak mówił Carter: „Nieźle, co?”.

PRECZ Z MODROSÓJKAMI

W końcu wszystko wróciło do normy poza jednym wyjątkiem. Doktor Shapiro był bardzo zadowolony z postępów Sookie, która jego zdaniem była na dobrej drodze do ułożenia sobie życia po nowemu. Jednak jego praktyka w Point Clear nie cieszyła się powodzeniem. Wyglądało na to, że nikt nie chce chodzić do psychiatry, a nawet jeśli ktoś chciał, to się z tym nie ujawniał. Dlatego doktor z żoną postanowili wrócić do Nowego Jorku, gdzie wizyty u psychiatry były symbolem statusu. Doktor Shapiro żałował jedynie spotkań z Sookie. Nigdy by jej tego nie powiedział, zresztą i tak była od niego dużo starsza, ale w ciągu ostatnich miesięcy w pewien sposób go zauroczyła. Była prawdopodobnie najmiłą osobą, jaką kiedykolwiek spotkał, wśród pacjentów i nie tylko.

*

Sookie czuła się lepiej, lecz wciąż tęskniła za widokiem małych ptaszków. Przez całą wiosnę nie zobaczyła ani jednego kowalika czarnogłowego ani sikorki. Dzień po dniu siadywała w swojej szklarni i przyglądała się modrosójkom błękitnym. Obserwowała ich stópki i sposób, w jaki lądowały na krawędzi karmnika, aż w końcu zaczęła rysować projekty karmników, próbując uwzględnić swoje obserwacje.

Chciała mieć lepszy mniejszy karmnik z drucianą siatką, przez którą mogłyby się przedostać tylko drobne ptaszki, i z mniejszą półką wygiętą w sposób odpowiedni dla tych maleństw.

Sookie i Earle czasem korzystali z pomocy Waltera Dempseya, który potrafił prawie wszystko naprawić. Prowadził mały warsztat stolarski, w którym robił najróżniejsze sprzęty. Sookie sporządziła szkic z odpowiednimi wymiarami i do niego pojechała.

– Dzień dobry. Mam tu rysunek karmnika dla ptaków. Mógłby pan go dla mnie zrobić?

Walter chwilę przyglądał się projektowi, po czym rzekł:

– Chyba dam radę. Na kiedy?

– Jak najszybciej.

Nie chodzi o to, że nie lubiła modrosójek błękitnych. Lubiała je, ale czuła, że musi coś

zrobić, bo inaczej małe ptaszki w ogóle przestaną przylatywać.

*

Tydzień później Sookie usiadła w szklarni i czekała. Po mniej więcej pięciu sekundach przyleciała duża tłusta modrosójka, która chciała wylądować na krawędzi nowego karmnika. Trzepotała niecierpliwie skrzydłami, usiłując się posilać i jednocześnie utrzymywać równowagę, ale – hurra! – nie była w stanie i po trzech czy czterech kolejnych próbach w końcu zrezygnowała i odleciała. Potem przyleciało jeszcze kilka modrosójek, lecz ponieważ półka była zbyt wąska, one również miały kłopoty z utrzymaniem się na niej i w końcu poleciały do karmnika ze słonecznikiem.

Trzeba było trochę czasu, by małe ptaszki rozeznały się w sytuacji, lecz następnego dnia po południu Sookie doczekała się wizyty maleńkiej sikorki, która bez problemów opadła na krawędź i się pożywiła. Zwycięstwo! Sookie natychmiast zadzwoniła do pana Dempseya i zamówiła jeszcze pięć karmników.

W poniedziałek rano Sookie wbiegła do domu i rzuciła się do telefonu.

– Och, panie Walterze, dzisiaj przyleciały jeszcze trzy dziwuszki i łuszczyki indygowy, i do tego sikorka. Jestem panu tak wdzięczna!

– Nie ma za co, ale ten karmnik to był pani pomysł. Ja tylko zrobiłem go według projektu. Myślę, że wynalazła pani całkiem przydatną rzecz, pani Poole.

– Naprawdę?

– Tak. I wie pani co, tak sobie myślę... Może powinna pani ją opatentować. Chyba mógłbym produkować około dwudziestu sztuk tygodniowo. Rozmawiałem z panem Nadleshaftem ze sklepu ogrodniczego i mówiłem mu o pani sukcesie, a on powiedział, że gdybym zrobił więcej takich karmników, z radością spróbowałby je dla nas sprzedawać.

Sookie była zachwycona. Razem z Walterem zanieśli projekt do prawnika w miasteczku i sporządzili umowę założycielską spółki, którą nazwali Precz z Modrosójkami. Mieli dzielić się zyskami po połowie. W ciągu miesiąca Sookie i pan Dempsey byli tak zajęci, że z trudem realizowali wszystkie zamówienia. Po sześciu miesiącach zatrudnili asystenta i księgowego i od tego momentu ich firma zaczęła się rozrastać.

Rok później rozwinęli się jeszcze bardziej i wynajęli firmę reklamową. Wkrótce w czasopiśmie „Życie Południa” i we wszystkich pismach dla obserwatorów ptaków pojawiły się ogłoszenia ze zdjęciem karmnika.

Masz dość nieznośnych modrosójek błękitnych, które wyjadają karmę małym

ptaszkom? Znam to uczucie. Ale dzięki karmnikowi firmy Precz z Modrosójkami dziwuszki, sikorki i wszystkie małe ptaszki mogą się teraz najeść do woli.

– Pani Earle’owa Poole młodsza

Point Clear, Alabama

Niebawem spółka dorobiła się własnej strony internetowej i ku zaskoczeniu samych założycieli zaczęły napływać zamówienia z całego świata.

– Nawet nie wiedziałam, że w Chinach też są modrosójki. A ty? – powiedziała któregoś dnia zdumiona Sookie do Earle’a.

*

Kiedy napisano o niej w lokalnej gazecie, użyto określeń „pani Earle’owa Poole młodsza, gospodyni domowa i wynalazczyni”, a to sprawiło jej ogromną radość. Życie było takie niezwykle i pełne niespodzianek. Sookie zawsze myślała o sobie, że jest głupia, a tu nagle stała się wynalazczynią.

Poza tym, wobec takiego sukcesu handlowego, Earle zaczął myśleć o emeryturze. Po upływie kolejnych kilku lat firma okrzepła, a Sookie i Earle znowu mogli się cieszyć spędzaniem wspólnie czasu.

Tylko jedna rzecz niepokoiła Sookie. W pewne niedzielne popołudnie, kiedy przechodziła przez salon, usłyszała, jak Earle mówi przez telefon do przyjaciela:

– Tak, ale w głębi duszy to chciałbym znowu mieć doga.

„O Boże! – pomyślała. – Może od razu małego konia albo krowę? Proszę, Boże, niech to będzie tylko przelotna zachcianka”. Kochała Earle’a, ale jeden dog w życiu jej wystarczył.

TRUSKAWKOWA BLONDYNKA

Wujek Baby i ciocia Lily zmarli w Przyjemnym Zakątku w wieku prawie dziewięćdziesięciu lat, ale Lenore, mając dziewięćdziesiąt trzy lata, wciąż była pełna werwy. Niestety zmarła jej opiekunka Angel. Po wielu prośbach Lenore w końcu zgodziła się przenieść do Westminster Village, ale tylko na jakiś czas, póki Sookie i Earle nie znajdą innej opiekunki. Jednakże już podczas pierwszej wizyty Sookie zauważyła ku swemu zdumieniu, że Lenore jest całkiem zadowolona z pobytu.

– Muszę przyznać, że podoba mi się ta otwierana wanna, a i jedzenie jest smaczne, tylko zła jestem na Conchitę, że tak sobie wzięła i umarła.

*

Tydzień później, gdy Sookie wróciła ze sklepu, zadzwonił telefon, a gdy go odebrała, usłyszała żeński głos:

– Pani Poole? Tu Molly z Westminster Village. Dzwonię, bo pani matka miała lekki udar i lekarz stwierdził, że chyba powinna pani przyjechać.

Kiedy przybyła na miejsce, powiedziano jej, że matka leży na oddziale intensywnej terapii. Po chwili podszedł do niej doktor Hindman.

– Zanim pani wejdzie, chcę panią ostrzec. Pani matka jest wciąż dezorientowana, więc proszę się nie zdziwić, jeśli pani nie pozna.

Wszedł do sali pierwszy, podszedł do łóżka i zaprosił ją gestem, by za nim podążyła. Sookie stanęła obok niego.

– Pani Simmons, ma pani gościa. Poznaje pani?

Lenore otworzyła oczy. Uśmiechnęła się, wzięła Sookie za rękę i odparła:

– Oczywiście. To moja córka Sarah Jane. To najlepsza córka na całym świecie i bardzo ją kocham.

Sookie spojrzała na leżącą w łóżku starą kobietę, tak małą i bezbronną, ucisnęła jej dłoń i powiedziała:

– Ja też cię kocham, mamó. – Mówiła to szczerze, z głębi serca. Lenore znowu ścisnęła jej rękę i zasnęła.

Sookie siedziała przy jej łóżku i nie wiedziała, czy matka ją słyszy, lecz cicho jej śpiewała: „Gdy Casey z blondynką walcował po sali, tonął w dźwiękach świat”... Patrząc na śpiącą Lenore, dziwiła się, że nawet teraz, mimo iż stara i bezradna, wciąż urzeka urodą.

*

Lekarz wrócił po kilku godzinach i kazał Sookie iść do domu odpocząć. Obiecał, że powiadomi ją, gdy nastąpią jakieś zmiany.

Tej nocy zadzwonili z wiadomością, że jej matka odeszła.

*

Rano do drzwi zapukał prawnik Lenore.

– Przykro mi z powodu pani straty, ale pani matka zobowiązała mnie do przekazania tego osobiście w ciągu dwudziestu czterech godzin od jej śmierci.

Sookie otworzyła kopertę i znalazła wewnątrz list.

Sookie,

w najbliższym czasie nigdzie się nie wybieram, ale tak na wszelki wypadek pomyślałam, że to może być ci pomocne.

NEKROLOG

LENORE SIMMONS KRACKENBERRY

Urodzona 20 stycznia 1917 w Selmie w stanie Alabama.

Zmarła (wpisać datę i godzinę) w Point Clear w Alabamie.

Córka świętej pamięci państwa Simmonsów z Selmy.

Pozostawiła pogrążonych w smutku: (wypełnić).

Była członkiem (lista klubów, organizacji itd.).

Pozostanie w naszej pamięci jako osoba pełna południowego uroku i wielkiej szlachetności widocznej we wszystkich jej wolontariackich działaniach.

Wspomnienia mile widziane. Prosimy nadsyłać na adres:

Fundacja Opieki nad Cmentarzem Wojskowym w Point Clear, Alabama.

PRZYJĘCIE DLA RODZINY I PRZYJACIÓŁ:

Miejsca do wyboru:

- 1. Wielka Sala Balowa, Grand Hotel*
- 2. Klub rekreacyjny Lakewood (duża sala)*

Dzień: sobota lub niedziela 15.00–17.00

- Jedzenie i napoje: Kawa, herbata mrożona, lekki poncz, kanapki, słodycze, paluszki serowe, orzechy itp. (pani Busby ma listę).*
- Ładne, sezonowe kwiaty na każdym stoliku.*
- Witający goście przybywają o 14.30, by uzyskać wskazówki od pani Poole.*
- Witający goście mają się ustawić przy drzwiach wejściowych i/lub w okolicach lobby i schodów.*
- Każdy witający ma mieć w klapie prosty biały kwiat.*
- Książka (książki) gości ma się znajdować w sali, NIE przy wejściu.*
- Nie chcę, żeby ludzie wpisywali się w biegu – tylko poważni żałobnicy.*
- Osoby witające mają się przemieszczać i integrować z gośćmi.*

Nie martw się o nabożeństwo, Sookie. Wielebny George już ma wszystkie instrukcje. Będziesz miała dość pracy z gośćmi spoza miasta, organizacją parkingów itp.

Mama

O trzeciej po południu zadzwonił miejscowy kamieniarz.

- Pani Poole, mam polecenie dostarczenia nagrobka. Gdzie mam go umieścić?*
- Co?*
- Pani matka zamówiła nagrobek. Dosyć duży.*
- Jak duży?*

Mężczyzna powiedział, że Lenore zamówiła na swój grób biały marmurowy posąg płaczącego anioła.

- I kazała przedłożyć rachunek na pani ręce.*
- Ojej, a kiedy ona to zrobiła?*

– Och, jakieś dziesięć lat temu, ale przychodziła regularnie i ciągle coś zmieniała. Miała specyficzne wymagania. To musiał być marmur z Alabamy, i to bez najmniejszej skazy.

„Oczywiście. Cała Lenore. Już odeszła, ale jeszcze wydaje polecenia. No dobrze – pomyślała Sookie. Po co teraz się zmieniać? Jak zwykle Lenore w końcu postawiła na swoim,

tak jak powinno być”.

*

Sookie była zaskoczona ilością kwiatów i wyrazami szacunku, które złożono jej matce podczas pogrzebu. Tyle osób tak pięknie o niej mówiło. Jednak dla Sookie największe znaczenie miało to, co powiedziała kochana dobra Netta.

– Sporo z nią było kłopotów, ale bez niej świat będzie mniej kolorowy.

To było piękne nabożeństwo, tak jak życzyła sobie Lenore. Oczywiście wszystko kosztowało więcej, niż się spodziewali. Posąg płaczącego anioła był tak wielki, że musieli wykupić dwa miejsca na cmentarzu. Stojąc przy grobie, Sookie miała mieszane uczucia, lecz wtedy właśnie zrozumiała, że kobieta, którą w tej chwili składają do ziemi, zawsze będzie ważną częścią jej życia. Serce nic nie wie o pokrewieństwie i nie zważa na więzy krwi. Rzeczywistość była taka, że oto zmarła jej matka – jedyna matka, jaką miała. Ta nieznośna kobieta doprowadzała ją do szału i przyprawiała o wiele zgryzot, a mimo to Sookie wiedziała, że do końca życia będzie za nią codziennie tęskniła.

Lenore Simmons Krackenberry

1917– 2010

Prawdziwa córka Południa

odeszła do domu Pana

DZIEDZICTWO LENORE

Point Clear, Alabama

Kilka tygodni po pogrzebie Sookie wybrała się do domu matki, żeby zacząć sprzątanie. Gdy otworzyła drzwi, poczuła delikatny zapach perfum Lenore. Niemal spodziewała się usłyszeć jej głos dobiegający z sąsiedniego pokoju, ale w domu panowała nienaturalna cisza. Rozglądała się, idąc do kuchni. Dziwnie było patrzeć na te wszystkie pozostawione rzeczy – drobne przedmioty, które kiedyś nic nie znaczyły, a teraz wydawały się takie ważne. Spojrzała na notes matki i zobaczyła jej pismo: „Powiedzieć Sookie, że potrzebna kawa”. Widok tej notatki sprawił, że z całą mocą uderzyła ją świadomość tego, jak okrutna jest śmierć. W jednej chwili człowiek jest tutaj, żywy, mówiący, a w następnej już go nie ma. Śmierć wciąż pozostawała wielką tajemnicą, pytaniem, na które nikt nie zna odpowiedzi. Sookie błąkała się po domu i po chwili znalazła się w salonie. Otworzyła dużą mahoniową szufladę i oto miała przed sobą czekające na nią srebra.

Westchnęła, poszła do kuchni i wróciła ze szmatką, białymi bawełnianymi rękawiczkami matki i pastą do polerowania srebra. Usiadła przy stole. Co jeszcze może zrobić? Omal słyszała głos Lenore podczas tego polerowania: „Sookie, pamiętaj, nic tak nie świadczy o rodzinie jak porządne srebra i prawdziwe perły. Reszta to bzdury”. Dom był duży, lecz Lenore wypełniała sobą każde pomieszczenie. Teraz, bez niej, Sookie czuła się tutaj przerażająco mała, lecz nie przerywała czyszczenia.

Tego popołudnia zadzwoniła do Dee Dee.

– Dee Dee, tu mama. Trochę sprzątałam i tak sobie pomyślałam, czy nie chciałabyś wziąć sobie sreber babci?

– Zestawu Franciszek Pierwszy?

– Tak.

– Nie, nie bardzo. – odparła Dee Dee po chwili wahania. – W zasadzie nie są mi potrzebne, nigdy bym ich nie użyła. Chyba że pozwoliłabyś mi je sprzedać i kupić za to coś innego, ale wiem, że na to się nie zgodzisz.

– Nie. Babci bardzo zależało na tym, żeby je przekazać komuś z rodziny.
– Zapytaj jeszcze bliźniaczek, może one będą chciały.
– Nie mogę. Obiecałam, że nie rozdzielę zestawu, a nie mogę dać całości tylko jednej z ich.

– Racja. Carter też ich nie chce.
– Właśnie. No a skoro ty ich nie chcesz, nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym je podarowała Buckowi i Bunny?

– Ależ nie. Myślę, że to świetny pomysł. Jak znam Bunny, ona się bardzo ucieszy.

Sookie nie była z Simmonsów, tak jak i żadne z jej dzieci, więc w zasadzie te srebra powinny trafić do Bucka i Bunny. Poza tym Bunny była najbardziej „południową” osobą, jaką Sookie знаła. W ostatnich latach nabrała bardziej południowego akcentu, niż miała sama Sookie.

Tydzień później Sookie zapakowała samochód i pojechała do Karoliny Północnej. Bunny zgodnie z przewidywaniami była w siódmym niebie.

– Ojej, nawet nie wiesz, jak się cieszę. Oczywiście możesz w każdej chwili je ode mnie pożyczyć. One zawsze mi się tak strasznie podobały! – mówiła, pieszcząc dużą łyżkę wazową.
– To była chyba jedna z przyczyn tego, że zakochałam się w Bucku. Nigdy wcześniej nie znałam nikogo, kto miałby matkę posiadającą kompletny zestaw Franciszek Pierwszy. A teraz on jest nasz! Wreszcie czuję się jak prawdziwa pani Simmons. – Bunny westchnęła, gdy zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała. – Ojej, Sookie, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Ja tylko... oczywiście, że jesteś prawdziwą Simmons. Ojej, co ja wygaduję.

Sookie zbyła to ruchem ramion.

– Nie przejmuj się. Wierz mi, naprawdę się cieszę, że to trafia do ciebie.

– Naprawdę?

– O tak, tylko musisz mi coś obiecać.

– Oczywiście, cokolwiek chcesz.

– Obiecay, że nie rozdzielisz tego zestawu.

Bunny nagle wzdrygnęła się z przerażeniem.

– Rozdzielić ten zestaw? Rozdzielić?! Coś takiego nawet by mi nie przyszło do głowy! Toż to byłoby świętokradztwo. Szybciej bym się dała zagłodzić niż rozdzieliłabym zestaw Franciszek Pierwszy.

Sookie roześmiała się, podeszła do bratowej i szczerze ją uściskała.

Jadąc do domu, uśmiechała się. Nie wiedziała, jak to się stało, ale jakaś cząstka Skrzydlatej

Nike musiała się ucześcić Bunny i nie chciała oderwać się od życia. Sookie czuła, że postąpiła słusznie. Kaganek Simmonsów i wszystkie te nieszczęsne srebra zostały oficjalnie przekazane, a ona sama poczuła się o dziesięć kilo lżejsza.

Następnego dnia rano podczas pracy w ogrodzie zobaczyła piękną jaskrawoniebieską ważkę ze srebrnymi skrzydłami, która fruwała wokół kwiatów. To musiał być znak. Gdyby Lenore chciała wrócić do niej z powitaniem, to w jej stylu byłoby przybrać postać właśnie jaskrawoniebieskiej ważki. Lenore była wiosną i jednym z jej kolorów był niebieski.

Kilka tygodni później zadzwoniła Dee Dee i niemal krzyknęła do słuchawki:

– Mamo! Siedzisz?

– Nie, ale już siadam.

– Nie uwierzysz!

– Słucham.

– Pamiętasz tę kobietę, którą wynajęłam, żeby sprawdziła drzewo genealogiczne Brunstonów?

– Tak.

– I ona właśnie znalazła anons o ślubie dziadków twojego ojca w londyńskim „Timesie” z 1881 roku. Tam jest mowa, że 22 czerwca tego roku Reginald James Brunston poślubił pannę Victorię Anne Simmons w katedrze Saint James.

– Miła wiadomość.

– Mamo! Nie rozumiesz? Twoja prawdziwa prababcia miała panięskie nazwisko Simmons, czyli w końcu jesteśmy Simmonsami!

– No cóż, nie wiem, czy to dobra czy zła wiadomość.

– To *wspaniała* wiadomość, mamo. Na szczęście nie wyrzuciłam herbu rodzinnego Simmonsów. Poza tym ta kobieta odkryła jeszcze, że babcia twojego biologicznego ojca, czyli moja prababcia, była wnuczką piątej kuzynki w linii bocznej królowej Wiktorii!

Ach, kochana Dee Dee. Prawdopodobnie to zupełnie inni Simmonsowie, ale ona najwyraźniej była tak przejęta tą informacją, że na pewno jeszcze długo będzie o tym opowiadać wszystkim znajomym.

*

Sookie cieszyła się ze szczęścia Dee Dee. Dla niej samej nie miało to wielkiego znaczenia, może tylko takie, że teraz mogła się wyzbyć zastrzeżeń co do swojej przynależności do stowarzyszenia Kappa. Wśród swoich przodków miała jednak kogoś z Simmonsów. Żałowała

jedynie tego, że Skrzydlata Nike nigdy się o tym nie dowiedziała. Na pewno ucieszyłaby się, wiedząc, że ostatecznie zawsze miała rację.

MARVALEEN ZNOWU ATAKUJE

Kilka tygodni później Sookie wpadła w sklepie na Marvaleen.

– Nie uwierzysz, Sookie, ale znowu spotykam się z Ralphem.

– Coś ty?

– Tak. Zdałam sobie sprawę, że właściwie to nie nienawidziłam go tak bardzo, jak myślałam. Nienawidziłam tylko instytucji małżeństwa.

– Aha. A co na to Edna Yorba Zorbra?

– Nie widziałam jej, odkąd przeniosła się do Las Vegas. Nie zajmuje się już rozwojem osobistym.

– A to szkoda.

– Tak, teraz promuje nową serię biżuterii robionej wyłącznie z piór.

– Naprawdę?

– Tak. Jest w jednej czwartej rdzenną Amerykanką, a Indianie uwielbiają pióra. W każdym razie, jak do tej pory całkiem dobrze układa nam się z Ralphem i myślimy o tym, żeby znów razem zamieszkać i uprawiać seks. W końcu głównie po to za niego wyszłam. Zawsze był świetny w łóżku. Oczywiście nie jest już taki młody jak kiedyś, ale jako lekarz może zdobyć tyle viagry, ile będzie potrzebował.

– No tak. Cieszę się, że dobrze się wam układa. Muszę bieć, ale miło było cię spotkać.

– Ja też się cieszę z tego spotkania. Będę cię informować. Na razie!

Ta Marvaleen! Zawsze była bardzo wylewna, jeśli chodzi o informacje na własny temat, a w każdym razie takie, o których Sookie wolałaby nie wiedzieć. Ralph był ginekologiem i Sookie już przeczuwała, że od tej pory podczas wizyty u niego nie będzie się czuła tak jak dawniej.

*

Dobłą rzeczą było natomiast to, że w końcu jej i Denie udało się dotrzeć na spotkanie stowarzyszenia Kappa. Ku swojemu zaskoczeniu, mimo że Sookie wyjawiała koleżankom

prawdę o sobie, wybrały ją na przewodniczącą komitetu organizacyjnego przyszłorocznego spotkania.

Poza tym zaskoczyło ją wiele innych wydarzeń. Burmistrz miasteczka, który kiedyś pozwał Lenore do sądu za to, że nazwała go farbowanym lisem i koniokrądem, został oskarżony o malwersacje i skazany. Dee Dee w końcu odeszła od męża i obiecała Sookie, że jeśli w przyszłości zechce wyjść za mąż, to zorganizuje tylko skromny ślub cywilny. Ce Ce i Le Le były w ciąży. A Fritzi przysłała jej swoje zdjęcie, które pojawiło się w lokalnej gazecie z Solvang, ponieważ wygrała puchar seniorów na Turnieju Golfowym Alisal.

Kiedy Earle i Carter jak co roku pojechali na wspólną wyprawę kamperem, Sookie tęskniła za mężem, ale miała trochę czasu na rozmyślanie. Dzięki doktorowi Shapiro zrozumiała, że człowieka sukcesu określa niekoniecznie to, co osiągnął, lecz to, co pokonał. A ona pokonała coś, co dla niej było ogromną przeszkodą. Pokonała swój strach przed rozczarowaniem matki i wyszła za mąż za właściwego człowieka. Owszem, nie nadawała tonu w towarzystwie, nie została słynną i bogatą baleriną, ale była kochana przez męża i dzieci. A czego więcej można chcieć?

Wieczorem poszła samotnie na molo. Siedziała tam uśmiechnięta, aż pojawiły się gwiazdy i nad zatoką rozległ się dźwięk kościelnych dzwonów.

ALBUQUERQUE, NOWY MEKSYK

Dee Dee tak się zainteresowała historią WASP, że kiedy dowiedziała się o wystawie samolotów wojskowych z okresu drugiej wojny światowej w Nowym Meksyku, kupiła dwa bilety lotnicze i obie z Sookie poleciały do Albuquerque.

– Przyleciałyśmy z córką aż z Alabamy, żeby to zobaczyć – powiedziała Sookie do mężczyzny przy bramie. – Bardzo dziękujemy za urządzenie tej wystawy.

– Miło, że zechciały panie przybyć.

Stały w kolejce, by obejrzeć latającą fortecę B-17, ostatni działający egzemplarz na świecie. Sookie zdumiały wymiary samolotu. Był olbrzymi. Kiedy obchodziły go dokoła, czytała wszystkie nazwiska pilotów wypisane po bokach. Szukała wśród nich swojej matki, ale nie znalazła. Były tam tylko imiona i nazwiska mężczyzn.

Dee Dee chciała zrobić Sookie zdjęcie wewnątrz samolotu, więc ustawiły się w odpowiedniej kolejce. Kiedy czekały, mijała ich grupa mężczyzn, oprowadzana przez przewodnika, który opowiadał, jak latał jednym z tych samolotów pod koniec wojny, gdy większość sprzedano już Rosji. Sookie przysłuchiwała się chwilę, po czym wtrąciła:

– Wie pan, że kobiety też latały tymi samolotami? Moja matka i ciocia transportowały ten model bezpośrednio z fabryki.

Mężczyźni spojrzeli na nią zdziwieni.

– Naprawdę? *Kobieta* latała czymś takim? – odezwał się jeden z nich.

Przewodnik popatrzył na Sookie i bez entuzjazmu przyznał:

– Tak, zdarzało się. – Po czym kontynuował swój wykład.

Kiedy Sookie w towarzystwie Dee Dee weszła po schodkach do środka maszyny, zaskoczyła ją surowość wnętrza – nie było tam nic prócz ciemnozielonych metalowych burt i skorodowanej podłogi. Wszystko było takie twarde. To mógł być ten sam samolot, którym Fritzi i Pinks przewiozły ją do domu dziecka w Houston.

Przesunęły się na przód i zobaczyły kabinę z mnóstwem dźwigni, instrumentów i pokręteł, i do tego z wielkimi metalowymi pedałami w podłodze. Sookie dosłownie oniemiała. Rety, jak ważąca sześćdziesiąt kilo kobieta mogła tym latać? Skąd brała siły

i odwagę? Ciężko było sobie wyobrazić lot czymś takim w piekącym słońcu albo w przeszywającym zimnie.

Sookie poraził ogrom odwagi, jakiej wymagał taki czyn, i aż się rozpląkała. Czytać o tym i oglądać fotografie to jedno, ale stać wewnątrz prawdziwego samolotu to coś zupełnie wyjątkowego. Przepeliło ją poczucie wielkiej dumy.

*

Nie było łatwo przedostać się z przodu na tył samolotu i zejść po wąskich, rozgrzanych metalowych stopniach. Gdy wyszły z drugiej strony, obie miały dłonie ubrudzone smarem od trzymania się metalowych burt. Bez dwóch zdań samolot nie oferował żadnych wygod ani udogodnień.

Później ci, którzy sowicie za to zapłacili, mogli odbyć krótki lot B-17. Gdy samolot sunął po pasie startowym, ryk silnika był tak ogłuszający, że Sookie bała się, że maszyna w ogóle się nie poderwie. W końcu jednak wzbiła się w niebo i odleciała w stronę gór. Sookie zdecydowałaby się na ten lot, gdyby nie brakowało jej odwagi – niestety, śmiałość nie była jej mocną stroną.

Opuszczając wystawę, zatrzymały się przy mężczyźnie siedzącym za długim stołem, który wcześniej odebrał od nich pieniądze i ostemplował im dłonie. Sookie podziękowała:

- Wspaniale było zobaczyć te samoloty na własne oczy i nawet wejść do środka.
- Cieszę się, że się pani podobało – odparł mężczyzna z uśmiechem.

Sookie po raz ostatni spojrzała na samolot.

- Jestem pod wrażeniem odwagi i umiejętności, jakie musieli mieć ci piloci.

Wtedy wtrąciła się Dee Dee.

– Wie pan, naprawdę powinien pan informować zwiedzających, że nie tylko mężczyźni latali tymi samolotami, ale też kobiety, a nawet młode dziewczęta. Myślę, że ludzie chcieliby to wiedzieć.

Mężczyzna przestał się uśmiechać i odwrócił wzrok, jakby nie słyszał, co się do niego mówi. Gestem zaprosił do wejścia kolejną osobę. Jasne było, że nie ma zamiaru poruszać tego tematu.

Wtedy Dee Dee zrobiła coś, co zszokowało jej matkę. Utkwiła wzrok w mężczyźnie i głośno powiedziała:

- Dupek. – Po czym obróciła się na pięcie i odeszła.
- Dupek seksista – dorzuciła Sookie, choć nie lubiła używać niecenzuralnych słów,

i podążyła za córką. Obie parsknęły śmiechem. Tego dnia opuszczały lotnisko z uczuciem ogromnej dumy i z jeszcze większym podziwem dla dokonań pilotek z WASP. Sookie zaczynała rozumieć, jak to jest ryzykować codziennie życie i nawet nie usłyszeć zwykłego dziękuję. Nic dziwnego, że niektóre z tych kobiet ogarnęło zgorzknienie.

„Drogi Boże – myślała. – Nawet po tylu latach, mimo iż tak wiele kobiet zginęło, służąc temu krajowi, mężczyźni nie chcą przyznać, że tak w ogóle było. Niektóre rzeczy się nie zmieniają. Jak to dobrze, że nadchodzą kolejne pokolenia”.

ZJAZD

Sookie od razu rozpoznała głos w słuchawce:

- Uszanowanko, mała!
- Dzień dobry!
- Dzwonię, żeby zapytać, czy chcesz jechać ze mną do domu.
- Kiedy? Gdzie?
- Do Pulaskiego.
- O...

– Właśnie dzwoniła do mnie Pinks, która organizuje cały wypad. W tym roku zjazd WASP będzie w Pulaskim. Możesz przyjechać? Będzie parada, a twoja rozmówczyni jest gościem honorowym. Chcę, żebyś paradowała obok mnie.

- Och! Tak! Oczywiście! Kiedy?
- 14 sierpnia.
- Przyjadę.

Sookie była niezwykle przejęta. Już wcześniej myślała o wyprawie do Pulaskiego, ale nie chciała nikogo wprowadzić w zakłopotanie swoją osobą. Teraz miała oficjalne zaproszenie od Fritzi.

*

14 sierpnia przyleciała do Green Bay. Samolot miał opóźnienie, więc umówiła się z uczestniczkami zjazdu w restauracji hotelu Hyatt, w którym wszystkie się zatrzymały. Kiedy weszła do środka, zauważyła grupkę kobiet przy stoliku w rogu. Przez chwilę się im przyglądała.

Zdała sobie sprawę, że dla kogoś obcego byłyby to tylko zwykłe kobiety, które spotkały się, by wspólnie zjeść lunch. Taki przypadkowy obserwator nie miałby pojęcia, kim one są i czego dokonały. Kierownik sali podprowadził Sookie do stolika, a wtedy Fritzi powiedziała:

- Oto jest! Pinks, Willy, przedstawiam wam Sarah Jane.

Rozpoznałyby je wszędzie. Pinks wyglądała tak samo jak na zdjęciach, Willy wciąż zachwycała urodą, choć oczywiście była starsza. Była też z nimi ciocia Gertrude, która wstąpiła do zakonu, przyjmując imię Mary Jude. Miała twarz jak pulchny aniołek na choince. Natychmiast chwyciła Sookie w objęcia.

– Ojej, spójrzcie na nią! Kochane dziecko. Gdyby tylko Munia mogła cię zobaczyć!

Ktoś przysłał im butelkę szampana. Fritzi uniosła kieliszek i powiedziała:

– Skoro jesteśmy tu wszystkie, wypijmy za te wspaniałe dziewczyny, które są już w górze, i za nas tutaj obecne. Nie jesteśmy już takie młode i dziarskie jak kiedyś, ale z woli Bożej, jeszcze się trzymamy.

Wszystkie spełniły toast.

– A teraz za córkę, Sophie Sarah Jane. Witaj w domu.

Następnego dnia wczesnym rankiem wszystkie kobiety w pełnym umundurowaniu zostały odebrane z hotelu i zawiezione do Pulaskiego. Sookie pojechała z nimi. Kiedy wjeżdżały do miasteczka, witały je tłumy podekscytowanych mieszkańców stojących po obu stronach ulicy, machających amerykańskimi flagami, wiwatujących i klaszczących. Po paradzie wszystkie udały się do dużej Sali Rycerzy Kolumba, gdzie miała się odbyć oficjalna ceremonia. Dwie ściany były zapełnione dużymi fotografiami dziewcząt i samolotów w Avenger Field w Sweetwater. Na samym przodzie po prawej wisiało duże zdjęcie matki Sookie, na którym Sophie stała uśmiechnięta przy samolocie.

*

Kiedy zebrani zajęli już miejsca, Fritzi podniosła się i przywitała wszystkie pilotki i ich rodziny przybyłe do Pulaskiego, po czym usiadła obok Sookie w pierwszym rzędzie.

Później nastąpiły przemówienia burmistrza, gubernatora Wisconsin, kilku senatorów i innych dygnitarzy. Kiedy gubernator zszedł z mównicy, wszyscy myśleli, że to już koniec, lecz nagle na scenę weszła Pinks z dzikim błyskiem w oku. Wyglądała, jakby siłą powstrzymywała się od uśmiechu, i rzekła:

– Panie i panowie, jest tu ktoś, kto przyleciał do nas dzisiaj ze specjalną wiadomością.

Wszyscy spojrzeli na program imprezy, lecz tego wystąpienia w nim nie wymieniono. Zastanawiano się więc, któż to może być. Kiedy na scenę wyszła młoda kobieta, najpierw rozległ się głośny jęk zachwytu, a potem spontaniczne oklaski. Uczestnicy natychmiast rozpoznali amerykańską astronautkę. Uśmiechnęła się, rozejrzała po sali i powiedziała:

– Dzień dobry, jestem Sally Ride. Przyjechałam tu dzisiaj, żeby powiedzieć coś, co

powinno zostać powiedziane już dawno w imieniu wszystkich kobiet, które dzisiaj służą w lotnictwie: „Dziękujemy”. Kiedy kraj was potrzebował, wykonałyście zadanie i udowodniłyście, że kobiety mogą latać i robić to bardzo dobrze. Zmierzyłyście się z przeszkodami, które wydawały się nie do pokonania. Przewyciężyłyście je z gracją, odwagą i walecznością. Wasze poświęcenie, determinacja, wola zwycięstwa otworzyły możliwości, dzięki którym kobiety takie jak ja mogą dzisiaj latać wyżej, niż w ogóle śmiałyśmy marzyć. Dlatego, kiedy uczestniczki programów kosmicznych dzisiaj i w przyszłości będą wyruszać na podbój Księżyca, gwiazd czy jeszcze dalej, możecie mieć świadomość, że wy i wszystkie pilotki z WASP dostarczałyście nam wiatru pod skrzydła. Niech was Bóg błogosławi.

Gdy schodziła ze sceny, machając zgromadzonym na pożegnanie, z głośników popłynęła piosenka *Wind Beneath My Wings*^{*****} w wykonaniu Bette Midler.

Co za dzień!

Wieczorem miasto zorganizowało uroczyste przyjęcie na cześć pilotek z WASP u Zielinskiego. Cała sala była wypełniona po brzegi. Kiedy kierownik orkiestry zauważył wchodzącą Fritzi, przerwał grę i wszyscy powitali ją oklaskami.

– Uszanowanie!

Sookie nie wiedziała, czy wszyscy ją tu znają czy są po prostu najmilszymi ludźmi na świecie, lecz nigdy w życiu tak jej nie wyściskano. Niebawem muzyka zagrała ponownie i jakaś postawna jowialna kobieta ze złotym zębem porwała ją do tańca, który – jak domyśliła się Sookie – był polką.

Później, kiedy miała okazję nieco odetchnąć, zauważyła długi stół zastawiony jedzeniem. A ona myślała, że to Południowcy dużo jedzą! Zaczęła jeść coś przepysznego z musztardą i kapustą kiszoną. Nie wiedziała, co to takiego, ale było naprawdę dobre. Przyglądała się tańczącym, wśród których kołysała się Fritzi. Sprawiali wrażenie, jakby chcieli sobie użyć za wszystkie czasy.

Tańczyła z co najmniej setką osób, w tym z ośmioletnim chłopcem, co uświadomiło jej, że o swoje niepowodzenie w dziedzinie baletu nie może obwiniać genów. Polacy byli świetnymi tancerzami.

Jakąś godzinę później do orkiestry podszedł mężczyzna i coś powiedział do prowadzącego. Po kolejnej piosence kierownik orkiestry oznajmił:

– Panie i panowie, otrzymaliśmy specjalną prośbę o kolejny utwór. Gdzie jest siostra Mary Jude?

Goście powitali tę zapowiedź radosnymi okrzykami i oklaskami. Siostra Mary Jude właśnie coś jadła, lecz bez słowa sprzeciwu weszła na scenę, wzięła akordeon i rozpoczęła

dynamiczne wykonanie *Polki dla Winka*. Chwilę później Sookie znowu znalazła się na parkiecie i znowo tańczyła w rytm melodii *To dopiero polka*.

***** *Wind Beneath My Wings* – Wiatr pod skrzydłami.

NIESPODZIANKA FRITZI

Następnego dnia, kiedy byłe pilotki WASP rozjechały się do domów i wszystkie transparenty zostały już zdjęte, Fritzi zadzwoniła do Sookie do pokoju i przywitała ją tak entuzjastycznie jak zwykle.

- Uszanowanko! I jak tam, żyjesz po wczorajszym?
- O tak, ale jeszcze jestem w łóżku. Co za impreza!
- Weź swoje rzeczy i zejdź na dół, bo mam dla ciebie niespodziankę.

Gdy Sookie zeszła do foyer, Fritzi czekała już na zewnątrz w samochodzie.

- Wsiadaj.
- Dokąd jedziemy?
- Wiem, ale nie powiem. Zaraz się dowiesz.

Stara stacja benzynowa Phillips 66 była od lat nieczynna, pozostały po niej tylko szkielet budynku i betonowa rampa, na której kiedyś stały dystrybutory z benzyną, lecz kiedy podjeżdżały do frontu, Sookie nagle usłyszała Andrews Sisters śpiewające *Boogie Woogie Bugle Boy*. Zaraz potem zobaczyła olbrzymi transparent:

WITAMY NA BABSKIEJ STACJI BENZYNOWEJ

Trzy kobiety i mężczyzna szli do samochodu, przekrzykując się nawzajem. Fritzi uśmiechnęła się szeroko.

– Sarah Jane, poznaj swoją ciocię Tulę. To jest żona Winka, Angie, siostrę Jude już znasz, a to Nard, mąż Tuli. Przyszedł tylko podpiąć głośniki i zaraz sobie pójdzie. Mężczyźni nie mają wstępu.

Nard roześmiał się.

– Dobrze, Fritzi. Już idę. Ale miło było cię poznać – zwrócił się do Sookie.

Tula niemo wpatrywała się w Sarah Jane, a po chwili wybuchnęła płaczem.

– Oj, kochana – westchnęła. – Jaka jesteś podobna do Sophie. – Uściskała ją tak mocno, że Sookie z trudem łapała oddech.

– Tylko jej nie uduś, na miłość boską! – zawołała Fritzi.

Obeszły stację i gdy znalazły się na tyłach, Sookie zobaczyła duży stół zastawiony jedzeniem.

– Co trzy albo cztery lata staramy się organizować taki niewielki zjazd rodzinny – wyjaśniła Fritzi.

– A ten rok jest szczególny, bo ty jesteś z nami – dodała Tula.

Fritzi spojrzała na stół.

– Tak, zwykle Tula nie częstuje nas kielbaskami własnego wyrobu ani gołąbkami.

– Ani pączkami... O rety – Gertrude westchnęła, patrząc na talerz ze stertą polskich pączków domowej roboty.

– Chcę wam tylko powiedzieć, że czuję się zaszczycona, że tu jestem, i bardzo dziękuję, że mnie zaprosiłyście. Życie jest takie dziwne. Gdyby kilka lat temu ktoś mi powiedział, że będę tu dzisiaj z wami, nie uwierzyłabym za nic w świecie. A oto jestem!

– I bardzo się z tego cieszymy. Kiedy Fritzi nam o tobie powiedziała, wszystkie bardzo chciałyśmy cię poznać, ale nie uprzedziła nas, że jesteś tak bardzo podobna do swojej mamy – powiedziała Angie. – Szkoda, że jej nie znałaś. Była taka ładna.

– A do tego taka dobra – dorzuciła Tula.

Przy posiłku opowiadały Sookie o czasach, kiedy stacja benzynowa była czynna.

– Wiem, że teraz trudno w to uwierzyć – rzekła Tula – ale to miejsce wprost tętniło życiem. Tam, na tej działce stał dom, i przez cały dzień i noc słychać było dryń, dryń, ludzie przyjeżdżali i wyjeżdżali. Munia mówiła, że nic dziwnego, że wszystkie jesteśmy trochę zwariowane.

– I powiem ci coś jeszcze, w co nie uwierzysz – wtrąciła Angie. – Gertrude i Tula miały wspaniałe kostiumy do jazdy na rolkach. Szwały po całej stacji i tak szybko śmigwały między samochodami, że kierowcy często nie nadążali za nimi wzrokiem.

– To prawda. – Gertrude zaśmiała się. – Byłyśmy szybkie.

Całe popołudnie Sookie słuchała fascynujących, barwnych opowieści o latach wojny, o tańcach, kabinie do całowania, o tym, jak wszyscy chłopcy kręcili się w pobliżu.

– To musiała być świetna zabawa – zauważyła.

– O tak – przyznała Tula. – Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jakie te lata były wspaniałe, póki to się nie skończyło. Ale cóż, życie toczy się dalej. Potem mężczyźni wrócili i świat zupełnie się zmienił.

Kiedy odjeżdżały, Sookie obróciła się jeszcze ostatni raz i mogłaby przysiąc, że przez

ułamek sekundy widziała tę stację taką, jaka była kiedyś, z wszystkimi dziewczętami, które znów młode, atrakcyjne i szczęśliwe uwijały się między samochodami.

*

Przed wyjazdem na lotnisko Fritzi podwiozła siostrzenicę do kościoła i szkoły, do której chodziła Sophie i cała rodzina. Sookie poczuła się dziwnie, myśląc, że i ona mogła się tu wychowywać i chodzić do tej samej szkoły. Później pojechały na cmentarz, gdzie stanęła nad grobem matki. Odwiedziła też groby innych Jurdabralińskich, których nigdy nie znała.

*

Podczas pożegnania na lotnisku Sookie powiedziała:

- Fritzi, nawet nie wiesz, ile ta podróż dla mnie znaczyła.
- Chciałam, żebyś zobaczyła, skąd pochodzisz, i żebyś wiedziała, że miałaś rodzinę. Hej, że wciąż ją masz. Pamiętaj, dziecko, że zawsze możesz na mnie liczyć.
- Będę pamiętać.

CO TAKIEGO?

Point Clear, Alabama

Ledwie wróciła z wyprawy do Pulaskiego i właśnie miała ochotę na długi przyjemny odpoczynek, gdy zadzwonił telefon. To był Carter.

– Cześć, kochanie, co u ciebie?

– W porządku. Tata jest?

– Nie.

– To dobrze, bo właściwie chciałem najpierw powiedzieć to tobie. Siedzisz?

O Boże! Nie znosiła, kiedy ktoś tak zaczynał.

– Nie, a mam usiąść? To jakaś zła wiadomość?

– Nie, to dobra wiadomość, mam nadzieję.

– Co takiego?

– Pamiętasz, zawsze mówiłaś, że kiedyś spotkam tę jedyną osobę?

– Tak?

– I tak się stało.

– Oj, kochanie, jak się cieszę!

– I chodzi o to, że zamierzamy się pobrać i chciałbym zaprosić ciebie i tatę na ślub.

– Oczywiście, że przyjedziemy. O mój Boże, nie wierzę. Znamy ją? Jak ma na imię?

Nastąpiło długie milczenie.

– No właśnie. Nazywa się David.

– Co takiego?

– Wiem, to na pewno dla ciebie straszliwy szok, ale chciałem, żebyś wiedziała.

– Twój przyjaciel David? Ten, z którym przyjechałeś tu kiedyś?

– Tak. Nie mówiłem ci o tym wcześniej, bo nie chciałem cię niepokoić. – Sookie usiadła gotowa zemdleć w każdej chwili. – I to nie jest przelotne zauroczenie. Jesteśmy razem już dość długo i polubiłaś go, prawda?

– No tak, jest bardzo miły, ale...

W tym momencie pojawił się Earle w towarzystwie olbrzymiego czarno-białego doga arlekina. Pies wskoczył na sofę, przeszedł Sookie po kolanach i opadł po drugiej stronie. Earle wpatrywał się w niego z miłością.

– Wspaniały, prawda? To pies ratowniczy, nazywa się Rufus – krzyknął przez ramię i ruszył za Rufusem, który już galopował przez jadalnię w stronę kuchni, roztrzając po drodze krzesła w stylu królowej Anny.

– Mamo, jesteś tam? Przepraszam, że mówię ci o tym przez telefon. Powinienem do was pojechać i powiedzieć to osobiście. Jesteś w wielkim szoku?

Siedziała z telefonem w ręku i zastanawiała się. Zaczerpnęła tchu i ku swemu zdumieniu zdała sobie sprawę, że właściwie wcale nie jest zszokowana.

– Nie, kochanie. Oczywiście, jestem zaskoczona. Ale w ostatnim czasie tyle razy doznawałam szoku, że szczerze mówiąc, już nic nie jest w stanie mnie zszokować. I jeśli ty jesteś szczęśliwy, to ja też.

– Oj mamo, jesteś niezrównana. Mogłabyś powiedzieć tacie? Mam nadzieję, że zrozumie i nie zdenerwuje się za bardzo.

Odłożyła słuchawkę i jeszcze przez chwilę siedziała oszołomiona. Słyszała trzask tylnych drzwi, zobaczyła machającego do niej Earle'a i psa figlującego na podwórku za oknem. Będzie musiała powiedzieć Earle'owi o Carterze, a to nie będzie łatwe, wiedziała jednak, że Earle w końcu się z tym pogodzi. Dziewczęta nie będą robiły problemu. One uwielbiają Cartera. Nagle naszła ją okropna myśl. Uważała się za nowoczesną, tolerancyjną kobietę. Oglądała program Ophry i czytała artykuły o takich rzeczach, ale zupełnie nie miała pojęcia o etykiecie w takich sytuacjach. Kiedy pobiera się dwóch panów młodych, to kto płaci za wesele, i – co dla niej najważniejsze – kto jest uważany za matkę panny młodej? O Boże! Nagle zatęskniła za obecnością Skrzydlatej Nike. Ona na pewno wiedziałaby, co robić. No cóż, trzeba żyć dalej, a w przyszłym roku jechać do Polski zobaczyć, gdzie są jej korzenie. Gdy tak siedziała zamyślona, przesuwał palce po perłach Lenore, przyglądała się, jak Earle rzuca piłkę Rufusowi i musiała przyznać, że to naprawdę *piękny* pies.

EPILOG

Ze szklarni

2014

Sookie nie mogła się nie zaśmiać. Co za ironia losu. Po latach obaw o to, że na starość zwariuje, skończyła siedemdziesiątkę i wciąż była przy zdrowych zmysłach. Czasami pobolevało ją tu i ówdzie, ale w końcu, jak zauważył Earle, „pozytywną stroną siedemdziesiątych urodzin jest to, że przynajmniej się wie, że się nie umarło młodo”.

Nie, nie zmarła młodo i dobrze, bo teraz miała pięcioro ukochanych wnucząt, które rozpieszczała, jak tylko mogła, a do tego doga Rufusa i ptaki.

Gdy Lenore i Fritzi odeszły, Sookie miewała chwile zadumy nad tym, jak różnie mogły się potoczyć jej losy i kim mogłaby zostać, gdyby wcześniej знаła prawdę o sobie.

Teraz jednak, po tych wszystkich latach, siedząc w swojej szklarni i rozważając wszelkie możliwości i zawirowania losu, doszła do pewnego wniosku. Nieważne, jak poplątane było jej życie – była dokładnie tą osobą, którą miała być, i żyła dokładnie tam, gdzie było jej miejsce.

To, czy ta teoria jest prawdziwa, nie miało dla niej znaczenia. Liczyło się tylko to, że jest szczęśliwa. I owszem, nadal w Dzień Weterana nosiła kwiaty na grób pradziadka Simmons. Wiedziała, że może to głupie, ale przynajmniej tyle mogła zrobić dla Lenore.

Co do jej prawdziwej matki, tej, której nie miała okazji poznać, to jakieś sześćdziesiąt lat po rozwiązaniu WASP stało się coś niezwykłego. Dzisiaj najcenniejszym skarbem Sookie, dumnie eksponowanym nad kominkiem w salonie, był oprawiony w ramkę Medal Honoru przyznany przez Kongres Amerykański Sophie Jurdabralinski za służbę krajowi.

PODZIĘKOWANIA

Ta książka powstała w hołdzie dla Nancy Batson Crews, Teresy James, Elizabeth Sharp i B.J. Erickson oraz pozostałych pilotek z WASP, które ruszyły na pomoc ojczyźnie, gdy ta ich potrzebowała.

Szczególne podziękowania kieruję też do czterech wyjątkowych kobiet: Joni Evans, Jennifer Rudolph Walsh, Kate Mediny i Giny Centrello, za doprowadzenie do jej wydania.

Fannie Flagg

Tytuł oryginału: *The All-Girl Filling Station's Last Reunion*

Copyright © 2013 by Willina Lane Productions, Inc

Copyright © for the translation by Dorota Dziewońska

Opieka redakcyjna: Anna Małocha

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: kobieta przy samochodzie – © [iStockphoto.com](https://www.istockphoto.com) / [RetroAtelier](https://www.istockphoto.com),

kobieta w sukience – © [iStockphoto.com](https://www.istockphoto.com) / [Massonstock](https://www.istockphoto.com)

Rysunki na okładce powstały na podstawie zdjęć z [iStockphoto.com](https://www.istockphoto.com):

kobieta przy dystrybutorze – © [iStockphoto.com](https://www.istockphoto.com) / [Guelt](https://www.istockphoto.com),

samolot – © [iStockphoto.com](https://www.istockphoto.com) / [AleksandarDickov](https://www.istockphoto.com)

Korekta: Wydawnictwo PLUS

ISBN 978-83-7515-793-2

WYDAWNICTWO

otwarte

www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków,

tel. [\(12\) 427 12 00](tel:+48124271200)

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,

w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com